

A vintage clothing store advertisement featuring a mannequin in a pink dress, a rack of colorful dresses, and a polka-dot background. The text is centered and includes the store name, a tagline, and a quote.

..... SKLEP .....

RZECZY ZAPOMNIANYCH



*VINTAGE*

*SUSAN GLOSS*

*Każda kobieta i każda rzecz mają swoją historię...*



SKLEP  
RZECZY ZAPOMNIANYCH



# VINTAGE

SUSAN GLOSS

*Przełożyła BOGUMIŁA NAWROT*



*Vintage*

Copyright © 2014 by Susan Gloss

Copyright © for the translation by Bogumiła Nawrot

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2015

• • •

*Mojej babce Sally Baker, która nauczyła mnie,  
że każdy ścieg ma swoją historię.*

# ROZDZIAŁ

## ..... 1 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Suknia ślubna*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1952

STAN: *Dobry, niewielkie przebarwienia podszewki*

OPIS: *Kolor – kość słoniowa, długość do pół łydki, dekolot typu łódka, krótki kimonowy rękaw. Z jedwabnej tafty, na krynolinie*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Suknia kupiona od córki panny młodej*

# VIOLET

Pod jesionami przy Johnson Street, na wschód od kampusu, w podniszczonym ceglanym budynku między kawiarnią a punktem naprawy rowerów mieścił się butik Vintage. W jego oknie wystawowym Violet Turner upinała właśnie na manekinie rozkloszowaną letnią sukienkę na ramiączkach.

Westchnęła, kiedy studentki z zaczerwienionymi policzkami, opatulone w kolorowe szaliki minęły jej sklep, nie patrząc ani na nią, ani na ubrania na wystawie. W szare wiosenne dni jak ten wszyscy dokądś spieszyli i myśleli praktycznie, czego Violet bardzo nie lubiła. Ludzie praktyczni nie wstępują do sklepów, żeby kupić bakelitową biżuterię albo dziecięce rękawiczki z przełomu wieków. Nawet sympatyczni uliczni grajkowie – brodacze wykonujący muzykę bluegrass, którzy zwykle zajmowali fragment chodnika w pobliżu przejścia dla pieszych – spakowali bandžo i się wynieśli.

Violet odgarnęła za ucho kosmyk czarnych, krótko obciętych włosów i nachyliła się, żeby zawiązać espadryle na nogach manekina. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła utkwione w sobie niebieskie oczy. Jakaś dziewczyna stała na ulicy, dosłownie centymetry od okna wystawowego, przyciskając do polarowej kurtki suknię ślubną z lat pięćdziesiątych.

Violet przypomniała sobie tę dziewczynę. Pojawiła się w sklepie kilka tygodni temu i przymierzyła z pół tuzina kreacji ślubnych, nim zdecydowała się na suknię z rozkloszowanym dołem, którą teraz trzymała; suknia trzepotała na wietrze niczym biała flaga kapitulantów.

Dziewczyna weszła do środka i położyła suknię na ladzie.

– Chciałabym ją zwrócić.

– Przykro mi, ale nie przyjmujemy zwrotów. – Violet zajęła miejsce za kasą i wygładziła na biodrach kraciatą spódnice.

– Czy nie może mi pani wypłacić chociaż części pieniędzy, jakie za nią dałam? – Dziewczyna przesunęła dłońmi po jedwabnej tafcie, zatrzymując je dłużej na różyczkach z tiulu, naszytych wzdłuż rąbka spódnicy.

– Chciałabym, ale jest to niezgodne z regulaminem sklepu – odparła Violet.

Poczuła podmuch suchego, gorącego powietrza od starego kaloryfera, więc ściągnęła zapinany na perłowe guziczki sweter – znalazła go w szafie swojej babki Lou po śmierci staruszki.

Dziewczyna utkwiała wzrok w otoczonym płomieniami feniksie wytatuowanym na pokrytym piegami ramieniu Violet, ale szybko go odwróciła, kiedy Violet zauważyła, jak się na nią gapi.

– Miałam nadzieję, że zrobi pani dla mnie wyjątek – powiedziała. – Naprawdę bardzo mi potrzebne pieniądze. – Do oczu napłynęły jej łzy; przypominały warstewkę wody na błękitnym lodzie.

Violet przygryzła usta, ale przypomniała sobie, że pomalowała je czerwoną szminką. Było jej żal dziewczyny, musiała jednak trzymać się narzuconych sobie zasad. Ponieważ sprzedawała rzeczy używane, nie mogłaby ustalić, czy były noszone przez klientkę. Obawiała się, że gdyby godziła się na zwroty, jej sklep przemieniłby się w wypożyczalnię markowych ubrań. Podała dziewczynie chusteczkę jednorazową, którą wyjęła z wykonanego szydełkiem etui.

Dziewczyna wzięła chusteczkę i wytarła nią mokre policzki.

– Przepraszam. Zupełnie się rozkleiłam.

– Nic nie szkodzi. – Dziewczyna miała zawód miłosny wypisany na twarzy. A Violet doskonale pamiętała ból, który towarzyszył rozpadowi jej małżeństwa i skłonił ją pięć lat temu do przeprowadzki do Madison, choć najchętniej wyrzuciłaby ten okres swojego życia z pamięci.

– Zwykle nie płaczę przy obcych – dodała dziewczyna.

– Pomagałam pani wybierać suknię ślubną. Sądzę więc, że nie jestem tak całkiem obca. Mam na imię Violet. A pani?

– April Morgan. – Dziewczyna włożyła zmiętą chusteczkę do podniszczonej skórzanej torebki.

– Podoba mi się pani torba – rzuciła Violet. – Takie konduktorki były modne w latach siedemdziesiątych.

– Należała do mojej mamy.

Właścicielka sklepu wyczuła, że dziewczyna chętnie opowiedziałaby jej o torbie, a słuchanie cudzych historii było jej specjalnością. Każda rzecz w butiku miała swoją historię, od sukienki Missoniego po torebkę marki Fendi jeszcze z metką. Jeśli Violet nie знаła prawdziwych dziejów jakiejś rzeczy, lubiła je sobie wymyślać. Wiedziała na przykład, że sukienka od Missoniego należała do profesor włoskiego, która kupiła ją, kiedy studiowała we Włoszech w latach siedemdziesiątych. Pani profesor

opowiedziała jej, że przeżyła krótki, ale gorący romans z dalekim kuzynem Wiktora Emanuela, ostatniego następcy tronu Włoch. Violet uwierzyła jej, widząc, jak kobiecie płoną policzki, kiedy snuła swoją opowieść.

Violet nie знаła historii torebki Fendi. Jakaś młoda dziennikarka z lokalnej gazety sprzedała ją, by mieć pieniądze na czynsz, mówiąc jedynie, że dostała tę torebkę w prezencie. Violet lubiła sobie wyobrażać, że dziennikarka dostała torebkę od bezwstydnego, ale błyskotliwego nowojorskiego redaktora zajmującego się modą, który w ten sposób próbował ją nakłonić do zajęcia się relacjami z pokazów mody i pisania o najnowszych trendach. Może dziennikarka odmówiła mu, by pisać o tym, co uważała za istotniejsze, na przykład na tematy polityczne i dotyczące środowiska naturalnego, ale zatrzymała na jakiś czas torebkę jako przypomnienie, z jakiej kariery zrezygnowała.

– Napije się pani czegoś? – spytała Violet. – Herbaty? Whisky?

April była zaskoczona.

– Och... Mam zaledwie osiemnaście lat.

Violet roześmiała się, włączając do gniazdka elektryczny czajnik stojący na małym stoliku za ladą. Na tym stoliku z połowy wieku, kanciastym, z jasnego dębu, stała też srebrna wiktoriańska taca, a na niej mnóstwo kubeczków, każdy inny. Taki mieszmasz był charakterystyczny dla butików i jego właścicielki.

– Żartowałam z tą whisky – wyjaśniła Violet. – Nie trzymam w sklepie alkoholu.

– Ale ma pani tu dużo ładnych starych butelek. – April wskazała półkę pełną starego szkła wszelkich kształtów i kolorów – zielonego, kobaltowego, rubinowoczerwonego. – Do czego służy ten duży dzbanek?

– Nie mam pojęcia. – Violet podeszła do półki i zdjęła z niej kamionkowe naczynie z miniaturowym uchwytem na palec. Postawiła je na ladzie. – Nie ma żadnego oznakowania ani etykiety. Może służyło do produkcji bimbru.

April wzięła dzban i uważnie obejrzała wzorek w niebieskie kwiatki na przodzie.

– Skąd pani ma ten dzbanek?

– Z Bent Creek, gdzie dorastałam. Dał mi go właściciel miejscowej knajpy.

– To miejscowość w Wisconsin? Nigdy o niej nie słyszałam.

Violet kiwnęła głową.

– Nie ma powodu, żeby pani o niej słyszała, jeśli nie jest pani entuzjastką polowań i wędkarstwa. To mała miejscina niedaleko jeziora Superior, liczy niespełna tysiąc mieszkańców.

– Hm – mruknęła April, znów spoglądając na tatuaż Violet. – Nie domyśliłabym się.

– Tak, niezbyt tam pasowałam – przyznała Violet. – Kiedy byłam dzieckiem, mama krzyczała na mnie, gdy w zwykły wtorek wkładałam do szkoły kostium na Halloween albo rękawiczki od Pierwszej Komunii na zakupy do sklepu spożywczego.

Violet uśmiechnęła się. Babcia ze strony matki wstawiała się za nią w takich sytuacjach, o ile była w pobliżu. Babcia Lou puszczała wtedy oko do Violet i mówiła: „Niektórzy zostali stworzeni, żeby błyszczeć bardziej niż inni, moja droga”.

Violet machnęła ręką, by uniknąć kolejnych pytań o przeszłość. Otworzyła mahoniową kasetkę na herbatę i przesunęła palcem po szeregu torebek znajdujących się w wyściełanym atłasem pudełku.

– Na pewno nie ma pani ochoty na herbatę? I tak parzę dla siebie, więc zrobienie dwóch filiżanek nie sprawi mi żadnego kłopotu.

– No dobrze. – April odstawiła dzbanek i rozpięła kurtkę. – Dziękuję.

– I proszę pozwolić, że powieszę tę suknię. Inaczej się pogniecie. – Violet wzięła suknię ślubną z lady. Wygładziła ją i umieściła na wysokim wieszaku obok kasy.

– Wszystko mi jedno, czy się pogniecie, czy nie – westchnęła April.

– Ale mnie nie. Prasowałam ją ponad godzinę, nim zniosłam do sklepu. Nie ma nic bardziej upierdliwego od prasowania jedwabnej tafty.

*Kurde*, pomyślała Violet, besztając się za przeklinanie w obecności klientki. *Znowu ten mój niewyparzony język*. Rzuciła spojrzenie April, która wcale nie zwróciła na to uwagi albo było jej to obojętne.

– Na jaką herbatę ma pani ochotę? – spytała Violet, nalewając wrzątek do dwóch ręcznie malowanych porcelanowych filiżanek. – Mam zieloną, earl grey...

– Czy ma pani coś bez kofeiny? – spytała April, kładąc dłoń na brzuchu.

Violet dostrzegła lekko zaokrąglony brzuch dziewczyny i przebiegło jej przez myśl, że może jest w ciąży. Natychmiast ogarnęła ją zazdrość i żal. Violet zawsze kochała dzieci, ale ostatnio tęsknota za własnym maleństwem budziła się w niej ze zdumiewającą siłą. Niepokoiło ją to nie dlatego, że miała trzydzieści osiem lat i była singielką, ale dlatego, że lubiła sobie wyobrazić, że jest zadowolona ze swojego życia. Miała Milesa, swojego pitbulla, i grono klientek, z którymi się zaprzyjaźniła. Dzieci i zegary biologiczne były, jej zdaniem, czymś tuzinkowym. A Violet chlubiła się swoją niezależnością i nonkonformizmem – nieważne, że sprzedawała w swoim sklepie staroświeckie fartuchy kuchenne i sukienki z gorsetami.

– Lubię rumianek, jeśli pani ma – powiedziała April. – Kiedyś mama często mi go parzyła.

Violet wrzuciła torebki do filiżanek i podała jedną April.

– A więc dlaczego postanowiła pani kupić suknię vintage?

– Mieszkam przy tej ulicy, często tędy przechodzę – wyjaśniła April. – Lubię stare rzeczy. Nie wiem dlaczego. Chyba podoba mi się to, że każda ma swoją historię, że przeszłość jest istotna.

– Doskonale panią rozumiem – stwierdziła Violet. – Lubię też myśleć, że kiedyś życie było prostsze, chociaż na pewno oszukuję samą siebie.

– Wciąż pamiętam, co mi pani powiedziała o tej sukni: że kobieta, która wzięła



w niej ślub, była mężatką przez pięćdziesiąt pięć lat.

– Och! Cieszę się, że ktoś słucha moich opowieści! – wykrzyknęła Violet. – Zawsze mówię klientom różne ciekawostki dotyczące przedmiotów, które sprzedaję, ale przypuszczam, że większość ludzi tylko grzecznie kiwa głową i wcale mnie nie słucha. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie wszyscy mają takiego bzika na punkcie staroci jak ja.

– To, co powiedziała mi pani o tej sukni, skłoniło mnie do jej kupna. No i to, że jest taka śliczna i jedyna w swoim rodzaju.

– Prawda? – Violet rzuciła tęskne spojrzenie na suknię, która nawet na wieszaku zachowała fason. – Panna młoda własnoręcznie ją uszyła. Nie widuje się tego typu detali w rzeczach produkowanych taśmowo.

– Czy przyniosła ją kobieta, która ją uszyła? – spytała April.

Violet pokręciła głową.

– Nie, jej córka. Jej rodzice zmarli w odstępie tygodnia zaledwie.

– Jakie to smutne.

Violet upiła łyk herbaty.

– Tak, ale przez wiele lat byli szczęśliwym małżeństwem. Nie wszystkim jest to pisane.

– Miałam na myśli ich córkę. – April zawahała się. – Czy jest pani zajęta? Nie chcę przeszkadzać, jeśli ma pani coś do zrobienia.

– Interesy nie idą najlepiej. – Violet wskazała pusty sklep. – Chce pani porozmawiać o tym, co się stało? To znaczy o tym, dlaczego postanowiła pani zwrócić suknię?

Dziewczyna tak energicznie pokręciła głową, że kosmyki blond włosów uderzyły o jej policzki.

– Nie chcę zabierać pani więcej czasu.

– Zmieniam wystawę na lato. To nic pilnego. – Violet spojrzała na dwa manekiny na wystawie: jeden w letniej sukience, drugi w brzoskwiniowym moherowym swetrze.

April odstawiła filiżankę na ladę, strącając stertę papierów leżących obok kasy.

– Najmocniej przepraszam! – Schyliła się, żeby je podnieść.

– Proszę się tym nie przejmować. To moja wina, że trzymam tu papierzyska. Może pewnego dnia będę miała wszystko w komputerze, ale nie wiem, od czego zacząć. Tym bardziej że nie przepadam za cyferkami – tłumaczyła się Violet. – Wolę usuwać plamy z jedwabnej bluzki albo prasować staroświecką pościel.

– Cyferki są moim żywiołem. – April się ożywiła. – Dostałam stypendium na studia na wydziale matematycznym. Jesienią zaczynam naukę na uniwersytecie stanowym.

Rozległ się dzwonek nad drzwiami i do sklepu weszła ciemnowłosa kobieta

w różowym sari. Lśniąca tkanina szeleściła, kiedy kobieta szła w stronę lady.

– Przepraszam na chwilę – szepnęła Violet.

– Nie będę pani dłużej przeszkadzać. – April zapięła kurtkę. – Dziękuję za herbatę.

– Ależ nie musi pani iść. To zajmie najwyżej parę minut.

April skierowała się do wyjścia, ale po kilku krokach odwróciła się.

– Och, zapomniałam wziąć suknię... – Rzuciła Violet błagalne spojrzenie. – Czy mogłabym ją u pani zostawić? I tak mi się nie przyda, a wolę nie widzieć jej za każdym razem, kiedy otworzę szafę.

– Jasne, nie ma sprawy. – Violet pomyślała, że może ten jeden, jedyny raz robi wyjątek od reguły dotyczącej zwrotów towaru. Sięgnęła do kasy – masywnej, metalowej, z okrągłymi klawiszami, podobnymi do tych, jakie miały tradycyjne maszyny do pisania. Pociągnęła dźwignię, żeby otworzyć szufladę, ale coś się zacięło. Spróbowała drugi raz i trzeci, bezskutecznie. – Proszę zaczekać, aż uda mi się to otworzyć – powiedziała.

Jednak kiedy uniosła wzrok znad kasy, nie zobaczyła April, tylko kobietę w sari, która szukała czegoś w torebce. Violet dostrzegła siwe odrosty wzdłuż linii przedziałka.

– Dzień dobry – powitała ją Violet, maskując uśmiechem zdziwienie. – Słucham panią.

Kobieta wyjęła z torebki woreczek z czerwonej tkaniny. Odwróciła go dnem do góry i na ladę wysypały się różnokolorowe bransoletki.

– Chciałabym je sprzedać – oznajmiła.

Violet wzięła jedną bransoletkę – cienką, złotą, wysadzaną jakimiś niebieskimi kamieniami.

– Są śliczne. Czy to sztuczna biżuteria?

– Nie rozumiem. – Kobieta zmarszczyła czoło, na którego środku miała wymalowane czerwone bindi.

– Czy to prawdziwe złoto?

Kobieta pokręciła głową.

– Mam w domu kilka bransoletek z osiemnastokaratowego złota, ale te bransoletki są tanie. Tę niebieską dostałam w prezencie od męża, kiedy byliśmy młodzi i nie mieliśmy pieniędzy.

Violet odłożyła bransoletkę.

– Och, to może chciałaby pani ją zatrzymać? Odnoszę wrażenie, że wiele dla pani znaczy.

– Nie. Już nie.

Violet wywnioskowała z tonu głosu kobiety, że nie ma ochoty rozmawiać o swoim mężu, i uszanowała to. Wiedziała z własnego doświadczenia, że niektóre

historie są zbyt bolesne, by je opowiadać.

Violet wzięła bransoletkę w różowo-pomarańczowy wzór.

– Ta należała do mojej córki – wyjaśniła kobieta. – Porządkowałam jej pokój, bo niedawno wyszła za mąż i razem z mężem kupili mieszkanie na drugim końcu miasta. Dlatego jestem w sari i mam wymalowane bindi. – Dotknęła czoła. – Stroję się tak na wyjątkowe okazje. Dziś rano zorganizowaliśmy pudzę na cześć nowożeńców. Moja córka nie zgodziła się na hinduskie wesele, więc razem z jej ojcem musieliśmy się zadowolić pudzą i uroczystym posiłkiem po ich powrocie z podróży poślubnej.

– Jest pani pewna, że córka nie będzie chciała jej zatrzymać? – Violet położyła bransoletkę na ladzie.

Kobieta skinęła głową.

– To właśnie ona oznajmiła mi, że powinnam się pozbyć tego, co zostawiła w domu. Odparłam, że chętnie zatrzymam część jej rzeczy, ale oświadczyła, że pora... Jak to powiedziała? „Iść do przodu”. Mówi, że przechowuję za dużo starych rzeczy.

– To tak jak ja.

– Ma pani dzieci? – spytała kobieta.

Violet pokręciła głową i powiedziała z udawaną beztróską:

– Nie, ale mam psa, który jest jak dziecko. – Otworzyła oprawioną w skórę księgę inwentaryzacyjną, w której zapisywała wszystko, co przyjmowała do sklepu i sprzedawała, od kostiumu Chanel po szydełkową bluzeczkę bez pleców. Sprawdziwszy ceny kilku podobnych bransoletek, powiedziała: – Mogę pani dać dwadzieścia dolarów gotówką za wszystko albo kredyt w wysokości trzydziestu dolarów na zakupy w moim sklepie. Co pani woli?

– Gotówkę, jeśli można – odparła kobieta. – W domu mam jeszcze wiele innych rzeczy. Nie tylko bransoletki. Mogę je przynieść któregoś dnia, jeśli jest pani zainteresowana.

– Bardzo proszę. Sklep jest otwarty codziennie od dziesiątej do siódmej.

– A jak pani na imię, żebym wiedziała, kogo prosić?

– Violet. Ale nie musi się pani martwić, jak mnie znaleźć. Tylko ja tu pracuję i zawsze jestem na miejscu. Mieszkam nad sklepem.

– A ja mam na imię Amithi.

– Bardzo mi miło. – Violet się uśmiechnęła. – Potrzebny mi pani dokument. Takie są przepisy. Przypuszczam, że chodzi o to, by nie dopuścić do sprzedaży kradzionych rzeczy.

Amithi pokazała prawo jazdy, Violet otworzyła kasę i wręczyła Amithi pieniądze za bransoletki.

– Dziękuję. – Amithi schowała banknoty do portmonetki i wyjrzała zaniepokojona przez okno wystawowe. – Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za histeryczkę... Może to nic takiego, ale czy zna pani mężczyznę, który zaparkował samochód przed

pani sklepem? Był tam, kiedy tu weszłam, i widzę, że nadal parkuje na tym samym miejscu i nie spuszcza wzroku ze sklepu.

– Naprawdę? O którym samochodzie pani mówi?

Violet podeszła do dużego okna wystawowego i wyjrzała na ulicę. Samochody parkowały zderzak w zderzak wzdłuż krawężników, co nie było niczym niezwykłym w tym uniwersyteckim mieście.

– O tym srebrnym. Widzi go pani? – Amithi stanęła obok Violet.

Violet odgarnęła z oczu grzywkę i zobaczyła szarego nissana parkującego przed kliniką akupunktury. Na miejscu dla kierowcy siedział jakiś mężczyzna, ale nie mogła dostrzec jego twarzy.

– Widziała pani, jak wygląda? – spytała.

– Nie widziałam go z bliska, ale chyba ma brązowe włosy, nieco przeredzone – powiedziała Amithi. – Sprawia wrażenie potężnego. Zwalistego.

Jed, jej eks, pewnie już zaczął łyseć. I pamiętając, ile puszek piwa Busch wypijał, przynajmniej w czasach, kiedy byli małżeństwem, Violet wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby przybrał na wadze. Zaraz po rozwodzie Jed potrafił przejechać pięćset kilometrów, by się upić i pojawić na progu jej mieszkania, grożąc, że zaciągnie ją z powrotem do Bent Creek, ale ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej.

*Mężczyzna w nissanie to z całą pewnością nie Jed*, pomyślała Violet, *bo on uznawał wyłącznie amerykańskie furgonetki*. Zmusiła się więc do wzięcia uspokajającego oddechu, jak ją nauczono na zajęciach jogi, na które zapisała się kilka miesięcy temu, by uzyskać większą równowagę w życiu, co niestety jej się nie udało.

Drzwi szarego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, otworzyły się i wysiadł z niego mężczyzna o muskularnych ramionach w białej opiętej koszulce. Miał pokerową minę człowieka, który wykonuje za kogoś brudną robotę.

– Zna go pani? – spytała Amithi.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Mężczyzna wszedł i zamknął za sobą drzwi. Rozległ się dźwięk dzwonek.

– Och, przepraszam. – Wzruszył ramionami i spojrzał na podkładkę do pisania. – Violet Turner?

– Tak, słucham pana? – Violet uniosła dłoń do piersi.

Amithi podeszła do stojaka z butami znajdującego się w głębi sklepu.

Mężczyzna wręczył Violet grubą plik dokumentów.

– Poproszono mnie o doręczenie pani tego. – Wciąż stał na progu, może wyczuł, że nie jest tu mile widziany.

Violet zsunęła na nos okulary do czytania w rogowej oprawce i w milczeniu przeczytała nagłówek na pierwszej stronie: „Żądanie opróżnienia lokalu”.

– Czy to nakaz eksmisji? – spytała.

Nie patrząc jej w oczy, mężczyzna podsunął jej podkładkę do pisania.

– Proszę pokwitować odbiór pisma.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka – stwierdziła Violet. – Mam podpisaną umowę na odpłatne użytkowanie i prawo pierwokupu budynku. Nie rozumiem więc, dlaczego chcą mnie eksmitować. Część comiesięcznego czynszu jest zaliczana na poczet przyszłej przedpłaty.

– Ja tylko doręczam dokumenty, proszę pani. Nie wiem, czego dotyczą. Musi to pani omówić ze swoim prawnikiem.

– Nie mam prawnika – odpowiedziała cicho, spoglądając przez ramię na Amithi, i podpisała się na pokwitowaniu.

– Dziękuję pani. Życzę wszystkiego najlepszego. – Doręczyciel lekko skinął głową. – Ma pani bardzo przyjemny sklep. – Wsunął podkładkę pod pachę i wyszedł.

Amithi podeszła do Violet.

– Przepraszam, że zostałam. Ale ponieważ powiedziała pani, że nie zna pani tego mężczyzny, bałam się o panią i nie chciałam, żeby była tu pani sama.

Violet drżały ręce, w których ścisnęła dokumenty. Doceniała troskę Amithi, ale tylko jedno mogło być gorsze od otrzymania nakazu eksmisji: że świadkiem tego była klientka.

– Czy mogłabym pani jakoś pomóc? – spytała Amithi. – Domyślam się, że ten mężczyzna nie przekazał pani dobrej wiadomości.

– Nie – potwierdziła Violet. – Z całą pewnością nie jest to dobra wiadomość.

## ROZDZIAŁ

### ..... 2 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Komplet sześciu talerzy*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1988

STAN: *Nieżyły; jeden talerz lekko wyszczerbiony*

OPIS: *Talerze ze szklawionej ceramiki: dwa morelowe, dwa różowe, dwa turkusowe*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Sprzedaż ruchomości*

## APRIL

April siedziała za okrągłym kuchennym stołem, patrząc na grzanekę z masłem i dwa jajka na twardo. Nie miała ochoty na jedzenie, na nic nie miała apetytu, ale położyła powiedziała jej, że musi jeść więcej białka, a jajka były tanie i łatwe do przyrządzenia. Rozkroiła jedno i przyjrzała się uważnie obu połówkom. Kiwały się na różowym talerzu, który odziedziczyła po swojej mamie – w spadku dostała cały ten bałagan, nieprzemyślane przedsięwzięcie biznesowe i zagracony dom.

April złapała talerz i wyrzuciła jego zawartość do wiadra na śmieci, skąd doszedł ją potworny smród psujących się resztek jedzenia. Podbiegła do zlewozmywaka i zwymiotowała. A więc tak zakończyła się jej próba zrobienia czegoś dobrego dla swego dziecka.

Mdłości zelzały, ale April wcale nie czuła się lepiej. To niesprawiedliwe, pomyślała, że Charlie za kilka tygodni ukończy college, a jesienią wyjedzie do Bostonu studiować medycynę. Będzie parł do przodu, jakby nic się nie zmieniło, a ona zostanie tu, uwięziona w Madison w tej ruinie.

Dorastała w tym domu, wzniesionym na przesmyku między jeziorami Mendota i Monona, zaledwie kilka przecznic od Kapitolu z białą kopułą i pasażu handlowego wzdłuż State Street. Jej dom był jednym z kilku niskich budynków wśród wiktoriańskich kwadratowych domów z szerokimi gankami od frontu. Jednym z kilku domów w stylu preriowym, o czystych liniach i lekko skośnym dachu, zaprojektowanych przez ucznia Franka Lloyda Wrighta.

Niektóre z domów nadal były zamieszkane, ale w ostatnich kilkunastu latach rezygnowano z wynajmowania kwater studentom i apartamentów singlom, by otwierać w to miejsce ośrodki jogi, galerie sztuki i sprzedawać eleganckie mieszkania własnościowe.

Jako dziecko April siadywała w jesienne soboty na schodach wejściowych

i machała do studentów i studentek idących na mecz piłki nożnej. Wyobrażała sobie, że kiedyś stanie się jedną z nich i będzie paradowała w czerwonej bluzie, z beztroskim uśmiechem na ustach. Teraz nie była już tego taka pewna.

Była w dwudziestym tygodniu ciąży i nie miała odwrotu. Nawet gdyby znalazła klinikę, która zgodziłaby się tak późno dokonać aborcji, nie zdecydowałaby się na ten krok. To dziecko było jej jedyną nadzieją na coś w rodzaju rodziny.

April przekartkowała wypożyczoną z biblioteki książkę o ciąży. Nie przypominała uśmiechniętych, starannie uczesanych, zadbanych kobiet ze zdjęć zamieszczonych w poradniku. Żałowała, że nie ma przy niej mamy, by mogła ją zapytać o wszystkie te dziwne rzeczy, które działy się z jej ciałem, i o emocje. Czy są chwilowe? Przejrzała rozdział o komplikacjach w okresie ciąży, przesuwał palcem po dziwnie brzmiących określeniach tego, co mogło pójść nie tak. „Ciąża pozamaciczna”. „Wielowodzie”. „Nadciśnienie tętnicze w ciąży”. Przynajmniej rzuciły się jej w oczy liczby, zaczęła więc studiować prawdopodobieństwa i procenty. *Po dwunastym tygodniu prawdopodobieństwo poronienia wynosi trzy na sto.*

April żałowała, że nie ma koło siebie mamy, bo może chociaż raz cała uwaga nie byłaby skupiona na problemach jej rodzicielki. Ciąża, nawet niezaplanowana, wprowadziłaby nieco normalności w życie jej matki, pełne w ostatnich latach wahań nastroju. Dzięki lekom jakoś dawało się utrzymać w ryzach jej dwubiegunową psychozę afektywną, oczywiście jeśli zażywała leki. April nie raz znajdowała w koszu na śmieci nienapoczęte opakowania medykamentów na receptę.

April wypłukała usta wodą i wypluła ją do zlewozmywaka, a potem znów usiadła za stołem, żeby przejrzeć pocztę. Większość zaadresowana była do Clutter Consulting LLC, firmy, którą założyła jej matka, kiedy akurat była w samym środku fazy maniakalnej. Po wielu latach porzuciła pracę sekretarki, żeby rozpocząć działalność na własny rachunek, ale firma nigdy tak naprawdę nie wystartowała. Kiedy April spytała mamę, jak wyobraża sobie pomaganie innym w organizowaniu życia, kiedy ledwo sama daje sobie radę ze swoimi problemami, Kat Morgan odparła: „Och, skarbie, nie wszystko da się sprowadzić do pewników matematycznych. Czasami trzeba zaryzykować”.

April poczuła mdłości. Podbiegła do zlewu, myśląc, że za chwilę znów zwymiotuje. Mimo tego, co powiedziała jej matka, April dość dużo wiedziała o podejmowaniu ryzyka. Zaryzykowała pięć miesięcy temu, w grudniowy ranek, nazajutrz po swoich osiemnastych urodzinach.

Powinna mieć więcej oleju w głowie i wiedzieć, że to nie najlepszy pomysł zdecydować się na pierwszy w życiu seks kilka dni przed egzaminami, których wyniki decydują o przyjęciu na studia, ale oboje z Charliem mieli wrażenie, że zwlekają z tym już całą wieczność. Kiedy pękł kondom, Charlie objął ją i powiedział, żeby nie panikowała. Razem poszli do apteki po tabletkę wczesnoporonną. Młoda

pryszczata farmaceutka powiedziała im o efektach ubocznych, takich jak mdłości, torsje i bolesne skurcze mięśni. „U co czwartej kobiety występują przykre efekty uboczne”.

April nie mogła sobie pozwolić na ryzyko, że dostanie mdłości podczas egzaminu. Nie poszło jej dobrze w listopadzie, kilka tygodni po tym, jak jej mama uległa wypadkowi. Teraz musiała napisać egzamin lepiej, by mieć szansę na stypendium, o które wystąpiła. Dlatego wyrzuciła białą papierową torebkę z apteki, nawet jej nie otworzywszy. Na egzaminie wypadła świetnie, zwłaszcza z matematyki. Niestety dwa tygodnie później, kiedy zrobiła test, okazało się, że jest w ciąży.

I tak znalazła się tutaj, pochylona nad kuchennym zlewem, z żołądkiem podchodzącym jej do gardła.

Rozległ się dzwonek u drzwi. April wyprostowała się zaskoczona. Przeszła do przedpokoju i przez szybki w ołowianych ramkach w drzwiach zobaczyła na ganku siwowłosą kobietę w kostiumie i okularach przeciwsłonecznych.

*Kurde*, pomyślała April. Była to pani Elizabeth Barrett, członkini lokalnej organizacji kobiecej, która przyznała jej pełne stypendium. April na śmierć zapomniała o umówionym spotkaniu.

Otworzyła drzwi, próbując się za nimi ukryć. Nie powiedziała jeszcze nikomu z komisji przyznającej stypendia, że jest w ciąży.

– Dzień dobry, pani Barrett.

Starsza pani weszła do środka.

– Dzień dobry. – Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wsadziła je do ogromnej jaskrawożółtej torby, która przypuszczalnie kosztowała majątek.

– Podoba mi się pani torba – zauważyła April.

– Nie musisz mi się podlizywać, moja droga. Już masz stypendium. Chyba że próbujesz mnie skłonić do tego, żebym ci coś zapisała w testamencie, jak większość tych, którzy całują mnie w tyłek. Jeśli taki przyświeca ci cel, mam dla ciebie złą wiadomość. Nie zamierzam rozstać się z tym światem w najbliższej przyszłości.

– Rozumiem – bąknęła April, wyraźnie zaskoczona. – Ale wcale się nie podlizywałam. Naprawdę podoba mi się pani torba. I z d e c y d o w a n i e nie zależy mi na żadnym spadku. Mam dość kłopotów, próbując się uporać z majątkiem, który zostawiła mi mama.

Zdaniem April słowo „majątek” wprowadzało w błąd. Przed śmiercią mamy wyobrażała sobie, że „majątek” równa się „zamożność”. Zrozumiała, jak bardzo się myliła, kiedy zobaczyła pisma z banków, w których próbowano ściągnąć długi z nieistniejących aktywów z „majątku” jej mamy. Teraz zbierała pisma z banków i od czasu do czasu zanosila je do kancelarii prawniczej.

– Czy chciałaby pani się czegoś napić? – spytała April.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała pani Barrett. – Pozwól, że usiądę.



April zaprowadziła ją do salonu. Usiadły naprzeciwko siebie w zniszczonych fotelach uszakach.

– A więc... – pani Barrett pochyliła się ku niej – jedna z członkiń naszej komisji wstąpiła przedwczoraj do twojej szkoły, żeby zostawić kilka formularzy.

April wstrzymała oddech. Wszystko się wydało.

– W sekretariacie powiedziano jej, że ostatnio nie przychodzisz na zajęcia. Czy jesteś chora?

April odruchowo skrzyżowała ręce na brzuchu.

– Właściwie nie.

– April – przemówiła starsza pani po chwili milczenia. – Jak myślisz, dlaczego tu dziś przyszłam?

April usiadła prosto.

– Myślałam, że warunkiem otrzymania stypendium jest spotkanie z komisją. Przynajmniej tak mi pani powiedziała przez telefon.

– To nie do końca prawda. Ale w twoim przypadku tak. – Pani Barrett poprawiła złoty zegarek na kościstym przegubie ręki. – W przeszłości nie wymagałyśmy od stypendystek, by spotykały się z członkiniami komisji. Ale z uwagi na twoje wyjątkowe położenie w związku z tym, że niedawno zmarła twoja matka, uznałyśmy, że dobrze by było, żeby ktoś cię odwiedził.

April nie wiedziała, czy czuć wdzięczność, czy irytację. Miała już serdecznie dość tych, którzy się nad nią litowali. Bo ostatnio każdy się nad nią użalał. Nikt nie wiedział, że April troszczy się o siebie od lat, że zajmowała się wszystkim na długo przed śmiercią swojej mamy. Jej mama wielokrotnie była w takim stanie, że April musiała chodzić po zakupy, przedłużać ważność tablic rejestracyjnych, pilnować, by rachunki zostały zapłacone.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje – ciągnęła pani Barrett. – Nie zdradzę tego pozostałym członkiniom komisji, jeśli nie będziesz sobie tego życzyła.

– Dobrze, ale proszę nikomu nic nie mówić. Przynajmniej na razie. – April doszła do wniosku, że nie ma sensu kłamać. Wkrótce wszyscy i tak się tego domyślą, może już jej ciąża jest widoczna. Ostatnio zauważyła, że wiele osób gapi się na jej brzuch. Na przykład kobieta z tatuażem, Violet, w sklepie ze starociami z klasą.

– Nikomu nic nie powiem – obiecała pani Barrett. – Chyba że popełniłaś jakieś przestępstwo.

– Cóż, o ile mi wiadomo, nie uważa się tego za przestępstwo – westchnęła April.

– Jestem w ciąży.

April wcześniej powiedziała to tylko Charliemu, zrobiwszy test. Zaproponował jej małżeństwo.

Reakcja pani Barrett nie była tak entuzjastyczna. Zrobiła zszokowaną minę i April wiedziała już, że straci stypendium. O dziwo, wcale jej to nie zabolalo. A April

chciała, żeby ją zabolęło, chciała poczuć co innego niż tępy ból, jaki czuła, odkąd rzucił ją Charlie. Strata Charliego tak szybko po stracie mamy, chociaż innego rodzaju, bolała ją tak, jakby ktoś odrywał bandaż z nadal krwawiącej rany.

– Nie możesz rzucić liceum – oświadczyła pani Barrett. – Jeśli wstydzisz się lub martwisz tym, co sobie pomyślą twoi koledzy i koleżanki z klasy, porozmawiamy z twoimi nauczycielami i znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Nie wstydzę się – wyjaśniła April. – Przestałam chodzić na zajęcia nie dlatego, że jestem w ciąży. Zwyczajnie nudzę się na lekcjach.

Pani Barrett uniosła dłoń do skroni.

– Muszę przyznać, że jestem głęboko rozczarowana. Jak rozpoczniesz studia, jeśli nie ukończysz liceum?

– Wcale nie zamierzam zrezygnować z uczelni. Już podeszłam do egzaminów końcowych.

*No proszę, pomyślała April. Nie jestem całkiem beznadziejna.*

Pani Barrett otworzyła usta, a po chwili je zamknęła. Pokręciła głową.

– Zdałam – dodała April. – I już wysłałam wyniki na Uniwersytet Wisconsin. Komisja rekrutacyjna oświadczyła, że wyniki są na tyle zadowalające, że mogę liczyć na przyjęcie na pierwszy rok studiów. Właściwie już kilka miesięcy temu powinnam była przystąpić do egzaminów końcowych. Oszczędziłabym sobie tych wszystkich godzin siedzenia w szkole.

April przyjęła wobec pani Barrett pozycję wojowniczą, może nawet napastliwą. Ale jedną z głównych przyczyn jej niechodzenia do szkoły było to, że wszyscy, od wychowawcy po kucharkę, sądzili, że wiedzą, co jest dla niej najlepsze. Nie wahali się wygłaszać swoich opinii, jednak nigdy nie zapytali jej o zdanie.

– Rozumiem, że skoro mówisz mi to wszystko, zamierzasz urodzić to dziecko – powiedziała pani Barrett.

April skinęła głową. Pani Barrett prawdopodobnie spodziewała się usłyszeć od niej, jaka to była dla niej trudna decyzja, jak rozważała wszystkie ewentualności, łącznie z oddaniem dziecka do adopcji, ale byłaby to nieprawda. April wiedziała, jak to jest stracić matkę, i nie potrafiła narazić nikogo na coś podobnego.

– Nie mam dzieci – oznajmiła pani Barrett. – Ale dzięki działalności dobroczynnej miałam co robić przez te wszystkie lata. Nie jestem pewna, czy znalazłabym na to czas, gdybym założyła rodzinę.

April uzmysłowiła sobie, że musiała wyglądać na przerażoną, bo pani Barrett ciągnęła:

– Jednak nie uważam, że mając dzieci, nie można poświęcić się innym rzeczom, które chce się robić w życiu. I właśnie o tym powinnyśmy porozmawiać. Skoro nie chodziłaś do szkoły, czym wypełniałaś czas?

April wyjrzała przez okno. Krzew peonii, który jej mama zasadziła kilka lat temu

obok domu, pysznił się w pełnym rozkwicie. Peonie były ulubionymi kwiatami jej matki. April uważała je za dość chimeryczne. Kwiaty były zbyt okazałe, łodygi często chyliły się ku ziemi pod ich ciężarem.

Znów spojrzała na panią Barrett.

– Cóż, nadal chodzę na uniwersytecki kurs matematyki dla zaawansowanych, żeby dostać dodatkowe punkty, ale skończy się za parę tygodni – powiedziała.

April nie wspomniała, że głównym powodem, dla którego nadal uczęszcza na kurs, jest nadzieja, że przypadkiem spotka na kampusie Charliego. Wiedziała, że chodzi na jakieś zajęcia w tym samym gmachu, w którym jest jej kurs z matematyki. Poznali się, kiedy jesienią ewakuowano wszystkich z budynku z powodu pożaru. April stała na chodniku, dygocząc z zimna, i czekała, aż strażacy pozwolą wejść im do środka. Charlie dał jej swoją bluzę. Wciąż pamiętała jej zapach: pachniała sosnowym igliwem i mydłem toaletowym.

Potem zaczęli się razem uczyć. Czasami April zostawała na noc w mieszkaniu Charliego na kampusie. Mówiła matce, że nocuje u koleżanki. Czują się okropnie, okłamując ją, ale była gotowa zrobić niemal wszystko, by móc spędzić kilka godzin z Charliem, leżeć tuż przy nim, dzielić się tajemnicami pod puchową kołdrą odgradzającą ją od nudnego świata szkoły średniej, z którego chciała jak najszybciej się wyrwać.

Jej mama nie pochwałała tej znajomości. April przyprowadziła Charliego kilka razy do domu. Kat uważała, że jest w miarę fajny, ale bała się, że ponieważ jest starszy od April, szybko ją rzuci, łamiąc serce jej córce.

Rodzice Charliego też nie akceptowali ich związku, ale z innego powodu. Judy i Trip Cabotowie uważali, że nie wypada, by ich syn spotykał się z licealistką. Bali się, co ludzie powiedzą. Jeszcze zanim poznali April, nalegali, by Charlie z nią zerwał. Jednak po śmierci matki April państwo Cabotowie trochę zmiękli. Nie poszli razem z Charliem na pogrzeb Kat, bo nie znali ani jej, ani April, ale zaprosili dziewczynę na Święto Dziękczynienia kilka tygodni później.

April pamiętała, jak czuła się onieśmielona nie tylko strzelistym domem w stylu Tudorów, ale również wymuszonym uśmiechem Judy Cabot i jej przenikliwym wzrokiem, którym oceniała wszystko, na co spojrzała. Chociaż Judy była wobec niej uprzejma, a Trip niemal serdeczny, April czuła, że gdyby nie śmierć jej matki, nigdy by jej nie zaprosili.

Wracając z wyłożonej marmurami i kafelkami łazienki, April usłyszała, jak Judy mówi:

– Charlie, postaw na stole tylko trzy kieliszki do wina. April jest jeszcze za młoda, by pić alkohol.

– Mamo, nie rozumiem, dlaczego wiek April jest dla ciebie tak ważny – powiedział Charlie. – Tata jest siedem lat od ciebie starszy.

– To zupełnie co innego. Nie czekały go cztery lata studiów medycznych, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Zresztą miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy się poznaliśmy. April ma siedemnaście.

W przyszłym tygodniu będę miała osiemnaście, miała ochotę wtrącić April, ale nie chciała, by wiedzieli, że słyszała ich rozmowę.

Mijały kolejne tygodnie od wypadku jej matki, a Cabotowie w coraz mniej zawołowany sposób demonstrowali swoje zastrzeżenia wobec znajomości Charliego i April, a przynajmniej Judy korzystała z każdej nadarzającej się okazji, by okazać swoje niezadowolenie. Trip mało mówił nawet wtedy, kiedy Charlie w marcu poinformował swoich rodziców o ciąży April i ich zaręczynach. Judy zaczęła płakać przy stole, łzy ściekały po starannie umalowanej twarzy prosto na łososia z rusztu na jej talerzu.

Pani Barrett też wyglądała na rozczarowaną. Poprawiła się w fotelu i spytała April:

– A poza kilkoma godzinami tygodniowo, które poświęcasz na kurs i naukę, co robisz? Masz jakąś pracę?

April wbiła wzrok w drewnianą podłogę.

– Nie – bąknęła.

Utrzymywała się z drobnych sum w gotówce, które jej matka ukryła w domu podczas ataków paranoi. April znajdowała je za mikrofalówką, w słoiku po dżemie, pod oderwaną płytką w łazience. Oszczędzała pieniądze, spędzając większość czasu w domu, oglądając reality show i użalając się nad sobą. Prawdę mówiąc, była taka apatyczna i niespokojna, że zastanawiała się, czy przypadkiem nie są to pierwsze symptomy choroby psychicznej, na którą cierpiała jej mama. U matki zdiagnozowano dwubiegunową psychozę afektywną, kiedy jeszcze była studentką, a schorzenie to miało podłoże genetyczne – April wyczytała w jakimś artykule, że prawdopodobieństwo jej odziedziczenia wynosi siedemdziesiąt jeden procent. Im była bliżej dwudziestych urodzin, tym bardziej bała się, że lada dzień choroba się u niej ujawni.

– Cóż, musisz mieć pracę, staż albo coś – oświadczyła pani Barrett. – Jest dopiero maj. Nie możesz się snuć z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną, nim jesienią rozpoczniesz studia. À propos, kiedy urodzisz?

– W Święto Pracy[\*]. Czy mogłabym rozpocząć studia w semestrze wiosennym?

– Obawiam się, że nie. Jeśli nie rozpoczniesz studiów jesienią, komisja będzie musiała przyznać stypendium komuś innemu.

– Znajdę więc kogoś do opieki nad dzieckiem na czas, kiedy będę na zajęciach. – April uznała, że pani Barrett ma rację: powinna poszukać pracy lub stażu. Musi się wyrwać z tego domu, bo inaczej zwariuje.

– Czy zastanawiałaś się nad jakimś zajęciem na czas wakacji? – spytała pani

Barrett.

April zaczęła się bawić kosmykiem włosów.

– Kto zatrudni ciężarną nastolatkę?

– Podzwonię tu i tam. – Pani Barrett wstała i przewiesiła torbę przez ramię. –  
Znam w Madison mnóstwo ludzi.

---

\* W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy obchodzone jest w pierwszy poniedziałek września – przypis tłumaczki.

## ROZDZIAŁ

### ..... 3 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Sari*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1968

STAN: *Dobry, niewielka plama tuż nad rąbkiem*

OPIS: *Pomarańczowe sari z jedwabiu Dupion w złoty deseń turecki*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Amithi Singh*

## AMITHI

Zatrzymawszy się w strefie płatnego parkowania przed sklepem Vintage, Amithi jedną ręką przekręciła kluczyk w stacyjce, a drugą sięgnęła po telefon komórkowy.

– Mamo, tata przysłała mi esemesy – usłyszała w słuchawce głos Jayany. – Nie oddzwonię do niego, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje.

– To dotyczy wyłącznie twojego ojca i mnie – odpowiedziała Amithi.

Minął prawie miesiąc od konferencji w Chicago, gdzie towarzyszyła swojemu mężowi, Naveenowi, który miał tam wystąpienie. Pojechali tą samą srebrną hondą, w której teraz siedziała, ciesząc się z nadchodzącego wspólnego weekendu w dużym mieście. Ale wszystko potoczyło się inaczej, niż się spodziewali, i Amithi wróciła do Madison wcześniej, niż planowali, sama, w środku nocy.

Naveen przyjechał do Madison autobusem w niedzielę wieczorem, po konferencji, i chociaż zadzwonił do niej z dworca i przeprosił za wszystko, co się wydarzyło, Amithi nie wyjechała po niego. Od tamtej pory prawie się do siebie nie odzywali, chociaż mieszkali pod jednym dachem. Mijali się w holu jak nieznajomi na zatłoczonym chodniku. Tylko że w cichym piętrowym domu w stylu kolonialnym byli tylko oni dwoje.

Amithi nie chciała rozmawiać o tym, co się stało, z nikim, nawet z Jayaną.

– Czy zastanawialiście się już z Jackiem, kiedy pojedziecie do Indii z wizytą do twoich dziadków? – szybko zmieniła temat. – Są rozczarowani, że dotąd nie mieli okazji go poznać.

– Przyjechaliby na nasz ślub, gdyby naprawdę im na tym zależało – odparła Jayana.

Amithi nie zdziwiła się, gdy jej rodzice nie przyjęli propozycji, że zapłaci za ich bilety lotnicze, by mogli być obecni na ślubie Jayany. Próbowwała sobie wyobrazić parę osiemdziesięciokilkulatków na lotnisku O’Hare – jak przechodzą przez kontrolę celną i wsiadają do kolejki, która zabiera ich na drugi terminal, na domiar złego

zmęczonych różnicą czasu. Potem próbowała sobie wyobrazić ich miny na widok miejsca, które Jayana i Jack wybrali na swój ślub – odrapaną czerwoną stodołę na zarosniętej chwastami łące. Jayana uważała, że jest tam „naturalnie” i „sympatycznie”. Zdaniem Amithi lepszym określeniem byłoby „prostacko”. Czy jej mąż po to całe życie tak ciężko pracował, żeby być świadkiem, jak jego córka bierze ślub w stodole? W dodatku w sukience ślubnej przypominającej koszulę nocną?

– Nie rozumiesz, że gdyby babcia i dziadek nawet przylecieli na ceremonię, nadal mieliby nadzieję, że odwiedzisz ich i pozostałych krewnych? Przynajmniej tyle mogłabyś dla nich zrobić, skoro postanowiłaś nie brać ślubu w Indiach.

– Nie jestem pewna, czy chcę ciągać Jacka od świątyni do świątyni po całym Radżastanie – burknęła Jayana. – Zresztą babcia i dziadek nie pochwalają tego, że poślubiłam nie-Hindusa. Podobnie jak ty i tata.

To prawda, że Amithi i Naveen woleliby, by ich córka poślubiła Hindusa z okolic Dżajpuru, gdzie sami dorastali i gdzie nadal mieli krewnych. Przez wiele lat zabierali Jayaną na przyjęcia do swoich hinduskich przyjaciół i na pudzę, mając nadzieję, że pozna tam odpowiedniego chłopaka. Ale tylko tyle mogli zrobić. Już dawno przekonali się, że ich córka sama o sobie decyduje, co dla Amithi było źródłem zarówno dumy, jak i wiecznej frustracji.

Nie zauważyła, kiedy morze między nią i Jayaną zaczęło się burzyć. Z roku na rok coraz bardziej się od siebie różniły. Najpierw Jayana postanowiła wyjechać na uczelnię na Zachodnim Wybrzeżu, zamiast iść na miejscowy uniwersytet, gdzie wykładał Naveen. Kiedy oświadczyła, że wraca do domu, by iść na studia podyplomowe, i wprowadziła się do swojego dawnego pokoju, Amithi bardzo się cieszyła, że córka będzie mieszkać z nimi pod jednym dachem, dopóki nie dowiedziała się, że chce robić doktorat z historii sztuki.

Amithi próbowała wytłumaczyć Jayanie, dlaczego martwi ją ten wybór – wolała, żeby córka zdobyła dobry zawód i stała się niezależna finansowo. Sama Amithi nigdy nie zaznała wolności, jaką daje posiadanie własnych pieniędzy. Jako młoda kobieta, jeszcze w Indiach, rozpoczęła studia licencjackie, ale zrezygnowała z nich raz na zawsze, przeprowadziwszy się do Stanów. I choć Amithi nigdy nie narzekała – była wdzięczna za to, że jest zdrowa i że u boku Naveena prowadzi dostatnie życie – to wyraźnie czuła, że Jayanie nie podoba się to, że wybory życiowe jej matki są tak ograniczone. Jako dwudziestolatka Jayana wielokrotnie oświadczała rodzicom, że nie zamierza wyjść za mąż. Potem poznała Jacka i po kilku miesiącach nie tylko wzięła ślub, ale również wspólnie z mężem kupiła mieszkanie i wyprowadziła się na drugi koniec miasta.

– A co na to Jack? – spytała Amithi. – Nie chce pojechać do Indii?

– Och, chce, i to bardzo. Uważa, że to doskonała okazja, by przeprowadzić badania. Mówiłam mu, że nie znajdzie czasu na żadne badania, bo będzie zajęty

poznawaniem krewnych, których nawet ja nie znam. Stwierdził jednak, że przesadzam.

Amithi wydało się dziwne, że Jack – z wydziału nauk politycznych – pisze na temat rządów Warrena Hastingsa, pierwszego brytyjskiego gubernatora kolonialnych Indii. Kiedy Naveen i Amithi jeszcze ze sobą rozmawiali, mąż czasem żartował, że Jack próbuje skolonizować ich córkę.

Amithi wcale nie uważała tego za zabawne. Chroniła swoją jedynaczkę od dnia jej narodzin, czyli ponad trzydzieści lat. Poród był przedwczesny i trudny, lekarze orzekli, że nie będzie mieć więcej dzieci. Choć Jayana – silna i zdrowa – zdumiewająco szybko dogoniła swoich rówieśników, to Amithi wciąż nie mogła zapomnieć walczącego o życie malutkiego noworodka o sonej buzi.

– Proszę jedynie, żebyś uszanowała życzenie swoich dziadków – powiedziała. – Nie wiadomo, jak długo jeszcze będą na tym świecie.

– Wiem – przyznała jej rację Jayana. – Ale to nie znaczy, że mam im pozwolić, by kierowali moim życiem z drugiego końca świata.

Amithi z wściekłością uderzyła w kierownicę i niechcący nacisnęła przy tym klakson.

– Mamo, co ty robisz?

Amithi wzięła głęboki oddech.

– Nie tak cię wychowałam! Nie wolno ci w taki sposób mówić o dziadkach! Słyszysz?! Zadzwoń, kiedy będziesz umiała z szacunkiem wyrażać się o swoich krewnych.

Rozłączyła się i pomyślała z żalem, że rozmawiając przez telefon komórkowy, nawet nie ma szans rzucić w gniewie słuchawką. Kiedyś dość często kończyła tak rozmowy. Teraz mogła jedynie nacisnąć malutki świecący przycisk.

Popatrzyła na zegar w desce rozdzielczej i ze zdziwieniem stwierdziła, że siedzi w samochodzie przed butikiem już od kwadransa. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej srebrna honda jest podobna do samochodu doręczyciela urzędowych zawiadomień, który pojawił się tu przedwczoraj. Miała nadzieję, że parkując tu od piętnastu minut, nie zaniepokoila Violet.

Po ścieżce rowerowej biegnącej tuż obok hondy Amithi przemknęła jakaś dziewczyna z koszem pełnym warzyw i kwiatów, przypuszczalnie wracająca z sobotniego targu na Capitol Square. Na zderzaku priusa zaparkowanego przed autem Amithi widniała nalepka z napisem: JEŚLI SZUKASZ ZNAKU Z NIEBA, WŁAŚNIE GO WIDZISZ.

Amithi wzięła torbę na zakupy z fotela dla pasażera i weszła do butiku.

Violet obsługiwała jakąś klientkę, kobietę w trenczu przewiązanym paskiem, ale uśmiechnęła się na widok Amithi.

Kobieta w trenczu sięgnęła po czerwoną sukienkę.



– Czy handluje pani tylko używaną odzieżą? – spytała.

Amithi, słysząc to, skrzywiła się.

– Wolę mówić „nietuzinkową” – odparła Violet. – To śliczne rzeczy pierwszej jakości, którym dajemy nowe życie. Ratujemy je przed zapomnieniem, by nie trafiły do piwnicy albo, co gorsza, na wysypisko śmieci.

Kobieta upuściła sukienkę z takim wstrętem, jakby chodziły po niej wszy. Szybko przeszła obok Amithi, nie patrząc na nią.

– Cóż za źle wychowana osoba – obruszyła się Amithi, kiedy kobieta wyszła.

– Nawet nie spojrzała na metkę. – Violet z czułością podniosła sukienkę i pogłaskała ją delikatnie, zanim odwiesiła. – A przecież to kopertowa suknia Diane von Fürstenberg z lat siedemdziesiątych. Przypuszczalnie jedna z pierwszych, jakie zaprojektowała. Takich sukni nie rzuca się ot tak, na podłogę. Nawet teraz w każdym domu towarowym zobaczy się pół tuzina tanich podróbek właśnie tego typu sukienek.

– Niektórych interesuje tylko to, co nowe i popularne – powiedziała Amithi. – Według mnie, postępując tak, nie dostrzegają wokół siebie wielu pięknych rzeczy.

Violet się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że znów mnie pani odwiedziła. Miałam nadzieję, że będę mogła porozmawiać z panią o tym, co się wtedy wydarzyło.

– Nikomu o tym nie wspomniałam, jeśli to panią niepokoi.

– Dziękuję. – Violet przechyliła głowę na bok. – Co dokładnie pani usłyszała?

Amithi pomyślała, że wypadałoby powiedzieć, że nic. Ale Violet nie wyglądała na osobę, która zadowolony się taką odpowiedzią, więc odparła zgodnie z prawdą:

– Słyszałam, jak mówiła pani, że ma to jakiś związek z umową najmu. I o jakiejś eksmisji.

– O, Jezu. – Violet zasłoniła dłonią usta i zaczęła krążyć po sklepie tam i z powrotem. Jej czerwone szpilki stukwały nerwowo. – Przepraszam, chyba zachowałam się zupełnie nieprofesjonalnie. Ale ten sklep to całe moje życie.

Amithi skinęła głową ze zrozumieniem, choć nigdy nie prowadziła własnej firmy. Prawdę mówiąc, w ogóle nie pracowała dotąd zarobkowo. Ale wiedziała, jak to jest włożyć w coś całe serce, a potem się rozczarować.

Violet przystanęła na chwilę.

– Mam nadzieję, że nikomu pani o tym nie wspomni. Opinia, jaką się cieszę, jest dla mnie bardzo ważna. Kiedy zamieszkałam tu kilka lat temu, nikt nic o mnie nie wiedział. Musiałam ciężko pracować, by wyrobić sobie markę.

– Ależ naturalnie. Nic nie powiem. – Amithi obciągnęła fałdy tuniki. Uszyła ją z materiału w kwiaty, który przysłała jej siostra z Indii. I chociaż w zamyśle tunika miała być luźna, Amithi wydawała się teraz trochę za obcisła. Obiecała sobie w myślach, że od dziś przestanie pojadać, co jej się niestety dość często zdarzało, gdy próbowała zabić czas spędzany samotnie w domu.

– Dziękuję – powiedziała Violet.

– Nie ma za co. Czy mogłabym pani jakoś pomóc?

– Nie sądzę. Niestety to jedna z tych spraw, które muszę załatwić sama – odparła Violet. – Porozmawiajmy raczej o tym, co panią dziś do mnie sprowadza.

Amithi podniosła torbę na zakupy.

– Przyniosłam jeszcze kilka rzeczy, które być może panią zainteresują.

– Naprawdę robi pani remanent lub generalne porządki, skoro przychodzi pani do mnie drugi raz w tym samym tygodniu – zauważyła Violet.

– Tak, tak – przyznała Amithi.

Choć rzeczywiście opróżniała szafy ze zbędnych rzeczy, to głównym powodem jej wizyty w sklepie była potrzeba porozmawiania z kimś, zrobienia czegoś, co nadałoby jej dniowi jakiś sens. Wciąż pamiętała, jaka była wyczerpana co wieczór, kiedy Jayana była mała, jak marzyła, by dzień trwał jeszcze choćby kilka godzin. Teraz czas jej się dłużył i często tęskniła za wieczorem choćby dlatego, że wtedy miała konkretne obowiązki: przygotować kolację, zjeść, pozmywać, położyć się spać. Dziś Naveen wyszedł do pracy przed wschodem słońca. Amithi poczuła ulgę, że wraz z nim zniknęła napięta atmosfera. Ale nie miała pojęcia, czym wypełnić długie samotne godziny.

– Zobaczmy, co tam pani ma – zaproponowała Violet.

– Jeśli te rzeczy okażą się dla pani nieprzydatne, proszę mi po prostu powiedzieć. Nie obrażę się. – Amithi zaczęła ostrożnie opróżniać torbę.

Violet rozwinęła dwumetrowy kupon pomarańczowej tkaniny.

– To sari – wyjaśniła Amithi. – Mam ich wiele, a właściwie prawie ich nie noszę, więc przyniosłam kilka. To ma małą plamkę.

Violet uważnie przyjrzała się niewielkiej plamie u dołu tkaniny.

– Jest prawie niewidoczna. – Złożyła sari i wzięła kolejny przedmiot, krótką bluzeczkę bez rękawów.

– To choli. Wkłada się je pod sari.

– Cudowne – orzekła Violet. – Kupię od pani to pomarańczowe sari, ale z pozostałych rzeczy muszę na razie zrezygnować. Najpierw trzeba sprawdzić, jak się będą sprzedawać. Nigdy nie miałam w swoim sklepie czegoś takiego.

– A gdybym je przerobiła? – spytała Amithi. – Na krótszą sukienkę albo spódnicę?

– Potrafiłaby pani?

– Naturalnie – zapewniła ją Amithi. – Lubię szyć.

– Możemy spróbować. Ale nie mogę dać pani gwarancji, że kupię wszystko, co pani uszyje. Mam w swoim sklepie to, co akurat dobrze się sprzedaje.

Amithi zależało nie tyle na pieniądzach, ile na tym, by mieć jakieś zajęcie.

– Uszyję jedną czy dwie i pokażę pani. Nie obrażę się, jeśli ich pani nie kupi.

– Świetnie, jeśli tylko nie sprawi to pani zbyt wiele kłopotu.

– Proszę się nie martwić. Przyda mi się jakieś twórcze zajęcie. Och, zapomniałam. Przyniosłam jeszcze coś. – Amithi sięgnęła do torebki i wymacała małe atlasowe puzderko, które nosiła przy sobie od kilku dni. Wyjęła je i otworzyła. W środku były kolczyki – duże czerwone kamienie błysnęły w świetle lamp.

– Te są z prawdziwego złota – powiedziała Amithi. – To nie sztuczna biżuteria jak tamte bransoletki.

– Widzę. – Violet zrobiła wielkie oczy. – Czy to rubiny?

– Tak. Mam wycenę, jeśli zechciałaby pani rzucić okiem. – Zaczęła szukać w torebce.

Violet uniosła dłoń.

– Nie trzeba. Nie muszę wiedzieć, ile są warte, bo i tak nie stać mnie na zaproponowanie pani godziwej ceny. Chyba lepiej będzie, jeśli pójdzie pani z nimi do jubilera.

– Czy wie pani o kimś, kto skupuje używaną biżuterię?

– Naturalnie. – Violet zapisała na odwrocie swojej wizytówki nazwę sklepu jubilerskiego. – To w zachodniej części miasta. Ten jubiler handluje używaną biżuterią. Jeśli pani sobie życzy, mogę do niego zadzwonić i uprzedzić o pani wizycie. Ale najpierw muszę zapytać: czy jest pani pewna, że chce się pani ich pozbyć?

Amithi skinęła głową. Rozważała sprzedaż kolczyków, odkąd córka oświadczyła, że nie założy ich na ślub. Zaproponowała wtedy Jayanie, żeby mimo wszystko wzięła je w prezencie, ale odmówiła, twierdząc, że są zbyt jarmarczne. I że zamiast biżuterii, której i tak nigdy nie będzie nosić, wolałaby dostać pieniądze na zakup mebli do nowego mieszkania. Przypomniawszy sobie dzisiejszą rozmowę z córką, Amithi postanowiła sprzedać kolczyki jubilerowi i dać córce pieniądze, tak jak sobie tego życzyła.

## 20 CZERWCA 1968 ROKU

W zeszłym tygodniu o tej porze Amithi rozmawiała z ciotkami na ganku domu swych rodziców i popijała miętę, by ukoić łęk. Było bardzo duszno i parno. Teraz siedziała w klimatyzowanym samolocie obok mężczyzny, którego ledwo znała, jeśli nie liczyć kilku krótkich rozmów przed ślubem, dotyku dłoni, gdy okrążali święty ogień podczas hinduistycznej ceremonii zaślubin, i pospiesznej, pełnej skrępowania konsumpcji ich związku małżeńskiego ostatniej nocy.

Wbrew jej wcześniejszym obawom, wszystko trwało zaledwie kilka minut i choć było trochę bolesne, to bynajmniej nie przykre. Przed ślubem starsze przyjaciółki i krewne Amithi – jej „ciotki” – chichocząc, szeptały jej na ucho o najróżniejszych sekretnych sposobach uwodzenia, drapując wokół jej smukłej kibici szkarłatne, wyszywane paciorkami ślubne sari. Robiły wielką sprawę z seksu, więc Amithi

spodziewała się, że będzie to albo okropne, albo wyjątkowe. Nie czuła rozczarowania, gdy okazało się, że nie jest ani takie, ani takie. Po prostu zwinęła się w kłębek jak dziecko i usnęła, zmęczona, na obsypanym płatkami kwiatów łożu. Bładym świtem wstała, by po raz ostatni sprawdzić zawartość bagaży.

Teraz lecieli do jakiegoś Chicago, gdzie Naveen, jej mąż – to słowo wciąż dziwnie brzmiało w jej głowie – robił doktorat z inżynierii chemicznej. Chociaż był jedynym Hindusem w swojej grupie, zapewnił Amithi, że na przedmieściu na zachód od miasta będzie się czuła jak u siebie w domu. Powiedział jej, że niedaleko jest hinduski sklep spożywczy, gdzie można kupić gotowe samosy, które smakują niemal tak dobrze jak jego matki. Amithi przyjęła to z ulgą. Nie znosiła smażyć tych trójkątnych pierożków nadziewanych ziemniakami. Tłuszcz pryskał jej na ubranie, z którego później nie dawało się wywabić ciemnych plam.

Amithi spoglądała przez okrągłe okno na chmury i nie mogła się nadziwić, jak szybko wszystko się potoczyło. W marcu wraz ze swoją młodszą siostrą Priyą oglądała Beatlesów na ekranie małego telewizora w rodzinnym domu. Wszyscy – od nauczyciela muzyki po sprzedawcę pikantnych *chaat* na straganie na rogu ulicy – rozmawiali jedynie o przyjeździe brytyjskiego zespołu rockowego do aśramu w Riszikesz. Nieważne, że było to prawie pięćset kilometrów od Dżajpuru. Nie przeszkadzało to mieszkańcom miasta plotkować o sławnych muzykach. Amithi nie rozumiała, dlaczego przylecieli tak daleko i płacili siwowłosemu starcowi, by nauczył ich medytować – przecież każdy może to robić, jeśli ma odrobinę czasu i samoświadomości.

W jednej chwili Amithi oglądała Beatlesów i ich jasnowłose żony na ekranie czarno-białego telewizora, a już w następnej jej rodzice weszli do pokoju, wyłączyli telewizor i oznajmili, że rozmawiali z Singhami w klubie. Syn Singhów przyjechał do domu z Ameryki, gdzie studiuje, a po południu cała trójka przyjdzie do nich na herbatę.

Amithi już wcześniej słyszała o Singhach i ich jedynym synu Naveenie. Jej rodzice często mówili o nim i jego osiągnięciach nawet w najbardziej prozaicznych rozmowach.

– Kochanie, smakuje ci panir? – spytała matka któregoś dnia podczas kolacji. – Pani Singh zdradziła mi, w jaki sposób go przyrządza. Dodaje sok cytrynowy zamiast serwatki. Dzięki temu jest bardziej zwarty.

Jej ojciec uniósł do ust kawałek twarogu.

– O tak, moja droga. Bardzo dobry.

– Pani Singh mówi, że jej syn za nim przepada.

– Chłopak ma doskonały gust.

Nasłuchawszy się tego typu pochwał z ust rodziców, Amithi, kiedy w końcu miała okazję poznać Naveena w tamto marcowe popołudnie, spodziewała się ujrzeć kogoś

w rodzaju współczesnego boga, złotego księcia. Tymczasem do salonu wkroczył tyczkowaty młodzieniec o nieśmiałym spojrzeniu i błyszczącej od potu skórze. Amithi zrobiło się go żal, że wraz z rodzicami musiał wyjść w taki upał, podczas gdy ona siedziała w swoim pokoju, czesała czarne włosy i wybierała z matką odpowiednie na to spotkanie sari koloru nieba. Państwo Singh mieszkali niewiele kilometrów od nich, ale wystarczyło spędzić kilka minut w parnym powietrzu wczesnego lata, żeby ubranie stało się mokre od potu.

Amithi i Naveen niewiele się odzywali podczas pierwszego spotkania. Rozmawiali głównie ich rodzice, wypytujac o krewnych – gdzie mieszkają, czym się zajmują. Opowiadali o siostrzenicach, które urodziły śliczne, zdrowe dzieci, i siostrzeńcach – prymusach w szkole.

Siedemnastoletnia Amithi nigdy nie ubiegała się o pracę, ale pomyślała sobie, że to pierwsze spotkanie z rodzicami Naveena bardzo przypomina rozmowę kwalifikacyjną.

– A ty, Amithi? Co lubisz robić? – spytała ją pani Singh.

– Szyć i projektować stroje – odparła Amithi.

– Salwar kamiz, które mam na sobie, to jej dzieło – pochwaliła się jej matka, przesuując dłonią po luźnej tunice i spodniach. – Nigdy nie potrafiłam sobie poradzić z jedwabiem, jest taki śliski, tymczasem Amithi nie sprawia on najmniejszych trudności.

Pani Singh z uznaniem pokiwała głową.

– Umiejętność szycia jest bardzo przydatna. Kobieta, która potrafi naprawiać odzież, może oszczędzić wiele pieniędzy męża.

Amithi jeszcze nigdy nie naprawiała męskich ubrań i niezbyt ją to interesowało. Woląa szkicować wymyślne szablony do haftowania i suknie w stylu hollywoodzkim, ale zachowała to dla siebie. To tylko hobby i państwo Singh najprawdopodobniej uznaliby je za głupie zajęcie.

Amithi rzadko spoglądała na Naveena. Nie chciała, by uznano ją za zbyt bezczelną. Ale rzucała mu ukradkowe spojrzenia, kiedy sięgał po filiżankę albo mieszał herbatę. Uznała, że nie jest zabójczo przystojny, ale nie był też brzydki. Doszła do wniosku, że to dobrze. Zawsze uważała, że lepiej, jeśli mąż nie jest bardziej urodziwy od żony.

Ponownie spotkała Naveena dopiero podczas zaręczyn, kiedy wymienili się pierścionkami, a pobożny pandit odśpiewał coś w sanskrycie i wybrał datę ich ślubu w kalendarzu astrologicznym.

Teraz, w samolocie, Amithi – szczelnie owinięta szalem – myślała, że lot wcale nie jest taki zły (przez kilka tygodni poprzedzających wyjazd bardzo się nim denerwowała), ale chłodne, sterylne otoczenie sprawiało, że było jej trochę nieswojo...

Nagle poczuła ciepłą dłoń na ramieniu. Stewardesa zaproponowała jej filiżankę herbaty. Kiedy Amithi próbowała pociągnąć łyk, kilka kropli spadło na jej pomarańczowe sari.

Naveen wyjął chusteczkę z kieszeni i wręczył młodej żonie.

– Dziękuję... – Wzruszył ją ten drobny gest. Było jej miło, że mąż ją zauważa. – Twoja matka powiedziała, że to zły pomysł podróżować w sari, że powinnam wybrać coś bardziej praktycznego. Ale zawsze wkładam sari na ważne okazje, takie jak dziś.

– Nie przejmuj się moją matką – odparł Naveen. – Wyglądasz ślicznie.

Amithi się zapłoniła. Delikatnie wycierała łzę, mając nadzieję, że nie zostanie po niej trwały ślad. Kupiła to sari na straganie niedaleko domu rodziców. Podczas kolejnych wypraw na bazar nigdy nie udało jej się znów trafić do tego stoiska. Nigdy też nie widziała jedwabiu w tak żywym, słonecznym odcieniu. Przywodził jej na myśl nagietki rosnące na rabatach wzdłuż różowych ulic Dżajpuru, jedyne miejsce, jakie знаła, a które właśnie opuściła.

Spojrzała na Naveena, którego morzył sen. Przyjrzała się jego dłoniom leżącym nieruchomo na kolanach. Mimo trwających tydzień uroczystości na ich cześć niewiele mieli okazji, by porozmawiać. Stale towarzyszyły im muzyka, modlitwy, krewni. Dopiero teraz zauważyła, że Naveen ma szczupłe palce i bardzo zadbane paznokcie. To ważne dla kogoś, kto wybrał zawód wymagający precyzji.

Spojrzała na swoje dłonie, pokryte nieco wyblakłymi wzorami z henny. Dotknęła miejsca między kciukiem a palcem wskazującym, gdzie specjalistka od *mehendi* umieściła imię Naveena, ukryte między rysunkami płatków lotosu i wijących się pędów winorośli. Ciekawa była, ile czasu upłynie, nim henna zupełnie wyblaknie. Bała się tego. Bała się, że wraz z henną zniknie jej związek z Indiami, dzieciństwem, rodziną.

Nie mogła zdradzić Naveenowi, że już dławi ją tęsknota za domem rodzinnym. W dniach poprzedzających ślub – między ceremoniami religijnymi pudża i wystawnymi posiłkami – jej ciotki ostrzegały ją, by nigdy się nie skarżyła, że tęskni za swoimi bliskimi. Państwo Singh głównie dlatego zaakceptowali Amithi na żonę dla ich jedynaka, że miała opinię silnej, rozsądnej i odpornej psychicznie dziewczyny. Naveen, pracując nad doktoratem, musiał przesiadywać w laboratorium do późna, czasem nawet całą noc. Młoda żona umierająca z tęsknoty za rodzicami i ojczyzną nie byłaby dla niego odpowiednią partią.

Amithi kiwała głową, słuchając rad ciotek, ale nie zwracała na nie uwagi. Odurzona zapachem kwiatów jaśminu, tworzących girlandę na jej szyi, oślepiona blaskiem złotej biżuterii, widziała przyszłość jako piękną, niekończącą się przygodę. Ślub z Naveenem jej to gwarantował.

Nie wiedziała wtedy, lecąc samolotem, że minie bardzo dużo czasu, nim ponownie zobaczy swoich krewnych. Zastanawiała się po prostu, kiedy znów

spróbuje placków roti swej matki i będzie się śmiać do rozpuku z żartów siostry.

W pewnej chwili poczuła, że kilka kosmyków wplątało się w jej rubinowy kolczyk. To był prezent ślubny od matki, która wcześniej – przed wielu laty – dostała te kolczyki w prezencie ślubnym od swojej matki. Amithi dotknęła kolczyk, by wyplątać z niego włosy. Złoto, tak pięknie połyskujące wcześniej w blasku światła, teraz było zimne i ostre w dotyku.

## ROZDZIAŁ

### ..... 4 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Kostium*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata osiemdziesiąte*

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Czarny kostium z cienkiej wełenki. Żakiet z watowanymi ramionami, wcięty w pasie. Wąska spódnica z rozcięciem z tyłu*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Była prezes Izby Handlowej Madison*

## VIOLET

Kiedy pięć lat temu Violet przeprowadziła się do Madison, sądziła, że najgorsze jest już za nią. Była ponad pięćset kilometrów od Bent Creek. Rozwód miała już w kieszeni. Myślała, że do spełnienia marzeń o własnym nieźle prosperującym sklepie z używaną odzieżą dobrych firm wystarczy trochę pieniędzy na rozruch i odrobina wysiłku.

Wybrała Madison, gdzie – jak mówiono – odmienność była nie tylko tolerowana, ale wręcz celebrowana, podobnie jak w Austin czy Portland. Tyle że zimą było tu więcej śniegu. W Bent Creek Violet zawsze czuła się jak dziwaczka. Wszyscy nosili tam dżinsy i kurtki Carhartt, a Violet biegła jako goniec czy obsługiwała kawiarniane stoliki w szmizjerkach z lat czterdziestych albo w rybaczkach i zawiązywanych z tyłu skąpych bluzkach. W Madison, gdzie działały eksperymentalne grupy teatralne, gdzie jeżdżono na monocyklach i organizowano jakieś protesty polityczne, łatwo było wyrazić siebie, nie wyróżniając się zbytnio. Violet bardzo się to podobało.

Pamiętała, jak w wyłożonym boazerią gabinecie właściciela nieruchomości podpisywała umowę najmu, parafując kolejno każdą stronę. Podała ją potem Tedowi Mortensenowi, czyli synowi z firmy Mortensen i Syn. Czekaając, aż asystentka Teda zrobi dla niej kopię, myślała o odpowiednim odcieniu błękitu, na który pomaluje ściany sklepu, i o tkaninie w złoto-białą jodełkę na zasłonkę do przebieralni. Próbowała sobie wyobrazić, jak rozstawi nieliczne meble w mieszkaniu nad sklepem.

Nie przypuszczała, że kiedyś w tym samym wykładanym boazerią gabinecie będzie błagała Teda, by podpisał z nią nową umowę albo dał jej trochę więcej czasu na zgromadzenie pieniędzy na zaliczkę lub na zakup domu. Na cokolwiek, co uratowałoby ją przed eksmisją. Sklep znajdował się przy ruchliwej ulicy. Przyciągał uwagę przechodniów, którzy zapewniali jej źródło utrzymania.



Wynajmowany przez nią dom mieścił się zaledwie kilka przecznic od budynków stanowych i biurowców przy Capitol Square, dzięki czemu wiele dobrze zarabiających kobiet często wpadało do niej na zakupy podczas przerwy obiadowej albo po pracy. Nieopodal znajdował się również rozległy kampus Uniwersytetu Wisconsin. Stałymi klientkami Violet były więc modne panie profesor, a stałe źródło zaopatrzenia sklepu w lekko używaną modną markową odzież stanowiły studentki robiące zakupy w Nowym Jorku czy Los Angeles podczas przerw semestralnych spędzanych w domu lub na wakacjach.

To była jedyna ulica w mieście nastawiona na sprzedaż detaliczną, dzięki czemu Violet docierała z ofertą do bardzo różnych ludzi. Rzadko pojawiały się na rynku oferty wynajmu lokalu, a co dopiero domu w tej części miasta, a jeśli już, to czynsz był niebotyczny. Odkąd podpisała umowę, ceny tutejszych nieruchomości wzrosły w zawrotnym tempie. Nauczyciele akademicy i młodzi fachowcy zaczęli kupować drogie, obszerne stare domy w okolicy, co spowodowało wzrost stawek czynszu. Violet miała dużo szczęścia, że podpisała umowę przed tym boorem. Jeśli nie udało by się jej przekonać Teda, by nie zmieniał warunków umowy, nie miała szans znaleźć w pobliżu nowego lokalu za tak niską cenę.

– Proszę mi powiedzieć, o co chodzi – zwróciła się do Teda. – Regularnie płacę czynsz, więc dlaczego pojawił się u mnie doręczyciel urzędowych zawiadomień?

Światło jarzeniówek odbijało się od ostrzyżonych na rekruta włosów Teda, które wyglądały, jakby ułożono je na poliuretan. Krawat zsunął mu się ze sterczącego brzucha.

– Rzeczywiście płaci pani regularnie – powiedział. – Ale w umowie jest punkt, który w każdej chwili pozwala nam wypowiedzieć umowę, jeśli postanowimy wystawić nieruchomość na sprzedaż.

Violet zanotowała sobie w pamięci, że musi dokładnie przeczytać umowę, a jeszcze lepiej przejrzeć ją wspólnie z Karen, swoją przyjaciółką prawniczką.

– Nie wiedziałam, że zamierzacie sprzedać budynek.

Ted zwrócił głowę do okna, przez które widać było białą kopułę Kapitolu stanowego, zwieńczoną złotym posągami przypominającym grecką boginię.

– Z pewnością zdaje sobie pani sprawę z tego, że wartość nieruchomości w tej okolicy wzrosła – powiedział. – Co jest niezwykle, wszędzie indziej bowiem ceny spadły. Dlatego opłaca nam się sprzedać tę nieruchomość i zainwestować pieniądze w innej części miasta.

Violet wzdygnęła się, słysząc, że jej sklep i dom określa mianem „nieruchomości”.

– Sądziłam, że przysługuje mi prawo pierwokupu – powiedziała.

– Zgadza się – przyznał Ted. – Zatem jeśli dysponuje pani środkami, by nabyć budynek po obecnej cenie rynkowej, nic nie stoi na przeszkodzie, by to pani zrobiła.

Ale warunki umowy pozwalają nam wystawić nieruchomość na sprzedaż, o ile nie skorzysta pani z prawa pierwokupu albo z niego zrezygnuje.

– Ile wynosi cena rynkowa? To znaczy, za ile oferujecie nieruchomość? – spytała Violet. – Bo jestem zainteresowana jej zakupem.

– Za prawie milion.

Violet zamrugła z niedowierzaniem.

– Nie miałam pojęcia, że jest warta aż tyle.

– Budynek znajduje się na jedynej podwójnej działce w tym kwartale, więc jest atrakcyjny dla deweloperów.

– Nigdy nie dostanę kredytu hipotecznego na milion dolarów.

– Dokładnie dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy – sprecyzował Ted.

– Ach. Cóż, w takim razie... – Violet uśmiechnęła się na poły kpiąco, chociaż miała ochotę krzyknąć. – Dlaczego nie poinformował mnie pan o zamiarze wystawienia budynku na sprzedaż, tylko wysłał pan do mnie doręczyciela z nakazem eksmisji?

– Właściwie to nie jest nakaz eksmisji – wyjaśnił Ted. – To tylko powiadomienie, że chcemy skorzystać z przysługującego nam prawa sprzedaży nieruchomości zgodnie z zawartą umową. Przemieni się to w nakaz eksmisji, jeśli do końca sierpnia się pani nie wyprowadzi.

– Albo nie kupię nieruchomości – dodała Violet.

– Zgadza się. – Ted uśmiechnął się z wyższością, jakby wiedział równie dobrze jak Violet, że nie wpłaci ona zaliczki i nie uzyska kredytu hipotecznego na prawie milion dolarów.

– A czy nie mogę wynająć domu od nowego właściciela? – spytała Violet.

– To bardzo mało prawdopodobne. Oferujemy nieruchomość do przebudowy – tłumaczył Ted. – Możliwości sprzedaży domu ze sklepem detalicznym i lokatorką są mocno ograniczone, więc tak czy owak musi się pani wyprowadzić do końca lata. Chyba że to pani kupi dom. – Rozsiadł się w fotelu i skrzyżował ręce.

– Nie całkiem rozumiem, do czego pan zmierza.

– Mamy nadzieję, że do końca lata dobrowolnie wyprowadzi się pani i zrezygnuje z prawa pierwokupu. Jesteśmy nawet gotowi zapłacić za to pewną sumę.

Violet zaniepokoiła się, widząc jego uśmieszek, ale spytała:

– To znaczy ile konkretnie?

– Zwrócimy pani czynsz za ostatnie dwa miesiące, żeby miała pani kapitał na zainwestowanie w nowy sklep.

Musiała zagryźć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Czynsz za dwa miesiące to zawsze coś, ale z całą pewnością nie zrekompensuje wyższego czynszu, który będzie musiała zapłacić gdzie indziej.

– Nie chcę zwrotu pieniędzy za dwa miesiące – oświadczyła. – Nie zrezygnuję ze

sklepu i mieszkania w ciągu dwóch miesięcy. Chcę kupić ten dom i sądziłam, że umowa to przewiduje.

– Proszę się zastanowić nad naszą ofertą. Nie musi pani natychmiast podejmować decyzji. Zawsze może pani do nas przyjść, jeśli zmieni pani zdanie.

– Cóż, zatem proszę się mnie nie spodziewać – oznajmiła Violet.

Wstała z fotela, pożegnała się i opuściła gabinet Teda. Czarny kostium z lat osiemdziesiątych, który włożyła specjalnie na tę okazję, niewiele jej pomógł. Kiedy szła przez recepcję, obcasy jej czółenek stukwały w marmurową posadzkę. Odniosła wrażenie, że recepcjonistka ze współczuciem skinęła jej głową na do widzenia.

Kiedy dotarła do domu, Betsy Barrett, jej przyjaciółka, a zarazem klientka, czekała przed sklepem.

– Betsy, cieszę się, że cię widzę. – Uścisnęła ją. – Mam nadzieję, że nie czekasz zbyt długo. – Wsadziła klucz do zamka.

Betsy weszła za Violet do środka.

– Czekałam tylko parę minut – odparła. – Ale co to się stało, że zamknęłaś sklep w środku dnia?

Betsy zawsze była prostolinijna. Między innymi za to Violet ją kochała.

– Byłam na spotkaniu – powiedziała Violet.

Nie uznała za stosowne wyjaśnić, jakie to było spotkanie. Im mniej osób będzie wiedziało o jej kłopotach z właścicielem domu, tym lepiej. Poza tym Betsy prawdopodobnie chciałaby jej pomóc, a Violet czuła, że już i tak zbyt wiele jej zawdzięcza. Kiedy otwierała swój sklep, Betsy była członkinią zarządu organizacji kobiecej, która przyznała Violet dotację na rozruch. Gdyby nie ta dotacja, Violet starczyłoby pieniędzy zaledwie na czynsz i wyposażenie sklepu, nie zostałyby jej nic na życie przez tych kilka pierwszych miesięcy.

– Nie uważasz, że pora, byś wzięła sobie kogoś do pomocy? – spytała Betsy.

Usiadła na jednym z dwóch pomarańczowych foteli zaprojektowanych przez Eamesa, designerskich perełek, które Violet wypatrzyła na wyprzedaży rzeczy używanych i oddała do obicia nową tapicerką.

– Dobrze sobie radzę – stwierdziła Violet.

– Cóż, w ciągu tych pięciu minut, kiedy na ciebie czekałam, pojawiły się trzy klientki i poszły sobie, kiedy zobaczyły, że butik jest zamknięty. Możesz tu zgromadzić tyle pięknych rzeczy, ile chcesz, ale jeśli sklep nie będzie otwarty wtedy, kiedy ludzie chcą coś kupić, źle na tym wyjdiesz.

Violet przysiadła na drugim fotelu. Zdjęła czólenka i postawiła stopy na włóchatym dywanie. Gdyby tylko Betsy wiedziała, jak bardzo Violet potrzebuje pomocy.

– Widzę, że wyciągnęłaś z szafy swój jedwabny kostium, choć dziś jest dość chłodno – spróbowała zmienić temat.

Betsy spojrzała na spódnicę i żakiet z kremowego szantungu.

– Gwiżdżę na pogodę. Uznałam, że w moim wieku zostało mi już niewiele czasu na noszenie ulubionych letnich strojów.

Violet starała się o tym nie myśleć, ale w słowach Betsy było niestety wiele prawdy. Starsza pani nigdy nikomu nie zdradzała, ile dokładnie liczy sobie wiosen, mówiąc po prostu, że jest „po siedemdziesiątce”. Nie przeszkadzało jej to we wspieraniu nie tylko małych firm, takich jak sklep Violet, ale również wielu kreatywnych mieszkańców Madison. Mieszkająca w rozległej rezydencji na szczycie wzgórza nad jeziorem Mendota Betsy kierowała zespołem baletowym, orkiestrą młodych symfoników i innymi przedsięwzięciami artystycznymi, które również finansowała. Miała więcej energii niż niejedna osoba kilkadziesiąt lat od niej młodsza. Pod tym względem przypominała Violet jej babkę Lou, to znaczy babkę przed udarem mózgu.

– Masz coś do sprzedania? – spytała Violet. – Wiesz, że lubię, jak robisz porządki w jednej ze swoich szaf.

– Nie. Chodzi o przysługę.

Kiedy Betsy prosiła o przysługę, zwykle oznaczało to podarowanie czegoś na loterię lub aukcję na cele dobroczynne, więc Violet chętnie na to przystawała. Dzięki temu miała reklamę, a poza tym uważała, że zawdzięcza Betsy nieporównywalnie więcej, niż wynosi wartość paru sukienek sprzed lat czy starych plakatów. Gdyby nie Betsy i jej bogate przyjaciółki lubiące rzadkie antyki i markowe dodatki z zamierzchłych czasów, jej sklep pewnie nie przetrwałby dwóch pierwszych lat.

– Proś, o co chcesz – powiedziała Violet. – Zrobię dla ciebie wszystko.

– Chcę, żebyś rozważyła zatrudnienie kogoś.

*No, prawie wszystko*, pomyślała Violet.

– Och, nie wiem...

– Zanim mi odmówisz – przerwała jej Betsy – pozwól, że ci powiem, że chodzi o zatrudnienie tylko na kilka godzin w tygodniu i prawdopodobnie tylko do lata. Jedna z dziewcząt, której w tym roku przyznałyśmy stypendium, ma kłopoty osobiste. Jest inteligentna, biegła z matematyki, ale trzeba jej pomóc, by się zmobilizowała. Pomyślałam o tobie, bo wiem, że i tobie nie zawsze było łatwo w życiu.

Violet wątpiła, czy osiemnastolatka z problemami osobistymi skutecznie pomoże jej w sklepie – bez względu na to, czy zna się na matematyce, czy nie. Kiedyś zatrudniała już studentki, ale przestała, bo nie wszystko robiły tak, jak chciała. Na ich pracę miał też wpływ rytm zajęć na uczelni. Violet szybko przekonała się, że graniczy niemal z cudem znalezienie kogoś do pomocy w soboty, podczas transmisji meczów oraz w czasie sesji egzaminacyjnej. Koniec końców, zatrudniając kogoś, zawsze miała więcej, a nie mniej pracy.

– Betsy, pochlebia mi, że pomyślałaś o mnie – zaczęła. – Ale w tej chwili nie stać

mnie na zatrudnienie kogokolwiek. Oszczędzam każdy grosz na zaliczkę na zakup domu.

– Och, nie ma sprawy – oznajmiła Betsy. – Pierwsza mi przyszłaś na myśl, ale mogę zwrócić się do kogoś innego. Znajdę jakieś rozwiązanie. – Z wyraźnym wysiłkiem wstała z fotela. – I zapewne niebawem pojawię się z kilkoma rzeczami, które chcę sprzedać. Robię coś w rodzaju wiosennych porządków. Nie wyobrażasz sobie, ile rzeczy nagromadziłam, mieszkając w jednym domu przez czterdzieści lat.

Kiedy Betsy wyszła, Violet wyciągnęła z torebki pismo urzędowe. Minął prawie tydzień od jego doręczenia, do dziś miała nadzieję, że podczas spotkania z Tedem wszystko sobie wyjaśnią. Najwyraźniej nie będzie to takie proste. Potrzebowała prawnika, ale nie stać jej było na zapłacenie wysokiego honorarium.

Podniosła słuchawkę starego niebieskiego telefonu z tarczą i wybrała numer jedynej prawniczki, o której wiedziała, że zamiast pieniędzy za poradę weźmie ubrania – swojej przyjaciółki Karen Young.

– Cześć, Violet – rozległ się w słuchawce głos Karen. – Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam.

– Nic nie szkodzi. Masz ważny powód. Jak się czuje twoja śliczna córeczka? – Violet starała się, by w jej głosie nie dało się wyczuć zazdrości.

– Edith jest cudowna – powiedziała Karen. – Ale nie mam ochoty rozmawiać o dzieciach. Może wybrałybyśmy się gdzieś któregoś wieczoru, jak kiedyś?

– Czemu nie. – Violet zgodziła się, chociaż wątpiła, czy któraś z nich ma dość sił, by biegać po barach i na burleski jak wtedy, kiedy Karen była jeszcze panną.

– Byłaś ostatnio na jakiejś randce? – spytała Karen. – Jeśli tak, opowiedz mi wszystko ze szczegółami. Muszę to przeżyć chociaż pośrednio.

– Byłam na kawie z informatykiem poznanym za pośrednictwem portalu randkowego – zaczęła Violet.

– Zaczekaj! Podaj mi namiary na niego. Zapoznam się z jego profilem.

– Nie ma swojego profilu – wyjaśniła Violet. – To informatyk obsługujący witrynę internetową. Nie wiedziałam, gdzie się zwrócić, żeby się dowiedzieć, jak przesłać swoje zdjęcie, i zobaczyłam okienko: „Kliknij tutaj, by uzyskać wsparcie techniczne”. Więc kliknęłam. Kiedy już mi wyjaśnił, co zrobić, by przesłać zdjęcie, zaczęliśmy rozmawiać na inne tematy i zaprosił mnie na kawę. Był zabawny, więc się zgodziłam.

– To naprawdę w twoim stylu, Violet! – Karen się roześmiała. – Chociaż jestem pewna, że naruszyliście kilkanaście zasad korzystania z witryny. Nie wspominając już o warunkach jego umowy o pracę.

– Och, dlaczego musisz od razu oceniać to z punktu widzenia prawa? Tak czy owak okazało się, że w realu nie jest taki rozmowny jak w sieci. W dodatku starał się nie patrzeć mi w oczy, nie muszę więc dodawać, że nie umówiliśmy się ponownie.

– I to wszystko? – Karen była wyraźnie zawiedziona. – Nie masz nic innego do powiedzenia biednej, uwięzionej w domu mamusce?

– Niestety nie – odparła Violet.

Bo prawdę mówiąc, chociaż Violet czasem chodziła na randki, ostatnio większość wieczorów spędzała albo robiąc remanent w sklepie i przeglądając rachunki, albo leżąc z Milesem na kanapie i oglądając stare filmy Rodgersa i Hammersteina. Wiedziała, że żyjąc tak, nigdy nikogo nie pozna, ale zarazem nigdy nie będzie cierpiała, nigdy więcej nie będzie musiała podejmować trudnych decyzji, nigdy od nikogo nie odejdzie i nie zostanie porzucona. Ani nie będzie musiała rezygnować z niezależności, do jakiej się przyzwyczała. Poza tym Violet była prawie pewna, że żaden normalny facet nie dałby rady oglądać *Jarmarku miłości* i *Karuzeli* tak często jak ona. I, mój Boże, jakże kochała te dopasowane w talii sukienki i krzykliwy makijaż wszystkich gwiazdek musicali.

– Zresztą – dodała Violet – i tak całą moją uwagę zajmują problemy, jakie mam ostatnio ze sklepem. Właśnie dlatego dzwonię. Chciałam zapytać, czy mogę do ciebie wpaść, by porozmawiać o pewnych kwestiach prawnych. Okropnie się czuję, zawracając ci głowę, kiedy jesteś na urlopie macierzyńskim i w ogóle, ale naprawdę potrzebuję twojej rady. Nie mogę ci zapłacić, ale mogę przynieść coś ze sklepu, jeśli chcesz.

– Jasne, że chcę! – Karen się ożywiła. – Zupełnie nie mam co na siebie włożyć. Nie wchodzi w nic, co nosiłam przed urodzeniem Edith.

– To kiedy mogę wpaść?

– Kiedy tylko zechcesz. Ostatnio czuję się jak w klatce. Może w piątek wieczorem? Kupię wino.

– Może być w piątek. Chociaż kiedy się przekonasz, z czym do ciebie przyszedłam, pewnie uznasz, że lepsza będzie whisky.

W piątek wieczorem Violet pojechała do Karen. Mimo że minęła już ósma, nadal było widno. Zbliżało się przesilenie letnie, co roku czczone w Madison ogniskiem w pobliżu ogrodu botanicznego. Jak zawsze podstarzali hippisi i rodziny z wciąż używającymi pieluch berbeciami zbierali się, by walić w bębny i wymachiwać jedwabnymi wstążkami dla uczczenia najdłuższego dnia w roku.

Słońce pławiło się w różowej poświacie nad równymi szeregami kukurydzy i soi, rosnącymi wzdłuż dwupasmowej szosy tuż za granicami Madison. *Chociaż wszystko wygląda na uporządkowane*, pomyślała Violet, *życie jest absolutnie nieprzewidywalne*. Dorastała w małej miejscowości, młodo wyszła za mąż i miała nadzieję, że będzie mieć dużo dzieci. Tymczasem mieszkała sama przy ruchliwej śródmiejskiej ulicy. Natomiast Karen, która zarzekała się, że nigdy się nie ustakuje, przeniosła się na przedmieścia i urodziła córeczkę.

Kiedy Violet zadzwoniła do drzwi przestronnego domu Karen i Toma, nie

powitało jej szczekanie psa ani tupot psich łap. Obiecała sobie, że jeśli jeszcze kiedyś wyprowadzi się na wieś, przygarnie kolejnego psa, żeby Miles miał się z kim bawić. Starzał się, więc młodszy pies byłby dla niego dobrym towarzyszem.

Otworzyła jej Karen trzymająca na ręku niemowlę o ślicznie zaróżowionych policzkach. Małeństwo złapało w drobniutką rączkę garść rudych włosów matki.

– Aj! – pisnęła Karen, próbując uwolnić się od uścisku rączki córeczki. – Wejdz.

– Bardzo dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać. Cieszę się, że cię widzę. – Violet weszła do środka i uściśnięła przyjaciółkę, uważając, żeby nie zgnieść przy okazji dziecka. – O mój Boże, ale Edith urosła.

Na twarzy Karen pojawił się dumny uśmiech.

– Chcesz ją potrzymać? Nie musisz, jeśli nie masz ochoty. Wiem, jak się złościłam, kiedy ludzie z góry zakładali, że chcę potrzymać niemowlę, ponieważ jestem kobietą w pewnym wieku.

Violet wyciągnęła rękę.

– Chętnie ją potrzymam. – Wzięła od Karen ciepły tłumoczek. Białe pulchniutkie nóżki i rączki Edith przykleiły się do mokrej od potu skóry Violet, ale wcale nie było to nieprzyjemne. Wprost przeciwnie. Wciągnęła zapach delikatnych włosków dziewczynki i pocałowała ją w czubek główki. – Cześć, moja mała – powiedziała nieco zbyt tęsknie.

Violet wiedziała, że rozstanie z Jedem było dobrą decyzją, jednak ceną, jaką zapłaciła za swą niezależność i za rozpoczęcie wszystkiego od nowa, było zagrożenie, że nigdy nie będzie mieć takiej swojej Edith. Naprawdę cierpiała, widząc, jak z wiekiem jej szanse maleją. Wprawdzie Karen urodziła dziecko, mając prawie czterdziecę, ale wcześniej chodziła z Tomem ze dwa lata. Jeśli wykluczyć przelotny romans albo wizytę w banku spermy, Violet nie widziała szansy na zajście w ciążę przed czterdziestką, nawet gdyby jutro poznała mężczyznę ze swoich snów.

– Napijesz się czegoś? Kieliszek białego wina? Woda? Mrożony pokarm kobiety? – spytała Karen.

Violet się wzdrygnęła.

– Poprzestanę na winie. Gdzie Tom?

– Jak zwykle w delegacji. Ostatnio czuję się jak samotna matka. Chodź, usiądziemy sobie w kuchni.

Wciąż trzymając niemowlę na ręku, Violet poszła za przyjaciółką do wielgachnej kuchni, wyposażonej w sprzęt Restoration Hardware i szafki w wiejskim stylu. Nie mogła się nadziwić, że ludzie tak bardzo starają się, by wnętrza ich nowych domów wyglądały na stare. Usiadła za stołem. Karen wyjęła z lodówki napoczętą butelkę białego wina. Nalała trochę do kieliszka i postawiła przed Violet.

– Otworzyłam je dwa dni temu – wyjaśniła. – Przepraszam, jeśli trochę wywietrzało. Wino nie znika już tak szybko jak kiedyś.

– Może być! – Violet uśmiechnęła się, pociągnawszy łyk. Zauważyła konika morskiego wytrawionego u dołu kieliszka.

– Ej, mam w sklepie kilka szklaneczek Waterforda, takich jak ta. Przyniosła je moja przyjaciółka Betsy. Odkąd jesteście tacy eleganccy?

– Dostaliśmy je w prezencie ślubnym. Uznałam, że możemy z nich korzystać, skoro już je mamy.

– A ty się nie napijesz? – spytała Violet.

– Może później. Muszę niedługo nakarmić Edith. – Karen usiadła naprzeciwko Violet i podparła się łokciami. – A więc co to za sprawa?

Violet sięgnęła do torebki po dokumenty. Podała je Karen.

– Dostarczono mi to. Wzięłam też kopię umowy najmu.

Karen pochyliła się nad dokumentami i zaczęła je kartkować, a Violet w tym czasie bujała Edith w ramionach.

Karen skończyła czytać.

– Wygląda na to, że albo musisz się wyprowadzić, albo skorzystać z prawa pierwokupu – stwierdziła. – Stać cię na kupno domu?

– Chcą za niego prawie milion dolarów.

– Czyli odpowiedź brzmi „nie”, o ile nie ukryłaś gdzieś góry szmalu, o której nic mi nie wiadomo – westchnęła Karen. – Miałaś okazję porozmawiać z właścicielem?

– Tak, ale...

– Wyrzuć to z siebie – ponagliła ją Karen. – Nie należy mieć żadnych tajemnic przed swoim prawnikiem.

– No więc tak. I nawet złożyli mi pewną propozycję.

Karen się pochyliła.

– Jaką propozycję? Na jakich warunkach?

Violet powtórzyła przyjaciółce wszystko, co usłyszała od Teda. Była coraz bardziej zdziwiona, widząc, jak Karen kiwa głową.

– Czyli według ciebie powinnam się zgodzić? – spytała.

Karen wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale może rzeczywiście ta ich propozycja to najlepsze wyjście z sytuacji.

– Nie rozumiem, jakim cudem. Przecież rekompensata, jaką mi proponują, to jakieś kpiny.

– Możemy spróbować wynegocjować więcej.

Violet pokręciła głową.

– Nawet gdyby mi dali dwa razy tyle, i tak nie pokryje to kosztów przeprowadzki i wyższego czynszu, jaki z pewnością będę musiała płacić, o ile w ogóle znajdę coś w tej okolicy. Już przeglądałam ogłoszenia o wynajmie, znalazłam dwa miejsca, które by mi odpowiadały, ale właściciele żądają bajońskiego czynszu. Nie rozumiem, jak



ich propozycja może być dla mnie korzystna.

– Pociąga za sobą mniejsze ryzyko – wyjaśniła Karen. – Jeśli nie stać cię na zakup nieruchomości i nie wyprowadzisz się w żądanym przez nich terminie, możesz być pewna, że Mortensen i Syn pozwą cię do sądu. Jeśli wygrają, zażądają od ciebie pokrycia kosztów sądowych i honorarium adwokata. Sądząc po nazwisku prawnika na ostatniej stronie umowy, korzystają z usług bardzo drogiej kancelarii. Jeśli przegrasz, będziesz cię to kosztować tysiące dolarów. A z tego co tu widzę, warunki umowy są korzystne dla właścicieli nieruchomości.

– To niesprawiedliwe – powiedziała Violet. – Postępują wrednie.

– Zgadzam się. Postępują wrednie, ale absolutnie zgodnie z prawem.

Violet pokręciła głową.

– Chyba żartujesz.

– Violet, poprosiłaś mnie o poradę prawną, a nie o to, bym ci kibicowała.

Jakby chcąc rozładować napięcie, Edith wyciągnęła malutką rączkę i dotknęła nią ust Violet. A potem zaczęła się wiercić i grymasić, więc Karen wzięła maleństwo, by je nakarmić. Choć wieczór był gorący, Violet ogarnął nagle chłód... i poczucie przegranej.

– Nie przyjmę ich propozycji – oświadczyła. – Nie oddam im kluczy do mojego sklepu, bo nie znajdę w okolicy nic, co leży w zasięgu moich możliwości finansowych, i stracę klientki.

Karen zadarła bluzkę i przystawiła niemowlę do piersi. Edith zaczęła ssać z zapalem. Karen spojrzała na Violet.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Jasne, że nie – powiedziała Violet. – Przecież razem chodziłyśmy do klubów ze striptizem. Sądziłaś, że będę się czuła skrępowana, patrząc, jak karmisz dziecko piersią?

– Cóż, jeśli nie jesteś zainteresowana ich propozycją, w takim razie musimy grać na zwłokę – stwierdziła Karen.

– Poważnie? Czy to najlepsze wyjście?

– To jedyne wyjście, jeśli nie chcesz przyjąć ich oferty i nie zamierzasz się wyprowadzić. Musimy zyskać na czasie, byś mogła znaleźć jakiś sposób na zgromadzenie środków i uzyskanie lepszych warunków kredytu hipotecznego albo żeby było cię stać na wyższy czynsz gdzieś w okolicy.

– Jak się do tego zabrać?

– Do czego? Do gromadzenia środków? Nie mam zielonego pojęcia. Gdybym wiedziała, skąd brać pieniądze, możesz być pewna, że nie pracowałabym w kancelarii prawniczej dla bandy siwowłosych starców.

– Nie, pytam, jak grać na zwłokę.

– A – westchnęła Karen – o to ci chodzi. To akurat wiem. Każdy absolwent prawa

wie, jak w nieskończoność przedłużać spory prawne.

\*

Tamtej nocy Violet siedziała na kanapie z notesem w ręce, a Miles drzemał na jej kolanach. Słuchając jego chrapliwego oddechu, zastanawiała się, w jaki sposób szybko zarobić dużo pieniędzy. Mogłaby podnieść ceny, ale obawiała się, że w ten sposób straci swoje lojalne klientki. Mogłaby wystawić najbardziej wartościowe rzeczy na aukcji internetowej, ale nie podobał jej się pomysł wysyłania do nieznanym ludzi przedmiotów, które właściciele tak sobie cenili.

O wpół do jedenastej zadzwonił telefon. Miles zeskoczył z kanapy i warknął.

Violet poklepała pitbulla po łbie.

– W porządku, piesku – powiedziała, chociaż prawie nigdy nikt nie dzwonił do niej o tak późnej porze. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Violet, przepraszam, że cię niepokoję – usłyszała znajomy głos.

– Betsy? Wszystko w porządku? – Violet usiadła prosto jak struna. Powiedziała kiedyś Betsy, że może do niej dzwonić o każdej porze, jeśli będzie potrzebowała pomocy. Martwiła się o przyjaciółkę mieszkającą samotnie w wielkim domu. Betsy była zdrowa i pełna energii, ale... W jej wieku poślizgnięcie się na wyłożonej trawertynem podłodze albo na lakierowanych schodach mogło zakończyć się tragicznie.

– Tak, tak, wszystko w porządku – zapewniła ją Betsy. – Możesz odwołać karetkę pogotowia.

Violet się roześmiała, ale przypominało to raczej suchy kaszel. Słowa Betsy były zbyt bliskie prawdzie, by mogło być śmiesznie.

– Co się stało? – zapytała.

– Kiedy przedwczoraj się rozstałyśmy, zaczęłam myśleć o tym, co mi powiedziałaś: że nie stać cię na zatrudnienie naszej stypendystki.

Serce Violet zaczęło bić szybciej. Zaniepokoiła się: a nuż Betsy w jakiś sposób dowiedziała się, że Violet grozi utrata mieszkania i sklepu? A jeśli Betsy o tym wiedziała, to – niech Bóg ma ją w swej opiece – za chwilę dowie się o tym całe miasto, od gubernatora po gościa z ufarbowaną na pomarańczowo brodą, który grał na pikolo przy State Street.

– Aha – bąknęła Violet, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Mogłam zwrócić się do kogoś innego, by znaleźć dla niej pracę, ale jestem pewna, że najlepiej będzie jej właśnie u ciebie. Ostatnio straciła matkę i jakby jeszcze tego było mało, jest w ciąży.

Jezu, pomyślała Violet. Żal jej było dziewczyny, ale czuła, że to, co sobie wymyśliła Betsy, może oznaczać prawdziwą katastrofę. Violet miała teraz zbyt wiele własnych problemów, by kogoś wspierać.

– Doszłam do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem byłby bezpłatny staż – powiedziała Betsy.

– Miałyby pracować za darmo? No, nie wiem... – Violet zawahała się. – Czułabym się tak, jakbym wykorzystywała ciężarną nastolatkę.

– Nie za darmo. Dostałaby punkty wymagane do zaliczenia roku akademickiego, co bardzo by jej pomogło, bo pewnie opuści część zajęć jesienią, kiedy urodzi dziecko. Zadzwoiłam już do kilku znajomych na uniwersytecie. Jak wiesz, Walt był członkiem zarządu. Będzie to wymagało załatwienia kilku formalności, ale uważam, że to świetne rozwiązanie dla ciebie i April.

– Przepraszam, powiedziałaś „dla April”? – spytała Violet.

– Tak, April Morgan. Jest uczennicą ostatniej klasy liceum. Jednak przestała chodzić do szkoły. Za to zdała egzaminy końcowe zaocznie. Znasz ją?

Violet przypomniała sobie stojącą przed sklepem blondynkę z suknią ślubną powiewającą na wietrze.

– Być może. Ile ma lat?

– Osiemnaście.

Violet pamiętała siebie w tym wieku. Miała wtedy w życiu dwie miłości: modę i Jeda Cline’a. W jej rodzinnej miejscinie dostęp do tej pierwszej był zbyt ograniczony, za to do tego drugiego aż za duży. Jed upatrzył sobie Violet, kiedy chodziła do drugiej klasy liceum, a on rok wyżej. Wybrał ją spośród wieśniaczek i miłośniczek heavy metalu zajmujących skrajne stoły podczas obiadu, i w ten sposób awansowała na „dziewczynę Jeda”. A wiązało się z tym wiele przywilejów. Violet codziennie siedziała obok niego na samym środku stołówki, otoczona przez jego kumpli uprawiających sport kontaktowy, z ortodontycznie skorygowanym zgryzem, wymachujących kluczykami do samochodów. Straciła dziewictwo pośrodku pola kukurydzy na tylnym siedzeniu forda – furgonetki Jeda – pod bezkresnym czerwcowym niebem. Na balu maturalnym przyjęła jego oświadczyzny i wtedy też postanowiła kontynuować naukę na miejscowej uczelni, zamiast wyjechać na studia do innego stanu, jak wiele jej szkolnych koleżanek.

Ale wówczas to wszystko wydawało jej się nieistotne. Violet nie miała wrażenia, że cokolwiek poświęca. Jej celem było zdobycie Jeda i udało jej się to osiągnąć właściwie bez specjalnego wysiłku. A gdy coś, czego wszyscy pożądamy, przyszło jej tak łatwo, nie widziała powodu, by się nad tym zastanawiać: ani na przyjęciu weselnym w szkolnej sali gimnastycznej, gdzie tańczyła w błogiej nieświadomości, spowita w tiul, zamoczona beczkowym piwem (miała na sobie atlasową suknię swej babki Lou z lat czterdziestych); ani w wynajmowanym dwupoziomowym mieszkaniu za stacją benzynową, gdzie przeżyła z Jedem piętnaście lat. Prawdę mówiąc, nie zastanawiała się nad tym, dopóki ich małżeństwo prawie się nie rozpadło.

Babcia Lou nie chciała, żeby Violet tak młodo wychodziła za mąż. Powiedziała

to, gdy tylko Violet i Jed się zaręczyli, a powtórzyła w malutkiej zakrystii na kilka minut przed tym, jak Violet miała przejść środkiem kościelnej nawy.

– Kochanie, jesteś pewna, że tego chcesz? – spytała babcia Lou, kiedy matka Violet upinała długi welon na ciemnych włosach córki.

Violet spojrzała w lustro i nałożyła na usta kolejną warstwę błyszcząka.

– Aha.

– Bo jeśli nie, wystarczy, jak powiesz jedno słówko – ciągnęła babcia Lou. – Razem wsiądziemy do mojego buicka i będziemy jechały tak długo, aż powiesz „wystarczy”.

– Mamo, nie mąć jej w głowie – odezwała się matka Violet. – W kościele czeka już połowa mieszkańców Bent Creek, a ojciec Violet stoi na progu, by zaprowadzić córkę do ołtarza.

– Chcę tylko powiedzieć, że nadal może się wycofać. – Babcia Lou nachyliła się i szepnęła Violet prosto do ucha: – Zawsze można się wycofać. Zapamiętaj to sobie.

Babcia Lou nigdy jej nie obiecywała, że można się wycofać szybko i łatwo. Violet zajęło sporo czasu wywikłanie się ze skutków błędnych decyzji, które podjęła na progu swego dorosłego życia. Betsy wiedziała o tym. Wysłuchiwała historii Violet, kiedy dziewczyna starała się o dotację na rozkręcenie sklepu. Powiedziała Violet, że „lubi dawać ludziom drugą szansę”, i przekonała pozostałych członków komisji, by przyznali jej dotację.

Teraz Betsy zwróciła się do niej z prośbą, by dała drugą szansę komuś innemu.

Violet nie mogła jej odmówić.

# ROZDZIAŁ ..... 5 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Walizka*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata pięćdziesiąte*  
STAN: *Dobry, bez rys i zadrapań*  
OPIS: *Żółta walizka Samsonite z pikowaną podszewką koloru kości słoniowej*  
ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Lucille Rollins. Nie na sprzedaż*

## VIOLET

Dzwonek nad drzwiami zadzwonił i Violet zobaczyła przez szybę swoją stażystkę. Nie spodziewała się jej ujrzeć wcześniej niż za pół godziny, miała nadzieję, że w tym czasie skończy czytać plik prawniczych wyjaśnień, które wydrukowała dla niej Karen, żeby Violet lepiej zrozumiała warunki umowy najmu. Otworzyła szufladę pod ladą i włożyła do niej dokumenty.

April podeszła do kasy. Miała na sobie granatową sukienkę z marszczonymi rękawami i kołnierzem bebe (lata pięćdziesiąte, oceniła Violet). Do niej brązowe kowbojki i masywną turkusową bransoletkę. Sukienka April była luźna i miała podwyższony stan. Violet poczuła ukłucie zazdrości: brzuch April był bardziej zaokrąglony, niż kiedy widziały się ostatni raz, ledwie dwa tygodnie temu.

– Cześć – powitała ją April. – Jestem trochę wcześniej. Mam nadzieję, że to nie problem. Nie chciałam się spóźnić pierwszego dnia.

– W porządku – powiedziała Violet. – Jeśli będziesz przyjeżdżać samochodem, zostawiaj wóz na tyłach sklepu. Na Johnson Street można parkować maksymalnie dwie godziny i policja bardzo ochoczo wlepia mandaty.

– Nie będzie mi potrzebne miejsce do parkowania. Mieszkam kawałek stąd. Zresztą nie jeżdżę samochodem. – April ścisnęła pasek swojej brązowej konduktorki.

– Nie masz prawa jazdy?

– Mam, ale po prostu nie lubię prowadzić.

Violet dosłyszała w głosie April nieco zaczepny ton i postanowiła nie ciągnąć tego tematu. No i co z tego, że dziewczyna nie lubi prowadzić samochodu? Violet też miała swoje dziwactwa.

– Pamięta mnie pani? – spytała April.

– Naturalnie.

*Nie co dzień ktoś kupuje suknię ślubną i zwraca ją kilka tygodni później,* pomyślała Violet. Nie była pewna, jak powinna postąpić. Z jednej strony chciała

oddać April pieniądze, żałowała nawet, że nie zrobiła tego od razu. Z drugiej strony bała się, że jeśli napomknie o sukni, April pomyśli o tym, dlaczego musiała ją zwrócić, a Violet nie chciała denerwować dziewczyny.

Żeby przerwać ciszę, zagaiła:

– Gorąco dziś. Dobrze, że w końcu zrobiło się ciepło.

– Taaak. – April przyznała jej rację i odgarnęła włosy z karku. – Bardzo dziękuję, że wyraziła pani zgodę na taki układ. Wiem, że to nie był pani pomysł, chociaż pani Barrett próbowała mi wmówić co innego. Czy powiedziała pani, że jestem w ciąży?

Violet skinęła głową, myśląc: *To będzie krępujące*. Ale było za późno na zmianę zdania. Już podpisała papiery otrzymane z uniwersytetu, by sformalizować sprawę stażu.

April zdjęła konduktorkę z ramienia i położyła ją na ladzie obok kasy.

– Chodź, pokażę ci, gdzie możesz położyć torbę na zapleczu – powiedziała Violet.

Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt obcesowo. Wiele lat zajęło jej takie urządzenie sklepu, jakie odpowiadało jej estetyce, poczynając od pomarańczowo-niebieskiej kolorystyki, przez lustra w złoconych ramach i stołki z pleksiglasu w przebieralniach. Nie miała nic przeciwko lekkiemu nieładowi – na nim po części polegał urok jej sklepu – dopóki był to jej nieład i miała go pod kontrolą.

Violet zaprowadziła April do magazynku w głębi i pokazała jej wieszaki na płaszcz i torebkę.

– A więc dlaczego zdecydowałaś się na staż u mnie? – spytała. – Wiem, że był to pomysł Betsy, ale Betsy zna właścicieli wielu innych firm w mieście. Prawdopodobnie mogłabyś pracować w jednym z modnych butików przy Monroe albo w którymś domu mody przy State Street, nastawionych na studencką klientelę. Dlaczego wybrałaś sklep z używanymi rzeczami?

April wzruszyła ramionami.

– Stare rzeczy są ciekawsze. Każdy może wejść do sieciówki i kupić taki sam sweter, jaki mają wszystkie przyjaciółki. Ale to nudne.

– No właśnie. – Violet przyznała jej rację. Dla niej samej stare przedmioty wiązały się z życiem innych, świadczyły o ich wyborach i odsuwały uwagę od jej własnego życia i jej własnych wyborów.

April wskazała głową ścianę z półkami zastawionymi płóciennymi pojemnikami.

– Ojej, ma pani mnóstwo towaru.

– Tutaj trzymam rzeczy sezonowe albo takie, które nie pasują chwilowo do innych przedmiotów pokazywanych w sklepie. Wszystko jest pogrupowane według lat.

April wskazała pudło z napisem Lata dziewięćdziesiąte.

– Czy ubrania z tego okresu też są uważane za stare?

– Naturalnie. Zwłaszcza z początku dekady.

Wzięła pojemnik z półki i zdjęła z niego wieko. Rozchyliła warstwy bibułki, by pokazać czarną sukienkę we wściekle różowe trójkąty.

– Racja, chyba wygląda na starą – zauważyła April. – Byłam małą dziewczynką, więc nie pamiętam mody z tamtych lat, oprócz kilku strojów, które nosiła moja mama. Chyba niewiele straciłam.

– Nie byłabym tego taka pewna – odpowiedziała Violet z uśmiechem. – Takie rzeczy naprawdę dobrze się ostatnio sprzedają.

Violet przypomniała sobie, jak pojechała ponad pięćdziesiąt kilometrów z Bent Creek do najbliższego sklepu JCPenney, by kupić sobie podobną sukienkę w neonowe wzory na pierwszy zjazd absolwentów. Kiedy Jed zaproponował jej, by pociągnęła łyk z flaszki, którą przemycił do sali, gdzie tańczono, tak się denerwowała, że któryś z dyżurnych ją przyłapie, aż cała się oblała. Nie mogła wrócić do domu w sukience przesiąkniętej zapachem likieru brzoskwiniowego, więc w szatni dla dziewcząt uprała ją mydłem w płynie, a potem suszyła suszarką do rąk, stojąc w samej bieliźnie.

– Dlaczego zawija pani wszystko w bibułkę? – spytała April.

– To papier bezkwasowy. – Violet umieściła wieko z powrotem na pudle. – Niektóre tkaniny ulegają zniszczeniu lub się odbarwiają, jeśli stykają się z innymi przedmiotami.

– Moja mama chciała założyć firmę specjalizującą się w organizowaniu życia – powiedziała April. – Bardzo by się jej spodobało, w jaki sposób wszystko tu pani rozmieściła.

Betsy mówiła, że April straciła matkę. Violet ciekawa była, co dokładnie się stało, ale wolała nie pytać. Stwierdziła więc:

– Chyba można powiedzieć, że mam bzika na punkcie rzeczy, którymi handluję. Traktuję ten sklep jak własne dziecko. A moim drugim dzieckiem jest Miles, mój pies.

Violet odłożyła pudło z powrotem na półkę.

– Czy czasem bierze pani Milesa ze sobą? – spytała April. – Ubóstwiam psy. Kierownik sklepu żelaznego niedaleko mojego domu przyprawia swojego labradora. Pies jest tam zawsze, kiedy szukam jakichś kranów czy czegoś takiego.

– Chętnie brałabym ze sobą Milesa, ale to pitbull, a niektórzy się ich boją. – Violet umilkła na chwilę. – Powiedziałaś, że remontujesz dom?

– Naprawiam to i owo. To zielony piętrowy dom przecnicę stąd, ten obok sklepu ze zdrową żywnością.

– Och, tak, znam ten dom. Jest śliczny.

– Owszem, ale wymaga remontu. A ja się nie znam na remontach i nie mam pieniędzy, żeby zapłacić fachowcom. Mama zostawiła mi go w spadku.

– Bardzo mi przykro, że straciłaś mamę. – Violet nie wiedziała, co jeszcze

powiedzieć.

– Tak. Mnie też. – April się przygarbiła. – Dom jest wystawiony na sprzedaż, mam nadzieję, że szybko znajdę nabywcę. Agent obrotu nieruchomościami przyprowadził sporo osób, ale jak na razie nikt nie wyraził chęci zakupu. Właściwie im się nie dziwię. Kto chciałby kupić stuletni dom, jeśli może sobie kupić nowiutkie mieszkanie własnościowe przy tej samej ulicy?

– Skoro odziedziczyłaś dom, domyślałam się, że twój tata nie jest obecny w twoim życiu, co?

– Rozwiódł się z mamą, kiedy miałam dwa latka. Mieszka w Ohio z drugą żoną i dziećmi. Kiedy byłam młodsza, odwiedzał mnie parę razy do roku, ale już dawno się z nim nie widziałam. I szczerze mówiąc, nie narzekam. Zawsze czułam się nieswojo w jego obecności. – April odwróciła się w stronę półek. – Czyli pani wie, gdzie co umieścić, ale skąd ja mam to wiedzieć? Przecież patrząc na jakąś rzecz, nie potrafię określić, z którego jest roku.

Violet wiedziała, że jej idealny system jest zrozumiały tylko dla niej, specjalnie wszystko tak zorganizowała. Nigdy nie miała dość zaufania do zatrudnianych przez siebie studentek, by zlecać im coś więcej niż składanie ubrań i dzwonienie na wyprzedaje.

– Jeśli będziesz coś potrzebowała, powiedz mi, to ci pokażę, gdzie jest – odparła.

– A jeśli pani akurat nie będzie?

– Prawie zawsze tu jestem – powiedziała Violet.

– Co to jest? – April wskazała głową składany stół, zavalony papierzyskami.

Violet roześmiała się nerwowo. Naturalnie April musiała zauważyć jedyne miejsce w sklepie, nad którym nie miała kontroli.

– Och, to raporty, które do niczego nie są mi potrzebne, ale muszę je przechowywać w celach podatkowych. Odkładałam je tu, żeby później wpiąć do segregatorów, ale jakoś nigdy nie mam na to czasu.

– A czy myślała pani, żeby wszystko zeskanować? Wtedy można by to przechowywać w komputerze.

– Pewnie, że myślałam. Ale nie wiem, kiedy znajdę na to czas.

– Czy stażystki nie zajmują się właśnie takimi sprawami?

– Zapisanie wszystkiego w komputerze to dopiero początek – zwróciła jej uwagę Violet. – Potem będę się musiała nauczyć, jak to znaleźć.

– Mogę pani pokazać, jak to się robi. Ma pani również system inwentaryzacji?

– O, tak. Zaczekaj. – Violet podeszła do stołu i wyjęła oprawioną w skórę księgę. Z dumą przesunęła dłońmi po zniszczonej okładce, a potem wręczyła księgę April. – Tutaj zapisuję wszystko, co jest w sklepie, w jakim jest stanie, skąd to mam.

April zmrużyła oczy, patrząc na pełne zawijasów pismo Violet.

– Wszystkie te dane też możemy zapisać w komputerze. Bo ma pani komputer,



prawda?

– Na górze w swoim mieszkaniu – powiedziała Violet. – Żeby mejlować i tak dalej. Czasami szukam w internecie starych, interesujących przedmiotów do sklepu.

– Jeśli znieś pani tutaj komputer, mogę wszystko w nim zapisać, a pani pozbędzie się tych pokwitowań, ksiąg i temu podobnych.

Violet wzięła od niej księgę ze spisem towarów.

– Nie jestem przekonana, czy nam to naprawdę potrzebne. Może to wszystko nie wygląda jak należy, ale uwierz mi, doskonale wiem, gdzie co jest. – Zrobiła krok w stronę drzwi, chcąc zakończyć tę rozmowę o rejestrach i komputerach. – Chodźmy do sklepu. Pokażę ci, jak obsługiwać kasę.

W sklepie Violet z dumą spozjrzała na okrągłe wieszaki z sukienkami, na buty i torebki na półkach. O wiele bardziej lubiła to miejsce niż zaplecze. Widok ładnych przedmiotów zawsze działał na nią uspokajająco. Na przykład stos ozdobionych mereżką lnianych irlandzkich obrusów, które dziś rano złożyła i umieściła w najbardziej widocznym miejscu. Piękne przedmioty odwracały jej uwagę od paskudnych aspektów życia, takich jak rozwód i liczne rozczarowania.

– Ma pani tylko jedną kasę? – April nachyliła się nad pokaznym urządzeniem z rolką papieru i rynienką na drobne.

– Tak – potwierdziła Violet. – Jest trochę kapryśna, ale nauczysz się ją obsługiwać. Te guziki służą do otwierania kasy. – Nacisnęła kilka guzików i otworzyła szufladę na pieniądze. W przegródkach leżały cienkie pliki banknotów. Tak jak wszystko w jej sklepie kasa też była używana. – Czasami rolka papieru się zacina. Wtedy możesz posłużyć się tym oto nowoczesnym narzędziem, by wyciągnąć papier. – Violet uniosła do góry spinkę do włosów, która leżała obok kasy. – Polecam również pomstowanie. Pomaga.

– A jeśli ktoś zwraca to, co kupił?

– Nie przyjmujemy zwrotów.

– No tak. – April na chwilę posmutniała. – Suknia ślubna.

– Jeśli o to chodzi... – Ponieważ szuflada z pieniędzmi była otwarta, Violet odliczyła kilka banknotów i wręczyła je April. – To dla ciebie. Za suknię.

April gapiła się na pieniądze.

– A co z zasadą nieprzyjmowania zwrotów?

Violet się uśmiechnęła.

– Dla swojej stażystki zrobię wyjątek.

April spozjrzała Violet prosto w oczy, wyraźnie wzruszona jej gestem.

– Dziękuję – powiedziała. – Nikomu o tym nie powiem.

Dzwonki nad drzwiami zabrzęczały i do środka weszła bosonoga kobieta. W jednym ręku ścisnęła plastikową miotłę, a w drugim zapalonego papierosa. Długie siwe włosy zasłaniały jej twarz, ale Violet wystarczyło spojrzeć na bosa stopy

kobiety, by domyślić się, że to Erma, która włóczyła się w tej okolicy.

– Ermo, już ci mówiłam, że tu nie wolno palić – zwróciła się do niej. – Zabrania tego prawo stanowe.

Stara kobieta wycofała się, mrucząc jednak pod nosem coś o faszyzmie.

– Zna ją pani? – spytała April.

– Wszyscy ją tu znają. Trudno nie zauważyć kogoś, kto nawet zimą chodzi bez butów.

– Co pani o niej wie?

– Nic, podobnie jak wszyscy. Niektórzy mówią, że to wiedźma. – Violet wyjrzała przez okno. Erma stała na chodniku, kończąc palić papierosa. – Przychodzi tu, odkąd otworzyłam sklep. Czasami przynosi mi grzyby albo zioła, które uważa za jadalne. Mówi, że jest miejską poszukiwaczką. Nigdy nie kupuje nic do jedzenia, żywi się tym, co znajdzie.

– Czyli jest bezdomna.

Violet pokręciła głową.

– Twierdzi, że ma mieszkanie.

– Czy kiedyś próbowała pani tego, co przynosiła?

– Chyba żartujesz! Boję się. Czasami Erma zachowuje się dziwnie. Trudno powiedzieć, czy przez to, co je, czy po prostu taka już jest.

– Ludzie się nie złością, jak się tu kręci?

– Chyba raczej się jej boją.

Stara kobieta przytknęła twarz do szyby wystawowej i zajrzała do sklepu, jakby je usłyszała. Miała zęza, Violet nie wiedziała więc, na kogo albo na co patrzy. Erma zgasła niedopałek papierosa i znów weszła do sklepu.

– Czym mogę pani służyć? – spytała Violet.

Erma uniosła gruzłową dłoń.

– Mylisz się, złotko. Stara Erma przyszła służyć tobie. – Uniosła szczotkę włosiem do góry i obeszła sklep, coś sobie nucąc pod nosem. Kiedy znalazła się w pobliżu kasy, zaśpiewała głośniej, po czym umilkła i zaczęła się nerwowo kiwać.

– Co ona robi? – spytała szeptem April.

Violet wzruszyła ramionami.

Erma wyjęła butelkę z kieszeni swojej męskiej koszuli i pociągnęła z niej długi łyk.

– Oczyszczam energię. Jest zła. Bardzo zła. – Erma zakręciła butelkę. – Wiesz, że sklep, który się tu wcześniej mieścił, splajtował.

Violet skinęła głową. Wiedziała o tym, nim podpisała umowę, ale starała się o tym nie myśleć. Była w sklepie, który mieścił się tu dawniej. Sprzedawano w nim odzież z tkanin ekologicznych, takich jak konopie i bawełna organiczna. Według Violet pomysł był znakomity, dopóki nie weszła do środka i nie stwierdziła, że

przynajmniej w tym sklepie „ekologiczne” było równoznaczne z „bezsztatne, workowate i horrendalnie drogie”. Miała nadzieję, że jej butik, który na swój sposób też był przyjazny dla środowiska, lepiej sobie poradzi. Ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy Erma nie ma przypadkiem racji, że to miejsce ma złą energię.

Erma podeszła do Violet i przysunęła twarz tuż do jej twarzy.

– Sprawy przybrały niepomyślny obrót, prawda?

Violet nic nie powiedziała. Poczła od kobiety zapach alkoholu.

– Będę musiała jeszcze tu wrócić – zakomunikowała Erma. – Zbyt dużo złej energii. Jestem zmęczona. – Pokręciła głową i wyszła, ciągnąc za sobą miotłę.

– Co to wszystko znaczy? – spytała April.

Violet się zawahała. Z jednej strony chciała się zwierzyć April, że grozi jej eksmisja, że musi się stąd wynieść, czy jak to się mówi w prawniczym żargonie. Ale to zbyt poważna sprawa, by obarczać nią biedną dziewczynę już pierwszego dnia pracy. Poza tym duma nie pozwalała Violet przyznać się, że jest coś, z czym nie potrafi się sama uporać. Wzruszyła więc tylko ramionami i stwierdziła:

– Z Ermą nigdy nic nie wiadomo.

April przyjęła to do wiadomości i wskazała coś na ścianie.

– Czy są prawdziwe?

Violet obejrzała się na parę jelenich rogów, które pomalowała na biało i wykorzystywała jako wieszak na biżuterię.

– Tak – powiedziała. – Mój były mąż lubił polować. To rogi kozła, którego kiedyś zastrzelił. Zabrałam je, kiedy się rozwodziliśmy, żeby go wkurzyć. Nie miałam co liczyć na jakieś pieniądze, bo ich nie mieliśmy. Wszystko, co zarobił, pracując w fabryce opakowań, wydawał w knajpie Verna.

– Czy to ta sama knajpa, z której pochodzi ten dzbanek na bimber? Ten, który pokazała mi pani poprzednio? – spytała April.

– Tak. Właściciel chyba czuł, że jest mi coś winien, skoro mój były wszystkie nasze pieniądze przepuszczał w jego barze. Powiedział, że wie o moim zamiłowaniu do starych przedmiotów. – Violet spojrzała na naszyjniki wiszące na jelenich rogach i stwierdziła, że niektóre się splątały. Zdjęła je. – Czy mogłabyś je rozdzielić? – spytała.

April wzięła naszyjniki.

– Jasne. Czy mogę to zrobić na siedząco? Bolą mnie nogi.

– Naturalnie. Zupełnie nie pomyślałam, że... że wołałabyś... – Violet poczuła, jak palą ją policzki. – Nigdy nie byłam w ciąży, więc nie przyszło mi do głowy, że możesz odczuwać zmęczenie.

– Normalnie daję radę stać cały dzień, ale dziś jest gorąco i spuchły mi stopy. – April usiadła w jednym z pomarańczowych foteli przed przebieralnią.

Violet klapnęła na drugim.

– Chyba powinnam cię zapytać, czego oczekujesz po stażu u mnie, żeby nie było między nami nieudomówień.

April zmarszczyła brwi, rozplątując naszyjniki.

– Pani Barrett powiedziała, że powinnam się zapoznać z rachunkami... księgowością i podobnymi kwestiami. Żeby była podstawa do zaliczenia mi stażu. Pod koniec lata mam napisać sprawozdanie i przedstawić je jakiemuś profesorowi, który będzie moim opiekunem. Dlatego miałam nadzieję, że będę mogła pani pomóc przy uporządkowaniu dokumentacji i przy okazji dowiem się czegoś o prowadzeniu ksiąg rachunkowych.

Kiedy Violet zgodziła się zatrudnić stażystkę, wyobrażała sobie kogoś, kto będzie wiesział ubrania i z uśmiechem na ustach ścierał kurz z półek. Nie spodziewała się, że jakaś smarkuła zechce ją pouczać, jak prowadzić sklep.

– Słuchaj – powiedziała Violet – chcesz zdobyć doświadczenie. Rozumiem to. Ale czy możemy nieco zwolnić tempo? Minęło trochę czasu, odkąd kogoś zatrudniałam, a... przywiązuję dużą wagę do tego, w jaki sposób wszystko robię. Muszę oswoić się z tą sytuacją.

– Nie ma sprawy. – April zrobiła wielkie oczy. – Przepraszam, ale... chyba jestem dość bezczelna. Moja mama chorowała, więc czasami musiałam ją zastępować.

– Nie wiedziałam, że twoja mama chorowała. To znaczy, wiem, że umarła, ale... – Violet urwała, nie mając pewności, czy ona i April znają się wystarczająco dobrze, by prowadzić taką rozmowę. – Przykro mi.

April machnęła ręką.

– Nie ma o czym mówić. Nie była to żadna dolegliwość fizyczna, jak rak czy coś w tym rodzaju. Miała problemy ze zdrowiem psychicznym. Ale zginęła w wypadku samochodowym.

Violet musiała wyglądać na wstrząśniętą, bo April dodała pośpiesznie:

– Wiem, co pani pomyślała, ale nie, nie popełniła samobójstwa. To się stało podczas burzy śnieżnej na początku listopada. Jej samochód spadł z estakady. Umarła, nim przybyło pogotowie.

*To wyjaśnia lęk przed prowadzeniem samochodu, pomyślała Violet.*

– Jezu.

– Taaak. – April utkwiała wzrok w swoich kowbojkach. – Tak czy owak, od kilku miesięcy muszę sobie radzić sama, wcześniej zresztą też, gdy mama była w kiepskim stanie psychicznym. Przyzwyczaiłam się robić wszystko po swojemu, bo wiedziałam, że nie mogę na nikogo liczyć.

Violet rozsiadła się w fotelu i powiedziała:

– Cóż, czyli pod tym względem jesteście do siebie podobne.

Kiedy April rozplątywała naszyjniki, Violet postanowiła pomóc dziewczynie uporządkować swoje życie, chociaż jeszcze nie udało jej się uporać z własnymi

problemami.

### PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Violet poszła do skrzynki pocztowej, brnąc w śniegu. Wróciła, tupnęła kilka razy w wycieraczkę. Rozerwała list z dziekanatu uczelni przygotowującej do wyższych studiów i przeczytała, że czek za zajęcia „Podstawy sprzedaży detalicznej odzieży” nie został zrealizowany.

Kiedy weszła do domu i otrzepywała śnieg z kozaków, Miles doskoczył do niej i oparł się łapami o jej uda. Kilka miesięcy temu wspólnie z Jedem wzięli ze schroniska dla zwierząt szczeniaka i mały pitbull wciąż uczył się dobrego zachowania.

– Leżeć, Miles – powiedziała Violet. Postawiła psiaka na podłodze i podeszła do Jeda, który siedział na kanapie i oglądał mecz. Puste puszki po piwie utworzyły na stoliku miniaturowe złomowisko. Stała między telewizorem i Jedem, ściskając list. – Tu jest napisane, że czek na czesne okazał się bez pokrycia, więc dziekan oddał moje miejsce osobie z listy oczekujących.

– Och. – Jed wyciągnął szyję, starając się nadal śledzić przebieg meczu.

Violet przesunęła się o krok, żeby zasłonić mu ekran. Na wytartym dywanie wokół jej butów utworzyły się brudne kałuże.

– Wiem, że na koncie było dość pieniędzy, kiedy w poniedziałek wypisywałam czek. – Violet podparła się pod boki. – A od tamtej pory nie kupowałam nic poza benzyną do samochodu. Benzyna z całą pewnością nie kosztowała ośmiuset dolarów, bo tyle było na naszym rachunku, kiedy wysłałam ten czek.

Jed przesunął się w drugą stronę, więc Violet znów zrobiła krok, żeby zasłonić mu ekran telewizora.

– Zajęcia kosztują pięćset dolarów, więc czek powinien zostać zrealizowany – ciągnęła. – Co się stało z pieniędzmi?

– Nie wiem – wymamrotał Jed.

– Naprawdę? To chyba będę musiała zadzwonić do banku, żeby to wyjaśnić.

– Zaczekaj chwilkę, niech pomyślę. – Jed zmarszczył czoło, jakby miał rozwiązać jakieś skomplikowane równanie matematyczne, a nie odpowiedzieć na proste pytanie. – W poniedziałek były urodziny Smithy’ego, więc po pracy poszliśmy do baru.

– I wydałeś osiemset dolarów? Jak to możliwe? Piwo kosztuje tam dwa dolary. Na co jeszcze wydałeś pieniądze?

Jed podrapał się w pokryte szczecina policzki.

– Nie pamiętam. Dużo wypilem i urwał mi się film. Może z baru poszliśmy gdzieś, nie wiem, wszystko widzę jak przez mgłę.

– Skoro tobie urwał się film, jestem pewna, że w banku mi pomogą. Niewątpliwie wiedzą, gdzie i kiedy pobrałeś pieniądze. – Violet skierowała się do telefonu.

– Zaczekaj, zaczynam sobie przypominać.

Violet odwróciła się do Jeda.

– W samą porę.

– Poszliśmy do Chubby's Bunnies. – Spuścił wzrok.

– Wydałeś pieniądze na mój kurs w klubie ze striptizem? – Violet zacisnęła dłonie w pięści, żeby coś w niego nie rzucić.

– Nie wściekaj się, Vi. Smithy to mój najlepszy kumpel.

– Ach, rozumiem – powiedziała cierpkim tonem. – Wyjątkowa okazja.

Jed skinął głową, nie słysząc sarkazmu w jej słowach.

– Powiem ci, co to jest wyjątkowa okazja. – Violet z taką siłą cisnęła kopertą, że list przeleciał przez stół i przewrócił pustą puszkę. – Wyjątkowa okazja jest wtedy, kiedy jedyna placówka szkolnictwa wyższego w tej przeklętej miejscinie organizuje kurs, którym jestem zainteresowana. Kurs wprost stworzony dla kogoś, kto – jak ja – chce mieć własny sklep ze starociami, jeśli o tym zapomniawszy.

– Tak, wiem, że to twoje marzenie, ale pomyślałem sobie, że to tylko marzenie.

– Coś ci powiem. Są na świecie ludzie, którzy coś robią, żeby zrealizować swoje marzenia – oświadczyła Violet. – I właśnie dlatego chciałam ukończyć ten kurs. Sądzisz, że gromadzę w garażu te wszystkie stare rzeczy ot, tak sobie, a nie po to, żeby moje marzenie kiedyś się spełniło?

– Nie możesz się zapisać na ten kurs w przyszłym semestrze?

– Gdybyśmy mieszkali na przykład w Madison, gdzie spis wszystkich kursów na jednym tylko wydziale uniwersytetu ma grubość książki telefonicznej, mogłabym to zrobić. Ale te zajęcia zorganizowano tylko raz w naszej miejscowości, a poprowadzi je wizytujący profesor.

Jed prychnął.

– Uważasz się za lepszą od innych, prawda? Uważasz, że Bent Creek jest dobre dla innych, ale nie dla ciebie, bo ty jesteś wyjątkowa. Chcesz otworzyć sklep? Chcesz zamieszkać gdzie indziej? Proszę bardzo. Nie bronię ci.

Violet wiedziała, że powinna być wzburzona, ale to, co czuła, to nie był gniew, tylko odrętwienie. Tej zimy nawet nie wymienili się z Jedem prezentami na Boże Narodzenie. Kiedy Violet się dowiedziała, że dyrektor znanej sieci sklepów detalicznych będzie prowadził wykłady w ich miejscowości, zaczęła odkładać część napiwków, by za nie zapłacić. Bojąc się, że stanie się to, co się stało, chowała pieniądze w szufladzie ze swoją bielizną. Dopiero w poniedziałek rano wpłaciła pieniądze na ich wspólne konto i tego samego dnia wypisała czek. Jed potrzebował niespełna dwudziestu czterech godzin, żeby zniweczyć jej marzenia.

Violet poszła do sypialni. Nie słuchała przeprosin Jeda zagłuszanych przez komentatorów sportowych rozprawiających po rzucie karnym. Otworzyła walizkę – żółtą, z lat pięćdziesiątych, którą „na wszelki wypadek” podarowała jej babcia Lou, kiedy ostatni raz była u niej – i zaczęła się pakować.



# ROZDZIAŁ ..... 6 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Naszyjnik*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1970

STAN: *Dość dobry, brak kilku strasów*

OPIS: *Pozłacany naszyjnik z owalnym wisiorkiem wysadzany strasami*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Amithi Singh*

## AMITHI

W słoneczny majowy piątek, miesiąc przed tym, jak po raz pierwszy przekroczyła próg butiku, Amithi wyjechała ze swoim mężem na konferencję naukową do Chicago. Naveen zarezerwował dla nich pokój w hotelu w Oak Park, na zachodnim przedmieściu. Przy okazji konferencji państwo Singh chcieli sobie urządzić krótkie wakacje. Amithi i Naveen mieszkali w Oak Park w pierwszych latach małżeństwa i obydwój z przyjemnością wspominali to miejsce – spacerowały zabytkowymi ulicami, kiedy chcieli uciec ze swojego małego mieszkania, nie wydając pieniędzy, jadłodajnie na rogu, gdzie nie serwowano najprzedniejszych potraw, ale było tanio i Amithi od czasu do czasu mogła wytchnąć od codziennego gotowania.

Jednak kiedy w tamten piątek zjechali z autostrady, Amithi widziała przez okno samochodu jedynie centra handlowe i stacje benzynowe. Ulice wyglądały zupełnie inaczej niż przed laty, kiedy tu mieszkali. Zniknęło wiele rodzinnych restauracji i sklepów, zastąpiły je bary szybkiej obsługi i sieciówki.

Naveen wybrał trasę przez centrum przedmieścia i Amithi ucieszyła się na widok Lake Theatre z kolumnami w stylu art déco i niebieskim neonem. Przynajmniej to się nie zmieniło. W weekendy, kiedy Naveen nie siedział w laboratorium, chodzili tu na filmy: *Szczęki*, *Ojciec chrzestny*, najnowsze filmy o Jamesie Bondzie. Chociaż Amithi zawsze udawała, że jest oburzona wszechobecną przemocą i nagością w amerykańskich filmach, lubiła siedzieć w ciemnej sali kinowej i śledzić przygody bohaterów, sama niczym nie ryzykując.

Zameldowali się w hotelu. Naveen wziął prysznic, a Amithi w tym czasie przebrała się w fioletowe sari ozdobione małutkimi srebrnymi lusterkami. Z upływem lat coraz bardziej przyzwyczajała się do amerykańskiego stylu życia i coraz rzadziej miała okazję nosić sari. Drelichowe spodnie z bluzką albo luźne salwar kamiz były znacznie wygodniejsze do krzątania się po domu, gotowania, załatwiania sprawunków na mieście. Ale na specjalne okazje niezastąpione okazywały się kobiece



fałdy sari, upięte z dwóch metrów jedwabiu.

Amithi skończyła drapować na sobie fioletową tkaninę i wyjęła z walizki naszyjnik. Nie było to nic drogiego, zwykły połączony łańcuszek z dużym wisiorkiem ze strasów. Naveen kupił go dla niej w sklepie z błyskotkami przy Devon Street niedługo po ich ślubie. Włożyła go na dzisiejszy wieczór, żeby sobie przypomnieć, ile osiągnęli. Kiedy wiele lat temu wyjechali z Chicago, niewiele mieli. Gdy Naveen robił doktorat i pracował jako asystent, żyli od jednej nędznej wypłaty do kolejnej. W końcu udało im się osiągnąć coś, co oboje wysoko sobie cenili: stabilizację zarówno finansową, jak i w życiu małżeńskim.

Naveen wyszedł z łazienki, wycierając się ręcznikiem. Amithi zauważyła, że jego tors nie jest już gładki i muskularny jak kiedyś. Skóra zwisała na żebrach, a niegdyś gęste i ciemne owłosienie na klatce piersiowej zrobiło się rzadkie i siwe. Ale i tak na widok męża ogarnęła ją czułość.

– Dziś wieczorem jest przyjęcie dla uczestników konferencji. Czy nie zapomniałaś wziąć programu, który nam przysłali? – spytał, zapinając guziki koszuli.

– To chyba gdzieś w centrum. – Amithi wyjęła z torebki kartkę. Była pewna, że gdyby nie ona, Naveen nigdy nigdzie by nie trafił. – Tu jest napisane, że przyjęcie jest w Signature Room przy Michigan Avenue. Rozpoczyna się o siódmej.

Pojechali taksówką do strzelistego, zwężającego się ku górze John Hancock Center i wjechali windą na dziewięćdziesiąte piąte piętro. Zaprowadzono ich do sali bankietowej, gdzie mężczyźni w garniturach i kobiety w czarnych sukienkach koktajlowych krążyli wokół baru i długiego stołu zastawionego przystawkami. Za wysokimi oknami rozciągał się widok miasta na tle niebieskofioletowego wieczornego nieba. Amithi podeszła do okna, żeby przyjrzeć się panoramie miasta. Mgła spowijała sąsiednie wieżowce, samochody w dole wyglądały jak zabawki.

Amithi odwróciła się od okna i podążyła za Naveenem, który szedł przez salę, witając się z obecnymi. Za każdym razem, kiedy podchodzili do kogoś, Naveen mówił: „Pamięta pan moją żonę Amithi?”. Oczy znajomych rozbłyskiwały, kiedy ją rozpoznawali. Przypuszczała, że ludzie ją pamiętali, bo wyróżniała się z tłumu ciemną karnacją i barwnymi strojami, które zwykle nosiła. Spojrzała na swoje fioletowo-złote sari. Czy nie powinna włożyć czegoś innego, czegoś, co lepiej pasowałoby do ciemnych marynarek i sukienek pozostałych gości?

Choć znajomi Naveena pamiętali ją, ona sobie ich nie przypominała. Wśród uczestników konferencji było kilku kolegów Naveena ze studiów, ale ich imiona zły się w jej głowie: Kevin, Carl, Kent. Jeszcze trudniej było odróżnić ich żony. Wiele z nich miało włosy podobnie jasnoszarego koloru. Wszystkie rozmowy brzmiały w uszach Amithi tak samo: niekończące się dyskusje o tym, gdzie kto mieszka, nad czym pracuje, z kim się rozwodzi.

Kolację Amithi i Naveen jedli przy stole pod oknem. Dosiedli się do nich dwaj

mężczyźni. Amithi skojarzyła, że kiedyś należeli do grona najbliższych przyjaciół Naveena. Jeden z nich zachowywał się głośno. Wszyscy mówili na niego „Mel” – był teraz znanym badaczem, pracował w firmie farmaceutycznej. Nim minęło pięć minut, zdążył się pochwalić, ile ma patentów na swym koncie (dziewięć) i letnich domów (trzy).

Po przystawkach Amithi przeprosiła i wyszła do toalety. Cieszyła się, że chociaż na chwilę uciekła od wszystkich tych przechwałek. Kiedy wróciła, Mel nadal nawijał. Siedział tyłem do Amithi. Nachylił się do Naveena, mówiąc:

– Wiosną spotkałem na konferencji w Miami Paulę Sorensen. Świetnie wygląda. Ale prawdopodobnie wiesz o tym lepiej ode mnie, co, Naveen?

Naveen, siedzący przodem do Amithi, zauważył ją.

– Och, już jesteś, moja droga – powiedział.

Te słowa wzbudziły jej czujność. W domu czasem zwracali się do siebie czule, nigdy jednak nie robili tego w miejscu publicznym.

– Proszę, nie przerywajcie rozmowy przez wzgląd na mnie – powiedziała, siadając. – Zdaje się, że rozmawialiście o jakiejś Pauli?

– Była naszą koleżanką z grupy – wyjaśnił Naveen.

– Dla Naveena była kimś więcej niż koleżanką – dodał Mel, rechocząc.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Naveen utkwiał wzrok w szklaneczce whisky i zakręcił rozpuszczającymi się kostkami lodu.

Amithi wiedziała, że nim się zaręczyli, Naveen spotykał się z jakąś Amerykanką. Powiedział jej o tym przed ślubem. Może to była właśnie ta Paula, o której rozmawiali. Ale Amithi nie rozumiała, dlaczego Mel wspomniał o niej akurat teraz. Miała tyle pytań, które chciała – musiała – zadać Naveenowi, ale trzeba było poczekać. O sprawach osobistych nie rozmawia się publicznie.

Podano danie główne – halibuta smażonego w maśle cytrynowym, purée ziemniaczane i delikatne szparagi. Amithi prawie nic nie zjadła. Niepokoiło ją, że Naveen też sprawia wrażenie zdenerwowanego. Starła się sobie tłumaczyć, że niepotrzebnie się przejmuje, że kimkolwiek jest ta Paula, należy już do przeszłości. Amithi i Naveen byli małżeństwem od ponad czterdziestu lat. Próbowwała się odprężyć, kiedy kelner postawił przed nią tartę czekoladową.

Gdy wracali taksówką do hotelu, Naveen cały czas opowiadał jej o ludziach, z którymi właśnie się spotkali. Był zdumiony, że ci, którzy mieli mierne oceny, odnieśli sukces, nie krył rozczarowania takimi ludźmi jak Mel, którzy według niego zaprzepaścili swoje wybitne zdolności, pracując za duże pieniądze w korporacjach, zamiast zająć się działalnością naukową na uczelni.

Gdy tylko umilkł na chwilę, Amithi zapytała:

– A co u Pauli?

Naveen odwrócił się w jej stronę. Przejeżdżający samochód oświetlił tylko

połowę jego twarzy, ale Amithi dostrzegła na niej zdumienie.

– Jak to co u Pauli?

– Dlaczego Mel wspomniał o niej dziś wieczorem? Czy to z nią chodziłeś, nim się zaręczyliśmy?

– Tak – przyznał po chwili milczenia. – Mówiłem ci o niej, nie pamiętasz? Nigdy nie traktowałem tego poważnie. Wiedziałem, że nie mógłbym jej poślubić.

– Bo była Amerykanką?

– Nie tylko z tego powodu. Wyznawała radykalne poglądy, wiecznie angażowała się w jakieś akcje polityczne. Chyba można by ją nazwać hippiską. Moi rodzice nigdy by jej nie zaakceptowali, a ja nigdy bym tego od nich nie zażądał. Chociaż sam też trochę się buntowałem, mieszkając tak daleko od domu. A jeśli chodzi o Paulę, to była tylko chwilowa fascynacja.

*Chwilowa fascynacja.* Amithi zmarszczyła czoło. Nie mogła sobie wyobrazić swojego zrównoważonego męża ulegającego chwilowej fascynacji. Tysiące myśli kłębiły jej się w głowie. Była taka nieśmiała i niedoświadczona, kiedy brała ślub z Naveenem. Ciekawe, czy Paula, hippiska o radykalnych poglądach, była lepszą kochanką. Ciekawe, czy Naveen nadal o niej myśli. Albo, co gorsza, nadal się z nią spotyka.

– Utrzymujesz z nią kontakt? – spytała Amithi.

– Widuję ją od czasu do czasu na konferencjach. – Naveen położył Amithi dłoń na ramieniu. – Wiem, co sobie myślisz, ale niepotrzebnie się zamartwiasz. Jest tylko moją koleżanką naukowcem, nikim więcej.

Amithi bezwiednie napięła mięśnie, czując dotyk jego ręki.

– Z tego, co mówił Mel, wynikało, że nadal dobrze się orientujesz, co u niej.

Naveen zabrał ręce i położył je na kolanach.

– Mel lubi przesadzać, jak miałaś okazję się zorientować.

– Masz rację. Ale dlaczego nigdy nie mówiłeś mi o Pauli? Pomijając okres, kiedy byliśmy bardzo młodzi.

– Ponieważ uznałem, że nie jest tego warta – odpowiedział Naveen. Ich spojrzenia się spotkały.

Amithi uważnie przyjrzała się jego brązowym oczom, którym ufała, odkąd skończyła siedemnaście lat, ale nie dostrzegła w nich niczego, co budziłoby jej wątpliwości.

– Czyli powiedziałeś mi wszystko? – spytała.

– Nie mam nic więcej do dodania.

W hotelu Amithi poczuła się wyczerpana zamartwianiem się i prowadzeniem przez cały wieczór rozmów towarzyskich. Przypuszczała, że to z powodu zmęczenia w ten właśnie sposób zareagowała na prostackie uwagi Mela. Położyła się i zamknęła oczy. Naveen oparł się na poduszce i zabrał do lektury jakiegoś czasopisma

naukowego.

Tuż przed zaśnięciem Amithi przypomniała sobie, że wciąż ma na sobie naszyjnik ze strasów. Odpięła go i odłożyła na szafkę nocną. Poczowała na ramieniu dotyk gorącej dłoni.

– O co chodzi? – spytała, odwracając się do Naveena. Trzymał się za serce i wyglądał, jakby go coś bolało. – Źle się czujesz?

– Czuję się okropnie – przyznał. – Ale nie dlatego, że coś mi dolega.

I wtedy Amithi zrozumiała, że Naveen nie powiedział jej wszystkiego.

– Chodzi o Paulę – domyśliła się.

Naveen skinął głową. Twarz miał ściągniętą, widać było każdą jego zmarszczkę – większość z nich pojawiła się podczas ich małżeństwa.

– Wiedziałaś. – Amithi wyskoczyła z łóżka jak oparzona. – Od jak dawna to trwa?

– Już to zakończyłem – zapewnił ją Naveen. – To dlatego w tym roku nie pojechałem na konferencję do Miami. Nie chciałem się z nią spotkać.

Amithi miała wrażenie, że uduszą ją tłumione łzy i gniew. Wydawało jej się dziwne, że Naveen wiosną po raz pierwszy od lat nie pojechał na Florydę na coroczne sympozjum biochemików. Wielokrotnie chciała pojechać z nim, by nacieszyć się słońcem i choć na chwilę uciec od na ogół chłodnej wiosny w Wisconsin. Rok w rok Naveen odwodził ją od tego zamiaru, tłumacząc, że będzie bardzo zajęty.

Teraz Amithi zrozumiała, dlaczego miałyby dla niej tak mało czasu. Wcale nie dlatego, że całe dni spędzał na wykładach i imprezach towarzyszących. Spędzał czas z inną kobietą.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedziała, zaskoczona, jaki ma opanowany głos, chociaż w środku aż się gotowała z gniewu. – Jak długo to trwało?

Naveen wziął głęboki oddech.

– Pamiętasz, jak wyjechałaś z Jayaną do Indii, kiedy była malutka, a ja zostałem w domu, żeby...

– Pojechać na sympozjum do Miami – dokończyła za niego Amithi. – Twierdziłeś, że tamtego roku wygłaszałeś referat.

– Tak, wygłosiłem referat – potwierdził. – Paula podeszła później, żeby mi pogratulować moich osiągnięć naukowych. Nie widzieliśmy się od lat, poszliśmy się napić, porozmawiać i...

– Dość. Domyślam się, co było potem. – Amithi położyła dłoń na brzuchu.

Pamiętała wyjazd do Indii, o którym mówił Naveen. Jayana miała wtedy roczek. Amithi odwiedzała z marudnym niemowlęciem na ręku wszystkich krewnych, nie tylko swoich, ale również Naveena. W nocy leżała, nie mogąc usnąć, w pokojach gościnnych w domach dalekich kuzynów. Cierpliwie słuchała rad dotyczących wychowania dzieci i w kółko odpowiadała na te same pytania. A Naveen właśnie

wtedy ją zdradzał. Nie z jakąś tam kobietą, ale z dziewczyną ze studiów. Amithi była ciekawa, czy Naveen uważał ją za głupiutką gęś. Nie miała nawet licencjatu, nie mówiąc już o doktoracie.

– Czyli spotykaliście się przez ponad trzydzieści lat? – Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

– Nie! – zaprzeczył Naveen. – Nie. Potem Paula przez kilka lat nie przyjeżdżała na sympozja do Miami, chociaż mieszkała na Florydzie. Oboje czuliśmy się okropnie z powodu tego, co się wydarzyło, i oboje się zgadzaliśmy, że nigdy więcej nie może się to powtórzyć. Ale kiedy otrzymała propozycję stałego zatrudnienia w Gainesville, znów zaczęła przyjeżdżać do Miami. Chyba inni pracownicy wydziału wywierali na nią nacisk, żeby pojawiała się tam i wygłaszała...

Amithi wprost nie mogła w to uwierzyć. Naveen tłumaczył nie tylko siebie, ale i Paulę.

– To, że tam przyjeżdżała, Naveenie, nie oznaczało, że musisz z nią sypiać.

– Wiem – powiedział ledwo słyszalnie. – To było jakieś dziesięć lat temu. Od tamtej pory widywaliśmy się co rok. Kilka miesięcy temu powiedziałem jej, że wszystko między nami skończone i że nie przyjadę do Miami.

Amithi bała się zadać kolejne pytanie, ale teraz, kiedy wiedziała już tak dużo, musiała poznać całą historię.

– Czy spotykałeś się z nią tylko w Miami, czy również gdzie indziej?

– Ze wstydem muszę się przyznać, że nie tylko w Miami. Czasami przyjeżdżała do mnie do Chicago, kiedy przebywałem tam służbowo. Raz nawet przyleciała do Madison. Brała udział w dyskusji panelowej, zatrzymała się w hotelu...

Amithi aż zatkanęła.

– Jak mogłeś! – krzyknęła. – Nie dość ci było, że mnie zdradzałeś, i to przez tyle lat? Musiałeś przyprowadzić ją do naszego domu...

Naveen pokręcił głową.

– Nigdy nie przyprowadziłem jej do naszego domu.

– To nie ma znaczenia – szepnęła Amithi. – Madison jest naszym domem. Tam zbudowaliśmy nasze życie. Według mnie przyprowadziłeś ją do naszego domu.

Do Amithi dotarło, że może słyszą ją inni goście hotelowi. Zwykle przejmowała się takimi rzeczami, ale nie tamtego wieczoru.

– Wiem, że to okropne. Niewybaczalne. – Naveen pokręcił głową tak mocno, że Amithi skojarzyło się to z psem otrząsającym się z wody. Gdyby tylko można było tak łatwo pozbyć się przeszłości.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś? – spytała. Ścisnęła w dłoniach fałdy koszuli nocnej, jakby trzymanie się czegoś konkretnego miało sprawić, że całe jej życie nie rozsypie się w proch. – Uważałeś, że jestem zbyt głupia, by domyślić się prawdy?

Łzy popłynęły Naveenowi po policzkach. Amithi nie czuła współczucia. Prawdę mówiąc, ten załamany, kwilący mężczyzna nic a nic nie przypominał jej męża, którego – jak sądziła – kochała.

– Od samego początku wiedziałem, że to błąd – odparł.

– Ale po tym pierwszym razie nie mogłeś tego przerwać? – Zacisnęła usta, by nie wybuchnąć.

– Tak. – Przypominało to ni szept, ni łkanie.

„Tak” zawsze należało do ulubionych angielskich słów Amithi. Było takie konkretne, podnosiło na duchu. Ale tym razem zabrzmiało w jej uszach z niekwestionowaną nieodwracalnością.

– Jak przez tyle lat mogłeś trzymać to w tajemnicy?

– Bo byłem tchórzem. – Nie spojrział na nią.

Amithi podeszła do drzwi hotelowego pokoju i je otworzyła.

– Wynoś się – powiedziała.

– Dokąd mam iść?

– Dokąd chcesz. Wynajmij dla siebie osobny pokój. Albo prześpij się w samochodzie. Tylko zejdź mi z oczu.

Naveen wstał i ze spuszczoną głową skierował się do drzwi. Nim wyszedł, uniósł wzrok i spojrział na Amithi.

– Czy kiedyś mi wybaczysz?

Amithi bez słowa zatrzasnęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Nie położyła się do łóżka. Zgasła światło i usiadła w miękkim fotelu koło okna. Chciała płakać, ale nie mogła. W końcu poczuła, że nie usiedzi ani chwili dłużej. Wyszła z pokoju. Przemaszerowała pustym korytarzem i ruszyła windą do garażu.

Gdy bladym świtem jechała na zachód autostradą I90 w kierunku Madison, wspomnienia z lat małżeństwa przesuwały się przed jej oczami niczym na przyspieszonym filmie. Wakacje, urodziny. Niekończące się prasowanie koszul, wieczne gotowanie posiłków.

Wszystko to było kłamstwem.

# ROZDZIAŁ ..... 7 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Szpilki*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata sześćdziesiąte*

STAN: *Dość dobry, lekko zniszczone podeszwy i wyściółka*

OPIS: *Czerwone atlasowe szpilki z zakrytą piętą i palcami*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Przyniesione przez profesor prawa na uniwersytecie*

## APRIL

W czerwcowy poranek, dwa tygodnie po tym, jak April zaczęła u niej staż, Violet wręczyła jej kluczyki do swojego dżipa.

– Czy mogłabyś coś dla mnie przywieźć z północnej części miasta? – spytała. – Pewna pani zabiera swoją mamę do domu opieki, opublikowała w internecie zdjęcia niezwykle oryginalnej biżuterii, której chce się pozbyć: zdobionych emalią broszek i dużych koralii. Zadzwoiłam i powiedziano mi, że oddadzą je choćby za darmo, jeśli jeszcze dziś je odbierzemy.

– Bardzo chętnie, ale czy mogę pojechać autobusem? – poprosiła April, zażenowana.

No tak, Violet zapomniała, że dziewczyna boi się prowadzić samochód.

– Oczywiście. – Teraz to Violet się zawstydziła. – Przepraszam, zupełnie wyleciało mi z głowy, że nie lubisz prowadzić. – Zabrała kluczyki. – Nie było pytania. Sama po to pojedę. Dasz sobie radę w sklepie pod moją nieobecność? Pół godziny...

– Naturalnie – zapewniła ją April, zadowolona, że w końcu powierzono jej zrobienie czegoś innego niż polerowanie starych sreber lub prasowanie plisowanych spódnic.

Jakaś pani w średnim wieku, w przykrótkich obcisłych spodniach i różowej bluzie zapinanej na suwak weszła do sklepu i z naręczem aksamitnych i wyszywanych cekinami ubrań skierowała się do kasy. Położyła je na ladzie i westchnęła głęboko.

– Dzień dobry. Słucham panią – powitała ją April.

– Potrzebuję więcej miejsca w szafie. – Kobieta odgarnęła kosmyk jasnych włosów z pasemkami, który wysunął jej się z kucyka. – Więc uznałam, że pora w końcu pozbyć się wszystkich moich dawnych kostiumów teatralnych.

April wzięła do ręki pierwszą z brzegu rzecz – bordową suknię z podwyższonym stanem, ze złotą lamówką wokół dekoltu.

– Grałam w niej Julię – powiedziała kobieta tęsknym głosem.

– Jest pani aktorką? – April spróbowała wyobrazić ją sobie na scenie, przykuwającą uwagę całej widowni. Przyszło jej to z trudem.

– Byłam – uściśliła kobieta. – W Nowym Jorku, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat. Potem wyszłam za mąż i przeniosłam się do Madison. Mój mąż dostał propozycję stałego zatrudnienia jako wykładowca historii. Ponieważ była to jedyna propozycja, nie mogliśmy z niej nie skorzystać.

– Niewiarygodne, że pozwolono pani zachować kostiumy.

– Zwykle nie pozwalano. – Kobieta przesunęła dłonią po zwiewnej sukience do tańca. – Ale zaprzyjaźniłam się z projektantką kostiumów. Przekonała dyrekcję zespołu teatralnego, żeby ofiarowano mi kilka kostiumów w charakterze prezentu pożegnalnego, kiedy opuszczałam Nowy Jork.

Smutne oczy kobiety martwiły April. Chciała powiedzieć jej coś na pocieszenie, ale nie wiedziała co.

– W mieście działa kilka przyzwoitych zespołów teatralnych – wymyśliła w końcu. – Czy grała pani w którejś z wystawianych przez nie sztuk?

– Kiedy tu przyjechałam, zgłosiłam się na kilka przesłuchań, nawet dostałam rolę Elizy Doolittle w *Pigmalionie*... Boże, ale by to była zabawa. – Kobieta pokręciła głową. – Ale zrezygnowałam, bo mój najmłodszy syn często chorował na zapalenie ucha, kiedy był mały. Przepadało mi zbyt wiele prób, bo musiałam chodzić z nim do lekarza. To nie było w porządku w stosunku do pozostałych aktorów, więc dałam sobie spokój.

April pomyślała sobie, dlaczego to mąż – wykładowca uniwersytecki – nie mógł od czasu do czasu pójść z synem do lekarza, ale nic nie powiedziała. Obrażanie klientek krytycznymi uwagami o ich małżonkach chyba źle wpłynęłoby na interesy.

– Postanowiła więc pani to sprzedać?

– Mhm. Trzymałam kostiumy dla dzieci na bale przebierańców. Ale moi trzej synowie nie są tym zainteresowani. Zajmują więc tylko cenne miejsce w szafie.

– Potrzebuję trochę czasu na obejrzenie tego wszystkiego. Pierwszy raz zostałam sama, bo szefowa musiała coś załatwić na mieście. Może zadzwonię do pani, kiedy się z tym uporam?

– Och, zaczekam i rozejrzę się po sklepie. Mąż został z dziećmi, więc chcę maksymalnie wykorzystać ten czas. Jeśli wrócę do domu, okaże się, że któreś trzeba gdzieś zawieźć albo zrobić kanapki czy uprać strój do gry w bejsbol. Wolę zostać tutaj.

– Poproszę panią o jakiś dokument – powiedziała April. – Po prostu musimy legitymować każdego, kto chce nam coś sprzedać.

Kobieta sięgnęła do płóciennej torby i wyłowiła z niej wypchany portfel. Wyciągnęła prawo jazdy i położyła je na ladzie.



– Nienawidzę tego zdjęcia. Żałuję, że nie mam fryzjerki i makijażystki, jak wtedy, kiedy występowałam na scenie.

April spojrzała na fotografię, potem na kobietę i znów na fotografię. „Lane Lawton” – przeczytała. Zapisała nazwisko Lane, numer prawa jazdy i datę urodzenia. Zdjęcie, chociaż trochę prześwietlone, ukazywało kobietę o pewnym sobie uśmiechu. W tym uśmiechu April dostrzegła cień wielkiej diwy, po której nie pozostał nawet ślad w przemęczonej mamie, której rolę Lane teraz grała.

April oddała jej prawo jazdy.

– Dziękuję. Zawołam panią, kiedy skończę oglądać rzeczy.

Lane skierowała się w głąb sklepu, by obejrzeć torebki i buty. April położyła ręce na swoim większym z każdym dniem brzuchu, starając się uśmierzyć wewnętrzny niepokój. A może czuła rosnące w niej dziecko. Tak czy owak, April była ciekawa, jak zmieni ją macierzyństwo, skoro nowojorską aktorkę skłoniło do porzucenia sceny na rzecz szykowania kanapek i wożenia dzieci na zajęcia.

Z tą różnicą, że April nie jeździła samochodem. Było jej wstyd, że przez swoją fobię nie mogła dziś rano wykonać polecenia szefowej. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała znów usiąść za kierownicą, prawdopodobnie nim urodzi. Ale za każdym razem, kiedy wsiadała do stojącej w garażu toyoty swej matki – samochodu, którego nie rozbiła – zaczynały jej się trząść ręce i nie mogła oddychać.

Spojrzała na stos kostiumów Lane. Były bardzo różne. Od dzinsowej sukienki w stylu kowbojskim do niebieskiej sukni balowej z halkami, przywodzącej na myśl czasy wojny domowej. Jak Lane mogła zrezygnować z grania? Wcielanie się na parę godzin w kogoś innego wymagało prawdziwego talentu.

April uświadomiła sobie, że Violet właściwie nie powiedziała jej zbyt wiele, jak wyceniać towar. Rozejrzała się więc za oprawioną w skórę księgą ze spisem inwentarza, by zorientować się, ile powinna zapłacić Lane za kostiumy. Dostrzegła ją na ladzie. Posłużyła jako podstawka pod do połowy wypełnioną wodą czerwoną marokańską szklaneczkę do herbaty. April odstawiła szklaneczkę i zaczęła kartkować księgę. Po jakimś czasie uznała, że już wie, ile zapłacić za kostiumy.

– Lane? – zawołała.

Kobieta uniosła wzrok.

– Tak?

– Obejrzałam to, co pani przyniosła. Przepraszam, że tak długo to trwało. Pracuję tutaj dopiero od dwóch tygodni.

– Nic nie szkodzi. Naprawdę. To było najspokojniejsze pół godziny od bardzo dawna. Muszę częściej tu przychodzić. – Lane się uśmiechnęła. – Och, i wypatryłam to. – Uniosła rękę, w której trzymała parę czerwonych szpilek.

– Są cudowne – przyznała April. – Violet... moja szefowa... powiedziała, że należały do profesor prawa, która miała szafę pełną czarnych kostiumów i setki par

szalonych butów. Ma pani szczęście, że nosi pani ten sam rozmiar. Jeśli wpadnie pani do nas za kilka tygodni, pewnie będziemy miały ich więcej. Podejrzewam, że pod koniec roku akademickiego pani profesor robi remanent i przynosi nam pantofle, w których już nie chodzi.

– Nie wiem, kiedy miałabym je wkładać – westchnęła Lane. – Wycieczki z przedszkolakami na wieś to nie najlepsza okazja na noszenie szpilek... Ale znajdę okazję, żeby je włożyć.

Lane zgodziła się na kredyt w sklepie zamiast gotówki za swoje kostiumy. Część od razu wykorzystała na zakup szpilek i obiecała, że niebawem wróci, żeby wydać resztę.

– Mam jeszcze dużo kostiumów – poinformowała. – Proszę do mnie dzwonić, jeśli będzie potrzebne coś konkretnego.

Lane zapisała swój numer telefonu i skierowała się do wyjścia, wymachując papierową pomarańczową torbą na zakupy z napisem VINTAGE.

April była dumna, że udało jej się samodzielnie sfinalizować pierwszą transakcję, i już nie mogła się doczekać Violet, chcąc jej zdać relację.

Jednak Violet po powrocie krytycznie oceniła stos kostiumów na ladzie.

– Co to takiego?

– Jedna pani, która kiedyś była aktorką, przyniosła swoje stare kostiumy. Spójrz na ten. – April wzięła błyszczący czerwony trykot, który nadawał się na występy w cyrku. Dotknęła błyszczącej lamówki wokół dekoltu.

Violet przerzuciła stos strojów, marszcząc czoło.

– Same kostiumy? Nie handlujemy kostiumami.

– Och – bąknęła April, czując się jak skończona idiotka. – Cóż... Może powinnyśmy. Przynajmniej takimi, które można by sprzedawać przed Halloween. Żeby ściągnąć tu tych, którzy zwykle omijają sklepy z używaną odzieżą.

Violet nadal przyglądała się rzeczom sceptycznie.

– To ciekawy pomysł, ale nie wiem, jak będą się czuły moje klientki, widząc coś, co wkładały na ważne okazje, na przykład ślub albo bal maturalny, obok tych kostiumów.

– Przepraszam. Chyba powinnam poczekać na pani powrót, nim to kupiłam – przyznała April.

– W przyszłości zawsze możesz do mnie zadzwonić, gdybyś miała jakieś pytanie.

– Violet przyjrzała się kostiumom i westchnęła. – Chyba rzeczywiście zaczekam z nimi do Halloween. Masz rację, dopiero wtedy przekonamy się, czy coś z tego uda się nam sprzedać.

April czuła się tak, jakby dostała szansę, by wykazać się przed Violet, i ją zaprzepaściła. Chciała się jakoś zrehabilitować.

– Kiedy przeglądałam księgę inwentarzową – zaczęła – naprawdę trudno mi było

znaleźć potrzebne dane. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, spróbuję wymyślić lepszy sposób prowadzenia księgi. Kiedy umieścimy wszystko w komputerze, jak o tym rozmawialiśmy, łatwiej będzie szukać informacji. Naprawdę mogę się tym zająć.

Violet wyrzuciła ręce w górę.

– Dobrze już, dobrze, ty mała specjalistko od komputerów. Zrób to.

Tamtego wieczoru April usiadła za starym sekretarzykiem swojej mamy i zaczęła kartkować księgę główną i segregatory, które przytargała ze sobą z butik. Im bardziej zagłębiała się w dokumentację prowadzoną przez Violet, tym była pewniejsza, że potrafi stworzyć lepszy system przechowywania i grupowania wszystkich informacji.

Rozległ się sygnał i odruchowo weszła w pocztę elektroniczną na swoim laptopie. W odebranych wiadomościach był nowy list od Charliego, zatytułowany *W Bostonie na kursie przygotowawczym*. April poczuła coś jakby kopnięcie i spojrzała na swój brzuch.

– To wiadomość od twojego taty – powiedziała.

Ogarnęło ją takie przygnębienie, że przeniosła list do kosza, nawet go nie czytając.

Po zaręczynach April z Charliem Judy Cabot nie chciała spotykać się ani rozmawiać z April. Siłą rzeczy Trip też się do niej nie odzywał. Charlie pełnił rolę pośrednika, błagając swoich rodziców, by zaakceptowali jego narzeczoną i ich przyszłe dziecko.

Pewnej soboty Judy zadzwoniła do April i poprosiła ją, by przyszła do niej bez Charliego. Gdy tylko dziewczyna przekroczyła próg domu państwa Cabotów, Judy wcisnęła jej do rąk poradnik dotyczący ślubów autorstwa Emily Post i zaprowadziła ją do salonu, gdzie stała bardzo przejęta brunetka w bliźniaku, z białym segregatorem pod pachą.

– April, przedstawiam ci Lilę – powiedziała Judy. – Jest najlepszą organizatorką ślubów w Madison.

– Witam. – April rzuciła Judy pytające spojrzenie.

Judy utkwiała wzrok w April.

– Ani słowa o tej... sprawie. – Spojrzała na April, u której jeszcze nie widać było brzucha, ale wyraźnie zrobiła się grubsza w talii. – Przynajmniej mogę zdecydować, jak będą wyglądały wasz ślub i wesele.

April wciąż się wahała, co gorsze – to, że ignorowano jej istnienie, czy wielogodzinne siedzenie i słuchanie, jak Judy i Lila dyskutują o najrozmaitszych kształtach liter monogramów i butonierkach. Ale teraz i tak nie miało to znaczenia, skoro ślub odwołano.

Mimo że zerwała z Charliem, nadal nie podobał jej się pomysł jego wyjazdu na

wschód w sierpniu. Miała nadzieję, że będzie przynajmniej regularnie widywał ich dziecko. Ale Charlie dostał się zaledwie do jednej akademii medycznej spośród piętnastu, do których złożył papiery. Był na liście oczekujących w Uniwersytecie Wisconsin i powiedziano mu, że przed nim jest sporo osób.

Starła się skupić na wprowadzaniu do komputera danych z paragonów i rejestru sprzedaży. W przeciwieństwie do przeszłości April, liczby zwykle miały jakiś sens. Jednak dziś powiązanie wszystkich elementów okazało się frustrującym zajęciem, ponieważ myślami wciąż wracała do Charliego i tego, co się wydarzyło.

Skłamałaby, gdyby mu odpisała, że nie chce go widzieć. Nie wiedziała, czy dlatego, że wciąż go kocha, czy sprawiły to ciąża i hormony, ale tęskniła za jego uśmiechem, za dotykiem jego ciepłego ciała, za tym, że rozumieli się bez słów.

### *TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ*

– Ej, obudź się. Wszystko w porządku. Nic się nie dzieje.

April gdzieś z daleka usłyszała głos Charliego. Poczowała, jak ją obejmuje, jak całuje jej czoło i skronie.

Otworzyła oczy, a on skrajem prześcieradła wytarł jej mokre policzki. Za oknem jego mieszkania lutowy wiatr targał gołe gałęzie drzew, które rzucały cienie na ścianę.

– Znów płakałaś przez sen – powiedział.

Charlie mocniej ją przytulił, jak zawsze kiedy kolejny raz z całą ostrością uświadamiała sobie, że jej mama nie żyje. April nie mogła się doczekać chwili, kiedy przestanie się budzić w środku nocy, zastanawiając się, czy wypadek jej mamy to nie był tylko zły sen. Czekala na dzień, kiedy będzie się mogła uśmiechnąć bez lęku, że coś w środku niej pęknie.

April wtuliła się w niego z całych sił. W takich chwilach jedyne, co wydawało się bardziej realne, bardziej namacalne od jej smutku, to przemożne pożądanie, które oboje czuli. Wokół była jedynie ciemność i śmierć. Ale tu, pod kołdrą, przygnieciona ciężarem ciała Charliego, czuła rozwijające się w niej życie.

# ROZDZIAŁ

## ..... 8 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Kapelusz*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1949

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Kapelusz w kształcie dzwonu z zielonego filcu, ozdobiony czarną taśmą z rysu i pawim piórem*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Lucille Rollins. Nie na sprzedaż*

## VIOLET

– Przepraszam, czy prowadzi pani dział dla mężczyzn? – rozległ się męski głos.

Violet uniosła wzrok znad czerwonego swetra, który właśnie składała. Jakiś mężczyzna we flanelowej koszuli stał na progu sklepu. Wyglądał znajomo, ale nie wiedziała, kogo jej przypomina. Doszła do wniosku, że chyba brązowe oczy, szerokie bary i mocna budowa ciała sprawiały, iż wyglądał na prawdziwego mieszkańca środkowego Zachodu.

– Nie, przykro mi – powiedziała. – Kiedyś miałam trochę męskich rzeczy, ale słabo się sprzedawały, więc dałam sobie spokój. Czy szuka pan czegoś konkretnego? Może będę mogła panu podpowiedzieć, w jakim sklepie pan to znajdzie.

– Potrzebny mi kapelusz – wyjaśnił. – To ostatni tydzień szkoły. Obiecałem swoim uczniom, że jeśli żaden z mojej siódemki nie obleje egzaminu końcowego, ostatniego dnia przyjdę w jakimś śmiesznym kapeluszu. Dotrzymali słowa, więc ja też muszę.

– Czego pan uczy? – spytała Violet.

– Biologii i nauki o Ziemi. Pierwszą i drugą klasę szkoły średniej.

– Cóż, niektóre z naszych kapeluszy można uznać za odpowiednie zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Ale jeśli chce pan wyglądać naprawdę śmiesznie, niech pan kupi damski kapelusz. Proszę wejść, pokażę panu, co mamy.

Violet zaprowadziła go do tej części sklepu, gdzie na okrągłej ladzie prezentowała stare kapelusze filcowe, jedwabne, słomkowe i aksamitne.

– Fajny stojak – zauważył Sam i zasłonił usta dłonią. – Nie do wiary, że powiedziałem to na głos. Czasami brak mi hamulców.

Violet się roześmiała.

– To również moja wada. Zresztą naprawdę jest fajny.

Mężczyźni rzadko zaglądali do sklepu Violet, tym bardziej przystojni. Ten był

przystojny, ale nie ostentacyjnie – choćby ten jego krótki zarost, jakby się kilka dni nie golił.

Przymierzył szarą wełnianą fedorę z piórkiem.

– Co pani sądzi?

– Wygląda świetnie. Przyniosę lustro, jeśli chce się pan przekonać.

– Dzięki. Jestem Sam Lewis. – Wyciągnął rękę i uśmiechnął się. Wokół jego oczu dostrzegła siateczkę drobnych zmarszczek.

– Miło mi. Violet Turner. – Ucisnęła jego dłoń i zauważyła, że nie ma obrączki.

– Wiedziałem – wykrzyknął Sam.

– Co?

– Jest pani z Bent Creek, prawda? Chodziliśmy razem do szkoły średniej. Była pani rok niżej ode mnie.

– Wydawało mi się, że skądś pana znam – przyznała Violet. Wzięła ze stołu posrebrzane lustro i dała je Samowi.

Spojrzał na swoje odbicie i przekrzywił fedorę na bok.

– Hm. Obawiam się, że dzieciaki będą zawiedzione, jeśli włożę coś tak zwyczajnego.

– To w stylu Wall Street z lat pięćdziesiątych – wyjaśniła Violet.

Sam odwiesił kapelusz i włożył na głowę czerwony beret.

– Nie szkodzi, że nie pamięta mnie pani ze szkoły.

– Może bym pana zapamiętała, gdyby nosił pan ten beret – zażartowała Violet.

– Ja zapamiętałem panią, bo... Bo chodziła pani z Jedem Cline'em. Prawda? – powiedział Sam. – Był moim kolegą z klasy.

Violet denerwowało, że niektórzy do dziś kojarzą ją z tym jednym jedynym faktem z jej życia.

– Byłam też jego żoną – poinformowała.

– Kiedy się tu przeprowadziliście?

– Och, nie jesteśmy już małżeństwem. Przeprowadziłam się tu kilka lat temu, sama, żeby otworzyć ten sklep i dokończyć kurs, jak handlować odzieżą, który zaczęłam w Bent Creek.

– Zrobiła pani to wszystko naraz? Jestem pod wrażeniem.

– Od lat planowałam otwarcie sklepu, więc przemyślałam już wcześniej wiele szczegółów. Zgromadziłam również dużo za dużo starych rzeczy, z których posiadania nie mogłabym się usprawiedliwić, gdybym nie otworzyła sklepu. Rozważałam Bent Creek, ale to za mała miejscowość. Poza tym w Bent Creek byłam zbyt zajęta zajmowaniem się Jedem. Potrzebował mnie, a ja zbyt długo uważałam, że bycie potrzebnym to najważniejsza rzecz na świecie.

– Taaak, słyszałem, że miał problemy z alkoholem. Ale człowiek nigdy nie wie, co jest prawdą, a co nie, kiedy słucha małomiasteczkowych plotek. – Sam zdjął beret.

– To prawda. – Violet nawet nie chciała myśleć, jakie plotki krążyły po jej rozwodzie. Mieszkańcy małych miasteczek mają wybiórczą pamięć i chociaż Jed potrafił być okrutny i władczy, szczególnie kiedy pił, to jednak nie on wyjechał. Ludzie dzielą się na tych, którzy zostają w Bent Creek, i na tych, którzy stamtąd wyjeżdżają. Już sam wyjazd w oczach wielu czynił ją podejrzaną. Nawet jej rodzice nieufnie przyjęli tę decyzję. Wiedzieli, że między Jedem i Violet się nie układa, ale nie rozumieli, dlaczego musiała się wyprowadzić. Nie rozumieli – w przeciwieństwie do babci Lou – że wtedy Violet nie zdołałaby zmienić swojego życia, bo wszyscy traktowali ją w określony sposób.

– Korzenie są ważne, skarbie – powiedziała babcia Lou, kiedy Violet jej się zwierzyła, że rozważa wyjazd. – Ale czasami roślina rozsadza doniczkę.

Sam sięgnął po niebieski toczek i wsadził go sobie na głowę. Spuścił woalkę na twarz i zatrzepotał rzęsami.

– Co pani sądzi? – zapytał.

Violet się roześmiała.

– Jeśli chce pan śmiesznie wyglądać, to jest to strzał w dziesiątkę.

Sam wziął z lady posrebrzane lustro i przyjrzał się swojemu odbiciu.

– W sam raz. Moi uczniowie będą mieli frajdę.

– Szczęściarze z nich, że mają nauczyciela gotowego zrobić z siebie błazna, byle tylko się uczyli.

– Cóż, każda metoda jest dobra. – Sam zdjął kapelusz i przesunął dłonią po gęstych, brązowych, lekko szpakowatych włosach. Violet zastanawiała się, dlaczego nigdy nie zwróciła na niego uwagi w liceum. No tak, miała wtedy klapki na oczach i widziała tylko Jeda.

Sam rozejrzał się po sklepie.

– Niezbyt się znam na modzie, ale wydaje mi się, że ma pani niczego sobie sklep. Sama pani w nim pracuje?

– Mam stażystkę, ale jest teraz u lekarza – powiedziała Violet. – Ja już wyjaśniłam, skąd się tu wzięłam. A co sprowadziło pana do Madison?

– Studiowałem tutaj. I jak wiele osób zakochałem się w tym mieście i zostałem. Kiedy jadę rowerem do pracy, widzę gościa z półmetrowym irokezem na głowie, pchającego w spacerówce jamnika. Co poniedziałek w barze niedaleko ode mnie spotyka się wieczorem grupka szcudlarzy. Gdzie indziej mógłbym oglądać coś takiego?

– W cyrku?

Sam się uśmiechnął.

– Tak czy owak, chociaż mi się tu podoba, cieszę się, że spotkałem kogoś z rodzinnych stron.

Violet odpowiedziała mu uśmiechem, znów zastanawiając się, dlaczego w liceum

nie zauważyła, że jest taki fajny.

– Muszę wracać do pracy – zreflektował się Sam. – Wyrwałem się na przerwę obiadową.

– Rozumiem – westchnęła Violet rozczarowana. – W takim razie zapraszam do kasy. – Wzięła kapelusz i przeszła do kasy.

Wręczył jej kartę kredytową.

– Chętnie bym się spotkał, pogadał.

– Świetny pomysł. – Violet włożyła kartę do czytnika, wydrukowała pokwitowanie. Umieściła niebieski toczek w torbie na zakupy i podała mu ją. Musnęli się dłońmi i ze zdziwieniem stwierdziła, że jej gołe ręce w sukience bez rękawów pokryła gęsia skórka.

– Dziękuję – powiedział Sam. – Ładny tatuaż.

Violet się zapłonila, mając nadzieję, że nie zauważył jej gęsiej skóry. A może miała nadzieję, że tak.

– Jeśli da mi pani numer telefonu, wpiszę go do swoich kontaktów.

Violet otworzyła szufladę i zaczęła grzebać w pudełku po butach, pełnym starych, czarno-białych zdjęć. Były to zdjęcia ze sklepów z używanymi artykułami i z wyprzedaży garażowych, przedstawiające obcych jej ludzi: niemowlęta w koronkowych czepkach, żołnierzy w mundurach, kobiety na koniach i dzieci w wesołym miasteczku. Violet nie wiedziała, czemu je kupiła; chyba żeby zachować chwilę z ich życia.

Szukała, aż znalazła to, o co jej chodziło: zdjęcie kobiety w kapeluszu z woalką, bardzo podobną do tej, która była przy toczku kupionym przez Sama. Odwróciła poźółkłe zdjęcie i zapisała na jego odwrocie swój numer telefonu.

Sam roześmiał się, widząc zdjęcie.

– Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nikt nie dał mi numeru telefonu w takiej formie.

Violet uśmiechnęła się szeroko.

– Lubię wszystko robić po swojemu.

– Ej, dlaczego nie pozwoliła mi pani przymierzyć tamtego kapelusza? – Sam wskazał pomarańczową ścianę za ladą z kasą. Poniżej metalowych liter składających się w słowo VINTAGE wisiał zielony filcowy kapelusz z pawim piórem.

– Bo ten jest wyjątkowy – odparła Violet.

### *ROK WCZEŚNIEJ*

Po pogrzebie, kiedy jej krewni rozmawiali w kuchni przy kawie i ciasteczkach, Violet wymknęła się do wyłożonego dywanem holu i ruszyła do sypialni babci Lou. Podeszła do garderoby i usiadła na podłodze między wieszakami z ubraniami, wdychając zapach papierosów i perfum White Shoulders. Zapach jej babki.

Nie wiedziała, jak długo już tam siedzi, gdy usłyszała głos matki:



– Violet, gdzie jesteś?

– Tutaj – zawołała Violet.

Celeste Turner stanęła w drzwiach garderoby i podparła się pod boki. Violet pomyślała, że jej matka w czarnych spodniach z zaprasowanymi kantami i bezkształtnym swetrze nie pasuje do garderoby babci Lou pełnej cekinów i jedwabi. Celeste ubierała się odpowiednio do okazji. Nie podzielała zamiłowania swej matki do mody. Prawdopodobnie Violet odziedziczyła je po babce.

– Co tu robisz? – spytała Celeste.

Violet przesunęła dłonią po czarnej lakierowanej kasetce na biżuterię.

– Żegnam się.

Do oczu Celeste napłynęły łzy.

– Mnie też jej brak.

Minęło sześć tygodni, odkąd babcię Lou przyjęto do szpitala po udarze, po którym zapadła w śpiączkę. Matka Violet musiała podjąć trudną decyzję – zgodną z wcześniejszą pisemną dyspozycją swej matki o odłączeniu jej od aparatury podtrzymującej funkcje życiowe.

Violet włożyła na nogi wysokie lakierki swej babki.

– Co zamierzasz zrobić z jej rzeczami?

– Jeszcze nie wiem. – Matka westchnęła. – Chyba oddamy je do Goodwill, jak całą resztę. Gdyby twoje ciotki i wujowie zostaliby jeszcze przez kilka dni, żeby mi pomóc, pozwoliłabym im wziąć meble czy jakieś pamiątki. Ale jutro wszyscy wyjeżdżają. Zresztą powiedzieli, że i tak mają dużo rupieci i brak im miejsca na więcej.

– To nie rupiecie – oburzyła się Violet. Dotknęła skrajem czarnej aksamitnej peleryny podbitej atłasem – „operowej peleryny”, jak ją nazywała babcia Lou. Nieważne, że w Bent Creek nie było nawet kina, a co dopiero opery. To był piękny strój.

Twarz matki złagodniała.

– Masz rację. Czuję się przytłoczona koniecznością wystawienia domu na sprzedaż.

Violet zrobiłaby wiele, by jej matka nie była taka zestresowana, taka zmęczona. Przycisnęła policzek do kołnierza z lisa przy jednym z wełnianych płaszczy babki.

– Czy mogę wziąć niektóre rzeczy, jeśli nikt inny ich nie zechce?

– Naturalnie. Chyba mogłabyś je sprzedać w swoim sklepie. Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam.

– Nie zamierzam ich sprzedawać, mam. Chcę mieć kilka jej rzeczy na pamiątkę.

Matka wzruszyła ramionami.

– Cóż, i tak oddamy to wszystko na cele charytatywne, więc nikt nie będzie miał pretensji, jeśli postanowisz coś sprzedać.

Violet pokręciła głową, oburzona tym pomysłem.

– Przyszłam tutaj, bo wszyscy pytają o ciebie – oznajmiła Celeste. – A ja nie wiem, co im odpowiedzieć.

Violet uświadomiła sobie, że to jej wina. Odkąd rozstała się z Jedem, starała się jak najmniej czasu spędzać w Bent Creek, a rodzice musieli jechać ponad czterysta kilometrów, by odwiedzić ją w Madison. Matka nie lubiła jeździć autostradą, a mieszkając na prowincji, poprzecinanej pustymi, dwupasowymi drogami, właściwie nigdy nie musiała pokonać strachu przed ruchem samochodowym. Ojciec Violet, prowadzący sklep z zaopatrzeniem dla rolników, nie mógł jeździć do Madison z tego samego powodu, dla którego Violet nie mogła często odwiedzać ich w Bent Creek – nie chciał zostawiać sklepu bez nadzoru.

– Dobrze – zwróciła się Violet do matki. – Daj mi jeszcze parę minut.

Kiedy matka wyszła z pokoju, Violet sięgnęła po stojące na półce pudło na kapelusze. Jeśli miała wyjść do rodziny i odpowiadać na dziesiątki pytań dotyczących jej małżeństwa i czy spotyka się z kimś w Madison, będzie jej potrzebna pomoc babki – odrobina siły i stylu babci Lou.

Otworzyła pudło i zobaczyła w środku zielony kapelusz w kształcie hełmu, ozdobiony rypsovą wstążką i mieniącym się pawim piórem. Odwinęła kapelusz z poźółkłej bibułki i włożyła go na głowę.

Podeszła do umywalki obudowanej szafką, odsunęła kosmetyki do makijażu i kryształową popielniczkę, żeby móc się nachylić do lustra. Żywy kolor kapelusza ostro kontrastował z jej czarnym żakietem z baskinką i ołówkową spódnicą. Violet gotowa była przysiąc, że w tym kapeluszu przypomina trochę babkę ze zdjęć zrobionych w czasach, gdy była znacznie młodsza.

Zgasiła światło w garderobie i wyszła z pokoju. Wiedziała, że ciotki i wujkowie, a może nawet rodzice uniosą brwi, gdy zobaczą ją w tym kapeluszu, ale było jej to obojętne. Babcia Lou by ją pochwaliła.

# ROZDZIAŁ

## ..... 9 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Futro*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1950

STAN: *Dość dobry*

OPIS: *Jasne futro z norek. Długość do bioder. Różowa, jedwabna podszewka.  
Trochę wytarte na łokciach*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Wyprzedaż w związku z przeprowadzką*

## VIOLET

Następnego wieczoru Violet nachyliła się do lustra w łazience, nucąc sobie podczas nakładania szminki na usta. Obiecała Karen, że właśnie dziś wieczorem wybiorą się do miasta tak jak kiedyś.

Dawniej, kiedy Karen mieszkała przy tej samej ulicy, często wstępowała do jej sklepu w drodze z pracy do domu. Zwykle wiedziała, co akurat dzieje się w mieście: gdzie otwarto nową restaurację, czy akurat trwa festiwal filmów kina niezależnego. Czasami wypijały pół karafki cabernet w ulubionym bistro w Machinery Row. Kiedy indziej do świtu tańczyły przy dźwiękach granej na żywo muzyki funk, pocąc się w zatłoczonym barze.

Podczas tych wieczorów często towarzyszyli im mężczyźni: zaproszeni wcześniej albo dopiero co poznani. Karen, długonoga i rudowłosa, budziła zachwyty, gdziekolwiek się pojawiła. Ale Violet nigdy nie zazdrościła jej powodzenia. Prawdę mówiąc, zwykle była wdzięczna, że przyjaciółka skupia uwagę na sobie. Tuż po rozwodzie Violet chciała jedynie cieszyć się swoją nowo odkrytą niezależnością. Jeśli przy okazji spotkała jakiegoś ciekawego mężczyznę, świetnie, ale nie wiązała z nim żadnych nadziei. Kiedy Karen wyszła za mąż i wspólnie z Tomem zbudowali dom na przedmieściu, ich – Karen i Violet – wspólne wypadki stały się znacznie rzadsze, a ustały niemal zupełnie, kiedy Karen zaszła w ciążę. Violet nie miała do niej pretensji. Nie były już takie młode, na miejscu Karen też nie zwlekałaby z założeniem rodziny.

Violet zostało trochę czasu do pojawienia się Karen, chociaż jak zawsze długo się wahała. W końcu zdecydowała się na czarny kostium z lat siedemdziesiątych: ze spodniami i górą odkrywającą plecy. Dobrała do niego srebrne kolczyki zrobione przez klientkę sprzedającą biżuterię... i była gotowa.

Czekając na Karen, Violet wyciągnęła spod łóżka pudło. W środku trzymała

wszystkie swoje pamiątki z Bent Creek. Nie oglądała ich od lat. Wyjęła zasuszony bukiet goździków, który Jed dał jej na zjazd absolwentów (to wtedy oblała się alkoholem), misia, z którym nie rozstawała się jako dziecko, złotą obrączkę, która jej służyła i za pierścionek zaręczynowy, i za obrączkę. Odłożyła je na dywan. Na dnie kartonu znalazła szkolne księgi pamiątkowe. Wyciągnęła je i usiadła obok Milesa na kanapie, by je przekartkować.

Zajrzała do indeksu w księdze pamiątkowej z drugiego roku nauki w szkole. Powoli przesuwiała palcem po spisie nazwisk, aż natrafiła na Sama Lewisa. Strony 39 i 94. Z ciekawości odszukała też swoje nazwisko. Wypisane strony, na których były jej zdjęcia, zajmowały aż trzy linijki.

Zajrzała najpierw na stronę 39, gdzie było zdjęcie klasy Sama. Uśmiechał się, nosił aparat ortodontyczny i miał okropne pryszczki. Teraz go sobie przypomniała. Był jednym z chłopaków, nad którymi znęcali się Jed i jego kumple.

Potem otworzyła księgę na stronie 94, spodziewając się tam zobaczyć zdjęcie Sama ze szkolną orkiestrą albo członkami klubu szachowego lub jakiegoś kółka zainteresowań. Ale umieszczono tam nieupozowane zdjęcie zrobione w stołówce. Pośrodku grupka dzieciaków siedziała ramię w ramię przy stole. Jednak Sama wśród nich nie było. Siedział w głębi, przy prawie pustym stole, z kawałkiem pizzy w ustach. Patrząc na niezdarnego nastoletniego Sama, pomyślała: *Wytrzymaj. Za dwadzieścia lat będziesz wyglądał znacznie lepiej.*

Usłyszała pukanie do drzwi. Miles zaszczekał i zeskoczył na podłogę.

– Hop, hop! – zawołała Karen.

– Jestem tutaj. – Violet weszła do salonu, gdzie czekała już przyjaciółka, dzierżąc dwie duże torby na zakupy. Rude kręcone włosy okalały twarz Karen, konkurując o uwagę z poduszkami w lamparce cętki i etnicznymi tkaninami. Odstawiła torby i zdjęła trencz, pod którym miała zieloną bluzeczkę na cienkich ramiączkach i czarne obcisłe spodnie.

– Och, mamusko – wykrzyknęła Violet, ściskając przyjaciółkę. – Świetnie wyglądasz.

– Naprawdę powinnaś zamykać drzwi na klucz – burknęła Karen.

– Zwykle pamiętam, żeby je zamknąć, kiedy wychodzę, ale nie wtedy, gdy jestem w domu. No, chyba że kładę się spać. Poza tym te okolice są bezpieczniejsze niż dawniej. Nie widziałaś nowych, modnych restauracji? Salonu dla zwierząt domowych?

– Cóż, kiedy mieszkałam tu, jeszcze jako studentka prawa, na rogu była meta, a faceci siedzieli na gankach domów, popijając piwo z półtoralitrowych butelek. Przepraszam, że zachowuję się trochę jak paranoiczka.

– To już przeszłość, moja droga. Teraz mieszkają tu profesorowie i hipsterzy. Wątpię, czy w sklepie alkoholowym sprzedają jeszcze piwo w półtoralitrowych

butelkach. Są zbyt zajęci podawaniem sześciopaków z mikrobrowarów, w których piwo warzą z chmielu z ekologicznych upraw. – Violet uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Okolica bardzo się zmieniła, odkąd wyprowadziliście się do swojej wiejskiej posiadłości.

– A propos wiejskich posiadłości, taksówki tam nie jeżdżą, więc dziś nocuję u ciebie.

– A co z Edith?

– Jest z nią Tom. Dobrze mi robi noc poza domem.

– Jeśli boisz się jechać do domu po kilku drinkach, mogę cię zawieźć. Nie mam nic przeciwko temu, żeby być kierowcą.

Karen pokręciła głową.

– Nie ma mowy. Muszę się trochę zabawić. Masz pojęcie, jak to jest przez większość dnia być związana z taką małą istotką?

– Nie mam – przyznała Violet. A po chwili dodała smutno: – I prawdopodobnie nigdy nie będę miała.

– To naprawdę nie jest łatwe. – Karen przeszła do kuchni połączonej z salonem. Sięgnęła do lodówki po butelkę whisky. Ze swobodą osoby, która była tu nie raz, otworzyła szafkę i wyjęła z niej dwie kryształowe szklaneczki. Nie pytając, naląła do każdej whisky na wysokość dwóch palców. – Lodu? – Otworzyła zamrażarkę.

– O, kurde. Zapomniałam zrobić – zafrasowała się Violet.

– Nie szkodzi, lubię nierozcieńczoną whisky. – Karen pociągnęła łyk ze swojej szklaneczki i puknęła się w czoło, na którym było więcej zmarszczek, niż kiedy Violet widziała ją ostatni raz. – Jak można zapomnieć o zrobieniu lodu? Przecież wystarczy wlać wodę do pojemników.

Violet wzruszyła ramionami.

– Nikt tu nie narzeka.

Karen podała jej drugą szklaneczkę i Violet napiła się, czując, jak mocny alkohol lekko piecze ją w gardło. Usiadła na kanapie i klepnęła w poduchę, zapraszając Karen, by zajęła miejsce obok niej. Miles źle odczytał ten gest, wskoczył i usadowił się przy swojej pani. Potargała go za aksamitne uszy.

– Jak sobie radzi Edith? – spytała Violet. – Jest zachwycająca.

Karen usiadła w drugim końcu kanapy.

– Chyba nie chcesz słuchać głupiej paplaniny o niemowlętach, co?

Violet nieco się zjeżyła. Karen najwyraźniej założyła, iż Violet nie chce słuchać o Edith, bo sama nie ma dzieci. Ale wiedziała, że jej przyjaciółka chce po prostu być taktowna. Zanim Edith pojawiła się na świecie, Karen i Violet często siedziały w kącie na przyjęciach dla przyszłych mam, pijąc koktajle i przewracając oczami. Celowała w tym Karen. Violet kochała małe dzieci. Nie lubiła jedynie nadmiernej troski, jaką im okazywano.

Karen skrzyżowała swoje długie nogi.

– Miałaś jakąś wiadomość od właściciela domu?

– Nic nowego – westchnęła Violet. – Muszę się wyprowadzić do końca lipca, inaczej mnie eksmitują. Chyba że od naszej ostatniej rozmowy wpadłaś na jakiś genialny pomysł?

Karen przeszła do kuchni. Dolała sobie whisky i uniosła butelkę.

– Nie, ale strategię odwlekania terminu stosują najstarsi wspólnicy w mojej kancelarii adwokackiej zawsze, kiedy sprawa jest szczególnie trudna.

– Nie musisz karmić piersią?

– Daj spokój. Mogę na palcach jednej ręki policzyć, ile kieliszków alkoholu wypiałam w ostatnim roku. Zresztą dziś wieczorem ściągnę pokarm i go wyleję.

Violet uniosła rękę.

– Nie oceniam cię, tylko jestem ciekawa. I przepraszam, że zawracam ci głowę sprawami zawodowymi. Ani słowa więcej na ten temat. Powiedziałaś, że musisz się wyrwać z domu i zabawić. Założę się, że nie zamierzałaś spędzić tego wieczoru, rozmawiając o moich kłopotach z właścicielem domu. A więc dokąd pójdziemy?

– Pomyślałam sobie, że możemy się wybrać na występy drag queens w King Club – zaproponowała Karen.

– Myślałam, że obejrzymy stary film z Marilyn Monroe i upieczemy ciasteczka... Głównie po to, żeby najeść się surowego ciasta. Dasz się na to namówić?

– Nie. Ale niewykluczone, że obejrzymy Marilyn.

I rzeczywiście tamtego wieczoru Violet i Karen oglądały na niebiesko oświetlonej scenie mierzącą metr osiemdziesiąt piersiastą blondynę, śpiewającą „Happy Birthday, Mister President”, a perkusista ubrany jak Rita Hayworth grał na czynelach, kończąc występ „ba-dump-bump”. W finale pokazano rewię mody, podczas której drag queens z wydętymi ustami paradowały w strojach Versacego z lat dziewięćdziesiątych i Pucciego z sześćdziesiątych.

Jedna z drag queens miała nawet na sobie futro z norek, które – Violet mogła przysiąc – kupiła w jej butik. Pamiętała podszewkę z brzoskwinowego jedwabiu, która błysnęła, gdy modelka rozchyliła futro, by pokazać wąską sukienkę z fioletowego aksamitu, którą miała pod spodem.

Widząc na scenie ubrania ze swojego butik, Violet wpadła na pomysł, jak zarobić trochę pieniędzy na zaliczkę i być może przekonać bank, by udzielił jej kredytu na zakup domu.

Kiedy po występie włączono światło, czym prędzej odwróciła się do Karen.

– Ej, mogę podzielić się z tobą pewnym pomysłem?

– Proszę bardzo, chociaż jeśli mój umysł jest tak sflaczały, jak cała reszta, nie wiem, czy na wiele ci się przydam. – Karen uszczypnęła się w brzuch, na którym ledwo było widać fałdkę skóry.

– Masz mniej obwisły brzuch od mojego, a ja nie urodziłam dziecka – zauważyła Violet.

Karen przechyliła głowę i spojrzała na Violet spod półprzymkniętych powiek.

– Sądysz, że kiedyś urodzisz?

– Jeśli uwzględnić to, że przeraża mnie myśl o ponownym zamążpójściu i z nikim się nawet nie spotykam, nie mam na to zbyt wielkich szans.

– Wiesz, że do tego nie potrzeba faceta – powiedziała poważnie Karen.

Przechodząca obok barczysta drag queen wtrąciła:

– Święte słowa, skarbie.

Violet czuła gulę w gardle. Bała się odezwać, żeby nie zdradzić, jak bardzo zazdrości przyjaciółce. Ale Karen była lekko wstawiona, a poza tym zawsze rozmawiały ze sobą bez owijania w bawełnę.

– Nie wiem. – Violet utkwiała wzrok w swojej szklaneczce, w której początkowo miała whisky z wodą sodową, ale teraz zostały w niej tylko rozpuszczające się kostki lodu. – Zawsze myślałam, że będę miała dzieci, a tymczasem za dwa lata stuknie mi czterdziestka. Muszę być realistką.

– Nie ma nikogo ciekawego na horyzoncie? – spytała Karen. – Niekoniecznie na tatusia, ale po prostu na randki?

Violet pomyślała o Samie.

– W tym tygodniu przyszedł do sklepu ktoś interesujący. Dałam mu swój numer telefonu, ale jeszcze nie zadzwonił. Zobaczymy.

– Naprawdę? – Karen uniosła brwi. – Powiedz mi o nim coś więcej.

Violet pokręciła głową.

– Dopiero co go poznałam, nie chcę zapeszyć. Zresztą, może w ogóle się ze mną nie skontaktuje.

– Nie to nie. – Karen wydeła usta i pociągnęła łyk koktajlu. – A więc co to za pomysł, który chciałaś ze mną omówić?

Violet wskazała ręką scenę.

– Pomyślałam, że mogłabym zorganizować coś takiego, by zebrać pieniądze na sklep.

– Występ drag queens?

– Raczej rewię mody, ale możemy również zaprosić drag queens, czemu nie. To byłby dobry sposób pokazania moich najlepszych strojów i zwiększenia sprzedaży. Co o tym sądzisz?

– Uważam, że to świetny pomysł... – Karen ziewnęła, zakrywając usta dłonią.

– Rzeczywiście wyglądasz na przejętą.

– Naprawdę uważam, że to się może udać. Ale jestem wykończona. Od miesięcy nie spałam dłużej niż cztery godziny. Zapomnij o tym, co ci powiedziałam na temat urodzenia dziecka. Możesz wziąć moje.





# ROZDZIAŁ

## ..... 10 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Suknia wieczorowa*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata siedemdziesiąte*

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Sukienka z odkrytymi ramionami dla druhny. Jasnozielony poliester i biała koronka. W komplecie pelerynka*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Przyniesiona przez matkę Karen*

## APRIL

April szła do pracy w ostatnią sobotę czerwca. Zazdrościła klientom wychodzącym z kawiarni sąsiadującej z butikiem. Tęsknie spoglądała na papierowe kubeczki z uprawianą w Peru czy Gwatemali kawą, żałując, że jedyną dozwoloną jej filiżankę kawy dziennie wypija jeszcze przed wyjściem w domu. April miała za sobą bezsenność, podczas której próbowała ułożyć się wygodnie na boku, tak jak zaleciła lekarka. Wolała spać na brzuchu, ale było to już niemożliwe. Myśl, że dziś brałaby ślub, też przyczyniła się do bezsenności April.

Minął miesiąc, odkąd ostatni raz rozmawiała z Charliem, miesiąc, odkąd odwołał ich ślub, właściwie nie uprzedziwszy jej o tym. April przypuszczała, że rodzice Charliego prawdopodobnie zaczęli mu już przedstawiać dziewczyny, które mogłyby ją mu zastąpić – śliczne panny z dobrych domów, z rodzin, w których nie występowały choroby psychiczne.

Kiedy April dotarła do butiku, Violet stała zgarbiona przy kasie, ze skupioną miną zapisując coś w notesie.

– Cześć – powiedziała April.

W końcu zrobiło się ciepło, otarła kropelkę potu z czoła. Razem z nią chciała usunąć z twarzy wszelkie oznaki przygnębienia. Liczyła na to, że praca odwróci jej uwagę od czarnych myśli.

– Cieszę się, że jesteś. – Violet odstawiła kubek. – Mam pewien pomysł. Przyszedł mi do głowy wczoraj wieczorem, kiedy byłam z Karen w King Club. Pomyślałam sobie, że może zorganizowałybyśmy pokaz mody, żeby zebrać trochę pieniędzy. – Rzuciła April pełne nadziei spojrzenie. – Możemy to nazwać *Rewią Vintage*. Zaangażujemy modelki i ubierzemy je w najpiękniejsze rzeczy z naszego sklepu.

– Hm – bąknęła April. Jej ścisły umysł już starał się oszacować, ile kosztowałyby

takie przedsięwzięcie.

– Nie wydajesz się zachwycona tym pomysłem – stwierdziła Violet.

– Nie. To znaczy tak. To może być niezła zabawa. Chodzi mi tylko o to... W jaki sposób chcesz zebrać pieniądze? Czy to nie będzie kosztowne?

– Będzie, ale koszty pokryje sprzedaż biletów i, mam nadzieję, zarobimy na aukcji ubrań i dodatków, w których pojawią się modelki na wybiegu – wyjaśniła Violet. – Mam na zapleczu naprawdę rewelacyjne rzeczy, których nie trzymam w sklepie, bo ludzie ich nie kupują. Mieszkańcy Madison cenią sobie wygodę i wolą nosić sandały niż szpilki od Louboutina. Bardzo rzadko pojawia się klientka gotowa zapłacić osiemset dolarów za futro albo dwa patyki za torebkę Hermès.

– Powiedziałaś „dwa patyki za torebkę”? – April aż zamruwała powiekami.

Violet skinęła głową.

– To niesamowita torebka. Z czerwonej błyszczącej skóry, w środku wykończona jasnoniebieskim zamszem. Przypomnij mi, żebym ci ją pokazała przy okazji. Dwa patyki to nic. Niektóre stare torebki Hermès kosztują dziesięć tysięcy i więcej.

Kiedy Violet – podekscytowana projektem – mówiła o szukaniu modelek i wynajęciu sali, April spokojnie wyrównywała stos starych bawełnianych koszulek na stole, czekając na moment, w którym Violet umilknie, by łyknąć kawy.

– Przepraszam, ale zdaje się, że wspomniałaś coś o drag queens. Gdzie je znajdziemy? – spytała.

– Och, moja droga, jeśli będą nam potrzebne drag queens, postaram się o nie. I to naprawdę dobre. Nie takie w tanich perukach i z wypchanymi stanikami.

April poczuła kopnięcie i położyła rękę na brzuchu.

– O mój Boże, ale kopie. Już wcześniej czułam delikatne ruchy dziecka, ale nie tak zdecydowane jak teraz. – Spojrzała na Violet. – Chcesz dotknąć?

Violet lekko się zawahała, nim zrobiła krok w jej stronę i wyciągnęła rękę. April położyła jej dłoń na swoim brzuchu i spytała:

– Czujesz?

Violet skinęła głową i April odniosła wrażenie, że jej oczy zaszyły łzami.

Szefowa szybko cofnęła rękę i powiedziała:

– Czyli nawet ona uważa, że *Rewia Vintage* to dobry pomysł.

– Nie wiem, czy to ona. Kilka tygodni temu zrobiłam USG, ale nie chciałam poznać płci dziecka.

– USG? Czy pojawiły się jakieś niepokojące objawy?

– Nie – uspokoiła ją April. – To było standardowe badanie kontrolne. Ale nie będę miała więcej USG. Moje ubezpieczenie pokrywa koszt tylko jednego, chyba że dojdzie do jakichś komplikacji.

Violet spojrzała na brzuch April.

– Według mnie to dziewczynka.

– Skąd wiesz?

– Intuicja.

– Zobaczymy. – April wróciła do pomysłu na zdobycie pieniędzy. – No więc jeśli mamy zorganizować ten pokaz mody, musimy sporządzić budżet, oszacować, ile będzie kosztowała promocja, wydrukowanie programów...

– Może powinniśmy zwrócić się do tej aktorki, która jakiś czas temu przyniosła swoje kostiumy, czy nie zechciałaby się w to włączyć? Przypuszczam, że ktoś, kto ma w szafie stopy kostiumów teatralnych, orientuje się choć trochę, jak zorganizować pokaz. Przynajmniej wie na ten temat więcej od nas. Jak jej na imię? – spytała Violet.

– Lane. Nie pamiętam jej nazwiska, ale mamy namiary do niej. Zapisałam je na wypadek, gdybyśmy chciały kupić od niej więcej kostiumów. A nawiasem mówiąc, nadal uważam, że sprzedaż kostiumów to dobry pomysł.

Violet jakby nie dosłyszała ostatniego zdania.

– Zadzwońię do niej – postanowiła. – Jeśli chodzi o modelki, muszą być w różnym wieku. Nie tylko młode dziewczyny. Młode dziewczyny nie mają pieniędzy, by wziąć udział w aukcji. Chcę, żeby starsze panie mogły sobie wyobrazić, jak wyglądałyby w prezentowanych strojach, a zatem muszą zobaczyć na wybiegu osoby w swoim wieku.

April zmarszczyła czoło.

– Nie wyobrażaj sobie siebie również w tym, co zobaczą na drag queens.

– Och, drag queens będą tylko dla hecy. Zresztą w naszym sklepie znajdzie się niewiele rzeczy w ich rozmiarze. Będziemy musiały trochę improwizować, ubierając je. Przejrzymy wszystko, co jest na zapleczu. A przy okazji zrobi się remanent.

– À propos remanentu... – April wyjęła laptop ze skórzanej torby, wyczuwając okazję, by porozmawiać, jakie poczyniła postępy, jeśli chodzi o rejestry Violet. – Ściągnęłam kilka programów księgowych i do spisu inwentaryzacyjnego, które według mnie pomogą ci prowadzić sklep.

Violet była zaskoczona.

– Nie musisz nic kupować na potrzeby sklepu – powiedziała. – Nic ci nie płacę, poza tym będziesz miała wydatki związane z dzieckiem...

– Naprawdę nie ma sprawy. – April machnęła ręką. – Programy są darmowe. Zresztą dzięki temu znacznie ułatwię sobie życie. Twój system spisywania inwentarza na papierze stresuje mnie. Potrzebuję czasu, by znaleźć to, co mnie interesuje. A lekarka mówi, że stres nie jest dobry dla dziecka.

– To jest argument. – Oczy Violet lekko przygasały, ale głos miała opanowany. – Dziękuję. Ale będziesz musiała nauczyć mnie z niego korzystać. I chyba trzeba przynieść tu mój komputer. Mam nadzieję, że dam radę go podłączyć.

– Pomogę ci – zaofiarowała się April. – A na razie możemy korzystać z mojego laptopa.

– Chcesz razem ze mną przejrzeć to, co mamy? – spytała Violet.

April skinęła głową i poszły obie na zaplecze. Po chwili siedziały już na podłodze, a stos pustych płóciennych pojemników wokół nich rósł w miarę, jak przeglądały ich zawartość. Chińskie szlafroczyki w kolorach intensywnej czerwieni i różu, suknie Halstona na jedno ramię, sute spódnice z lat pięćdziesiątych z bawełny w pastelowych kolorach. Ubrania roztaczały kwiatowy lub drzewny zapach, bo Violet wkładała do pudeł kawałki drewna cedrowego i woreczki z lawendą, by odstraszać mole.

– Co to takiego? – April wyjęła kreację z granatowej tafty. Wstała i uniosła rękę, ale tkaninie nie było końca.

– To wieczorowa suknia Diora – wyjaśniła Violet.

April ostrożnie rozpostarła na roboczym blacie chłodną marszczoną tkaninę i wygładziła fałdy. Tafta była w kwiatowy deseń, każdy płatek obszyto czarnym aksamitem i srebrnymi nićmi. Stanik bez ramiączek ozdabiała olbrzymia kokarda.

– Skąd ją masz? – spytała April. – I dlaczego nie wisi w sklepie?

– Przez pewien czas wisiała na jednym z manekinów – odparła Violet. – Ale nikt nie chciał jej kupić, więc zdjęłam. Dostałam ją od żony byłego kongresmena. Miała ją na sobie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku na balu podczas inauguracji pierwszej prezydentury Eisenhamera.

– Dlaczego pozbyła się czegoś takiego?

– Właściwie to dość zabawna historia. Jej mąż był zagorzałym republikaninem, a ona wspierała demokratów. Kupując od niej suknię, podobnie jak ty teraz zapytałam, czemu się jej pozbywa. „Bo głosowałam na Stevensona”, oświadczyła.

– Jest cudowna. – April przyłożyła suknię do siebie. – Wykluczone, bym się w nią wcisnęła, zwłaszcza teraz. Nie mogę uwierzyć, że się nie sprzedała. Może klientki muszą ją zobaczyć na modelce, a nie tylko na manekinie. Koniecznie powinnyśmy ją zaprezentować na pokazie.

– Powinny tu być również czarne rękawiczki do kompletu.

– Oooh. – April wyjęła z pudełka parę długich, jedwabnych rękawiczek. Pochyliła się nad laptopem i wstukała opis sukni i rękawiczek do programu inwentaryzacyjnego. Otworzyła kolejne pudło, z którego wyjęła zwiewną miętowozieloną sukienkę, obszytą białą koronką, i drugą, prawie identyczną, tylko różową. – A co wiesz o tych? Czy to koszule nocne?

– To sukienki drujen z końca lat siedemdziesiątych. Możesz wierzyć lub nie, ale przyniosła je mama Karen. Do tej zielonej jest jeszcze w komplecie peleryna z kapturem.

– Chyba żartujesz. – April wyjęła pelerynę z jakiejś sztucznej tkaniny i zawiązała ją sobie wokół szyi. Podeszła do lustra w pomalowanej na złoto ramie i zmarszczyła czoło. – No cóż, peleryny to nie najlepszy strój ciężowy. Wyglądam jak hipopotam pod wielką plandeką.

– Wcale nie – zaprzeczyła Violet. – Wyobraź sobie, że mama Karen miała te sukienki na dwóch ślubach swojej przyjaciółki.

– Mam nadzieję, że przyjaciółka miała lepszy gust, jeśli chodzi o mężczyzn, niż o sukienki dla druchen.

– Obawiam się, że nie – zaśmiała się Violet. – Oba małżeństwa zakończyły się rozwodem. Mama Karen znalazła te sukienki na strychu.

April poczuła, że komórka w jej kieszeni wibruje. Wyjęła ją i spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Charlie. Rzuciła okiem na suknię druhny na swoich kolanach i przypomniała sobie swój odwołany ślub. Poczowała ból w piersiach i nagle zakręciło jej się w głowie. Ściskając telefon w dłoni, pobiegła do łazienki dla personelu i zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na sedesie i nisko spuściła głowę. Trochę przeszkadzał jej brzuch.

Jej komórka znów zawibrowała, informując o nadejściu wiadomości głosowej. Wiedziała, że jeśli jej wysłucha, tylko bardziej się zdenerwuje, ale automatycznie nacisnęła guzik i przytknęła komórkę do ucha.

– Cześć, to ja – rozległ się znajomy głos. – Wróciłem i pomyślałem sobie, że może byśmy się spotkali. Jakiś czas temu wysłałem ci mejl. Może go nie dostałaś? A może wciąż wściekasz się na mnie. Tak czy owak, naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak wyglądałby ten dzień... Proszę, oddzwoń. Cześć.

Nie odpowiedziała na mejl Charliego. Wiedziała, że wrócił – myślała o tym przez cały tydzień. Z jednej strony miała nadzieję, że wpadnie na niego przypadkiem, a z drugiej wciąż była na niego zła.

Odetchnęła głęboko, spodziewając się, że dzięki temu serce przestanie jej walić jak szalone. Podczas ostatniej wizyty kontrolnej lekarka ją ostrzegła, jak niekorzystnie wpływa na płód kortyzon, hormon stresu. Jak przenika przez łożysko i wywołuje stres również u dziecka.

– Unikać denerwujących sytuacji – powiedziała doktor Hong. – A jeśli już znajdziesz się w takiej sytuacji, wyjdź z pokoju albo wyobraź sobie, że jesteś gdzie indziej.

Rada doktor Hong miała jeden minus. Kiedykolwiek April próbowała sobie wyobrazić, że jest gdzie indziej, widziała siebie z Charliem, opiekuńczo obejmującym ją ramieniem. I stres jeszcze się pogłębiał.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Wszystko w porządku? – spytała Violet.

April otworzyła drzwi i skinęła głową, zawstydzona swoją reakcją. Ostatecznie była w pracy i bardzo chciała, żeby Violet traktowała ją poważnie.

Violet przechyliła głowę.

– Chcesz porozmawiać? W tej pracy trzeba umieć słuchać historii opowiadanych

przez ludzi. Jestem w tym dość dobra.

– Zadzwoił Charlie. – April z ulgą stwierdziła, że Violet wcale nie jest poirytowana jej zachowaniem.

– Charlie, przez którego zwróciłaś suknię ślubną?

– Tak. Dziś miał być nasz ślub. – April wzięła ze stołu kawałek bibułki i zaczęła ją nerwowo drzeć. – Nie chciałam, żeby był wystawny. Chciałam wziąć ślub w parku. Potem byłby grill dla grupki przyjaciół. Tymczasem nawet nie mogłam wysłać oficjalnych zaproszeń ślubnych do koleżanek z liceum. To dziwne, prawda? Od wielu lat nie widziałam swego taty, więc akurat jego i tak nie zamierzałam zapraszać. Jednak rodzice Charliego zatrudnili organizatorkę ślubów. Zarezerwowali salę balową w swoim country klubie i zaprosili setkę swoich przyjaciół.

– Wiem, jak śluby potrafią wymknąć się spod kontroli – westchnęła Violet. – Gdyby moi rodzice mieli pieniądze, prawdopodobnie zaprosiliby na mój ślub wszystkich mieszkańców hrabstwa. Ale ważne, żeby robić to, co jest dobre dla ciebie. Czy rodzice Charliego byli rozczarowani, kiedy nic nie wyszło ze ślubu?

April pokręciła głową.

– Właśnie w tym kłopot. Nie lubili mnie. Nie chcieli, żebyśmy się pobrali. Okazało się, że ślub nie jest ważny z uwagi na Charliego czy na mnie, tylko żeby mogli się popisać, pokazać, na co ich stać. – Spojrzała na telefon, który wciąż trzymała w dłoni, i nacisnęła guzik, kasując wiadomość od Charliego. – Nie odebrałam, kiedy zadzwonił. Chce się ze mną spotkać, ale chyba nie umiem się na to zdobyć.

April zdziwiła się, gdy Violet, zwykle taka powściągliwa, rozpostarła ramiona i ją przytuliła.

### *MIESIĄC WCZEŚNIEJ*

Charlie gapił się na swoje podanie o pożyczkę studencką widoczne na ekranie komputera.

– Nie wiem, jak ja to spłcę.

– Musimy się nad tym zastanowić. – April wsparła się łokciami o kuchenny stół, myśląc z ukłuciem bólu, ile razy jej mama siedziała przy tym samym stole, przeglądając zaległe rachunki i wypisując antydatowane czeki. April i jej matka nigdy nie miały nic poza domem, który przypadł im po rozwodzie, i sobą nawzajem. Istniejąca między nimi więź była jedną z niewielu stałych w równaniu pełnym zmiennych, gdyby przedstawić ją pod postacią równania algebraicznego.

Natomiast Charlie nigdy nie musiał myśleć o pieniądzach. Aż do tej pory. April martwiła się, jak to wpłynie na ich relacje, nie mówiąc już o dziecku w drodze i obowiązkach studenta medycyny.

– Powiedz mi jeszcze raz, jakie jest oprocentowanie pożyczki – poprosiła April, biorąc krakersa i kawałek sera ze stojącego przed nią talerza. Ostatnio ciągle była

głodna. I o wszystkim zapominała. To, że niewiele spała i musiała kilkakrotnie wstawać w nocy, żeby zrobić siusiu, też nie wpływało dobrze na jasność myślenia.

– Nawet nie próbuj dodać wszystkiego w tym swoim matematycznym umyśle. – Na zmartwionej twarzy Charliego pojawił się uśmiech. – Uwierz mi, że wolałabyś tego nie wiedzieć.

Położył dłoń na jej udzie i April poczuła przez legginsy jego gorącą skórę. Uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Skończmy wypełnianie tego podania, żebyśmy mogli się zająć... czymś zabawniejszym.

Wzdychając, położył obie dłonie na klawiaturze.

– Nie rozumiem, dlaczego rodzice nie mogą mi pomóc z chesnym. Mają mnóstwo pieniędzy, które wydają wyłącznie na grę w golfa.

Wzmianka o rodzicach Charliego sprawiła, że ciepłoko, które rozchodziło się po jej ciele, w jednej chwili zniknęło.

– Wiem, dlaczego nie chcą ci pomóc – powiedziała April. – Chociaż twoja mama zatrudniła organizatorkę ślubów, i tak nie podoba im się, że się pobierzemy.

Charlie wykrzywił usta.

– Nie sądzę, żeby miało to związek konkretnie z tobą. Chodzi o to, że osiemnastoletnia narzeczona, która na dodatek jest w ciąży, kłóci się z ich marzeniem, żebym poślubił jeżdżącą konno i grającą w tenisa arystokratkę z Wellesley albo Mount Holyoke.

April ugryzła krakersa. Zwykle starała się nie poruszać delikatnej kwestii różnicy ich pochodzenia. Ale dziś czuła się tak zmęczona, że przestała mieć się na baczności. Rozsiadła się na swoim krześle.

– Założę się, że gdybyś ze mną zerwał, twoi rodzice wypisałiby ci czek na pokrycie chesnego.

– Nieważne, czego chcą moi rodzice – mruknął Charlie.

– Chwileczkę, czy rzeczywiście ci to zaproponowali? – April nie wiedziała, dlaczego o to zapytała. Była niemal pewna odpowiedzi.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Skończmy wypełniać ten formularz.

April wiedziała, że dolewa oliwy do ognia, ale nie umiała się powstrzymać. Nie miała pojęcia, czy sprawiły to hormony, czy bezsenność, ale hamulce, które zwykle jej nie zawodziły, przestały działać.

– Słuchaj no – powiedziała. – Skoro zamierzamy się pobrać, nie możemy mieć przed sobą tajemnic.

Charlie zamknął swój laptop.

– Świetnie. A więc tak. Moi rodzice zakomunikowali mi, że zapłacą za moje studia medyczne, jeśli z tobą zerwę. Czujesz się lepiej, wiedząc to?

Jasne, że nie. Chociaż April domyślała się tego, i tak zabolalo ją, gdy jej

podejrzenia się potwierdziły. Rodzice Charliego nie byli zachwyceni ich zaręczynami, ale ostatnio jakby się z tym pogodzili. Nie określiłaby swoich stosunków z państwem Cabotami jako ciepłe, ale przynajmniej Judy przestała sprawiać wrażenie, jakby zaraz miała się rozplakać, kiedy w pobliżu pojawiała się April.

– Rety. – April odetchnęła głęboko. – I pomyśleć, że w ostatnią sobotę całe popołudnie próbowałam ciasteczek z twoją mamą.

– Dlaczego cię to dziwi? Moi rodzice zawsze starają się przejąć kontrolę nad innymi, wykorzystując swoje pieniądze. – Charlie pokręcił głową. – Chyba czasami zapominam, jaka jesteś młoda. Jeszcze nie miałaś okazji się przekonać, jakimi ludzie potrafią być dupkami.

– Och, szybko się uczę. – April zapłonęły policzki. – Wiem, że jestem młoda, ale musiałam rozwiązywać wiele problemów, o których ty nie masz pojęcia, więc nie rozumiem, co wiek ma tu do rzeczy.

– Daj spokój, nie chcę się licytować, kto ma większe problemy. Wygrałaś. – Charlie zacisnął powieki i pociągnął długi kosmyk jasnych włosów opadających mu na uszy.

*Powinien się ostrzec*, pomyślała April. Ostatnio oboje byli tacy zajęci – jego studiami, jej szkołą, dzieckiem, ślubem – że nawet zwykłe obowiązki wymagały ogromnego wysiłku.

– Obydwoje jesteśmy zestresowani – powiedział Charlie, jakby czytając w jej myślach. – Skupmy się na tym, co ważne, to znaczy na tym, żebyśmy byli razem, dobrze?

– Dobrze. – April poczuła, że się trochę odprężyła. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo napięła mięśnie ramion.

– Wezmę kilka pożyczek studenckich – oświadczył. – Wielu ludzi tak robi. Mam nadzieję, że kiedyś będę zarabiał na tyle dużo, by je spłacić. Wszystko będzie dobrze.

April skinęła głową.

– Wiesz, pomyślałam, że kiedy uporam się ze wszystkimi długami mamy i sprzedam dom, przeznaczymy to, co zostanie, na twoje czesne.

– A co z twoim czesnym?

– Mam stypendium.

– Tak, ale tylko na Uniwersytecie Wisconsin. A jeśli przeniesiesz się na uczelnię gdzieś pod Bostonem, żeby być bliżej mnie, jak o tym rozmawialiśmy? Wtedy ty też będziesz musiała wziąć pożyczkę. – Charlie przechylił głowę na bok. – Zresztą kiedy spłacisz dług swojej mamy, zostanie niewiele ze sprzedaży domu.

– Dostanę też trochę pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej.

Charlie zmarszczył czoło.

– Chyba nie masz co na nie liczyć. Czy nie mówiłaś, że towarzystwo ubezpieczeniowe nadal czeka na jakieś dokumenty od koronera?



– Tak. Sekcja zwłok była niejednoznaczna. – Mięśnie ramion April znów się napięły. – Koroner nie mógł ustalić przyczyny śmierci, ponieważ samochód był kompletnie zmiądzony.

Wiedziała, o czym Charlie myśli – że może to wcale nie był nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że samochód jej matki nie zjechał sam z oblodzonej estakady. April rozważała taką ewentualność. To było silniejsze do niej. Nocami, kiedy nie mogła spać, trudno jej było uciec od tych myśli. Ale samej rozważać takie czarne scenariusze to co innego niż słuchać, jak mówi to jedyny człowiek, który kochał ją równie mocno jak matka.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe może odmówić wypłacenia pieniędzy – westchnął Charlie. – I tyle.

– Jeśli twierdzisz, że mogą odmówić wypłacenia pieniędzy, bo uważasz, że moja mama popełniła samobójstwo, to powiem ci, że ja też się nad tym zastanawiałam. – Głos April zabrzmiał ostro, napastliwie. – Ale wiem, że nigdy by tego nie zrobiła. Miała problemy, ale nie posunęłaby się tak daleko.

Charlie wzruszył ramionami.

– W porządku.

– Nie wierzysz mi, prawda?

– To, co myślę, nie ma znaczenia.

– Ma znaczenie. Dla mnie. – April wstała od stołu i zaczęła krążyć po kuchni. Aż się wzdrygnęła, czując pod bosymi stopami zimne płytki. Nie wiedząc dokładnie, co się stało tego wieczoru, kiedy jej mama miała wypadek, zadrezczała się pytaniami bez względu na to, jak bardzo starała się o tym nie myśleć. No i fakt, że była w ciąży, też miał wpływ na to, że trudniej jej było panować nad emocjami.

– Nie powinienem poruszać tego tematu. – Charlie ukrył twarz w dłoniach. Kiedy znów na nią spojrzął, spytał: – Jak mogę to naprawić?

A więc *to tak*, pomyślała April. Charlie dorastał w świecie, gdzie podpis na czeku czy zleceniu wypłaty leczył większość ran. Nie wiedział, jak to jest, kiedy człowiek się zastanawia, czy znów wyłączy telefon, albo budzi się każdego ranka z pytaniem, czy czeka go dobry, czy zły dzień w zależności od wahań nastroju mamy.

– Jeśli sądzisz, że jest na to prosty sposób, że pieniądze albo jakieś zaklęcie rozwiążą wszystkie nasze problemy, to może jesteś bardziej podobny do swoich rodziców, niż sądziłam – oświadczyła.

Teraz i Charlie wstał.

– Nie jestem nic a nic do nich podobny. Zresztą to, że moi rodzice nie muszą się martwić, z czego zapłacą rachunki, nie znaczy, że nie mają żadnych problemów. Czasami wydaje mi się, że dorastanie w zamożnej rodzinie może na swój sposób utrudniać życie.

– Łatwo tak mówić, kiedy ma się pieniądze. Zobaczymy, co powiesz, kiedy nie

będziemy mieli na czynsz.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Charlie skrzyżował ręce na piersiach. – Uważasz, że bez mamusi i tatusia nie będę potrafił zarobić na życie?

– Chcę powiedzieć, że chesne za czteroletnie studia na medycynie jest bardzo wysokie. A ponieważ nigdy nie musiałeś się martwić, skąd wziąć pieniądze, nie jestem pewna, czy naprawdę wszystko dobrze przemyślałeś, odrzucając propozycję swoich rodziców.

– Nie musiałem się nad tym zastanawiać! Nie zastanawiałem się nad tym nawet przez chwilę.

– I właśnie to mnie martwi – stwierdziła April. – To takie rycerskie i romantyczne oświadczyć rodzicom, żeby się wypchali. Jak w tej piosence Sonny’ego i Cher... Jaki nosi tytuł? *I Got You Babe*. Ale przekonamy się, co będzie, kiedy zaczną się kłopoty. Nie chcę, żebyś któregoś dnia mi to wypomniał.

– Wiesz co, może to ciebie ogarnęły wątpliwości i dlatego poruszyłaś ten temat. – Charlie zacisnął usta. – Może jednak moi rodzice mieli rację.

– W jakiej kwestii?

– Że nie potrafisz się do niczego zobowiązać, jak twoja mama. Nie wytrzymała w małżeństwie z twoim tatą ani nie potrafiła zrealizować żadnego ze swych szalonych pomysłów na zrobienie interesów.

– Była chora, Charlie – wycedziła April przez zaciśnięte zęby.

Opuścił ręce wzdłuż ciała.

– Tak?! A skąd mam wiedzieć, że ty też kiedyś nie zwariujesz?

Poczuła się tak, jakby Charlie zdzielił ją pięścią prosto w brzuch. Do tej pory kłócili się o swoich bliskich, o okoliczności, w jakich się znaleźli. Teraz Charlie posunął się do osobistych wycieczek. April niczego nie bała się bardziej niż tego, że skończy jak jej mama. Nadal nie można było tego wykluczyć. Jej mama nie miała trzydziestu lat, kiedy zdiagnozowano u niej dwubiegunową psychozę afektywną.

– Masz rację – odparła lodowatym tonem. – Nie możesz wiedzieć. I przypuszczam, że nie chcesz zostać ze mną, by się o tym przekonać.

– Nie to miałem...

– Och, wiem, co miałeś na myśli – przerwała mu April, w uszach aż jej dzwoniło ze złości. – Twoje dziecko prawdopodobnie też kiedyś okaże się wariatem.

– Kurde. – Charlie walnął pięścią w stół. – Czy nie możemy zapomnieć o całej tej rozmowie? Udać, że jej nie było? – W jego głosie pobrzmiwała desperacja.

– Nie sądzę. Teraz, kiedy wiem, co naprawdę myślisz... – April napłynęły łzy do oczu. – Nie mogę z tobą żyć, codziennie bacznie siebie obserwując, zastanawiając się, czy właśnie nadszedł dzień, w którym stracę rozum. Twoi rodzice mieli rację. Powinieneś zerwać ze mną i zrobić to, co dla ciebie zaplanowali.

April miała nadzieję, że Charlie zaprotestuje, ale nie zrobił tego. Stał bez ruchu,

z ponurą miną, jakby nie wierzył w to, co się dzieje. Otworzył usta – może, żeby ją przeprosić – ale nie powiedział ani słowa, które wypełniłoby panującą ciszę.

Charlie podszedł do stołu i wziął swój laptop. Bezradnie patrzył na April kilka nieskończenie długich chwil. Potem zgarbił się i wyszedł bocznymi drzwiami.

Gdy tylko została sama, wzięła talerz ze stołu i cisnęła nim o podłogę. Odłamki szkła i pokruszone krakersy rozprysły się we wszystkie strony. Dotarło do niej, że jej rodzice prawdopodobnie kłócili się w tej samej kuchni, chociaż kiedy się rozstali, była zbyt mała, by zapamiętać jakiegokolwiek szczegóły. Natomiast doskonale pamiętała, jak dorastała z przeczuciem, że więzi rodzinne są kruche, a niektórzy, tak jak jej ojciec, potrafią zastąpić jedną rodzinę drugą.

Tamtej nocy położyła telefon tuż przy łóżku. Przekręcała się z boku na bok, nie mogąc spać. Mogła zadzwonić do Charliego, ale to oznaczałoby, że czuje się bardziej winna od niego. Bładym świtem, nim wzeszło słońce, postanowiła, że nie zadzwoni.

To miała być próba. Próba przekonania się, czy Charlie potrafi kochać ją bezwarunkowo, na przekór prawom genetyki, trudnościom finansowym i chorobie psychicznej jej zmarłej matki. To był test i bardzo chciała, żeby Charlie go zaliczył, ale nie mogła mu w tym pomóc.

Następnego dnia serce prawie przestało jej bić, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Nie potrafiła ukryć rozczarowania, kiedy, otworzywszy je, zobaczyła jakiegoś działacza politycznego ściskającego ulotki kandydata Partii Zielonych w wyborach do stanowego senatu. Niemal zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem kierowcy UPS i dzieciaków sprzedających lizaki. Wszyscy się do niej uśmiechali, nieświadomi, że nie na nich czeka. Chciała mieć szansę na normalną rodzinę, a z każdym dniem bez wiadomości od Charliego ta szansa malała.

April nienawidziła czekać. Nienawidziła poczucia bezsilności, które rodziło czekanie. Ale jeszcze bardziej nienawidziła wniosku, do którego doszła – że nie może polegać na Charliem bardziej niż na innych, których kochała w swoim osiemnastoletnim życiu.

April przestała czekać, kiedy zajrzała do skrzynki pocztowej i między reklamowymi ulotkami z dyskontów i zawiadomieniami od poborców należności, wciąż jeszcze adresowanymi na jej mamę, znalazła kopertę koloru kości słoniowej z wykaligrafowanym adresem. Jako nadawcy figurowali „Charles Cabot III z małżonką”. Rozerwała kopertę i wyjęła z niej kartonik. Na nim czarnym atramentem wypisano wiadomość, że ślub został odwołany.

# ROZDZIAŁ ..... II .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Torebka*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata pięćdziesiąte*

STAN: *Dość dobry*

OPIS: *Torebka ze słomki, ozdobiona sztucznymi kwiatami. Na spodzie torebki słomka nieco wystrzępiona*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Zakupiona od przyjaciółki Betsy Barrett*

## VIOLET

Kiedy nazajutrz Violet weszła do sklepu, od razu zauważyła, że April wygląda na zmęczoną. Było jej żal dziewczyny – żal, że doznała takiego zawodu miłosnego. Ale jednocześnie z lekką zazdrością stwierdziła, że chociaż brzuch April z każdym dniem staje się większy, to należy ona do tych szczęśliwych kobiet, które w ciąży nie tyją.

Betsy Barrett, siedząca w jednym z pomarańczowych foteli przed przebieralnią i kartkująca jakieś czasopismo, zamachała do Violet.

– Cześć, Betsy – powitała ją Violet. – Co cię dziś do mnie sprowadza?

Betsy chwyciła się swoimi powykręcanymi artretyzmem dłońmi poręczy fotela, by wstać.

– Nie musisz wstawać – powiedziała Violet, podchodząc do niej. – Mam nadzieję, że nie czekałaś długo.

– Świetnie się bawiłam. – Betsy wskazała zdjęcie młodej kobiety reklamującej perfumy. Na łopatkach miała skomplikowany tatuaż o tematyce morskiej z syrenami i żaglowcem prującym zielone fale. – Ten statek dawno temu by zatonął, gdybym ja go sobie wytatuowała.

Violet roześmiała się i odgarnęła niesforny kosmyk włosów za ucho, po czym przytrzymała go spinką wysadzaną strasami.

– A więc co cię dziś do mnie sprowadza?

– Mam dla ciebie kilka rzeczy w samochodzie, lecz ktoś musi mi pomóc je wnieść. April zaproponowała, że to zrobi, ale w jej stanie nie powinna dźwigać ciężkich toreb.

– Sama je chętnie przyniosę – oznajmiła Violet. – Zaraz wracam, April.

Betsy dała jej kluczyki, mówiąc:

– Stańłam tuż obok parkomatu.

Violet wyszła na ulicę i rozejrzała się, słysząc dźwięki skrzypiec. Uliczni

grajkowie jak co dzień sterczeli na rogu. Ten, który grał na organkach, dotknął róna kapelusza na jej widok, a Violet mu pomachała.

Zobaczyła srebrnego mercedesa Betsy, zaparkowanego przed punktem naprawy rowerów obok jej butiku. Przez szybę dostrzegła na tylnym siedzeniu kilka toreb na zakupy. Otworzyła drzwiczki i, nachyliwszy się po nie, zauważyła między przednimi fotelami kartkę z nagłówkiem *Ośrodek Leczenia Nowotworów Turtle Bay*. Jej oczy zaszyły łzami. Czym prędzej złapała torby i postawiła je na chodniku.

Otarła oczy rękawem, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć Betsy, co zobaczyła. Nie chciała wyjść na osobę wścibską, ale z drugiej strony Betsy zostawiła kartkę na widoku i poprosiła o przyniesienie toreb z jej samochodu, jakby chciała, by Violet ją dostrzegła. Violet nie była pewna, jak należało się zachować w tej sytuacji. Z jednej strony trudno byłoby udawać, że o niczym nie wie. Z drugiej chciała uszanować prawo przyjaciółki do prywatności.

Chwyciła torby i zaniósła je do sklepu. April ścierała kurz ze szklanych przedmiotów na wystawie, a Betsy coś jej opowiadała.

– ...więc im oświadczyłam, że jeśli nie wprowadzą zakazu udziału rodziców w przesłuchaniach, nie dam więcej grosza na program *Młody Szekspir*. – Betsy pokręciła głową. – Słowo daję, że patrząc na zachowania rodziców, można by pomyśleć, że to Broadway.

Na dźwięk głosu przyjaciółki Violet ścisnęło w gardle. Betsy wyglądała dobrze – może trochę schudła, ale zawsze była szczupła.

April odstawiała szklaną wazę i położyła ręce na brzuchu.

– Będę musiała nauczyć się gryźć w język, kiedy to małe zacnie się udzielać w kółkach zainteresowań.

– Zobaczmy, co my tu mamy. – Violet położyła torby Betsy na ladzie i zaczęła oglądać ich zawartość.

– Och, nie spiesz się z tym – powiedziała Betsy. – Wrócę później. Jestem umówiona.

Te słowa sprawiły, że Violet jeszcze bardziej zaniepokoiła się o przyjaciółkę. Ścisnęła Betsy na pożegnanie nieco mocniej niż zwykle.

– Miło mi było znów cię zobaczyć.

Kiedy zostały same, April podeszła do kasy.

– Wkrótce chyba będę musiała wziąć wolny dzień. Nie masz nic przeciwko temu?

– Skądże. Chcesz się rozerwać?

– Muszę przejrzeć rzeczy mojej mamy. Próbowałam to robić po pracy, ale ostatnio czuję się taka zmęczona, kiedy docieram do domu, że wcześniej się kładę. Mój agent obrotu nieruchomościami poinformował mnie, że wszystkie te graty odstręczają potencjalnych nabywców oglądających dom.

– Pomóc ci?

- To głównie rupiecie. Chyba przekażę wszystko do Goodwill.
- To samo powiedziała moja mama po śmierci babci. Ale te rzeczy są rupieciami tylko wtedy, kiedy nie wiesz, co z nimi zrobić. Poza tym jeśli jest coś cięższego, co wymaga dźwigania, mogę cię w tym wyręczyć.
- Jesteś bardzo troskliwa – stwierdziła April. – Mówisz jak moja lekarka.
- Cóż, wiem, że sama potrafisz dużo zrobić. Ale przyjęcie od czasu do czasu pomocy to nic uwłaczającego.
- April podparła się pod boki.
- Sama powinnaś stosować się do swoich rad.
- Pracuję nad tym.

\*

Sam Lewis zadzwonił do Violet 4 lipca, żeby jej powiedzieć, że niebieski toczek z woalką zrobił furorę wśród uczniów. Spytał również, czy ma ochotę obejrzeć z nim pokaz sztucznych ogni wieczorem. Przyjęła zaproszenie i przypomniała sobie gęsią skórkę, której dostała, gdy ich dłonie przypadkiem się zetknęły. Minęły dwa tygodnie i Violet straciła już nadzieję, że Sam się z nią skontaktuje. Była zadowolona, że się myliła.

Tamtego wieczoru zamknęła sklep i pobiegła na górę przymierzyć kilka różnych strojów na randkę. Wszystkie po kolei odrzucała, aż utworzyły spory stos na łóżku. Miles, zirytowany, że zajęła mu ulubione miejsce do drzemki, prychnął naburmuszony i przeniósł się na kanapę w salonie. Ostatecznie Violet zdecydowała się na strój nieco retro, nieco patriotyczny – sukienkę w niebiesko-białe paski z dopasowaną górą i rozkloszowanym dołem. Miała krótkie rękawy, więc widać było tatuaż Violet na ramieniu. Do sukienki włożyła pasek z czerwonej skóry, który ładnie podkreślał jej krągłości.

Nim Sam po nią przyjechał, Violet przypominała kłębek nerwów. Nie wiedziała, dlaczego tak się niepokoi. Po rozwodzie spotykała się z różnymi mężczyznami, głównie poznanymi dzięki portalom randkowym albo narajonymi przez przyjaciółki. Ci drudzy zwykle byli źródłem największych rozczarowań. Violet wiązała z nimi wielkie nadzieje, ale z czasem zaczęła bać się zdania: „Znam pewnego samotnego faceta”. Na ogół oznaczało to, że ów facet jest jedynym singlem, którego zna jej przyjaciółka.

Ale Violet i tak chodziła na kawę, na drinki, czasami nawet na kolację i do łóżka z różnymi facetami. Spotykała się z intelektualistami i obieżyświatami, nudziarzami i prostakami, neurotykami, mężczyznami z tytułami naukowymi bądź dzieciatymi. Ale już od dawna nie spotykała się z kimś naprawdę interesującym. Nie poczuła nagłej fali podniecenia, takiej jak wtedy, kiedy zadzwonił Sam. Ale i tak miała wątpliwości. Nie wiedziała, czy to odpowiednia pora na nowy romans. W tej chwili całą uwagę powinna skupić na swoim sklepie. I w przeciwieństwie do innych randek,

tym razem nie była ona wynikiem komputerowego algorytmu ani zabiegów życzliwej przyjaciółki. Jeśli coś wyjdzie nie tak, będzie mogła mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Rozległo się pukanie. Miles zaszczekał i podbiegł do drzwi. Na progu stał Sam w dżinsach i koszuli. W ręce ścisnął bukiet słoneczników.

– Cześć. – Uśmiechnął się i wręczył jej kwiaty.

– Dziękuję. Są śliczne. – Violet aż się spociła z wrażenia; miała nadzieję, że na bawełnianej sukience nie powstały mokre plamy pod pachami.

– Jesteś gotowa?

– Tak. Tylko wezmę torebkę. Wejdź, proszę.

Sam ruszył za nią do kuchni. Violet wsadziła kwiaty do starego wazonu z rżniętego szkła, a potem pobiegła do swojej sypialni po torebkę ze słomki. Przerzuciła do niej zawartość torebki, którą zwykle nosiła, złapała rozpinany sweter, a potem zeszła za Samem na tył budynku, gdzie zaparkował swojego subaru kombi z bagażnikiem na rower na dachu.

Violet wołała podrasowane wozy, stare roadstery i cadillaki, ale musiała przyznać, że subaru pasuje do Sama. Był mocny, ale nie ostry, i dawał sobie radę w różnych sytuacjach.

Wsiedli i Sam skręcił w Johnson Street.

– Pomyślałem, że moglibyśmy kupić sobie coś do jedzenia na pokaz sztucznych ogni.

– Czemu nie? – zgodziła się Violet. – Świetny pomysł.

Sam pojechał w stronę Capitol Square, gdzie w ogródkach barów i kawiarni w zapadającym zmroku rozbrzmiewała muzyka. Weszli do delikatesów z serami, gdzie każde z nich spróbowało kilka gatunków, nim zdecydowali się, które kupić. Sam wolał świeże sery kozie i kremowy brie, natomiast Violet przepadała za długo dojrzewającymi gatunkami, stiltonami i gorgonzolą z niebieskimi żyłkami. Nie zapomniała też o miętówkach po ich zjedzeniu. Nie chciała mieć brzydkiego zapachu z ust podczas randki.

Chociaż całe życie mieszkała w Wisconsin, nigdy nie była w delikatesach specjalizujących się w sprzedaży serów. Poczowała ulgę, że może skupić się na czymś konkretnym, a nie tylko siedzieć naprzeciwko Sama przy restauracyjnym stoliku i prowadzić rozmowę, która się nie klei. Violet roześmiała się, kiedy Sam zmarszczył nos na widok śmierdzącego limburgera, a potem rzucał zabawne uwagi w rodzaju „O, tak, czuję koniczynę, którą jadła owca”.

Po zaciętej dyskusji zdecydowali się na dojrzwały gruyère, miękki chèvre i świeżą goudę z kozieradką. Ekspedientka, mówiąca z francuskim akcentem, pomogła im wybrać butelkę wina i krakersy, oliwki i małe pudełko ręcznie robionych czekoladek.

Kiedy wrócili z prowiantem do samochodu, Violet czuła się mniej zestresowana,

niż gdy ujrzała Sama na progu swego mieszkania.

– Fajny sklep – powiedziała. – Wprost nie do uwierzenia, że nigdy wcześniej w nim nie byłam.

– Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli postawimy przed sobą jakieś zadanie do wykonania, bo dzięki temu będziemy mniej skrępowani – przyznał Sam. – Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz zaprosiłem dziewczynę na randkę.

Violet była pod wrażeniem, że Sam zastanowił się wcześniej, co zrobić, by obydwójce czuli się jak najlepiej.

– Świetny pomysł.

– Och, jest jeszcze coś, co chciałbym zrobić, zanim ruszymy na pokaz sztucznych ogni.

– Co takiego?

Sam nachylił się i pocałował Violet, wolno i namiętnie, dopiero potem uruchomił silnik.

Violet na chwilę odjęło mowę. Kiedy w końcu odzyskała głos, powiedziała:

– Rety. Zwykle robi się to pod koniec pierwszej randki.

– Nie mogłem się doczekać. – Sam wytrzymał jej spojrzenie, a potem znów utkwiał wzrok w drodze przed nimi. – Zadzwońbym do ciebie i zaproponował spotkanie zaraz po tym, jak zobaczyłem cię w sklepie, ale następnego dnia wyjechałem na wólcę z plecakiem ze starym kumplem z uczelni. Przez ostatnie dwa tygodnie byłem poza miastem.

– Nie szkodzi – powiedziała Violet. – Warto było poczekać.

W parku Winnequah, gdzie miał się odbyć pokaz fajerwerków, mnóstwo ludzi rozłożyło już koce na trawie. Dzieciaki wymachiwały zimnymi ogniami i błagały rodziców, by kupili im lody na patyku od handlarzy krążących między składanymi krzeselkami i lodówkami turystycznymi. Kiedy Violet i Sam szli przez trawnik, szukając miejsca, gdzie mogliby usiąść, robaczki świętojańskie unosiły się nad ziemią niczym iskry.

– Może tutaj? – Sam zatrzymał się na małym wzniesieniu kilka metrów od tłumów.

– W sam raz – powiedziała.

Nadal czuła miłe ciepło w środku po tym niespodziewanym pocałunku. Usiedli po turecku na przyniesionym przez Sama kocu i popijali wino, czekając, aż zapadnie zmrok.

– Czyli zapamiętałeś mnie z Bent Creek – zaczęła Violet. – Czy tylko dlatego, że chodziłam z Jedem?

– Nie... Właściwie tak. Wszyscy znali Jeda. A ty byłaś jakaś inna. Na przykład nie ubierałaś się tak jak inne dziewczyny.

Violet się roześmiała.



– Tak, tylko ja nosiłam do szkoły futro mojej babki. Wyśmiewano się z moich strojów, dopóki nie zaczęłam się spotykać z Jedem. Potem dano mi spokój.

– A czemu wyjechałaś z Bent Creek? – Sam rozsmarował chèvre na kawałku chleba i podał go Violet. – W szkole zawsze wyglądałaś na szczęśliwą i pewną siebie.

– Naprawdę? To tylko pozory. Kłopot polegał na tym, że chciałam tego, czego według innych powinnam chcieć, nie zastanawiając się, co naprawdę daje mi zadowolenie. Chyba dlatego też tak długo byłam z Jedem. Dbając o niego, miałam cel w życiu, nie wiedziałabym, kim jestem, nie mając takiego celu.

– A teraz wiesz? – spytał Sam. – To znaczy, wiesz, co sprawia ci zadowolenie?

– Niezależność. Lubię pracować dla siebie, mieć własny sklep. Chociaż żałuję, że nie we wszystkim jestem wystarczająco dobra.

– Na przykład w czym?

Pytania były tak swobodne, a Sam miał przy tym tak sympatyczny wyraz twarzy, że Violet zapomniała, by mieć się na baczności, i odpowiedziała szczerze:

– W tym, co uważam za nudne. Komputerach i prowadzeniu rejestrów. Och, i kwestiach prawnych. Ostatnio mam kłopoty z właścicielem budynku, co bardzo skomplikowało mi życie. – Urwała, skubnęła kawałek chleba. – Boże, niezbyt dobrze się sprzedają, co?

– Nie musisz mi niczego sprzedawać. Zapomniałaś, że zaprosiłem cię na randkę?

– Sam podparł się na łokciach i wyciągnął przed siebie długie nogi.

– Violet, to ty?

Violet odwróciła głowę i zobaczyła Karen z Tomem idących w ich stronę. Karen trzymała przed sobą Edith w nosidełku.

– Cześć! – Violet zrobiła zapraszający gest. – Karen, Tomie, to Sam.

Karen zmierzyła Sama wzrokiem.

– Bardzo mi miło. A to nasza córeczka Edith.

– Daj mi ją – poprosiła Violet i wyciągnęła rękę.

Karen wyjęła dziewczynkę z nosidełka i położyła ją w ramionach Violet. Edith przez chwilę się wierała, a potem znów usnęła.

– Jesteście odważni, zabierając maleństwo na pokaz sztucznych ogni – powiedziała Violet. – Nie obudzi się?

– Och, wracamy już do domu – wyjaśnił Tom. – Chcieliśmy tylko przejść się po parku. Od czasu do czasu musimy się wyrwać z domu.

Sam uniósł butelkę wina.

– Może się napijecie?

– Nie. – Karen podziękowała. – Musimy zmykać, nim hałas obudzi małą bestię.

Violet pogłaskała zaciśniętą piąstkę Edith.

– W tej chwili nie przypomina bestii.

– Dlatego chcemy, żeby spała jak najdłużej. – Karen wzięła córeczkę od Violet

i ułożyła ją w nosidełku. Zrobiła to z taką wprawą, że maleństwo nawet się nie poruszyło. – Bawcie się dobrze.

– Do widzenia. Miło było was poznać.

Kiedy nie mogli go już usłyszeć, Sam spytał:

– Lubisz dzieci, co?

Violet nie była przygotowana na takie pytania na pierwszej randce – większość facetów poznanych za pośrednictwem portalu randkowego przechwalała się, ile zarabia, i tłumaczyła się, że zwykle nie spotyka się z osobami poznanymi przez internet, w obu przypadkach kłamiąc. Usłyszawszy pytanie o dzieci, Violet poczuła się jak na egzaminie, ale nie wiedziała, którą odpowiedź wybrać, który kwadracik zaczernić ołówkiem. Jeśli powie, że nie lubi dzieci, skłamię. Jeśli powie, że je lubi, może spłoszyć Sama.

Ostatecznie odparła więc:

– Nie. I nienawidzę szczeniactwów.

Sam się roześmiał.

– Tak, kociaki też są obrzydliwe.

Violet zerwała garść trawy i patrzyła, jak źdźbła przesypują się jej przez palce.

– To takie niesamowite widzieć Karen z dzieckiem. Ciekawa jestem, jaka będzie Edith, kiedy zacznie chodzić i mówić.

– Mam nadzieję, że będzie jej łatwiej niż mnie, kiedy byłem mały.

– Jak to?

– Jeśli w ogóle mnie pamiętasz ze szkoły, wiesz, że byłem dziwakiem. Byłem fanatykiem science fiction i *Gwiezdnych wojen* i nie miałem pojęcia, jak rozmawiać z dziewczynami.

Przechyliła głowę i spojrzała na jego twarz, taką urodziwą w zapadającym mroku.

– Tak, pamiętam – powiedziała. – Kiedy pierwszy raz przyszedłeś do sklepu, nie mogłam cię skojarzyć, ale sięgnęłam do szkolnych ksiąg pamiątkowych.

– To były trudne lata. – Sam skrzyżował ramiona i oczy mu pociemniały, przybierając tę samą barwę co lipcowe niebo.

Kilka pierwszych fajerwerków – właściwie próbnych rac – rozbłysło w górze, wszyscy wydali głośne „Oooch” i umilkli. Violet myślała o tym, z kim przestawała w szkole, jaką sprawiało im przyjemność dręczenie tych, którzy nie odznaczali się urodą, nie wyróżniali się w żadnej dyscyplinie sportowej albo nie posiadali jakiegś innej godnej pozazdroszczenia cechy.

– Wiem, że Jed i jego paczka dokuczali ci – odezwała się. – Przepraszam, że ich nie powstrzymałam.

– Nie ma o czym mówić. – Sam machnął ręką. – Zresztą nie przypominam sobie, żebyś brała w tym udział. Zawsze trzymałaś się nieco z boku.

– Tak, ale byłam trochę bezmyślna. Tak czy owak, przykro mi, że było ci tak

ciężko jako dziecku.

– Cóż, teraz całkiem nieźle radzę sobie w życiu, nie musisz się nade mną użalać. Chyba że w związku z tym się ze mną prześpisz, wtedy lituj się nade mną, ile tylko chcesz.

Oglądając pokaz sztucznych ogni, Violet zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się uciec od Bent Creek. Chociaż bardzo się starała zamknąć tamten rozdział, od czasu do czasu coś przypominało jej o minionych latach. Żyła swoim życiem, gdy nagle potykała się o jakieś wspomnienie z młodości.

Violet popatrzyła na Sama, którego twarz to pojawiała się, to znów znikwała w migotliwym świetle, i ponownie zadała sobie pytanie, dlaczego w szkole nie zauważyła jego dobrych oczu ani zaraźliwego uśmiechu. Była zbyt pochłonięta tym, by akceptowano ją jako członka paczki Jeda. Upłynęły lata, nim zebrała się na odwagę, by ocenić, kim jest bez nich.

Po olśniewającym, ogłuszającym wielkim finale niebo przesłoniła tak gęsta chmura dymu, że Violet przestała cokolwiek widzieć.

Sam musiał zauważyć zmianę jej nastroju, bo odwożąc ją do domu, spytał:

– Dobrze się czujesz?

Violet skinęła głową.

– Chyba cała ta rozmowa o Bent Creek nasunęła mi nie najlepsze wspomnienia z tamtego okresu.

– Cóż, Bent Creek jest teraz wiele kilometrów i wiele lat od nas – powiedział, zatrzymując samochód na parkingu za jej domem. – Skupmy się na chwili obecnej.

– Jak ty to robisz?

– Co?

– Skupiasz się na chwili obecnej i nie rozmyślasz o żadnych przykrych wydarzeniach z przeszłości ani nie martwisz się o przyszłość.

Sam wyłączył silnik.

– Otóż najpierw trzeba zrobić to. – Nachylił się do Violet i pocałował ją w szyję.

Violet poczuła falę ciepła w całym ciele.

– Mmm-hmm – mruknęła. – Co jeszcze?

– To. – Pocałował ją w szyję z drugiej strony, a potem w usta. Letnia noc była gorąca i Violet musiała użyć całej siły woli, żeby nie usiąść Samowi na kolanach i nie objąć go nogami.

– Wciąż mam kłopot ze skupieniem się na chwili obecnej – szepnęła, uśmiechając się zalotnie. – Chcesz wejść na górę i pomóc mi jeszcze trochę?

Sam otworzył drzwiczki.

W jej pokoju, na zielonych kwiatach narzuty Marimekko, Sam rozpiął sukienkę w paski, którą Violet tak starannie wybrała na ten wieczór. Ona ściągnęła ramiączka stanika i chwyciła Sama za ramiona, żeby przyciągnąć go bliżej. Tak bardzo pragnęła

się z nim kochać. Ale Sam niespiesznie zaczął całować każdy pieprzyk na jej ciele.

Violet już wcześniej zapraszała do siebie mężczyzn, lecz nigdy na pierwszej randce. Jednak w przypadku Sama stała się dziwnie niecierpliwa. Jakby czuła, że zmarnowała już zbyt wiele czasu, zbyt wiele lat straciła, goniąc za tym, czego według innych powinna pragnąć, a nie za tym, czego naprawdę chce. A w tej chwili nie miała cienia wątpliwości, czego pragnie.

Inni mężczyźni traktowali seks jak film akcji, rzucając się na nią łapczywie z nadzieją, że Violet też się to spodoba. Sam podchodził do seksu, jakby zabierał się do lektury długiej interesującej powieści, zachwycając się w równym stopniu tym, co go jeszcze czeka, jak i tym, co przeżywał w danej chwili. I kiedy było po wszystkim, kiedy Violet leżała naga i bez tchu w ramionach Sama, wrócili do początku i zaczęli wszystko od nowa.

# ROZDZIAŁ ..... 12 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Marynarka*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Początek lat osiemdziesiątych*

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Marynarka od munduru TWA. Granatowa, dwurzędowa, z watowanymi ramionami. Na lewej klapie emblemat skrzydeł*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Emerytowana stewardesa*

## AMITHI

Amithi stała przy kasie, ściskając w każdej ręce pękaty worek na śmieci. Mniej więcej od miesiąca przychodziła do butiku przynajmniej raz w tygodniu. Za każdym razem przynosiła coraz więcej rzeczy do sprzedania, jakby opróżniając szafy, chciała wyrzucić z przeszłości wszystkie sekrety i kłamstwa.

Violet stała za ladą, nucąc coś pod nosem, i układała w kryształowym wazonie czerwone róże. Uniosła wzrok i uśmiechnęła się na widok Amithi.

– Witam. Miło znów panią widzieć.

– Jakie piękne kwiaty – powiedziała Amithi. – Czy dostała je pani od kogoś wyjątkowego?

– Aha. – Violet postawiła wazon z boku lady. – Ale dopiero co się poznaliśmy.

Amithi zazdrościła Violet tego łagodnego spojrzenia. Oddałaby wszystko, żeby odzyskać nadzieję, którą miała, kiedy dopiero co związała się z Naveenem. Z pomocą Violet postawiła worki na ladzie.

– Przepraszam za te worki na śmieci – zaczęła się tłumaczyć. – Ale tym razem zebrało się tyle rzeczy, że nie miałam ich w co włożyć. Zazwyczaj starannie wszystko składam.

Prawdę mówiąc, odkąd wrócili z Chicago – ona samochodem, Naveen autobusem – Amithi straciła ochotę na robienie czegokolwiek tak, jak robiła to zazwyczaj. Wczoraj wieczorem zamknęła się na dole, zamierzając oglądać telewizję. Ale skończyło się na przeglądaniu rodzinnych albumów ze zdjęciami. Najpierw się popłakała, a potem ogarnęła ją złość. Na każdym zdjęciu, obojętnie gdzie zrobionym – na pierwszych urodzinach Jayany, na plaży, na obiedzie z okazji uzyskania stałego zatrudnienia przez Naveena – Amithi widziała na uśmiechniętej twarzy męża tylko fałsz.

Kiedy Naveen zapukał do drzwi, żeby zapytać Amithi, co z kolacją, nie

odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co sobie przygotował do jedzenia, i było jej to obojętne. Później zobaczyła obok zlewu pustą miseczkę po płatkach śniadaniowych i poczuła zadowolenie, kiedy wyobraziła go sobie, jak je płatki kukurydziane na kolację.

Violet wyciągnęła z pierwszego worka pęk chust. Amithi pomogła jej rozłożyć połyskujący jedwab na ladzie, z podziwem patrzyły na kontrastujące ze sobą kolory: głęboki fiolet, brąz i szmaragdową zieleń. Niektóre były wyszywane złotą nitką w tureckie wzory, inne w pędy winorośli albo w ptaki.

Violet dotknęła gładkiej czerwonej chusty.

– To z Indii?

– Jedwab tak. Ale sama ją wyszyłam wiele lat temu.

– Ręcznie? – Violet przesunęła dłońmi po zawitym deseni w liście.

– Naturalnie. Wiem, że są specjalne maszyny do haftowania, ale nie mam takiej. Poza tym jedwab jest bardzo kapryśny. Jak wszystkie piękne przedmioty.

– Dlaczego nagle sprzedaje pani tyle rzeczy? Czy robi pani remanent w szafie?

– Robię remanent w swoim życiu.

– Czy coś się stało? – zapytała Violet.

Amithi była skryta. Starła się nie obarczać innych swoimi kłopotami.

– Nie – odparła.

Violet uniosła brwi.

– Naprawdę? Nie wierzę pani.

Amithi westchnęła.

– Ktoś bardzo bliski mnie zdradził.

Kiedy już to powiedziała, poczuła się trochę lepiej.

– Bardzo mi przykro. Czy chodzi o pani męża?

Amithi zawahała się przez moment, nim skinęła głową. Obawiała się, że Violet źle ją oceni w związku z tym, że nadal mieszkała z Naveenem pod jednym dachem. Wiele kobiet spakowałoby manatki i wyprowadziło się, dowiedziawszy się o romansie męża. Amithi też to rozważała. Wiedziała, że gdyby zwierzyła się Jayanie, co się stało, jej córka prawdopodobnie zaprosiłaby ją do siebie. Amithi nawet posunęła się do tego, że już kilka razy wyciągnęła walizkę, ale po kilku godzinach wsadzała ją z powrotem do szafy, nie spakowawszy ani jednej rzeczy.

Nienawidziła Naveena za to, co jej zrobił, co zrobił z ich życiem, które razem zbudowali. Ale bez tego życia Amithi była zupełnie zdezorientowana. Czowała się jak połamany latawiec na silnym wietrze.

– Chciałaby pani o tym porozmawiać?

Amithi już miała wrażenie, że wyrwała sobie serce z piersi do zbadania. Tłumiła w sobie wszystkie najgorsze obawy. Może Naveen kochał Paulę tak, jak nigdy nie kochał jej. Ostatecznie sam postanowił spotykać się z Paulą, a Amithi wybrali dla

niego rodzice. Chodził z Paulą w czasach, kiedy w najlepsze trwały rewolucja seksualna i protesty polityczne. W porównaniu z tym jego małżeństwo z Amithi prawdopodobnie wydawało mu się nudne. Amithi nie mogła opędzić się od myśli, czy jej mąż nie żałował, że poślubił ją, a nie Paulę.

Mimo tych wątpliwości i pytań kłębiących się w głowie Amithi nie mogła powiedzieć nic więcej, przynajmniej nie dziś.

– Może kiedy indziej – odparła.

Violet zajrzała do jednego z worków.

– Jest pani pewna, że chce się pani pozbyć tego wszystkiego? Może lepiej poczekać, aż poczuje się pani...

– Nie są mi potrzebne – przerwała jej Amithi. – Mam bardzo dużo chust i sari... To tylko drobna ich część. Zostawiłam sobie kilkanaście. Moja córka ich nie chce. Mówiłam jej, że chusty wyglądałyby ładnie nawet z niebieskimi džinsami, które tak lubi, ale twierdzi, że nie są w jej stylu.

Violet wzięła jedną chustę, żeby ocenić jej wielkość.

– Jest wystarczająco duża, żeby służyć jako szal. Te barwne pięknie wyglądałyby z małą czarną. – Poklepała jeden z worków na śmieci. – Prawdopodobnie zajmie mi trochę czasu przejrzanie tego wszystkiego.

– Z pewnością. Proszę się nie spieszyć.

W tej chwili każdy pretekst był dobry, żeby wyjść z domu, uciec od rutyny, która teraz wydawała się Amithi tak bezsensowna. Po co sprzątać i gotować, jeśli nikt tego nie docenia? Jayana była dorosła i nie potrzebowała już jej opieki. A Naveen na nią nie zasługiwał.

– Jest pani bardzo utalentowana. Wie pani o tym? – powiedziała Violet, kiedy złożyła chustę i odłożyła ją na ladę. – Chciałabym umieć tak szyć.

– Och, szycie to nic trudnego. Wystarczy trochę cierpliwości.

– Mam pewne pojęcie o szyciu, umiem obrębiać i zwężać, ale nawet najprostsze rzeczy zajmują mi bardzo dużo czasu. Za kilka tygodni organizuję pokaz mody, żeby zebrać trochę pieniędzy na sklep. Wiem, że w ostatniej chwili będą potrzebne liczne przeróbki, żeby wszystko leżało na modelkach jak należy. Aż cierpnie mi skóra na myśl o tym. Prawdopodobnie nie zmrużę oka przez całą noc poprzedzającą pokaz.

– Mogłabym pani pomóc – zaproponowała Amithi.

Pokaz mody wydał jej się dobrym sposobem na odwrócenie uwagi od fatalnego małżeństwa. Naveen z pewnością uznałby, że to głupie, więc tym bardziej miała ochotę się w to włączyć.

– Prawdopodobnie nie stać mnie na zapłacenie tyle, ile pani bierze – westchnęła Violet.

– Nie biorę za to pieniędzy. Traktuję szycie jak hobby. Lubię to robić.

– Wątpię, czy to będzie przyjemność. Przypuszczalnie konieczne okażą się liczne

przymiarki i drobne poprawki. I co najważniejsze, te poprawki trzeba będzie usunąć po pokazie. Nie zamierzamy zmieniać oryginalnych rozmiarów odzieży. Chcemy tylko, żeby wszystko świetnie wyglądało na wybiegu.

– Chyba mogłabym się tego podjąć. Wiele razy musiałam zwęzać i poszerzać swoje ubrania, bo często to chudnę, to tyję. Nigdy nie ucinam nadmiaru tkaniny, bo nie wiem, czy znów nie przybiorę na wadze. – Amithi roześmiała się gorzko. Może teraz przestanie dbać o linię. Skoro nie udało jej się zatrzymać przy sobie Naveena, kiedy była młoda, szczupła i nie miała zmarszczek, to po co w ogóle starać się o to teraz?

– Jeśli naprawdę byłaby pani gotowa mi pomóc, chętnie skorzystam z pani propozycji. – Violet obejrzała niebieską chustę z wyhaftowanym wzdłuż brzegów wzorem z piór. – Czy to pawie pióra?

Amithi skinęła głową.

– To symbol Indii.

– Kocham pawie – powiedziała Violet. Wskazała ścianę, na której wisiał zielony kapelusz z połyskującym pawim piórem.

– Czasami myślę, że symbolem Indii nie powinien być ptak, tylko samolot, bo wielu znanych mi Hindusów dużo czasu spędza w samolocie. – Amithi dotknęła niebieskiej chusty. – Może tę jednak zatrzymam.

## 20 CZERWCA 1979

Amithi czuła na sobie zmęczone spojrzenia innych pasażerów, uciszając płaczącą Jayanę i starając się ją uspić. Podczas pierwszego etapu podróży, z Chicago do Londynu, Jayana zachowywała się wzorowo. Ale teraz, w czasie lotu z lotniska Heathrow do Delhi, płakała tak przeraźliwie, że chwilami przypominało to terkot karabinu maszynowego. Zupełnie jakby urodzona w Ameryce mała Hinduska nie chciała wracać do korzeni. Nawet wiecznie uśmiechnięta stewardesa w szytym na miarę żakiecie i białej bluzce traciła już cierpliwość.

Od dnia narodzin córki w lipcu poprzedniego roku Amithi wielokrotnie odkładała tę podróż. Ale telefony i listy od rodziców jej i Naveena stały się tak natarczywe, że nie mogła już dłużej odwlekać wyjazdu do Indii. Dziadkowie koniecznie chcieli zobaczyć wnuczkę. Nie rozumieli, dlaczego Naveen i Amithi zwlekali dziesięć lat, nim zdecydowali się na dziecko. Nie wiedzieli, że od dawna starali się o potomstwo, że Amithi co miesiąc miała złamane serce, kiedy pojawiała się zniechęcona miesięczka. Nie wiedzieli, jak ciężki okazał się poród i jak słabe były matka i dziecko.

Niecierpliwość dziadków przerodziła się w irytację, że Jayana ma prawie roczek, a oni nadal jej nie widzieli. Nie mogąc znaleźć takiego terminu, żeby Naveen nie miał zajęć na uczelni albo nie brał udziału w konferencjach, Amithi zgodziła się polecieć do Indii sama z malutką córeczką.



Przygotowanie się do podróży z jedenastomiesięcznym niemowlęciem stanowiło spore wyzwanie. Mogła skorzystać z pomocy męża, ale wiedziała, że miał ważną pracę do wykonania podczas jej nieobecności. Musiał dokończyć referat, a potem przedstawić go na konferencji na Florydzie przed gronem wielu znanych naukowców. Chociaż Amithi czuła się rozczarowana, że Naveen z nią nie pojedzie, nie mogła mieć do niego pretensji, że ciężko pracuje. Ostatecznie był jedynym żywicielem rodziny.

Dla Amithi najgorsze nie było ani pakowanie, ani planowanie wyjazdu, tylko przekłucie uszu malutkiej córeczce. Amithi nie chciała tego robić, ale domyślała się, że Jayana dostanie w prezencie biżuterię podczas pudży, uroczystości religijnych organizowanych na cześć wnuczki przez jej rodziców i teściów. Nie chciała, by ktoś poczuł się zażenowany, jeśli pojawi się z kolczykami dla maleństwa. Kolczyki były popularnym prezentem podczas takich uroczystości.

Tydzień przed wylotem zdecydowała się na przekłucie uszu córeczce, chociaż nie towarzyszyła temu tradycyjna ceremonia *karnavedha*, zazwyczaj urządzana z tej okazji. Nie chciała zapraszać do domu wielu osób, by byli świadkami, jak jej córeczka płacze z bólu. Poprosiła więc sąsiadkę Lalitę, by przysłała do niej i wszystkim się zajęła. Ciotka Lalita, która miała już dorosłe dzieci, wysterylizowała igłę i nalała Amithi szklaneczkę szkockiej z barku Naveena. Amithi płakała, patrząc, jak igła przekłuwa delikatną skórę jej dziecka, chociaż Jayana nawet nie jęknęła, zahipnotyzowana dobrotliwą twarzą ciotki Lality i jej cichym śpiewem.

Chociaż Amithi po ślubie ani razu nie była w Indiach, wiedziała, że podczas tej wizyty nie ona będzie najważniejsza. Że przyjdzie jej w porze monsunowej odwiedzać świątynie i domy dalekich krewnych, których nie pamiętała albo nigdy wcześniej nie poznała. A wszystko dlatego, żeby jej rodzice i państwo Singh mogli się pochwalić Jayaną i Amithi, pochwalić się sukcesem, jaki odniósł Naveen w Ameryce.

Amithi spojrzała na czerwoną buzię córeczki. Nachyliła się i pocałowała czarne, spocone włoski na jej główce. Żałowała, że nie ma z nimi Naveena, bo wtedy inni pasażerowie samolotu rzucaliby gniewne spojrzenia również na niego. Jayana zaczęła płakać jeszcze głośniejsze, nim w końcu, łkając, usnęła.

Amithi tak ułożyła śpiącą córeczkę na kolanach, żeby mieć wolne ręce, i wyjęła z torebki robótkę. Szyła chustę, by owinąć w nią Jayaną podczas *mundan sanskar* – uroczystości z okazji pierwszych postrzyżyn dziecka. Już prawie skończyła. Zostało tylko wyszycie złotą nicią deseni w pióra. Zdecydowała się na pawie, bo ten ptak jest symbolem Indii i jej krewni będą wzruszeni tym gestem. Paw był też symbolem życia i miłości – wręcz nie wyobrażała sobie lepszej metafory dla swojej córki.

Amithi uniosła lśniąca tkaninę i szepnęła do Jayany:

– Spójrz, mój skarbie, spójrz, co mama dla ciebie zrobiła.

Jayana otworzyła oczy i skrzywiła buzię. Złapała chustę, cisnęła ją na ziemię

i znów się rozplakała.

# ROZDZIAŁ ..... 13 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Buty*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Późne lata siedemdziesiąte*  
STAN: *Dość dobry*  
OPIS: *Buty marki Frye, do połowy łydki. Rozmiar siedem. Skóra koloru toffi, lekko otarta na czubkach. Obcasy typu stacked*  
ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Dom Katherine Morgan*

## VIOLET

W sobotni wieczór w połowie lipca Violet nacisnęła dzwonek do zielonego domu jedną przecnicę od swojego sklepu. Czekając, podziwiała lilie kwitnące na rabatach przed domem. Tego popołudnia Sam kazał dostarczyć do sklepu bukiet podobnych kwiatów dla Violet i pudełko truskawek prosto z targu. Lilie wypełniły cały sklep słodkim zapachem lata. Violet powiedziała Samowi żartobliwym tonem, że jeśli nie przestanie wpadać z kwiatami, przyzwyczai się. Odparł, że proszę bardzo, niech się przyzwyczaja.

April otworzyła drzwi. Miała przykrótkie obcisłe spodnie, workowatą koszulkę, rozklapane sandały. I ciemne kręgi pod oczami.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała. – Proszę, wejdz, ale na własne ryzyko.

– Masz przesłiczne klomby – zachwyciła się Violet, wchodząc do wyłożonego płytkami holu.

– To wszystko dzieło mojej mamy. Zasadziła je wiele lat temu.

– Wspaniały dom. – Violet spojrzała na witraże po obu stronach drzwi, rzeźbione poręcze schodów. – I wcale nie taki zagracony. Z twoich słów wynikało, że pełno w nim rzeczy.

– Nie widziałeś go wcześniej. Pracowałam przez całe popołudnie. Przypominało to wykopaliska archeologiczne. Jak minęła reszta dnia w sklepie?

– Zadzwoiłam do kilku klubów i barów w sprawie pokazu mody. The Majestic Theatre zaproponował naprawdę dobrą cenę za wynajęcie sali w sierpniu. Chyba powinniśmy skorzystać z ich oferty.

– Sierpień mi pasuje. Mam tylko nadzieję, że dziecko nie pospieszy się z przyjściem na świat. – April poklepała się po brzuchu.

W miarę jak brzuch April się powiększał, rosła też tęsknota Violet. Wiedziała, że to śmieszne odczuwać zazdrość. April nie miała łatwego życia, nie zapowiadało się,

że w najbliższej przyszłości się to zmieni. Ale ostatnio była od niej jakaś świetlistość, stała się pewna siebie. Violet to samo widziała na twarzy Karen, kiedy jej przyjaciółka była w ciąży z Edith. Bała się, że jej nigdy nie będzie to dane.

Wyjrzała przez okno.

– Prawie nikt z tej okolicy nie wystawia domu na sprzedaż – zauważyła. – Dlaczego chcesz się go pozbyć?

– Mama zostawiła sporo długów. Kiedy sprzedam dom, przeznaczę część pieniędzy na ich spłatę. Poza tym nie potrzebuję tyle miejsca, utrzymanie takiego dużego domu wymaga wiele pracy i pieniędzy. Umiesz sobie wyobrazić, że mieszkasz w takim domu, mając tyle lat, co ja?

Violet nie potrafiła, ale tylko dlatego, że tam, gdzie mieszkała, diabeł mówił dobranoc.

– Moja droga, w twoim wieku byłam mężatką i wynajmowałam mieszkanie za stacją benzynową.

– Czyli również nie żyłaś jak przeciętna osiemnastolatka.

– To smutne, ale w mojej miejscowości było to dość typowe. – Violet podparła się pod boki, gotowa do pracy. Przyszła pomóc April zerwać z przeszłością, a nie roztrząsać tego, co było. – A więc w czym ci pomóc?

– Próbuję systematycznie zrobić z tym wszystkim porządek – wyjaśniła April.

Violet spojrzała na oprawione w ramki dzieła sztuki na ścianach koloru terrakoty, na mieszaninę starych i nowoczesnych mebli. Świadczyły o tym, że kupowano je przez wiele lat. *Też tak robię*, pomyślała.

– W pokoju mamy jest mnóstwo ubrań, które muszę przejrzeć – powiedziała April.

– Jesteś pewna, że chcesz się tym dziś zająć? – spytała Violet. – Mogę przyjść kiedy indziej, jeśli teraz to dla ciebie za wiele. Wiem, że ostatnio ci ciężko.

April pokręciła głową.

– Muszę zdecydować, co warto zatrzymać, a czego powinnam się pozbyć.

– Tak się składa, że jestem w tej dziedzinie ekspertem.

– W takim razie chodźmy na górę.

W kącie sypialni o spadzistym suficie, należącej do Katherine Morgan, Violet zobaczyła półmetrową lampę w kształcie gęsi.

– Wprost nie wierzę, że masz coś takiego – wykrzyknęła.

– Masz na myśli tę okropną lampę? Nie wiem, skąd mama ją wzięła, ale wiem, jak ją kochała.

– To Gaska Gladys. – Violet uklękła na podłodze, żeby lepiej przyjrzeć się lampie. – Jest taka słodka. Nigdy wcześniej nie widziałam jej z bliska. To kultowe lampy, przynajmniej w moim małym dziwacznym świecie staroci. Firma, która je zaprojektowała, już ich nie produkuje.

April rzuciła jej rozbawione spojrzenie.

– Weź ją sobie.

– Chętnie bym to zrobiła – odparła Violet. – Ale jestem pewna, że wiele znaczyła dla twojej mamy, więc źle bym się czuła, zabierając ci ją. Ludzie nie kupują takich osobliwych przedmiotów, jeśli coś ich w nich nie pociąga.

– Cóż, i tak uważam, że jest szkaradna.

Violet położyła dłonie na łebku gęsi, jakby chciała jej zasłonić uszy.

– Ciii, bo cię usłyszy.

– Cieszę się, że przyszedłaś, bo jak sama widzisz, nie mam pojęcia, co jest cenne, a co nie – westchnęła April.

Violet odwróciła się w stronę łóżka, na którym piętrzyły się kartony pełne ubrań.

– Chcesz, żebym to przejrzała?

– Tak. Mnie jest bardzo trudno, bo od razu widzę mamę i robi mi się smutno.

Violet zaczęła oglądać zawartość toreb z ubraniami. Były to głównie swetry Lands' End, koszulki polo i spodnie khaki. Wzięła do ręki długi džinsowy bezrękawnik.

– Kiepskie, co? – odezwała się April. – Chyba nosiła go z golfem.

– Najwyraźniej jeśli chodzi o ubrania, twoja mama nie była taka pomysłowa, jak w dziedzinie wystroju wnętrza.

– Chyba tak. Chociaż wcale nie jestem pewna, czy tak się interesowała wystrojem wnętrza. Po prostu kupowała to, co jej się spodobało, nawet jeśli nikomu poza nią nie przypadło do gustu czy nie pasowało do tego, co już miała w domu. Była osobą dość impulsywną.

Violet wybrała dwie marszczone sukienki wyjściowe z lat osiemdziesiątych, jedną z jaskrawoniebieskiej tafty, a drugą z aksamitu z falbankami. Z innej torby wyjęła parę jasnobrązowych butów na obcasie typu stacked. Zajrzała do środka i odstawiła je na stół.

– Buty Frye. Sprzedadzą się.

– Jestem niemal pewna, że mama miała je, zanim się urodziłam. – April dotknęła podniszczonej skóry jednego z pantofli. – Pamiętam, jak trzymałam ją za rękę jako naprawdę małą dziewczynkę i patrzyłam na jej nogi. Prawie zawsze nosiła te buty.

Violet przesunęła buty w jej stronę.

– Chcesz je zatrzymać?

– Są na mnie za małe.

– Może i tak powinnaś je sobie zostawić.

– Po co mi para butów, których nie mogę nosić?

Violet spojrzała na brzuch April.

– Dasz je swojej córce.

– Nie wiem, dlaczego jesteś taka pewna, że urodzę dziewczynkę. Zresztą nie chcę

ich tak długo trzymać. Zabierz je do sklepu, jeśli uważasz, że znajdą nabywcę. Wolę, żeby ktoś je nosił, niż miałyby tyle lat stać w szafie.

– Naturalnie zapłacę ci za nie – powiedziała Violet. – Jesteś pewna?

– Tak, o ile nie są zbyt zniszczone, by trafiły do twojego sklepu. Zawsze uważałam, że im mniej zniszczone buty, tym lepiej.

– Czasami tak. Ale solidne buty, takie jak Frye czy kowbojki, nabierają szlachetności, gdy są trochę podniszczone.

Przeglądając ostatnią torbę z ubraniami, Violet zauważyła kawałek żółtej kartki wystającej z kieszeni džinsów. Wyjęła ją i podała April.

– Założę się, że to lista rzeczy do zrobienia – powiedziała April, rozkładając kartkę. – Moja mama znana była z tego, że zapisywała sobie, co zrobić, załatwiła jedną czy dwie pozycje i rezygnowała z pozostałych. Wszędzie były takie karteczki. – Spojrzała na nią. – Tak. Zapisała sobie: „Umyć samochód. Wystawić śmieci. Sprawdzić...” – April urwała i zbladła jak płótno.

– Co sprawdzić? – ponagliła ją Violet.

– Zaraz wracam. – April wybiegła z sypialni, trzymając w ręku żółtą karteczkę.

Violet usłyszała łoskot i szelest dobiegający z holu na dole, a potem zapadła cisza. Odczekała kilka chwil, składając rzeczy, które wyjęła z worków na śmieci. Ale potem się zaniepokoiła.

Wysunęła głowę przez drzwi.

– April?

Żadnej odpowiedzi. Violet szła korytarzem, zaglądając do wszystkich pomieszczeń. Minęła dwie sypialnie zastawione antykami – od stolików nocnych z połowy wieku do łóżka w stylu misyjnym i zegara z kukułką. W małym gabinecie w końcu korytarza zastała April siedzącą na podłodze wśród jakichś papierów.

– Wszystko w porządku? – spytała Violet.

April uniosła wzrok. Twarz miała czerwoną i mokrą od łez.

Violet usiadła obok niej.

– Co się dzieje?

– Nie mogę w to uwierzyć. – April pokręciła głową. – Może Charlie miał rację.

– W jakiej sprawie?

April uniosła dokument poznaczony zielonym flamastrem.

Violet zmrużyła oczy, próbując odczytać drobny druk.

– Co to takiego?

April otarła łzy wierzchem dłoni.

– To polisa ubezpieczeniowa na życie mojej mamy. Wiedziałam, że się ubezpieczyła. Lada dzień powinnam dostać pocztą czek. Ale nigdy nie czytałam umowy.

Violet nic nie rozumiała.

– To chyba dobrze, że dostaniesz pieniądze z polisy ubezpieczeniowej, co?

April podniosła z podłogi karteczkę znaną przez Violet.

– Spójrz na to. Trzecia pozycja.

Violet wzięła karteczkę.

– Nie rozumiem. Tu jest napisane: „Sprawdzić warunki polisy ubezpieczeniowej na życie”.

– No właśnie. I kiedy znalazłam polisę... – Głos April się załamał, kiedy wskazała dokument. – Spójrz. Punkt dotyczący samobójstwa zakreślony jest na zielono.

Violet była zdezorientowana.

– Przecież powiedziałaś, że dostaniesz czek. Wydaje mi się, że jeśli ktoś popełni samobójstwo, towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaca odszkodowania.

April pokiwała głową.

– Ja też tak sądziłam. Ale jest inaczej. Tutaj napisali, że pieniądze się wypłaca, o ile osoba nie popełni samobójstwa w ciągu dwóch lat od wystawienia polisy. Ta polisa jest sprzed pięciu lat. Czyli to, że towarzystwo ubezpieczeniowe wystawi mi czek, wcale nie wyklucza ewentualności, że moja mama... – April ukryła twarz w dłoniach.

Violet starannie dobierała słowa.

– Czy naprawdę zadręczasz się tym, że twoja mama być może odebrała sobie życie? Nigdy wcześniej o tym nie wspomniałaś.

– Cierpiała na dwubiegunową psychozę afektywną. Na ogół wszystko było pod kontrolą, ale od czasu do czasu przestawała brać leki i wtedy robiło się strasznie. Czasami wpadała w tak głęboką depresję, że nawet nie jadła. No i porzuciła pracę sekretarki, a wszystkie pieniądze wpakowała w firmę doradzającą, jak organizować sobie życie, której nie prowadziła wystarczająco długo, by cokolwiek na niej zarobić. – April przycisnęła ręce do brzucha i siedząc w kucki, bujała się w przód i w tył. – Charlie uważa, że to zrobiła. Okropnie się pokłóciliśmy, w końcu zerwaliśmy. Oczywiście to bardziej skomplikowane. Każde z nas powiedziało drugiemu wiele przykrych słów. Ale byłam pewna, że mama nigdy nie posunęłaby się do czegoś takiego. Teraz, kiedy to zobaczyłam, sama już nie wiem.

– No dobrze – powiedziała Violet. – Znalazłaś listę spraw do załatwienia i kopię polisy ubezpieczeniowej z podkreśleniami. Może jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Dlaczego ktoś podkreślałby punkt dotyczący samobójstwa, jeśli nie rozważałaby ewentualności odebrania sobie życia?

– Masz rację. – Violet położyła dłoń na ramieniu April. – Nie da się tego wykluczyć. Ale równie dobrze mogła to podkreślić dawno temu i spis, który sporządziła, nie ma z tym nic wspólnego.

– To optymistyczne spojrzenie na sprawę.

– Tak, ale to nie znaczy, że nie może być prawdziwe.

April zebrała papierzyska i wsunęła je do szuflady biurka.

Violet żałowała, że znalazła karteczkę. Zawsze uważała, że jeśli chodzi o przeszłość, lepiej nie odgrzebywać niektórych rzeczy.



ROZDZIAŁ  
..... 14 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Rajstopy*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1945–1950  
STAN: *Doskonały*  
OPIS: *Czarne rajstopy ze szwem*  
ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Internetowy sklep ze starymi rzeczami*

## APRIL

April starała się skupić na ciemnowłosej drag queen, która kroczyła przez scenę Majestic Theatre w centrum miasta, przecnicę od Kapitolu. Drag queen obracała się i przystawała w wystudiowanych pozach w czerwonym jednoczęściowym spodniem przy wtórze remiksu utworów tanecznych w wykonaniu Diany Ross, płynących z głośników. Mimo żywiołowej muzyki i podnieconych rozmów modelek, które zgłosiły się na kwalifikacje, April była w ponurym nastroju.

– Chyba się nadaje – orzekła Violet.

– Zdecydowanie – dodała Lane, pisząc coś na jednej z kartek z ocenami, które przygotowała i przyniosła na przesłuchanie.

– Tak się cieszę, że zgodziłaś się nam pomóc – powiedziała Violet. – Bałam się, że nie będziesz pamiętać, kim jesteśmy.

– Naturalnie, że pamiętam – odparła Lane. – Wszyscy zasypują mnie komplementami, gdy tylko włożę te czerwone szpilki, które kupiłam w waszym sklepie. Zaczęłam do nich dobierać stroje. Nawet mój mąż zwrócił na nie uwagę, a zwykle niczego nie widzi. – Uśmiechnęła się. – Powiedział, że wyglądam w nich jak kociak z dawnych czasów.

Violet odwróciła się do April.

– A co ty myślisz o tej modelce?

– Hm, jest dobra. – April zakreśliła pierwszą z brzegu liczbę na swej karcie ocen. Tym razem nawet liczby straciły sens. Starła się skupić na tym, co się dzieje na scenie, ale nie mogła przestać myśleć o swojej mamie. Jaskrawe oświetlenie i rozgadane modelki tylko pogłębiały jej przygnębienie.

Odkąd przedwczoraj zobaczyła polisę ubezpieczeniową i karteczkę znaną przez Violet, szukała w pamięci jakichś znaków świadczących o tym, że jej mama odebrała sobie życie, albo wykluczających to. Kiedy wspominała szczęśliwe chwile, które razem spędzały, na przykład jak jeździły na rowerach w arboretum albo piekły

placek marchewkowy według rodzinnego przepisu, była pewna, że jej mama nigdy by jej nie zostawiła. Ale potem przypominała sobie gorsze chwile: dni, które mama spędzała w łóżku, przy wyłączonym świetle, z opuszczonymi żaluzjami, albo tygodnie, kiedy przez kilka nocy z rzędu w ogóle nie kładła się spać, obmyślając kolejny sposób na zarobienie pieniędzy w krótkim czasie. April potrafiła przewidzieć te zmiany nastrojów. Przed popadnięciem w depresję głos jej matki stawał się beznamietny. Przed okresem maniakałnym miała rozbiegane oczy.

Czekając na pojawienie się na scenie kolejnej modelki, Violet spytała:

– Wszystko w porządku?

– Tak – mruknęła April, patrząc na Lane. Nie chciała rozmawiać o mamie w obecności tej kobiety, którą ledwo znała. Machnęła lekceważąco ręką. – Chyba stałam się humorzasta. To z pewnością przez hormony w ciąży.

Lane uśmiechnęła się szeroko.

– Wydawało mi się, że jesteś w ciąży, kiedy pierwszy raz przyszedłam do waszego sklepu. Ale nie wypadało mi o to zapytać. Kiedy masz termin porodu?

– W Święto Pracy. – April siliła się na uśmiech. Trudno było cieszyć się z tego, że za jej sprawą na świecie pojawi się nowa istotka, skoro jej matka najprawdopodobniej uznała, że nie da rady dłużej zmagać się z życiem.

– Urodziłam trzech chłopaków, więc jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać z kimś o dzieciach, zadzwoń do mnie – powiedziała Lane.

April pomyślała, jak to ładnie ze strony Lane, że zaproponowała wsparcie. W tej kwestii nie mogła liczyć na swoje szkolne koleżanki. Odsunęły się od niej, gdy zaszła w ciążę. Kiedy April pracowała, spotykała się z prawnikiem matki, by rozmawiać o nieruchomości, i czytała książki z imionami dla dzieci, jej koleżanki wykradały piwo z lodówek rodziców i rozprawiwały o swoich ostatnich ukochanych. April nawet je rozumiała – prawdopodobnie zachowywałyby się tak samo, gdyby nie okoliczności – ale wiedziała, że nie ma co liczyć na to, że jej szkolne koleżanki zrozumieją, jak diametralnie zmieniło się jej życie w bardzo krótkim czasie.

– Mówię serio. Możesz zawsze do mnie zadzwonić. – Lane uważnie przyjrzała się April. – Daj mi swój telefon. Wstukam ci numer.

April sięgnęła do torby i wręczyła Lane komórkę.

– Pamiętam, jak mi było ciężko, kiedy chłopcy byli mali – ciągnęła Lane. – Dopiero co przeprowadziliśmy się tutaj, więc prawie nikogo nie znałam, mój mąż całe dni pracował. Czułam się zupełnie opuszczona. Nie chciałabym, żeby inne kobiety czuły się tak samo, więc nie krępuj się zadzwonić do mnie, jeśli będziesz tego potrzebowała. – Oddała April telefon.

Violet nachyliła się w swoim fotelu.

– Te dziewczyny są za chude – stwierdziła. – Lane, ile z zaakceptowanych przez ciebie modelek nosi rozmiar dziesięć lub większy?

Lane przesunęła palcem po swojej kartce.

– Dwie... Nie, trzy. Nie licząc drag queens, które są potężnie zbudowane.

– Potrzebujemy więcej zaokrąglonych modelek – oświadczyła Violet. – Nie chcę, żeby moje klientki przyszły na pokaz i zobaczyły jedynie chude licealistki defilujące po scenie. Nie wspominając o tym, że kilka najlepszych strojów, które wybrałyśmy z April, jest w dużych rozmiarach.

– Zaczekaj. – Lane stanęła na chwiejnym, rozkładanym krześle i zagwizdała na palcach. – Przepraszam, czy mogę prosić o uwagę?

W ciągu kilku sekund w sali zrobiło się cicho.

– Jeżeli któraś z was nosi mniejszy rozmiar niż dziesięć, może już iść. Dziękuję, że przyszłyście, ale od tej pory szukamy wyłącznie osób noszących rozmiar dziesięć lub większy. Powtarzam, jeżeli nosicie numer mniejszy niż dziesięć, możecie wyjść. Dziękujemy wam. Mamy nadzieję, że i tak przyjdziecie zobaczyć pokaz.

W sali rozległy się poirytowane głosy, kiedy chudsze modelki zbierały swoje rzeczy i kierowały się do drzwi.

April była pod wrażeniem: ależ ta Lane potrafiła zwrócić na siebie uwagę! Pomyślała, że może zbyt surowo ją oceniła, zbyt szybko przyczepiła jej etykietkę przemęczonej matki. Lane sprawiała wrażenie, że czuje się w klubie jak w domu, kiedy wszyscy patrzą tylko na nią.

\*

Kilka dni później April powitała w butik nie Violet stojąca z kubkiem kawy na swym zwykłym miejscu za ladą, ale przyczepiona do kasy karteczka informująca, że Violet ma spotkanie, więc April będzie musiała sama zająć się sklepem.

Zadowolona zerwała karteczkę, traktując ją jak dowód, że Violet nareszcie zaczęła jej bardziej ufać.

Sprawdziła pocztę, przekręciła klucz w drzwiach, policzyła drobne w kasie, starając się o niczym nie myśleć. Ostatnio, kiedy nie była czymś zajęta, oczami wyobraźni widziała swoją mamę jadącą oblodzoną drogą, ostrożnie pokonującą kilometry, zanim gwałtownie skręciła kierownicę tymi zadbanymi dłońmi, z zawsze perfekcyjnie pomalowanymi paznokciami. Matka potrafiła przez kilka dni nie brać prysznic, ale zawsze dbała o paznokcie. Jakby kontrola nad tym małym fragmentem ciała rekompensowała brak kontroli nad umysłem.

Żeby pozbyć się z głowy tego obrazu, April zabrała się do porządkowania ubrań, zaczynając od spódnic różnej długości – od mini do długich do ziemi. Sprawdziła, czy wiszą według rozmiaru, czy nie zaplątał się rozmiar dwa tam, gdzie powinien leżeć dwanaście. Nie, żeby teraz nosiła któryś z nich.

Przed oknem wystawowym zatrzymała się kobieta w średnim wieku i uważnie przeczytała informację o godzinach pracy sklepu. April jej nie znała, ale miała nadzieję, że wejdzie do środka. Nawet gdyby okazała się niewychowana albo należała

do klientek, które zostawiają ubrania na podłodze w przymierzalni, April uznała, że wszystko będzie lepsze niż siedzenie tu z własnymi myślami.

Kobieta weszła i natychmiast powiedziała:

– Jak to dobrze, że jakiś sklep w tym mieście otwarty jest w rozsądnych godzinach. Szłam, próbując znaleźć choć jeden czynny, ale większość rozpoczyna pracę o jedenastej.

– Nasz jest otwarty codziennie od dziesiątej do dziewiętnastej – zakomunikowała April.

– Dzięki Bogu. Jeden sklep jest otwarty do szóstej we wtorki, środy i czwartki, ale w pozostałe dni tylko do czwartej, a w poniedziałki jest nieczynny. Jak klienci mają to zapamiętać?

Kobieta mówiła przez nos i przeciągała samogłoski. *Może pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża?* – pomyślała April.

– Doskonale panią rozumiem – powiedziała. – Moja ulubiona cukiernia wciąż zmienia godziny otwarcia. Czasami zastanawiam się, czy nie robią tego celowo, jakby chcieli mi dać do zrozumienia, że nie powinnam kupić kolejnej babeczki czekoladowej.

– Cóż, tam, skąd pochodzę, sklepy są otwarte wtedy, kiedy jest to wygodne dla klientów.

– Nie jest pani z Madison?

Kobieta pokręciła głową. Miała krótkie, kręcone włosy.

– Nie, z Bostonu. Jestem Monica.

– April. Czym mogę pani służyć? Czy szuka pani czegoś konkretnego?

– Szukam czegoś, co mogłabym włożyć dziś po południu na przyjęcie z okazji ukończenia szkoły przez mojego siostrzeńca. Linie lotnicze zgubiły mój bagaż.

– Czy pani siostrzeniec ukończył liceum, czy uczelnię? – spytała April.

– Uczelnię.

– Na większości organizowanych tu przyjęć z okazji ukończenia szkoły panuje dość swobodna atmosfera. – April oceniła czarne rybaczki kobiety i niebieskie polo bez rękawów. – Prawdopodobnie mogłaby pani wystąpić w tym, co ma pani teraz na sobie. – Dotarło do niej, że jej rada nie jest najlepsza z punktu widzenia podnoszenia sprzedaży, więc dodała: – A my dobralibyśmy pani odpowiednie dodatki. Bizuterię, może bardziej eleganckie buty.

Monica zasznurowała usta.

– Według mnie powinnam wystąpić w sukience. Moja siostra i jej mąż należą do elity. Przyjęcie odbędzie się w ich country klubie.

– Rozumiem. Jaki rozmiar pani nosi?

– Osiem.

April podeszła do wieszaka z sukienkami.

– Właśnie dostaliśmy kilka cudownych modeli Lilly Pulitzer, które idealnie nadają się na taką okazję. – Pokazała białą sukienkę w małe żółte i zielone ananasy. Kolor i barwny deseń trochę kłóciły się z jej nastrojem, bo nadal była przygnębiona, mimo że obsługiwała nową klientkę.

Monica się skrzywiła.

– Nie obraż się, moja droga, ale jeśli chodzi o Pulitzerów, interesuje mnie jedynie nagroda ich imienia.

April odwiesiła sukienkę.

– Dobrze, czyli żadnych ananasów. A co powie pani na tę? – April pokazała granatową, bawełnianą luźną sukienkę. – Mamy naprawdę świetny naszyjnik i kolczyki, które idealnie do niej pasują. Żółte z dużymi zielonymi paciorkami.

– Może być – zgodziła się Monica. – Przymierzę.

– Przymierzalnie są tam.

Monica zniknęła w jednej z dwóch kabin, mówiąc:

– Ta sukienka jest bardziej w moim stylu.

– Szczerze mówiąc, mnie też nie podoba się ta w ananasy – przyznała April. – Próbowałam sobie tylko wyobrazić, co będą mieli na sobie inni. Matka mojego byłego chłopaka nosi takie rzeczy.

– Podobnie jak moja siostra Judy – zawołała Monica przez zamknięte drzwi przebieralni. – Właściwie kto wie? Być może to sukienka z jej szafy. Ale byłaby heca, gdybym pojawiła się w czymś, co kiedyś należało do niej.

April tak głośno wciągnęła powietrze w płuca, że niemal zakrztusiła się własną śliną.

– Przepraszam, powiedziała pani „Judy”?

– Tak ma na imię moja siostra. Perfekcjonistka w każdym calu. Cieszę się, że mój siostrzeniec będzie studiował medycynę w Bostonie. Już nie mogę się doczekać spotkań z nim, kiedy wyrwie się z jej szponów. Proszę mnie źle nie zrozumieć, kocham swoją siostrę, ale czasami trudno z nią wytrzymać.

Monica wyłoniła się z przebieralni, by przejrzeć się w lustrze.

April gapiła się na nią, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zwróciła uwagi na szczupłą figurę Moniki, jej jasnobrązowe włosy i wydatne kości policzkowe jak u matki Charliego.

– Uważam, że ta będzie w sam raz. – Monica położyła ręce na biodrach, przyglądając się swojemu odbiciu. Dostrzegła w lustrze spojrzenie April.

– Przepraszam, czy pani siostra nazywa się Judy Cabot? – spytała April.

– Tak. Zna ją pani?

April zrobiło się słabo.

– Syn Judy to mój były narzeczony.

Monica odwróciła się, spojrzała na duży brzuch April i uniosła brwi.

– Domyślam się, że nie zostałam zaproszona na przyjęcie – powiedziała.  
April pokręciła głową.  
Monica zmarszczyła czoło.  
– Och, Charlie.

\*

Po wyjściu Moniki April miała nerwy napięte jak struny. Żeby się uspokoić, zajęła się liczbami. Skoro jej życie osobiste było tak pogmatwane, April pragnęła coś uporządkować. Otworzyła laptop, by przyjrzeć się programowi księgowemu, który ściągnęła. Widok tabelek i rubryk trochę ją uspokoił. Kiedy Violet przysłała koło południa, April była spragniona rozmowy.

– Dziękuję, że rano wszystkim się zajęłaś – powiedziała Violet.

– Jak twoje spotkanie?

– Dobrze, ale dosłownie za kilka minut mam kolejne, z właścicielem budynku. Czy byłabyś tak dobra i nadal miała na wszystko baczenie? – Violet odstawiła czerwoną torebkę.

April skinęła głową, bojąc się choćby otworzyć usta, by nie okazać targających nią emocji.

Rozległ się dzwonek i April spojrzała w stronę drzwi. Ostrzyżony na rekruta mężczyzna z brzuchem większym niż jej pchnął drzwi. Wzorki z epoki kosmicznej na jego krawacie przywiodły April na myśl deseń wykładziny dywanowej w klubie.

– Witaj, Ted – powiedziała Violet. Wskazała April. – Poznaj moją nową pracownicę, April. April, to Ted Mortensen. Ten budynek należy do jego firmy.

April zemdliło, kiedy poczuła zapach wody kolońskiej mężczyzny, ale zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

– Miło mi pana poznać.

Ted nie odpowiedział jej uśmiechem.

– Violet, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym usiąść i omówić kilka kwestii.

– Nie ma sprawy. Chodźmy na zaplecze, gdzie nie będą nam przeszkadzać klienci – zaproponowała Violet i ruszyła przodem.

April spoglądała za nimi. Szkoda, że Violet nie poprosiła, by do nich dołączyła. Teraz, kiedy dowiedziała się o uroczystości z okazji ukończenia uczelni przez Charliego, niczego więcej nie pragnęła, niż robić cokolwiek, co pozwoliłoby jej nie myśleć.

Mijały minuty. Otępiała April pomogła nieco starszej od siebie dziewczynie wybrać strój na randkę. Potem kobiecie w wieku swojej matki wyszukała parę markowych dzinsów. Tak minęła prawie godzina. April ciekawa była, nad czym Violet i Ted tak długo debatuja.

Postanowiła to sprawdzić.

Violet stała, kartkując jakieś dokumenty na stole, wyraźnie zmieszana, a Ted siedział na składanym krześle, skrzyżowawszy ramiona. April zatrzymała się w progu, próbując zorientować się, o czym rozmawiają.

– Gdzieś tu mam dokumenty dotyczące czynszu – usłyszała głos Violet. – Ale nawet bez zaglądnienia do nich wiem, że nie przeoczyłam żadnej wpłaty.

– W porządku – powiedział Ted. – Wierzę pani, ale to niczego nie zmienia.

– Przysięgam, że to było gdzieś tu – upierała się Violet, biorąc stertę papierów.

April poczuła przyływ adrenaliny i wypaliła:

– Gdybyś od samego początku przechowywała to w formie elektronicznej, znalazłabyś bez problemu.

Violet i Ted odwrócili głowy i April zrozumiała, że posunęła się za daleko. Ale czuła się taka nikomu niepotrzebna, taka mała, że gotowa była chwycić się czegokolwiek, by poczuć się ważniejsza.

April podeszła do kasy i wróciła ze swoim laptopem. Nie zwracając uwagi na błagalne spojrzenia Violet, usiadła przy stole razem z Tedem.

– Czego dokładnie szukasz? – spytała April, stawiając komputer. – Może już to wprowadziłam.

Ted położył dłoń na laptopie, nim April go otworzyła.

– Nie musi pani szukać potwierdzeń zapłaty czynszu. To nie ma znaczenia. – Spojrzał na Violet. – Doceniam pani starania, żeby wszystko to ze mną omówić, ale już powiedziałem: bez względu na to, jak sumiennym była pani najemcą, nie zmieni to naszej decyzji dotyczącej eksmisji. Bo pozostaje faktem, że więcej zarobimy, sprzedając tę nieruchomości, niż ją wynajmując.

– Jakiej eksmisji? – spytała April.

Przygnębiona mina Violet powiedziała April wszystko, co chciała wiedzieć.

Ted odchrząknął.

– Nie będę paniom dłużej przeszkadzał w pracy. – Wstał. – Proszę przemyśleć moją ofertę.

April podążyła za Violet, która odprowadzała Teda do drzwi. Wyglądała przez okno, dopóki nie wsiadł do swojego lśniącego czarnego sedana, i dopiero wtedy natarła na Violet.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o eksmisji? – spytała April.

– Uważam, że to ja powinnam zadawać pytania. – Violet podparła się pod boki. – Na początek dlaczego podsłuchiwałaś naszą rozmowę?

April nie potrafiła tego wytłumaczyć inaczej niż nienawiścią do wszelkich tajemnic. Mama lubiła wszystko trzymać w sekrecie, po jej śmierci z tych sekretów narodziły się pytania, na które już nigdy nie uzyska odpowiedzi.

– Nie wiem dlaczego.

– A skoro już podsłuchiwałaś, dlaczego przynajmniej na tym nie poprzestałaś?

Nie miałaś prawa nieproszona wygłaszać swojego zdania i podkopywać mojego autorytetu w obecności kogoś, w których oczach nie mogę teraz źle wypaść.

– Dlaczego chcą nas eksmitować? – dociekała April. – Nie płacisz czynszu?

– Płacę czynsz. Może nie znam się na komputerach ani nie jestem geniuszem matematycznym jak ty, ale nie jestem głupia – odparła Violet gniewnym tonem. – Chcą mnie wykopać, żeby móc sprzedać budynek.

April zmrugała oczy.

– Nie wierzę! Przychodziłaś tu codziennie, jakby wszystko było w porządku? Widocznie to dla ciebie nie jest takie ważne.

Violet zapięła górny guzik szmizjerki, jakby w ten sposób dało się zapanować nad emocjami.

– To dla mnie bardzo ważne. Właśnie tym od samego rana się zajmowałam. Spotkałam się z Karen, żeby o tym porozmawiać.

– Mogłaś mi powiedzieć. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje ze sklepem. – April sama nie wierzyła w to, co mówi, ale nie potrafiła przestać. Zupełnie jakby przez ostatni rok – od śmierci mamy, przez wiadomość o ciąży do zerwania z Charliem – coraz szybciej uciekała przed falą przypływu. Biegła najszybciej, jak mogła, ale fala wciąż była kilka centymetrów za nią, wisiała jej nad głową, grożąc, że ją zaleje. Spotkanie z Monicą sprawiło, że się potknęła. A już sądziła, że zyskała lekką przewagę, złapała drugi oddech. Ta fala, którą cały czas miała za sobą, w końcu ją dogoniła.

– April, doceniam to, jak się starasz, przechodzisz samą siebie, robisz więcej, niż należy do obowiązków stażystki. Ale to nadal mój sklep. Mam prawo sama spotykać się ze swoim prawnikiem i właścicielem budynku. I decydować, o czym ci mówić, a co zachować dla siebie. – Głos Violet stał się łagodniejszy. – Słuchaj, wiem, że ostatnio nie jest ci lekko. Masz na głowie sprawę sprzedaży domu twojej mamy, rozstałaś się z narzeczonym. Może powinnaś sobie wziąć kilka wolnych dni.

– Zwalniasz mnie? – spytała April.

– Skądże znowu. Ale uważam, że nie powinnaś obsługiwać klientów w swoim obecnym stanie emocjonalnym.

*W obecnym stanie emocjonalnym*, pomyślała April. W jej dotychczasowym życiu to określenie było równoznaczne ze słowem „szalona”. Jak jej mama.

– Ułatwię ci sprawę i po prostu już tu nie wrócę – oświadczyła.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak – odparła April. I było w tym trochę prawdy.

Wiedziała, że za daleko się posunęła. Teraz nadeszła pora, żeby przeprosić i naprawić to, co zepsuła. Ale aż gotowała się ze złości: w uszach słyszała jedynie szum, przez który nie potrafiła się przebić żadna racjonalna myśl.

Otworzyła drzwi i wyszła ze sklepu.





# ROZDZIAŁ ..... 15 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Buty*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Późne lata osiemdziesiąte*

STAN: *Dość dobry*

OPIS: *Conversy z różowego płótna. Materiał wystrzępiony wokół oczek na sznurowadła*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Amithi Singh*

## AMITHI

Amithi oparła się o sztywne, obite skórą poduchy nowoczesnej kanapy córki. Miało się wrażenie, że kanapę – jak wszystko w mieszkaniu Jayany i Jacka – wybrano, kierując się raczej względami estetycznymi niż wygodą.

– Czy mogę to zabrać? – spytał Jack, podnosząc z podłogi czarną walizkę, którą Amithi przyniosła ze sobą.

– Tak. Dziękuję. – Amithi skinęła głową.

Tamtego ranka, kiedy Naveen udał się do pracy, Amithi wyciągnęła z szafy swoją walizkę, jak już wcześniej zrobiła kilkakrotnie. Jednak tym razem spakowała się i postawiła walizkę koło drzwi. Mijała ją przez cały dzień, zamiatając podłogi, odkurzając dywany, wnosząc pranie na górę i znosząc je. W końcu, kiedy wykonała wszystkie prace domowe, a słońce stało nisko na niebie, wzięła walizkę i pojechała do małego mieszkanka swojej córki w modnej części miasta, Near East Side, rezygnując z własnego przestronnego, wysprzątanego domu.

Jack zniknął w holu, taszcząc walizkę Amithi.

– Napij się czegoś, mamó? – spytała Jayana. – Może filiżankę herbaty?

Amithi spojrzała na kieliszek, który Jayana trzymała w dłoni.

– Mam ochotę na czerwone wino, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Jayana uniosła brwi.

– Przecież prawie nigdy nie pijesz – zdziwiła się. – Widzę też, że włożyłaś krótką sukienkę... Przynajmniej krótką jak na ciebie. Kim jesteś i co zrobiłaś z moją matką?

Podczas ostatniej wizyty w sklepie Violet Amithi wydała już część sumy, którą zgromadziła. Wśród nowo zakupionych rzeczy – nowych przynajmniej dla niej – była zielona sukienka bez rękawów, którą teraz miała na sobie. Odnosiła wrażenie, że nogi ma obnażone, bo sukienka była do kolan, ale spodobało jej się to, przynajmniej w upalny letni dzień było jej chłodno.

Jayana poszła do kuchni i wróciła z kieliszkiem wina, który podała Amithi. Jack wszedł do salonu i usiadł obok Jayany na skórzanej kanapce tak, że ich nogi się stykały.

Amithi przypomniała sobie, jak było zaraz po ślubie, nim doszło do zdrad, i pograżyła się w rozpacz. Pociągnęła łyk wina. Skrzywiła usta, poczuwszy ostry smak alkoholu. Ale wino było dobre – bogate i ciepłe. Pociągnęła drugi łyk.

– Czy w końcu powiesz mi, co się dzieje? – spytała Jayana, pochylając się ku niej. Jack poruszył się, jakby chciał wstać.

– Jeśli chcecie porozmawiać bez świadków...

Jayana położyła mu rękę na kolanie.

– Nie, zostań. Nie masz nic przeciwko temu, mam? Bo i tak wszystko mu powtórzę.

Amithi spojrzała na zięcia i dostrzegła współczucie w jego niebieskich oczach.

– Tak, możesz zostać. – Ściszyła głos i zwróciła się do córki: – Twój ojciec miał romans.

– Naprawdę? Tata? – Jayana zrobiła wielkie oczy. – Kiedy? Z kim?

Amithi powiedziała jej wszystko, co wiedziała. Jayana słuchała, a jej twarz robiła się czerwona ze złości.

– Czyli się wyprowadzasz? – spytała, kiedy Amithi skończyła swoją opowieść.

– Nie wiem. Poinformowałam twojego ojca, że na jakiś czas zamieszkam z wami. O ile, naturalnie, nie macie nic przeciwko temu.

– Naturalnie, że nie – zapewnił ją Jack. – Możesz z nami zostać tak długo, jak zechcesz.

– Jak zareagował tata, kiedy się dowiedział, że się wyprowadzasz?

– Nie wiem. Napisałam mu to na kartce. Zostawiłam w zamrażalniku posiłki na kilka dni i instrukcję, jak posługiwać się mikrofalówką.

– Jezu, facet z doktoratem nie umie sobie sam przyrządzić czegoś do jedzenia. To cud, że nie umarł z głodu przez te wszystkie lata, kiedy mieszkał w Chicago, zanim cię poślubił. – Jayana westchnęła. – Myślę, że musisz się zacząć rozglądać za własnym mieszkaniem. I potrzebny ci prawnik specjalizujący się w rozwodach. Mogę popytać, może znajdę kogoś. Jack, jak nazywał się ten adwokat, z którego usług skorzystała twoja znajoma? Zdaje się, że była zadowolona, prawda?

Amithi gapiała się na córkę, zaszokowana jej pragmatycznością. Żadnych łez, tylko produktywny gniew.

Jack zwrócił się do Jayany:

– Może twoja matka nie jest jeszcze gotowa na tak ważne decyzje. – A do Amithi powiedział: – Jak już wspomniałem, możesz u nas zostać tak długo, jak zechcesz.

– Dziękuję. Mam wiele spraw do przemyślenia. – Chociaż miała zastrzeżenia do Jacka, musiała przyznać w duchu, że dobry z niego człowiek. I z całą pewnością był

bardziej uczuciowy od jej wyjątkowo asertywnej córki.

Jayana dopiła wino i ponownie napełniła kieliszek.

– Nie wiem, nad czym się tu zastanawiać.

– Jest wiele spraw do przeanalizowania. Twój ojciec i ja byliśmy małżeństwem przez ponad czterdzieści lat.

– No właśnie. Poświęciłaś tacie całe swoje życie. A on na to nasrał.

– Jayano, proszę, nie wyrażaj się.

Amithi nie użyłaby takich słów jak Jayana, ale musiała przyznać, że jej córka ma rację. Amithi zawsze stawiała szczęście rodziny ponad wszystko inne. Zawsze uważała, że ma dobre życie, i przypuszczała, że Naveen też jest z niego zadowolony. Widać „dobre” to było dla niego za mało. Dlaczego więc miałoby być wystarczająco dobre dla niej? Amithi nigdy nie przyszło do głowy, że można chcieć więcej niż „dobre” życie.

Usłyszała przytłumiony dzwonek telefonu dobiegający z jej torebki. Wyjęła komórkę i zobaczyła na wyświetlaczu numer Naveena.

– Czy to tata? – spytała Jayana.

Amithi skinęła głową.

– Odbierzesz?

– Nie mam mu nic do powiedzenia. – Gapiła się na brzęczący aparat. Gdy tylko umilkł, zaczął dzwonić drugi telefon, głośniej.

– Teraz dzwoni tutaj – odezwała się Jayana.

Jack spojrzał na żonę i teściową.

– Mam odebrać?

Jayana pokręciła głową, ale Amithi powiedziała:

– To twój ojciec, Jayano.

Amithi była wdzięczna córce za lojalność, nawet jej potrzebowała, ale czuła się rozdarta. Szacunek do starszych, nawet gdy miało się odmienne od nich zdanie, był wartością, którą jej wpojono przed laty. Amithi miałyby pretensje do samej siebie, gdyby się okazało, że nie zaszczepiła go swojej córce.

Jack odebrał telefon.

– Halo?... Tak, są tu obie. Jedną chwileczkę. – Wyciągnął słuchawkę do Jayany.

Jayana skrzyżowała ramiona.

– Powiedz mu, że nie chcę z nim rozmawiać. Zacznę go szanować, kiedy on zacznie szanować mamę.

Jack odezwał się do słuchawki:

– Naveenie? Jayana zadzwoni do ciebie później... Tak, powtórzę im. Do widzenia.

– Rozłączył się i spojrzał na Amithi. – Chciał, żebym wam powiedział, że was przeprasza i że obie was kocha.

Amithi te słowa wydały się bardziej puste niż cichy dom, który opuściła tego

wieczoru, zamknąwszy za sobą drzwi na klucz.

– Mamo, czy jest coś, co chciałaś robić, ale nie robiłaś z uwagi na tatę? Miejsca, które chciałaś zobaczyć? – Jayana zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

Amithi była jej za to wdzięczna. Nie chciała widzieć swojej córki zdenerwowanej, zwłaszcza z jej powodu.

– Naturalnie – powiedziała. – Związek zawsze wymaga wyrzeczeń.

– Nie powstrzymało to taty przed zdradzeniem cię, więc uważam, że powinnaś teraz skorzystać z okazji i wreszcie robić to, na co masz ochotę. I zapomnieć o tacie.

– Starzeję się, Jayano. Za późno na zmiany.

Amithi nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktokolwiek ją spytał, czego chce. Kiedy była młodsza, miała swoje cele, marzyła o zobaczeniu różnych miejsc. Ale od tak dawna o tym nie myślała... Po zaręczynach sama nie wiedziała, kiedy przestała myśleć, czego chce, i najważniejsze stało się to, czego chce Naveen, czego chce Jayana, co będzie najlepsze dla rodziny.

Jayana pokręciła głową.

– Nawet nic ci nie przychodzi na myśl, prawda?

Jack wyciągnął rękę i dotknął ramienia żony.

– Daj spokój mamie. Ostatnio wiele przeszła.

Amithi uśmiechnęła się do Jacka z wdzięcznością. Musiała zmienić temat.

– Powiedziałam wam, że pomagam przy organizacji pokazu mody?

– Och, tego w ośrodku hinduskim? Zdaje się, że widziałam plakat.

– Nie, dla butików Vintage. Robię poprawki krawieckie. Wiele strojów pochodzi z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, bardzo się różnią od dzisiejszych. Moim zadaniem jest dopilnowanie, żeby ubrania idealnie leżały na modelkach.

– Cóż, może nastąpi renesans ubiorów z lat pięćdziesiątych – powiedziała Jayana – ale ktoś powinien poinformować tatę, że szowinistyczne traktowanie kobiet z całą pewnością nie powróci.

– Świetnie, Amithi – odezwał się Jack z udawanym entuzjazmem. – Dobrze, że masz jakieś twórcze zajęcie.

– Trudno nazwać poprawki krawieckie twórczym zajęciem – sprostowała Amithi.

– Ale cieszę się, że znów wrócę do szycia.

*Gdyby tylko udało mi się na powrót zeznać swoje życie, pomyślała.*

#### 1 GRUDNIA 1990 ROKU

Amithi pochyliła się nad ramą do haftowania, słuchając wciąż swojej siostry w słuchawce telefonu. Dopóki igła śmigła w jej palcach tam i z powrotem, tam i z powrotem, udawało jej się nie myśleć o Prii, leżącej w szpitalu w Indiach, dochodzącej do zdrowia po cesarskim cięciu. Lekarzom nie udało się uratować dziecka – dziewczynki, pierworodnej córki Prii. Po dziewięciu miesiącach ciąży jej siostrze została jedynie długa szrama na brzuchu.

Priya nawet nie potrafiła powiedzieć, co się stało; powtarzała jedynie „dziecko, dziecko”. Amithi dowiedziała się szczegółów od swojego szwagra.

– Powtarza, że wszystko będzie dobrze – powiedziała Priya z drugiego końca świata. – Ale nie będzie dobrze. Nie wiem, jak może tak mówić, więc dopóki nie wymyśli czegoś innego, nie będę z nim rozmawiać.

Amithi żałowała, że nie może być z siostrą w szpitalu. Położyłaby się na łóżku obok niej i bawiłaby się jej włosami, tak jak to robiła, kiedy obie były jeszcze małe. Amithi spytała, czy ma przylecieć do Indii na kilka tygodni, by pomóc Prii w domu. Jayana też mogła z nią przylecieć. Była już dużą dziewczynką i również mogła pomagać.

Priya powiedziała „nie”, bo widok Amithi z córką byłby dla niej zbyt bolesny.

– W takim razie przylecę sama – oświadczyła Amithi.

– Nie, *didi*, jestem zbyt zazdrosna. Zazdroszczę ci, że twoja córka jest silna i zdrowa, a moja wkrótce przemieni się w proch.

Amithi mogła więc jedynie czekać, a nie lubiła takiego czekania. Łatwo jest czekać na coś dobrego – na urodziny dziecka, na awans w pracy. Tak, łączyło się to ze zniecierpliwieniem, ale była też nadzieja na szczęśliwe zakończenie. O wiele trudniejszy jest drugi rodzaj czekania. Amithi wiedziała, że dzień, kiedy jej siostra poczuje się dobrze, nie nadejdzie. Nie można się nigdy otrząsnąć po śmierci dziecka. Amithi miała jedynie nadzieję na stopniową, niemal niewidoczną poprawę, na to, że kiedyś jej siostra znów zacznie się śmiać, zapomni się choćby na chwilę.

*Zupełnie jak wtedy, kiedy na jeziorze Mendota topnieje lód*, pomyślała Amithi. Na początku pojawiają się małe kałuże na powierzchni zamrożonej wody. Im słońce mocniej przygrzewa, tym kałuże stają się większe, w końcu duże fragmenty lodu pękają i pochłania je jezioro.

Bojąc się, że oszaleje z bezczynności, Amithi tuż po odłożeniu słuchawki zaczęła z zapamiętaniem wyszywać pled dla siostry. Na jasnej miękkiej wełnie wyhaftowała sansarę, hinduistyczne koło życia. Miała nadzieję, że dzięki pledowi Prii będzie ciepło w czasie czekania na dzień, gdy jej serce obudzi się z zimowego snu.

Jayana weszła do pokoju, taszcząc grubą książkę w miękkiej oprawie. Usiadła na kanapie obok matki, podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła czytać. Po kilku minutach uniosła wzrok znad książki i spytała:

– Co robisz?

– Pled dla cioci Prii.

Jayana skinęła głową.

– Żeby pomóc jej odzyskać dobry nastrój po stracie dziecka? – spytała.

– Nie sądzę, by cokolwiek zdołało jej przywrócić dobry nastrój, ale chcę przynajmniej pokazać jej, że o niej myślę.

– Dlaczego po prostu nie kupisz pledu? Tak byłoby znacznie szybciej.

– Nie dostałabym pledu z takim symbolem. – Amithi wskazała wyhaftowane koło.  
– Widzisz? To prastary symbol hinduistyczny. Oznacza życie, śmierć i odrodzenie. Nauczę cię tak haftować, jeśli chcesz, *beti*.

– Nie. – Jayana znów pochyliła głowę nad książką, okazując całkowity brak zainteresowania tym, co robi jej matka. Ale po kilku minutach uniosła wzrok. – Dlaczego tyle czasu poświęcasz na szycie? Nigdy nigdzie nie wychodzisz ani nic nie robisz.

– Lubię to. Dzięki temu, kiedy daję komuś prezent, zawiera on małą cząstkę mnie. Kiedy byłam w twoim wieku, myślałam, że może zostanę projektantką mody.

– Dlaczego nie zostałam? – Jayana wyciągnęła nogi na kanapie, stopami w fioletowych skarpetkach niemal dotykała matki. Lubiła nosić kilka par skarpetek, lubiła, gdy marszczyły się nad różowymi tenisówkami. Amithi nie mogła się nadziwić, jak wysoka jest teraz jej córka. Wciąż pamiętała Jayanę z krótkimi, grubiotkami nóżkami, wystającymi z pieluch.

– Och, to było tylko dziecięce marzenie – powiedziała.

Jayana zmarszczyła czoło.

– Kiedy będę starsza, nie będę gotowała, szyła ani robiła tego wszystkiego co ty.

Amithi poczuła ukłucie bólu. Jej córka zawsze była uparta, ale kiedy miała kilka lat, jej krytyczne uwagi wydawały się Amithi łagodniejsze, niemal głupiutkie. Zwykle używała określeń z wyrazem „głowa”, w rodzaju „barania głowa”, „kapuściana głowa”, „ośla głowa”. Teraz jej epitety stały się subtelniejsze, ale bardziej uszczypliwe, wręcz złośliwe.

– Gotowanie i szycie to pożyteczne zajęcia, *beti*. – Amithi starała się nie zdradzić swojej frustracji. Bo gdyby to zrobiła, przegrałaby.

– Może są pożyteczne dla ciebie – zaprotestowała Jayana. – Ale ja nie będę kura domową jak ty. Będę pracowała w muzeum.

– W jakim muzeum?

– W muzeum sztuki. Żebym mogła spotykać sławnych artystów, takich jak Picasso. Uczyłam się o nim w szkole.

– Cóż, to będzie trudne, bo Picasso nie żyje – zauważyła Amithi, zadowolona, że nadal może być w pewnych sprawach autorytetem.

– Wiem. Powiedziałam „artystów takich, jak Picasso”.

– Rozumiem. – Amithi spojrzała na swój haft. – Wiesz co, szycie to też dzieło sztuki. Niektórzy artyści nawet wykorzystują tkaniny w swoich pracach.

– Wiem, mamo, ale to nie to samo, co ty robisz.

– Dlaczego?

– Bo to, co robisz, nie wisi w muzeum. Nikt tego nie ogląda.

– Widzicie to ty i twój ojciec. I ludzie, którym to daję.

– Tak, ale my się nie liczymy.

Amithi zawsze uważała siebie za osobę światową, bo mieszkała na dwóch kontynentach. Zabawne, jak dojrzewająca dziewczynka potrafiła zakreślić granice wokół świata matki i w kilku zaledwie zdaniach tak go zdewaluować.



# ROZDZIAŁ ..... 16 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Koszula nocna*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1975  
STAN: *Doskonały*

OPIS: *Biała koszula nocna, jeszcze z metką. Szerokie rękawy. Wokół dekoltu  
karo wyszyte pąki róży*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Wymiana*

## APRIL

W gabinecie doktor Hong pielęgniarka założyła April mankiet ciśnieniomierza na przedramię, wypełniła go powietrzem i odczytała wynik.

– Czy zazwyczaj ma pani nieco podwyższone ciśnienie krwi?

April pokręciła głową.

– Nigdy nie miałam problemów z ciśnieniem.

– Powiedziała pani, że łapią panią skurcze?

– Tak, przez całą ostatnią noc i dziś – potwierdziła April.

– Hm.

Nie to chciała April usłyszeć w gabinecie lekarskim. Po raz tysięczny od chwili, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży, odczuła wdzięczność, że kwalifikuje się do bezpłatnej opieki lekarskiej. Wolała nie myśleć, ile kosztowałyby ją te wszystkie wizyty, gdyby musiała za nie płacić.

– Przepraszam na minutkę. Zajrzę do pani karty zdrowia i skonsultuję się z doktor Hong. – Chodaki pielęgniarki zaskrzypiały na wyłożonej płytkami podłodze, kiedy opuszczała gabinet.

April była pewna, że jeśli minutę temu miała wysokie ciśnienie krwi, to teraz jeszcze podskoczyło. Bez powodzenia próbowała powstrzymać falę katastroficznych myśli, które kłębiły się w jej głowie, obracając się niczym mokre ubrania w pralce. Może to stan przedrzucawkowy czy jedno z innych schorzeń o okropnych nazwach, o których czytała w książkach na temat ciąży. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła ruchy dziecka.

Zamiast pielęgniarki do gabinetu weszła doktor Hong z jakąś kobietą. Teraz April naprawdę wpadła w panikę. Gdyby wszystko było w porządku, pielęgniarka nie miałaby powodu, żeby marnować czas lekarki na coś tak trywialnego jak badanie kontrolne.

– Czy to poronienie? – spytała April.

– Kochana, to jest nasza specjalistka radiolog – powiedziała doktor Hong, kiedy kobieta przysuwała do leżanki ultrasonograf. – Przyjrzymy się dziecku.

April zauważyła, że doktor Hong nie odpowiedziała na jej pytanie, i wzięła to za kolejny zły znak.

Doktor Hong rozchyliła szpitalną koszulę April i wycisnęła na jej brzuch trochę żelu. Radiolog przesunęła zimną sondą po skórze. April zamknęła oczy.

– Niczego nie słyszę – powiedziała. – Czy powinnam coś słyszeć?

– Próbujemy zlokalizować płód – wyjaśniła doktor Hong.

To nie trwało tak długo, kiedy poprzednim razem robiono jej USG!

– Czy z moim dzieckiem wszystko w porządku?

*Błagam, niech z moim dzieckiem będzie wszystko w porządku.*

– Właśnie staramy się to stwierdzić – powiedziała doktor Hong. – I wszystko wskazuje na to, że maleństwo doskonale sobie radzi. Proponuję, żebyś otworzyła oczy. Z pewnością chciałybyś to zobaczyć.

April spojrzała na ekran ultrasonografu i zobaczyła istotkę o dużej główce, wymachującą malutkimi rączkami i nóżkami.

– Och, Bogu niech będą dzięki – szepnęła April.

Radiolog nacisnęła jakieś guziki urządzenia.

– Tylko robię pomiary – wyjaśniła. – Jak na razie wszystko w porządku.

April gapiła się z zachwytem na dziecko – swoje dziecko – żałując, że nie ma tu Charliego. I mamy.

– Z zapisków pielęgniarki widzę, że masz wysokie ciśnienie – powiedziała doktor Hong. – Czy przeżywasz jakiś stres?

– Chyba można tak powiedzieć.

Radiolog skończyła robić pomiary i wydrukowała czarno-białe zdjęcie. Wręczyła je April ze słowami:

– Nie ma powodów do zmartwień.

Opuściła gabinet, a doktor Hong usiadła za biurkiem przy komputerze. Nacisnęła kilka klawiszy i na ekranie pojawiły się jakieś liczby. Zwykle April uspokoiłby widok cyferek, ale dziś wyglądały złowieszczo i niezrozumiale, jak tekst w języku, którego nie potrafiła przeczytać. Ulżyło jej, kiedy się dowiedziała, że dziecku nic nie jest, ale tyle rzeczy mogło pójść nie tak.

– Czy to stan przedrzucawkowy? – zapytała.

– Nie sądzę, chociaż jeszcze nie możemy tego wykluczyć – odparła doktor Hong.

– Nie stwierdziliśmy białkomoczu, nie masz obrzęków...

– Chyba pani żartuje. – April wskazała swój brzuch.

Doktor Hong się roześmiała.

– Chodzi o nietypowe obrzęki, na przykład twarzy, rąk, nóg. Powiększony brzuch

to, jak wiesz, normalne w ciąży. Poza wysokim ciśnieniem krwi nie ma innych objawów stanu przedrzucawkowego. Ale na wszelki wypadek zalecam leżenie w łóżku. Przypuszczam, że podwyższone ciśnienie krwi ma związek ze stresem i samo się unormuje, a leżenie w łóżku to przyspieszy.

– Nie wolno mi w ogóle wstawać? – spytała April. Wyobraziła sobie, jak leży w łóżku, a jej mięśnie i umysł ulegają atrofii z każdym mijającym tygodniem ciąży.

– Możesz siedzieć na kanapie z uniesionymi nogami, możesz chodzić do łazienki, ale nie dźwigaj niczego, co waży ponad dwa kilogramy. Nie wychodź z domu, żeby załatwiać jakieś sprawy, nie chodź do pracy. I zero seksu.

– Cóż, jeśli chodzi o pracę i seks, nie będzie z tym problemu – westchnęła April. – Ale wystawiłam dom mojej mamy na sprzedaż i muszę się pozbyć z niego zbędnych rzeczy.

– W takim razie musisz poprosić albo zatrudnić kogoś, żeby cię w tym wyręczył. Czy potrzebne ci zwolnienie lekarskie z pracy?

– Nie. Przestałam być stażystką, bo napyskowałam szefowej.

– Mmm-hmm. – Doktor Hong coś zanotowała. – A jak opisałaś swój nastrój ostatnio?

April wolałaby nie odpowiadać na to pytanie.

– Nie ma złej ani dobrej odpowiedzi. – Doktor Hong spojrzała na nią współczująco. – Po prostu odpowiedz szczerze.

April wiedziała, co to oznacza. Chcieli się przekonać, czy nie cierpi na depresję albo jakąś inną chorobę psychiczną. Jak mama. Zadawano jej te same pytania podczas każdej wizyty u lekarza. Zwykle odpowiadała ogólnikowo, że odczuwa „lekkie zmęczenie, ale poza tym wszystko w porządku”. Jednak od jakiegoś czasu April miała wrażenie, że jej życie to balon, który trzyma za sznurek, i chociaż bardzo się stara, ostatnio jakby straciła nad nim kontrolę. Widziała, jak się oddala, musiała podskoczyć i złapać za sznurek, nim odfrunie zbyt daleko.

– April?

Skupiła wzrok na twarzy doktor Hong, ale głos lekarki dobiegał gdzieś z daleka.

April owinęła się ściślejszą cienką bawełnianą koszulą. Wzdrygnęła się, czując się obnażona.

– Uznam, że twoja odpowiedź brzmi „niedobrze” – powiedziała doktor Hong. Zdjęła okulary. – Wszystkie kobiety mogą cierpieć na depresję poporodową, ale jak wiesz, uwzględniając chorobę twojej matki, w twoim wypadku ryzyko jest większe. Dlatego chcę cię bacznie obserwować nie tylko po porodzie, ale również teraz. Na wszelki wypadek.

April przypomniała sobie karteczkę, którą Violet znalazła w kieszeni dzinsów jej mamy.

– Skąd mam wiedzieć, czy coś jest nie tak, czy to tylko efekt wpływu hormonów?

– spytała.

– To dobre pytanie. Podczas ciąży zmienia się poziom hormonów, więc należy się spodziewać pewnych wahań nastrojów. Ale jeśli zauważysz, że twoje nastroje utrudniają ci normalnie życie, proszę, żebyś mi o tym powiedziała.

– Jak naskoczenie na szefową?

– Nie wyciągajmy wniosków na podstawie odosobnionej sytuacji. – Doktor Hong uśmiechnęła się lekko do April. – Nie przejmuj się zanedo tym, co się wydarzyło. Wiele kobiet w ciąży zachowuje się czasami inaczej niż zwykle. Może powinnaś porozmawiać z szefową.

April szanowała doktor Hong, ale wątpiła, czy rozmowa z Violet na cokolwiek się zda. Jeśli chce wrócić na staż, to musi odprawić jakąś pokutę, by zrekompensować utratę zaufania. Same przeprosiny nie wystarczą.

Po powrocie do domu April poszukała w kuchni różnych przegryzek, które mogłyby trzymać koło łóżka, by nie biegać co chwila do kuchni. Włożyła luźną koszulę nocną mamy i szlafrok, bo już nie mieściła się w swoje piżamy, po czym usadowiła się z laptopem na kanapie. Starła się nie myśleć, ile czasu będzie na niej spędzać.

Sprawdziła pocztę i zobaczyła kolejną nową wiadomość od Charliego. Wiedziała, że wystarczyłoby poprosić, a przyjechałby do niej. Prawdopodobnie było mu jej żal i mogła to wykorzystać. Miło byłoby go zobaczyć, a jeszcze milej widzieć, jak jej służy. Ale potem, jesienią, kiedy musiałyby wyjechać do Bostonu, byłoby jej o wiele trudniej, gdyby teraz przez jakiś czas z nią pomieszkał. Zresztą nie czuła się jeszcze gotowa, by mu wybaczyć wszystko, co powiedział, i odwołanie ślubu bez uprzedzenia choćby telefonicznie, że listy z tą informacją są już w drodze. Przypomniawszy sobie radę doktor Hong, by unikać stresujących sytuacji, usunęła wiadomość, nawet jej nie czytając.

Przez kilka następnych dni była jakby przymulona. Szybko znudziło jej się surfowanie po internecie i oglądanie telewizji, a nie miała żadnych dobrych książek. Czas mijał jej albo na spaniu, albo na analizowaniu problemów, jakby były to preparaty pod mikroskopem. Wszystkie jej plany z ostatnich kilku miesięcy wzięły w łeb. Ślub, pomysły dotyczące prowadzenia sklepu... Nie mogła pozbyć się wrażenia, że zawiodła nawet swoje dziecko. Wiedziała, z jakimi kłopotami borykała się jej matka, wychowując ją samotnie. Teraz będzie musiała stawić czoło takim samym wyzwaniom, do tego mając znacznie mniej lat niż jej mama, kiedy ją urodziła.

Miała nadzieję, że Charlie nie zniknie z życia ich dziecka, a czasem pozwalała sobie nawet na marzenia, że jeszcze będą razem, że w trójkę stworzą rodzinę. Ale wiedziała, że kiedy Charlie wyprowadzi się do Bostonu, szybko ułoży sobie życie bez niej. Tak jak jej ojciec, który z biegiem lat coraz rzadziej kontaktował się z April, by w końcu zupełnie o niej zapomnieć.

Może początkowo Charlie będzie ją odwiedzał podczas przerw semestralnych. Prawdopodobnie pojawi się na pierwszych urodzinach swojego dziecka. I naturalnie będzie prawnie zobowiązany do zapewnienia mu utrzymania, chociaż przypuszczała, że nie będą to znaczące kwoty, skoro sam jest studentem. Ale na co dzień – kiedy trzeba iść z wizytą do lekarza, opowiedzieć bajeczkę na dobranoc, obserwować pierwsze samodzielne kroki maleństwa – Charlie będzie setki kilometrów stąd. I to złamało jej serce.

Jej życie, kiedy leżała w łóżku, płynęło tak wolno i tak kompletnie pozbawione było jakichkolwiek wydarzeń, że kiedy zadzwoniła Lane Lawton, April nie wiedziała nawet, jaki jest dzień tygodnia. Wpatrywała się w nazwisko na wyświetlaczu, niepewna, czy odebrać. Nie chciała wyjaśniać Lane, że od ich ostatniej rozmowy nie tylko straciła pracę, ale prawdopodobnie traciła również rozum. Potem pomyślała o swojej matce – jak izolowała się od ludzi wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebowała.

I odebrała telefon.

W głosie Lane dało się wyczuć niepokój.

– April? Nie widziałam cię na próbach do pokazu, a kiedy zagadnęłam o to Violet, wyjaśniła mi, że już nie odbywasz stażu w jej sklepie. Czy wszystko w porządku? Jak dziecko?

– Dziecko ma się dobrze, ale muszę leżeć.

– Och, moje biedactwo... Danny, natychmiast stamtąd zejdź... Przepraszam. Z trzecim synem też musiałam przez jakiś czas leżeć w łóżku, więc wiem, co to znaczy. Czy mogę wpaść i przynieść ci coś do jedzenia?

April spojrzała na swoją brudną koszulę nocną i już miała podziękować, ale znów przypomniała sobie mamę i powiedziała:

– Byłoby mi bardzo miło.

– Przyjdę wieczorem, kiedy dzieci... Nie dotykaj maselniczki. A teraz idź i umyj ręce.

– Jeśli nie możesz teraz rozmawiać, zadzwonię później.

– Nie, to nie jest zła pora, tylko zwykle popołudnie. Słuchaj, wpadnę do ciebie, jak położę dzieci spać.

Wieczorem Lane przyszła do April, chociaż nigdy wcześniej u niej nie była. Pojawiła się z naczyniem żaroodpornym i wręczyła April stos błyszczących magazynów plotkarskich.

– O mój Boże – wykrzyknęła April, patrząc na zwaśnioną parę celebrytów na okładce jednego z nich. – Skąd wiedziałaś, czego mi potrzeba?

– Mówiłam ci, że podczas ostatniej ciąży też musiałam leżeć. Jedyne, co nie pozwalało mi być nieszczęśliwą, to czytanie o nieszczęściach innych – odparła Lane. – Pozwolisz, że zajrzę do szafek i poszukam talerza? Przyniosłam ci kolację.

– Jasne. Naczynia są w szafce obok lodówki.

Po chwili Lane wróciła z miską pełną sałatki makaronowej i widelcem. Wręczyła je April.

– Obojętne, czy jesteś głodna, czy nie. Zapewniam cię, że twoje dziecko jest głodne.

– Dziękuję. – April spróbowała makaronu. – To pierwszy porządny posiłek w tym tygodniu, poza kanapkami z masłem orzechowym.

– Szykuję dla chłopców góry jedzenia, więc przygotowanie odrobiny więcej nie sprawi mi żadnego kłopotu – oświadczyła Lane. – A teraz mów, co się dzieje.

Sama obecność Lane sprawiła, że April poczuła się bardziej odprężona.

Jedząc, opowiedziała, co się wydarzyło, zaczynając od tego, że jej matka być może popełniła samobójstwo, a kończąc na tym, jak przebiegła ostatnia wizyta u doktor Hong.

– Jeśli mama popełniła samobójstwo, zadaję sobie pytanie, czy kiedykolwiek byliśmy szczęśliwe, czy tylko zapamiętałam to w taki sposób, bo nie wiedziałam, co się z nią dzieje – powiedziała.

Lane poklepała April po ramieniu.

– Jestem pewna, że ona też była szczęśliwa.

– Wciąż się zastanawiam, co się naprawdę wydarzyło. I dochodzę do wniosku, że nigdy się tego nie dowiem, co nie jest żadnym wnioskiem.

Lane zdjęła elastyczną opaskę z przegubu ręki i zebrała włosy w kucyk.

– W takim razie musisz sobie dać z tym spokój – stwierdziła.

– Ale jak? Jeśli moja mama odebrała sobie życie, to...

– To co? To wcale nie znaczy, że cię nie kochała. Nic nie zmieni dobrych chwil, które razem przeżyłyście. Nawet jeśli to, co podejrzewasz, jest prawdą, a to bardzo śmiałe założenie, bo nie masz żadnych dowodów ani za, ani przeciw, twoja mama nadal pozostaje taką osobą, jaką zapamiętałaś. To, jak zginęła, nie jest tak ważne, jak to, jak żyła.

– Taaak, ale jej życie dalekie było od ideału.

– Jak życie nas wszystkich. Nie o to chodzi. Boże, mam nadzieję, że moje dzieci nigdy nie zaczną oceniać, czy byłam perfekcyjną mamą, czy też nie. Chcę jedynie, żeby wiedziały, że je kocham.

Przynajmniej to April wiedziała na pewno. Kiedy sobie to uzmysłowiła, poczuła ogromną ulgę.

– Czy jeszcze kiedykolwiek będę wyglądała normalnie? – spytała, kończąc makaron.

Lane się roześmiała.

– Tak. To już trzeci trymestr, teraz będzie z górki.

– Nigdy nie rozumiałam, co to znaczy – westchnęła April. – Będzie lepiej czy

gorzej?

– W tym wypadku lepiej.

– Ale tak się denerwuję, że będę miała takie same problemy, jak moja mama. To znaczy ze zdrowiem psychicznym.

– Nie będziesz miała. – Lane pokręciła głową. – A to dlatego, że jesteś świadoma, przez co przeszła twoja mama, więc nigdy nie dopuścisz, by to samo spotkało ciebie.

– Taaak, ale nie czuję się sobą. Nie czuję, żebym robiła cokolwiek sensownego. Skąd mam wiedzieć, że nie jestem dwa kroki od wpadnięcia w jakąś straszną dziurę?

– Skarbie, musisz leżeć. Takie przymusowe leżenie u każdego wywołałoby przygnębienie – pocieszała ją Lane. – Nie jestem psychiatrą, ale według mnie to, że uporałaś się ze śmiercią mamy i przetrwałaś prawie całą ciążę, nie załamawszy się nerwowo, świadczy, że jesteś silna psychicznie. Ostatnie miesiące były dla ciebie trudne, ale i ty, i twoje dziecko jesteście silni.

– Dziękuję. – W tym momencie April tak brakowało matki, że myślała, że się udusi, ale cieszyła się, że nie jest sama, że ktoś się nią zainteresował.

– I żeby to się nie zmieniło, będę do ciebie przychodziła tak często, jak tylko dam radę, dopóki twoja lekarka nie powie, że nie musisz dłużej leżeć – zakomunikowała Lane. – Co ty na to?

April skinęła głową. Nawet nie próbowała oponować. Powtórzyła jedynie:

– Dziękuję.

– Będę wpadała wieczorem, jak położę dzieci spać. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, po prostu zadzwoń i powiedz.

Po wyjściu Lane April pomyślała o tym, jak szybko uznała ją za kolejną udreconą mamę ze Środkowego Zachodu. Założyła, że Lane poszła na łatwiznę, rezygnując z aktorstwa, by myć buzie dzieciom i wycierać z mebli ślady palców. Teraz przekonała się na własne oczy, że źle tę kobietę oceniła. Dotarło do niej, że rezygnacja z teatru, by skupić się na dzieciach, nie oznaczała porzucenia tego, czego Lane pragnęła, tylko była świadomym wyborem, przemyślanym i upragnionym tak samo, jak główna rola w spektaklu.

# ROZDZIAŁ ..... 17 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Dzbanek do herbaty*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata pięćdziesiąte*

STAN: *Idealny*

OPIS: *Porcelanowy dzbanek do herbaty Royal Doulton, kolor – kość słoniowa,  
w różowe różyczki*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Betsy Barrett*

## VIOLET

Violet zaparkowała na półokrągłym podjeździe przed domem Betsy i ruszyła wybetonowaną dróżką pomiędzy kwitnącymi jak każdego lata polnymi kwiatami w jej ogródku. Dom Betsy był jedynym znanym Violet domem, gdzie drzwi otwierała gosposia. Zaprowadziła ją do salonu i podała rumianek w porcelanowej filiżance. Violet usiadła na obitej brokatem kanapie i wyjrzała przez ozdobione aksamitnymi zasłonami okna wychodzące na jezioro Mendota. Starła się odprężyć. Dotąd jeszcze nie mówiła Betsy, że wie o jej chorobie. Bała się, że przyjaciółka ma dla niej więcej złych wiadomości.

Betsy weszła do pokoju, trzymając filiżankę z herbatą. W szarej płóciennej sukience wyglądała jak szczapa, ale była w dobrym nastroju. Na jej widok Violet podniosła się z kanapy.

– Och, siadaj – powiedziała Betsy. – Widzę, że dostałaś herbatkę rumiankową. Masz ochotę na coś jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Betsy usiadła w fotelu na wprost przyjaciółki. Violet z podziwem przyjrzała się nienagannej sylwetce starszej pani. Betsy, choć była wysoka, siedziała prosto, a głowę trzymała wysoko. Należała do kobiet, które nie przepraszają za to, że żyją. Taka sama była babka Violet.

Uśmiechnęła się. Gdy była dzieckiem, siadywała na taborecie przed pianinem, a babcia Lou grała. Palce o błyszczących, czerwonych paznokciach śmigały po klawiszach, a ona sama kiwała się, śpiewając *Would You Like To Swing On A Star?* Violet wtórowała, upajając się głośnym śpiewem. W salonie babci Lou nigdy nie musiała przeproszać za to, że jest sobą.

Betsy podmuchała na swoją herbatę, aż w powietrzu uniósł się obłoczek pary.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać – powiedziała. – Bardzo mi przykro,



że nie wyszło wam z April. Nie mam do ciebie pretensji. Ale wiedz, że ta dziewczyna dużo przeszła.

– Rozmawiałaś z nią ostatnio?

– Tylko tego dnia, kiedy zadzwoniła, by mnie poinformować, że rezygnuje ze stażu. Próbowałam ją od tego odwieść, ale jest uparta. Rozmawiałam z jej opiekunem na uczelni. Powiedzieli, że są gotowi dać jej część punktów za staż. – Betsy napiła się herbaty. – Kontaktowała się z tobą?

Violet pokręciła głową.

– A co u ciebie? Wszystko w porządku? – spytała Betsy. – Wyglądasz na zestresowaną.

*Cała Betsy. Martwi się o mnie, kiedy to ona jest chora,* pomyślała Violet.

– Nie, wszystko dobrze – odparła. – Wkrótce zorganizujemy pokaz, poza tym... Ostatnio sprawy się trochę skomplikowały.

– No dobrze, nie będę owijać w bawełnę – westchnęła Betsy.

– Dzięki Bogu. Zastanawiałam się, czy chcesz o tym rozmawiać.

– Od dawna chciałam o tym z tobą porozmawiać, ale musisz zrozumieć, że znajduję się w niezręcznej sytuacji. Z jednej strony jesteś moją przyjaciółką i zależy mi, żeby twój sklep odniósł sukces. Z drugiej strony mam dużo znajomości wśród biznesmenów i nie mogę o tym zapominać. Właściciel firmy budowlanej, który prowadzi negocjacje z właścicielem twojego budynku, to prezes dawnej firmy mojego męża. Chociaż po śmierci Walta sprzedałam swoje udziały, nadal uważam, że powinnam utrzymywać dobre stosunki z prezesem.

Violet zamrużyła powiekami.

– Przepraszam, ale o czym ty mówisz?

– O deweloperze, który kupuje twój budynek – wyjaśniła Betsy – z przeznaczeniem na mieszkania własnościowe. Myślałam, że o tym mówimy.

– Właściciel budynku powiedział mi jedynie, że wystawili nieruchomość na sprzedaż i dlatego chcą, żebym się wyniosła.

– Wcale nie muszą wystawiać go na sprzedaż – poinformowała ją Betsy. – Władze miasta już zaakceptowały plan generalnego remontu budynku i jego rozbudowy, by powstały w nim cztery luksusowe mieszkania.

– A więc decyzja zapadła?

– Cóż, jeśli chodzi o rynek nieruchomości, to dopiero kiedy wyschnie atrament na dokumencie, można uznać, że sprawa jest przyklepana. Ale wszystko wskazuje na to, że tak się stanie. Myślałam, że o tym wiesz.

– Nie, nic nie wiedziałam – oświadczyła Violet.

Poczuła się zdradzona: Betsy nie wspomniała o tym wcześniej ani słówkiem. Może nie były jednak sobie tak bliskie, jak sądziła. Potem jednak wyrzuty sumienia zwyciężyły. Zrobiło jej się głupio, że ma pretensje do Betsy, która tymczasem ma

ważniejsze sprawy na głowie, zmagając się z chorobą. W dodatku czuła się jak hipokrytka, bo i ona trzymała w tajemnicy pewne ważne sprawy.

Najbardziej zaniepokoiło ją to, że właściciel nieruchomości założył, iż Violet nie zechce... a raczej że nie będzie jej stać na skorzystanie z prawa pierwokupu. Nawet nie zczekali na jej decyzję, tylko już wszystko z góry zaplanowali. Jakby prawdopodobieństwo, że Violet kupi budynek, było zbyt małe, by to uwzględniać w swoich kalkulacjach. Rzeczywiście było małe, ale Violet wciąż nie traciła nadziei, że dzięki pokazowi i być może jakiemuś cudowi zgromadzi dość pieniędzy na zaliczkę. I że przyznają jej kredyt. W przeciwnym razie nie wiedziała, co dalej. Co tydzień czytała ogłoszenia drobne, ale szanse na znalezienie w okolicy lokalu na sklep, na który mogłaby sobie pozwolić, były właściwie żadne.

Betsy odstawiła filiżankę.

– Skoro nie miałaś na myśli planów przebudowy budynku, to o czym zamierzałaś porozmawiać?

Violet szukała słów, by jak najzgrabniej ująć to, co chciała powiedzieć o dokumencie, który przypadkiem zobaczyła w samochodzie Betsy. W końcu doszła do wniosku, że nie istnieje dobry sposób poinformowania o tym, więc wypaliła prosto z mostu:

– Betsy, wiem, że chorujesz na raka. Kiedy ostatnio byłaś u mnie w sklepie i wysłałaś mnie do samochodu po ubrania, zobaczyłam na przednim siedzeniu polisę ubezpieczeniową, rachunek czy jakiś inny dokument.

W pierwszej chwili Betsy nic nie odpowiedziała. Słowa zdawały się unosić w powietrzu nad lakierowanym stolikiem kawowym.

– O, nie – odezwała się w końcu. Wyciągnęła rękę i poklepała Violet po ramieniu.

– Nie wiedziałam, że zostawiłam go w samochodzie.

Violet odstawiła herbatę i przycisnęła ręce do piersi, czując, jak robi jej się zimno w klimatyzowanym pomieszczeniu.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale bardzo się o ciebie martwię. Nie mam w Madison żadnych krewnych, więc traktuję cię jak członka rodziny.

Na twarzy Betsy pojawił się uśmiech.

– To bardzo miłe, co powiedziałaś, i zapewniam cię, że czuję to samo wobec ciebie, ale nie ma się czym martwić. Uporałam się z nowotworem. Ten dokument jest sprzed wielu miesięcy. Dawno nie sprzątałam w samochodzie. Naprawdę powinnam zrobić w nim porządek. Gdyby Walt żył, nie pozwoliliby trzymać w nim tylu szpargałów.

Violet z niedowierzaniem pociągnęła nosem.

– Naprawdę?

– Tak, i bardzo się cieszę, że mogę to powiedzieć. – Betsy się uśmiechnęła. – Lekarze znaleźli guzek, usunęli mi obie piersi i zastosowali radioterapię. Od ponad

roku nie mam raka.

– Byłaś chora i nic mi o tym nie powiedziałaś?

– Jakoś nie było okazji. Zresztą nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli, że mam raka, bo wtedy upieraliby się, żebym się oszczędzała, a nigdy nie byłam w tym dobra. I jeśli mam być szczerą, tym bardziej nie chciałam, żeby myśleli, że jestem umierająca. Jak wiesz, działałam w kilku organizacjach charytatywnych i wszystkie one, naturalnie, mają nadzieję, że zapiszę im coś w testamencie. Założę się, że gdyby do którejś z nich dotarły pogłoski, że niebawem mogę kopnąć w kalendarz, ustawiliby się w kolejce, żeby całować mnie w tyłek; niech Bóg błogosławi ich dobre serca.

Violet się roześmiała.

– Chyba masz rację. – Pokręciła głową. – Nie mogę uwierzyć, że usunęli ci obie piersi. Jezu.

– Mam siedemdziesiąt sześć lat. Nie są mi już potrzebne. – Położyła dłonie pod linią stanika. – Noszę protezy, żeby ubrania dobrze leżały.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest – westchnęła Violet.

– Och, przestań się trząść nade mną. Rak to nic przyjemnego, ale dzięki niemu czegoś się nauczyłam: że nie ma co rozmyślać nad tym, co mogłoby albo powinno być. Bo wtedy traci się z pola widzenia to, co się dzieje teraz, a tylko to się naprawdę liczy.

\*

Kiedy tamtego wieczoru Violet jechała do domu, myśli kłębiły się w jej głowie, a uczucia walczyły o miejsce w jej sercu. Szok w związku z planami dotyczącymi budynku, pretensje do Betsy, dlaczego nic jej o tym nie powiedziała, ulga z powodu remisji choroby przyjaciółki.

Słowa Betsy, by nie zaprzętać sobie głowy tym, co „mogło być” i „powinno być”, przypomniały Violet to, co Sam powiedział jej na pierwszej randce. Zadzwoiła więc do niego w drodze do domu.

– Cześć – usłyszała jego głos w słuchawce. – Fajnie, że dzwonicz. Co nowego?

– Właśnie wracam od swojej przyjaciółki Betsy, która pokonała raka. Wspomniała coś o tym, żeby żyć chwilą obecną, co wydało mi się znajome. Więc dzwonię, żeby ci powiedzieć, że w tej chwili chcę być z tobą.

– To dokładnie tak jak ja.

– Jeśli chcesz, przyjdź do mnie. To pewnie ostatni wieczór w tym tygodniu, kiedy będę się mogła naprawdę odprężyć, bo za kilka dni odbędzie się pokaz. Mam w lodówce trochę wina i masę musicali na DVD.

– Chętnie napiję się wina, ale za musicale dziękuję.

Violet przesadnie westchnęła.

– Wiedziałałam, że nie jesteś ideałem.

– Jesteś w domu?

– W drodze do domu. Spotkamy się na miejscu.

Violet toczyła się Johnson Street swoim starym dżipem Wagoneerem. Minęła dwa samochody z ociekającymi wodą kajakami na dachu. Ich właściciele prawdopodobnie wieczorem pływali po jednym z jezior i teraz wracali do domu. W radiu nadawali jakąś piosenkę zespołu Led Zeppelin. Perspektywa spotkania z Samem wprawiła Violet w dobry nastrój, zaczęła nucić wraz z Robertem Plantem. Zaparkowała za budynkiem i pobiegła do tylnego wejścia. Miała nadzieję, że zdąży zapalić świece i nalać wino, nim pojawi się Sam. Obcasy jej butów stuknęły o zniszczone drewniane stopnie, kiedy wchodziła na górę. Otworzyła drzwi, ale Miles nie przybiegł jej na spotkanie.

*Dziwne*, pomyślała. I natychmiast zaczęła się martwić, że coś mu się stało.

– Miles – zawołała, sięgając do kontaktu.

– Cześć, mała – rozległ się cichy głos.

Violet aż podskoczyła. Zapaliła światło w kuchni i ujrzała pijanego i zgarbionego – ale i tak przystojnego – Jeda, siedzącego na podłodze koło lodówki. I głaszczącego jej psa.

– Co ty tu robisz, do jasnej cholery? – Myślała, że już ma z głowy Jeda i jego pijackie wybryki.

Słyszac Violet, Miles nastawił uszu, ale nie ruszył się z miejsca. *A więc tak wygląda twoja lojalność*, pomyślała Violet. Kiedy wzięli Milesa ze schroniska dla zwierząt, Jed prawie nie troszczył się o psa. Violet wyprowadzała go na spacer, karmiła, kąpała. Widocznie Miles o tym zapomniał.

– Jestem tu przejazdem. – Jed uśmiechnął się od ucha do ucha, sam nie wierząc w swoje kłamstwo. Spróbował się podnieść, ale mu się nie udało. Musiał się złapać blatu szafki, by wstać.

– Jesteś pijany! – Violet kipiała ze złości. – Wynoś się stąd albo wezwę policję i zgłoszę, że się włamałeś.

– Wcale się nie włamałem – sprostował Jed. – Drzwi nie były zamknięte na klucz.

*Kurde*, zakląła w duchu Violet. Była rozkojarzona, wybierając się do Betsy. Widocznie nie zamknęła drzwi. Łatwo o tym zapomnieć w stosunkowo bezpiecznym mieście na Środkowym Zachodzie, jakim jest Madison.

Jed pociągnął łyk z zielonej zgrabnej butelki. Violet zorientowała się, że to białe wino, które kupiła, by je wypić razem z Samem.

– To moje wino.

– Trzymasz je na specjalne okazje? – Spojrzał na butelkę, którą trzymał w jednej ręce, a drugą złapał Violet w pasie.

Violet wyrwała mu się. Zrobił krok do przodu i znów spróbował ją chwycić, ale Violet zdjęła z nogi pantofel w lamparcie cętki i rzuciła nim w kierunku Jeda. Nie trafiła, but uderzył w lodówkę. Był to raczej gest bezsilności. Jed nigdy jej nie

skrzywdził, przynajmniej nie w sensie fizycznym, a teraz, nawet gdyby chciał, był zbyt pijany.

Jed podniósł but z podłogi i przyjrzał mu się mętym wzrokiem, nie kryjąc podziwu.

– Masz takie małe stopy. Pamiętasz, Vi, jak masowałem ci nóżki, kiedy wracałaś do domu po dwóch zmianach w Sunshine Café?

Violet sięgnęła po drugi but i ruszyła z nim w stronę Jeda.

– Wynoś się z mojego mieszkania. Czekaam na kogoś i lepiej będzie, jeśli cię tu nie zastanie.

– Oooh, przyjaciel? Pobije mnie? – Jed zrobił parę chwiejnych kroków i upadł.

– Nie pozwoliłam ci tu przychodzić. Mogę wezwać policję – zagroziła Violet – więc lepiej sam się stąd wynieś.

– Nie zadzwonisz na policję.

– Chcesz się założyć? – Podeszła do telefonu stojącego na szafce.

– Dobrze już, dobrze. – Jed podniósł ręce na znak, że się poddaje. – Pójdę.

Ale nie ruszał się z miejsca. Violet spytała:

– Gdzie twój wóz?

Jed usiadł na drewnianej podłodze, podciągnął kolana pod brodę i bezczelnie oświadczył:

– Rozbiłem go.

– Jezu. Dziś wieczorem?

– Nie, kilka miesięcy temu.

– To czym tu przyjechałeś?

– Lenny sprzedał mi swoją furgonetkę.

Violet westchnęła. Jej cierpliwość do Jeda wyczerpała się wiele lat temu, kiedy w końcu uświadomiła sobie, że ten pełen uroku osobistego, cieszący się w liceum taką popularnością facet nie ma za grosz ambicji.

– W takim razie gdzie jest ta furgonetka?

– Zaparkowałem przed domem.

– No to prawdopodobnie już jej tam nie ma. Dziś w nocy sprzątają ulice. Służby miejskie od siódmej wieczorem odholowują wszystkie zaparkowane pojazdy – oznajmiła Violet.

– To może powinienem tu zostać na noc. – Jed spojrział na nią z miną, która według niego była uwodzicielska, ale w rzeczywistości wyglądał na zdesperowanego, pokonanego, trzymającego się resztek nadziei.

– Wykluczone. – Za nic nie pozwoliłaby mu zostać na noc, ale z drugiej strony w takim stanie nie mógł prowadzić auta. Violet zaczęła chodzić po kuchni, nie wiedząc, co zrobić. Nie miała pojęcia, co go skłoniło, żeby jechać cztery godziny z Bent Creek, by się z nią zobaczyć, ale nie miała czasu go o to wypytywać. Musiała

się go stąd pozbyć, nim pojawi się Sam.

– Wstawaj – zarządziła. – Zawiozę cię do motelu przy East Washington.

– Musimy porozmawiać. Straciłem pracę. – Jed wstał z trudem. Miał na nogach stare buty ze stalowymi noskami. – Zawsze pomagałaś mi znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Myślałam, że zrezygnowałeś ze składania mi niezapowiedzianych wizyt. I myślałam, że rzuciłeś picie. A co z kuracją odwykową?

– Pieprzyć odwyk. – Jed potrząsał głową, jakby miał skorpiona we włosach. Kiedy skończył, miał smutne, zrezygnowane spojrzenie. – Nie tęsknisz za mną, Vi? Czasem sobie wspominam czasy, kiedy byliśmy razem. Świetnie się bawiliśmy.

Violet brakowało kilku rzeczy z okresu, kiedy byli razem, ale nie brakowało jej Jeda. Tęskniła za niewinnością i nadzieją z początków ich znajomości. Od tamtej pory rzadko pozwalała sobie na nadzieję. Podejrzewała, że Jedowi też brakuje nadziei.

– Chodź. Odwiozę cię do motelu.

Jed chwycił się blatu szafki. I wtedy Miles zaczął szczekać.

– W porządku, piesku – powiedziała Violet. – On już wychodzi.

Violet słyszała, jak Jed idzie za nią, szurając nogami. Kiedy stanęła na szczycie schodów, zobaczyła Sama u ich podnóża.

– Wracaj do środka – syknęła do Jeda, ale już zauważył Sama.

– Ej, czy my się znamy? – spytał.

Sam rzucił Violet rozbawione spojrzenie, a ona uniosła rękę, by dać mu do zrozumienia, że dla niej była to taka sama niespodzianka, jak dla niego.

– Ej, zadałem ci pytanie – powiedział Jed, tym razem głośniej.

– Bardzo możliwe, że się znamy – odparł Sam.

– Jesteś z Bent Creek?

– Niestety tak.

– Właśnie miałam go odwieźć do motelu – wtrąciła się Violet. – Proszę, wejdź i poczęstuj się, czym chcesz, do mojego powrotu. Było trochę wina... – Spojrzała gniewnie na Jeda. – Ale już nie ma.

Sam wszedł po schodach.

Jed złapał go za ramię.

– Chcę pogadać ze swoim kumplem z Bent Creek. Nie możemy zostać razem trochę dłużej? Słuchaj no. – Jed nachylił się do Sama i się zachwiał. Przez chwilę Violet bała się, że stoczy się w dół schodów. Złapał się poręczy. – Korzystaj z okazji – powiedział. – Bo to tylko kwestia czasu, kiedy ta dziwka uzna, że jest dla ciebie za dobra.

Sam zacisnął dłoń w pięść i zamachnął się, jakby chciał go zdzielić, ale Violet złapała go za rękę.

– Proszę, nie rób tego.

Sam zacisnął zęby.

– O, nadal ci na mnie zależy, co, Vi? – ucieszył się Jed.

– Nie – rzuciła w jego stronę, a potem znów spojrzała na Sama. – Nie jest tego wart. Jeden cios, a ten zapijaczony łobuz spadnie ze schodów i wszyscy trafimy do komisariatu. Nie tak chciałam spędzić ten wieczór. – Posłała mu najbardziej uwodzicielski uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć, mając za sobą swojego eks.

Sam opuścił ręce i spojrzał na Jeda tak, jakby chciał go zabić wzrokiem.

– Dobrze – powiedział. Odwrócił się do Violet. – Może pojedę z wami? Wolałbym nie zostawiać cię samej z tym facetem.

– Jasne, możesz nam towarzyszyć. – Nie chciała, żeby ci dwaj mężczyźni znaleźli się w jednym samochodzie, ale nie chciała również ani chwili dłużej zostawać sam na sam z Jedem.

Motel Super 8 był odległy o pięć kilometrów, ale miała wrażenie, że jazda trwała godziny. Jed gadał bez sensu, siedząc z tyłu.

– Dobrze sobie radziłem, chodziłem na spotkania Anonimowych Alkoholików i w ogóle, ale potem pokłóciłem się z szefem w fabryce – mówił. – Rany, ale z niego kutas.

Sam patrzył prosto przed siebie, ale miał taką minę, jakby w każdej chwili mógł doskoczyć do Jeda i go udusić.

– Więc przyjechałeś tutaj, gdy wywalił cię z roboty? – spytała Violet.

– Właściwie nie jestem pewien. Pamiętam, jak wyszedłem, żeby ochłonać, ale później wszystko jest jakieś zamazane. Następne co pamiętam, to że obudziłem się w swoim wozie na parkingu koło Eau Claire. Stwierdziłem, że to prawie w połowie drogi do Madison, więc przyjechałem tutaj.

– Jezu, mogłeś kogoś zabić.

– To nie moja wina – bronił się Jed. – To rodzinne.

– Masz rację – wtrącił Sam. Wsparł się muskularnym ramieniem na podłokietniku i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Jeda. – To nie twoja wina. Nie mogłeś się powstrzymać, żeby prowadzić po pijanemu i włamać się do mieszkania Violet...

– Czy wydać na alkohol moje pieniądze na chesne – dodała Violet.

– No właśnie. Nic nie mogłeś na to poradzić, bo po prostu masz genetyczne predyspozycje do bycia dupkiem – podsumował Sam.

Violet spojrzała w tylne lustro, parkując przed motelem.

Nagle w oczach Jeda pojawił się błysk.

– Ej, przypomniałem sobie ciebie. Sam. Sam Lewis. Byłeś w szkole chudy jak patyk i jakiś dziwny. Nigdy bym nie pomyślał, że wyrośniesz na takiego przystojniaka.

– Przykro mi, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie – odezwał się Sam.

Jed wysiadł z samochodu.

Sam opuścił szybę w oknie.

– Lepiej nie pokazuj się u Violet ani jutro, ani nigdy. Słyszysz?

– Co mam zrobić? – spytał Jed.

Spojrzał na Violet zagubionym wzrokiem, na który być może wiele lat temu dałaby się nabrać. Miała słabość do popaprańców i nieudaczników, musiała stale z tym walczyć, prowadząc sklep – powstrzymywać się przed chęcią kupna płaszcza z porwaną podszewką, której wymiana kosztowałaby więcej niż dochód ze sprzedaży płaszcza. Ale z upływem lat zrozumiała, że są rzeczy, których nie da się naprawić. I należał do nich jej związek z Jedem.

– Wracaj do Bent Creek, Jed – poradziła mu. – Nie mogę ci pomóc.

Jed zgarbiony skierował się do wejścia do motelu. Gdzieś zniknęła jego dawna pewność siebie. Życie go jej pozbawiło.

– Dobrze się czujesz? – spytał Sam, kiedy Violet ruszyła z parkingu.

– Chyba tak. Ale czy mogę dziś przenocować u ciebie? Jestem zbyt wkurzona, żeby teraz wrócić do domu.

– Jasne. – Sam wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia dokładnie w tym miejscu, gdzie spod krótkiego rękawka bawełnianej bluzki z dziurkami wyłaniał się tatuaż.

Violet spojrzała na feniksa z rozpostartymi skrzydłami na swoim ramieniu. Zrobiła sobie ten tatuaż pięć lat temu, w dniu, kiedy przyjechała do Madison. Zanim jeszcze wyładowała kartony z dżipa do mieszkania, wstąpiła do salonu tatuażu przy Williamson Street i pokazała właścicielowi stronę w starej książce z mitami, którą uwielbiała. Jej małżeństwo spłonęło, a ona postanowiła wykorzystać swoją niezależność, by wzbić się w powietrze.

– Przepraszam, że cię w to wciągnęłam – powiedziała do Sama. – Dziękuję, że powstrzymałeś się od sprania go po pysku u mnie w domu.

– Nieczęsto mam ochotę komuś przyłożyć – przyznał. – Ale dziś naprawdę świerbiła mnie ręka.

– Nie miałabym do ciebie pretensji, gdybyś to zrobił. Ale cieszę się, że się pohamowałeś. To oznaczałoby jedynie więcej kłopotów, a chciałam jak najszybciej pozbyć się go z domu.

Sam przesunął dłonią po szpakowatych włosach.

– Kiedy nazwał cię „dziwką”...

– Nie pierwszy raz tak mnie nazwano – stwierdziła Violet. – Przypuszczam, że każda kobieta, która nie jest całkowicie bezwolna, raz czy dwa razy w życiu została nazwana „dziwką”. Nie przejmuję się tym.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Czy nadal coś do siebie czujecie? – spytał Sam.

Na światłach ulicznych odwróciła się do niego.

– Jed i ja?

– Tak. No bo dlaczego miałyby jechać taki kawał drogi, gdyby nie sądził, że...



Violet ścisnęła dłoń Sama.

– Nic do niego nie czuję.

– Nie wiem, dlaczego zwyczajnie na dobre z nim nie zerwiesz.

– Próbowałam, ale zawsze, kiedy coś się dzieje, wyobrażam sobie, że to ostatni raz. Karen w kółko mi powtarza, że powinnam wystąpić o zakaz zbliżania się Jeda do mnie. Chyba ma rację.

Sam westchnął głęboko, nie kryjąc frustracji.

– Właśnie przez takich ludzi jak on nie chcę mieć dzieci. Nigdy. Dość się nacierpiałem, kiedy mi dokuczano, gdy dorastałem. Wyobrażam sobie, że moim rodzicom było jeszcze trudniej patrzeć, jak pastwili się nade mną chłopaki w rodzaju Jeda.

Zapaliło się zielone światło i Violet powinna ruszyć ze skrzyżowania, ale w głowie wciąż słyszała to, co właśnie powiedział Sam. *Nie może nie będę chciał mieć dzieci ani nie jestem pewien.* Powiedział „nigdy”.

Kierowca stojącego za nią samochodu zatrąbił i Violet przeniosła nogę na pedał gazu.

– Mówiłeś, że się z tym uporałeś – odezwała się.

– Tak, ale nie na tyle, by narażać na coś takiego niczemu niewinne dziecko.

– Ale twojemu dziecku może wcale nie będą dokuczać.

– Przecież wszystkim dokuczają. A być tym, kto znęca się nad innymi, jest jeszcze gorzej.

– Nie sądzisz, że to dość cyniczny pogląd?

Sam wzruszył ramionami.

– Być może. Ale skoro na świecie żyje ponad siedem miliardów ludzi, nikt nie ucierpi na tym, że nie chcę być ojcem.

Violet spojrzała na twarz Sama w świetle latarni i pomyślała: *To niekoniecznie prawda.*

Przez kilka chwil milczeli.

Sam odchrząknął.

– Chyba nie powinienem nic mówić.

– Dlaczego nie? Cieszę się, że jesteś ze mną szczery.

– Chciałem powiedzieć, że masz tyle innych problemów, z którymi musisz się uporać.

– Nic nie szkodzi. Wcześniej czy później poruszyłbyś ten temat, prawda?

– Tak – potwierdził Sam. – Naprawdę cię lubię. Przypuszczam... nie, nie przypuszczam, tylko jestem pewien, że się w tobie zakochałem. Ale rozumiem, jeśli to, co usłyszałaś, wszystko zmieni.

Violet nie odpowiedziała. Radość z tego, że Sam wyznał jej miłość, przyćmił szok spowodowany jego deklaracją, że nie chce mieć dzieci. Nie była pewna, czy

kiedykolwiek jeszcze zechce wyjść za mąż. Kochała swoją niezależność i nie wiedziała, czy jest gotowa z niej zrezygnować nawet dla kogoś tak wyjątkowego jak Sam. Rozmowa o założeniu rodziny wydawała się przedwczesna. Ale i tak nic nie mogła poradzić na to, że czuła się tak, jakby odebrano jej coś cennego. Wiedziała, że to głupie. Wiedziała, że w jej wieku prawdopodobnie nie będzie łatwo zająć w ciąży, o ile w ogóle okaże się to możliwe.

– Zdaje się, że powinienem o tym powiedzieć wcześniej – odezwał się Sam. – Ale bardzo mi się podobało poznawanie cię coraz lepiej i bałem się, że stracę na to szansę. Poza tym nie chciałem od razu poruszać takich ważnych tematów.

– Rzeczywiście nie pora na to – zgodziła się z nim Violet. – Spotykamy się od niespełna dwóch miesięcy.

– Tak, ale czuję do ciebie znacznie więcej niż do kobiet, z którymi spotykałem się latami. Wiesz, że widzę siebie z tobą przez długi czas?

– Tak – przyznała Violet. – Wiem.

– Czy kwestia dzieci to dla ciebie powód do zerwania znajomości?

Violet nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Kochała dzieci, kiedyś wyobrażała sobie nawet, że dużo ich urodzi. Ale miała za sobą ciężki dzień i potrzebowała czasu, żeby się nad tym zastanowić.

– Czy muszę decydować teraz? – spytała. – Bo, szczerze mówiąc, nie wiem, co powiedzieć. Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, o której napomknąłeś, to wzajemnie. Ja też się w tobie zakochałam. Czy możemy więc wrócić do tematu dzieci kiedy indziej?

– Naturalnie. – Sam nachylił się i ją pocałował. – Tylko chciałem być uczciwy i dać ci szansę na łatwe rozstanie ze mną, jeśli tego chcesz.

– Nie chcę!

Przynajmniej tego była pewna.

# ROZDZIAŁ ..... 18 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Lampa*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1980

STAN: *Dobry*

OPIS: *Polichromowana lampa w kształcie gęsi, wyprodukowana przez Kaplanheller Inc.*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA: *Dom Katherine Morgan. Nie na sprzedaż*

## APRIL

Po dwóch tygodniach siedzenia w domu April nie mogła się już doczekać, kiedy wyjdzie ze swojego więzienia, choćby tylko na wizytę u lekarza. Lane przyjechała, by zawieźć ją na badania kontrolne. W jej volvo kombi wszystko, czego April dotknęła, lepiło się – klamki, tablica rozdzielcza, nawet skórzane fotele. Skrzyżowała ręce i starała się niczego nie dotykać.

– Dziękuję, że po mnie przyjechałaś. Wiem, że jest wcześniej – powiedziała.

– Ósma to dla mnie wcale nie wcześniej. Codziennie wstaję o szóstej, żeby mieć pół godziny spokoju, nim obudzą się dzieci – odparła Lane, siedząca za kierownicą. – I nie myśl, że nie widzę, jak się wzdrygasz z obrzydzenia. Poczekaj, twój samochód też będzie tak wyglądał. I dom. I niemal wszystko, czego dotkną twoje dzieci.

– Dotkną dzieci, dotkną dzieci – powtórzył najmłodszy synek Lane, siedzący z tyłu.

– Ejże – zachnęła się April. – Nikt nie mówił o dzieciach w liczbie mnogiej. Kiedy robiłam USG, widziałam tylko jedno. I lepiej niech tak zostanie.

– Nie wyobrażasz sobie, do czego zdolne jest nawet jedno dziecko – oświadczyła Lane.

– Przestań mnie szczypać – zawołał jeden z chłopców z tylnego siedzenia. – Mamo!

– Uspokójcie się. Wszyscy trzej. – Lane zrobiła surową minę, patrząc w lusterko wsteczne.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ja będę miała idealne dziecko. Pokazałam ci zdjęcie USG, prawda? Idealne.

– Masz rację. – Lane się uśmiechnęła, skręcając na parking przed przychodnią, i podjechała pod samo wejście. – Zabiorę ich do McDonalda na naleśniki.

Z tyłu dobiegło skandowanie:

– Plac zabaw! Plac zabaw!

– Tylko nie wygadaj się przed moim mężem, że karmię ich w fastfoodach. – Lane mrugnęła do niej porozumiewawczo. – Uważa, że powinni jeść komosę ryżową i organiczne marchewki.

– Nigdy nie spotkałam niedosiężnego pana profesora – zauważyła April. – Więc bądź spokojna o swoją tajemnicę.

– Mamusiu, a ona używa brzydkich słów – odezwał się najstarszy z chłopców.

– „Niedosiężny” to nie jest brzydkie słowo, skarbie – wyjaśniła Lane i zwróciła się do April: – Uważa każde słowo, którego wcześniej nie słyszał, za brzydkie. Zadzwonisz po badaniu? Przyjadę po ciebie.

– Dobrze. – April odpięła pas. – Wielkie dzięki.

W gabinecie doktor Hong serce biło April jak oszalałe, kiedy pielęgniarka mierzyła jej ciśnienie krwi. Wiedziała, że powinna się odprężyć, żeby wynik był prawidłowy, ale nie mogła. Jej wolność zależała od tego, co wskaże ciśnieniomierz. Pielęgniarka wyszła z gabinetu po panią doktor i April czekała na werdykt, myśląc sobie, że zawsze wszystko w jej życiu sprowadza się do liczb.

\*

Dowiedziawszy się ku swej wielkiej radości, że doktor Hong nie każe jej dłużej leżeć, April wróciła do siebie i otworzyła drzwi do garażu za domem. Światło słoneczne oświetliło zakurzoną maskę toyoty. Od wypadku mamy April nie usiadła za kierownicą. Była prawie pewna, że strach przed prowadzeniem samochodu kwalifikował się do sytuacji stresujących, przed którymi ostrzegała ją doktor Hong – takich, które utrudniają codzienne życie. Chcąc udowodnić sobie i lekarce, że jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, wszystko z nią w porządku. April usadowiła się za kierownicą. Wolno oddychała, żeby nie sparaliżowała jej panika. W samochodzie wciąż unosił się zapach, jaki zapamiętała – duszący i lekko słodki od odświeżacza wiszącego na lusterku wstecznym.

Setki razy prowadziła auto. Mama pozwalała jej jeździć tym samochodem do szkoły.

*Możesz to zrobić*, powiedziała sobie.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i starannie ustawiła lusterka, nim wolniutko wyjechała z garażu i bardzo ostrożnie włączyła się do ruchu; na szczęście o tej porze ruch był niewielki. Jechała wolno, kurczowo ściskając kierownicę w spoconych dłoniach.

Zatrzymała się na światłach na najbliższym skrzyżowaniu. Czekwała, patrząc na śmigające samochody, a serce waliło jej jak oszalałe. Zaczęła sobie wyobrazać, co może pójść nie tak, i rozważała, czy nie zawrócić.

Potem światło się zmieniło i April odruchowo nacisnęła pedał gazu. Była niezwykle z siebie dumna, gdy przejechała przez skrzyżowanie i zaparkowała na

tyłach butiku, znajdującego się zaledwie przecnicę dalej. Wsiadła z samochodu i otworzyła bagażnik. Plastikowa lampa w kształcie gąski, którą zabrała z domu, stała z tyłu, troskliwie opatulona kocami.

Niosąc ją do sklepu, April nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Musiała wyglądać zabawnie, człapiąc przez parking jak kaczka i trzymając przed sobą wielką gęś.

Jakaś kobieta w średnim wieku zawołała z parkingu sąsiadującej ze sklepem kawiarni:

– Jest strasznie wielka. Może pani pomóc?

– Ona wygląda na ciężką, ale to tylko plastik – odkrzyknęła April.

– Ale przecież prawie nic pani nie widzi – kobieta się nie poddawała. – Proszę pozwolić, że pani pomogę.

April pomyślała o tygodniach spędzonych w domu i szybko doszła do wniosku, że musi się nauczyć przyjmować pomoc od ludzi.

– Dobrze – zgodziła się. – I z góry dziękuję.

Kobieta podbiegła do niej i wzięła lampę.

– Nie powinna pani dźwigać takich dużych przedmiotów.

Z zaciekawieniem przyjrzała się gąsce.

– Bardzo ciekawa lampa. Chce ją pani sprzedać? Bo nie jestem pewna, czy sklep jest już czynny.

– Nie. To prezent.

April pomyślała sobie, że kobieta prawdopodobnie uzna ją za wariatkę, ale nie przejęła się tym. Violet zaryzykowała, przyjmując ją na staż. Teraz przyszła kolej na April, by schować dumę do kieszeni i przeprosić Violet za swoje zachowanie.

– Dokąd chce ją pani zanieść? – spytała kobieta.

– Przejdźmy do drzwi frontowych. Właścicielka sklepu każdego ranka sprawdza skrzynkę pocztową, więc z pewnością zobaczy lampę.

Obeszły budynek. Gdy znalazły się na ulicy, April uniosła dłoń do ust.

Szyba w oknie wystawowym była stłuczona, jej odłamki zaścielały chodnik. Mało tego. Na ślicznej ceglanej fasadzie budynku ktoś wypisał pomarańczowym sprejem CIPA.

– O, rety – wykrzyknęła kobieta.

April sięgnęła do torby po telefon i wybrała numer.

– Violet? – rzuciła do słuchawki. – Musisz natychmiast zejść na dół.

# ROZDZIAŁ ..... 19 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Gorget*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 2009

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Nowy gorset bez ramiączek, z czarnej lycry, sznurowany z tyłu, do noszenia z klasycznymi strojami*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *e-Bay*

## VIOLET

Sam zaparkował przed sklepem. Samochód jeszcze się toczył, kiedy Violet wyskoczyła z niego i podbiegła do April, która wciąż stała na chodniku pełnym odłamków szkła.

– Pojadę na parking za domem – zawołał Sam, opuściwszy szybę. – I zaraz tu wrócę.

– Nie mogę w to uwierzyć! – Violet uściskała April, a potem odsunęła się od niej na długość ramienia. – Nic ci nie jest?

– Nic – zapewniła ją April. – Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. Gdy zobaczyłam tę rozbitą szybę, to przede wszystkim przestraszyłam się, czy aby nie było cię w środku.

– Nocowałam u Sama – wyjaśniła Violet. – Wczoraj wieczorem mój były mąż złożył mi niezapowiedzianą wizytę.

– Uważasz, że to jego dzieło? – spytała April.

– Z całą pewnością – stwierdził Sam, podchodząc do nich. – Chyba powinniśmy zadzwonić do właściciela budynku, Violet. I firmy ubezpieczeniowej...

Violet nie słyszała dalszego ciągu, bo już przekręcała klucz w zamku. Włączyła górne oświetlenie.

– Violet, nie! – Sam próbował ją zatrzymać, idąc tuż za nią. – Policja powiedziała, żeby na nich poczekać.

Violet wstrzymała oddech, rozglądając się wkoło. Manekin przewrócił się, odpadła mu głowa i jedna ręka. Letnią sukienkę z lat czterdziestych pokrywały okruchy szkła. Na drewnianej podłodze pod półką z zastawą stołową leżała cegła, a obok niej jeszcze kilka roztrzaskanych porcelanowych naczyń.

Na widok zniszczeń, jakim uległ jej sklep, z którego była taka dumna, Violet ogarnęła wściekłość. Przykucnęła i drżącymi dłońmi zbierała z podłogi odłamki wazy

Wedgwooda.

– Ej, zaczekajmy na przyjazd policji, żeby zobaczyli wszystko w takim stanie, jak jest, i spisali protokół. – Sam pomógł Violet wstać i objął ją ramieniem. – Powinni być lada chwila. Wysłali też kogoś do motelu, żeby odszukać Jeda. Jeśli nadal tam jest, zabiorą go na przesłuchanie.

– To się nie może dziać naprawdę – odezwała się Violet. – Za trzy dni jest pokaz. Dziś wieczorem próba. Jak mam przygotowywać pokaz i jednocześnie doprowadzić sklep do porządku?

– Pomogę ci – zaoferował się Sam.

– Ja też – zawtórowała mu April, zaglądając przez otwarte drzwi. – O ile mi pozwolisz po tym, jak się zachowałam, kiedy byłam tu ostatnio.

Violet rzuciła im pełne wdzięczności spojrzenie.

– No dobrze, w takim razie od czego zaczynamy?

– Potrzebny mi brezent, żeby prowizorycznie zabezpieczyć okno wystawowe – powiedział Sam. – I podzwonię w sprawie wynajęcia myjki ciśnieniowej, żeby usunąć ten napis z muru.

– Bardzo rozsądny pomysł. Potrzebuję dobrej reklamy przed pokazem, a jestem prawie pewna, że taki napis na frontonie sklepu to nie jest dobra reklama. – Złapała się za głowę. – Wprost nie mogę uwierzyć, że Jed posunął się tak daleko.

– A ja mogę – syknął Sam. – Jestem wściekły na siebie, że wczoraj wieczorem nie dałem nauczki temu dupkowi. A miałem okazję.

*Rozstałam się z nim pięć lat temu*, pomyślała Violet, patrząc na cegłę leżącą na podłodze. *A Jedowi nadal udaje się niszczyć wszystko, co jest dla mnie ważne.*

– Wyjdźmy stąd – zaproponował Sam, kładąc dłoń na ramieniu Violet i prowadząc ją w stronę drzwi. – Gliniarze będą tu lada moment.

Violet wyszła na zewnątrz i dostrzegła lampę w kształcie gęsi stojącą obok drzwi frontowych. Rozbawiona, spojrzała na April.

– Była tu wcześniej? Czy też pod wpływem stresu mam halucynacje?

April się zapłoniła.

– Dlatego tu przyjechałam dziś rano. Chciałam ci ją podarować na przeprosiny... Coś w rodzaju gałązki oliwnej.

– Bardzo mi się podoba. – Violet położyła rękę na sercu. – I dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dziś rano. Świetnie sobie poradziłaś.

– Wiem, że musisz to sobie przemyśleć, a w tej chwili i tak masz dużo zmartwień na głowie – szepnęła April – ale miałam nadzieję, że przynajmniej rozważysz ponowne przyjęcie mnie na staż.

Violet szczerze wzruszył prezent. Była pod wrażeniem, że młoda dziewczyna nie straciła zimnej krwi, kiedy odkryła akt wandalizmu. Lecz Violet faktycznie miała teraz dużo spraw na głowie i nie była pewna, czy to najlepszy moment, żeby

zastanawiać się nad ponownym przyjęciem April na staż.

– Pomyślę o tym – obiecała.

April skinęła głową.

– Dobrze. A ja pomogę wam później uprzątnąć sklep.

\*

Wieczorem Violet musiała być na próbie kostiumowej przed pokazem. April i Sam zostali więc w sklepie, starając się naprawić szkody, zabezpieczyć okno wystawowe brezentem i sklejką.

Siedząc w pierwszym rzędzie w Majestic, Violet klasnęła w dłonie, by skupić na sobie uwagę modelek, bardziej pochłoniętych rozmową niż próbą.

– Proszę wszystkich o uwagę – zawołała Violet, mobilizując resztki sił.

Przez cały dzień rozmawiała z policją. Jeszcze nie znaleźli Jeda. Zdążył się wymeldować, zanim pojawili się w motelu. Lokalna policja skontaktowała się z patrolem policji stanowej w pobliżu Bent Creek, by mieli się na baczności, ale jak na razie nikt Jeda nie widział. Na dodatek Violet nie potrafiła powiedzieć, jakim samochodem jechał. Funkcjonariusz, który pojawił się w sklepie, pomógł Violet sporządzić nakaz sądowy.

Rozmawiała również z Tedem Mortensenem, który zdumiewająco spokojnie przyjął wiadomość o tym, co się stało. Poinformował Violet, że powinna zgłosić się do towarzystwa ubezpieczeniowego, które pokryje szkody, jakie poniosła w sklepie, natomiast Mortensen i Syn zwrócą się do swojego ubezpieczyciela w sprawie zniszczeń samego budynku.

– Proszę się nie martwić – powiedział Ted. – Zajmiemy się roszczeniami z tytułu zniszczenia budynku. Proszę się skupić na swoich sprawach. Czyż nie przygotowuje pani jakiegoś wielkiego pokazu? W całym mieście rozlepiono plakaty.

– Tak – potwierdziła Violet. – Wiem, że zamierza pan sprzedać mój budynek deweloperowi, i mogę jedynie radzić, by nie podpisywał pan jeszcze żadnych wiążących umów. Robię wszystko, co w mojej mocy, by zgromadzić pieniądze.

Ted się roześmiał, co zirytowało Violet. Dobrze wiedziała, że szanse na zgromadzenie wymaganej kwoty są prawie żadne, i Ted nie musiał jej o tym przypominać.

Modelki rozmawiały coraz głośniej. Violet rzuciła Amithi i Lane zdesperowane spojrzenie. Lane wstała i gwizdnęła na palcach. Przenikliwy gwizd sprawił, że wszyscy na scenie umilkli.

– Dziękuję – powiedziała Violet.

Lane wzruszyła ramionami.

– Cieszę się, że ktoś mnie słucha. Moje dzieci z całą pewnością nie należą do tych osób.

– No dobrze, a więc zrobimy dziś próbę generalną – przemówiła Violet. – Czy



wszyscy wiedzą, co mają włożyć? Na wieszaku powinien być spis potrzebnych rzeczy, wszystkie dodatki i w ogóle.

– Nie widzę spisu – odezwała się jedna z młodszych modelek.

– Mówię w swoim imieniu – odezwał się fryzjer Violet, który wkrótce miał przemienić się w pełną temperamentu Iwanę Martini prowadzącą pokaz. – Ale jestem prawie pewien, że będę potrzebował kilku rzeczy nieujętych w spisie, o których wolałbym nie rozmawiać w mieszanym towarzystwie, jeśli mnie rozumiesz.

Inni mężczyźni zawtórowali mu. Niektórzy z nich mieli na sobie swoje zwykłe ubrania, ale część już przebrała się za drag queen.

Violet podniosła ręce w górę.

– Dobrze, dobrze. Miałam na myśli to, że spis uwzględni rzeczy z mojego sklepu, w których macie wystąpić. Ale to zrozumiało, że musicie mieć swoją bieliznę, nylony i co tam jeszcze. Daję wam wolną rękę, możecie wykorzystać wszystko, co uznacie za stosowne, żeby w wieczór pokazu wyglądać pięknie.

Widocznie rozwiała wszelkie wątpliwości, bo kilkoro modeli i modelek na scenie skinęło głowami.

Jedna z krągłych kobiet, trzydziestokilkuletnia tancerka z burleski, powiedziała:

– Dzięki Bogu, bo muszę włożyć gorset.

– Och, dam ci gorset, złotko, nie martw się – oświadczył mężczyzna stojący obok niej. Był już częściowo ucharakteryzowany na drag queen: miał sztuczne rzęsy i perukę, ale też dzinsy i zapinaną z przodu koszulę, której rękawy podwinął. Klepnął tancerkę z burleski w krągłą pupę, a kobieta zachichotała.

– Gdzie znalazłaś gorset? – zapytała jedna z dziewczyn. – Szukałam wszędzie.

– Jeśli komuś potrzebny gorset, mamy kilka w sklepie – poinformowała Violet. – I bez obaw, są nowe, nieużywane, uszyte specjalnie do noszenia pod starymi kreacjami. Czy są jeszcze jakieś pytania dotyczące strojów? – Kiedy nikt się nie odezwał, ciągnęła: – W porządku. Macie pół godziny, by przebrać się za kulisami. A potem zaczniemy próbę. Wszystko jasne? Zatem zapraszam za kulisy.

Modelki i modele zeszły ze sceny.

Amithi zwróciła się do Violet.

– Powiedziałaś ci, że moja córka i jej mąż przyjdą na pokaz? Mieszkam z nimi od jakiegoś czasu.

– Nie wiedziałam, że się do nich przeprowadziłaś – zdziwiła się Violet. – Rozumiem, że jeszcze nie zdecydowałaś, co dalej.

Amithi załamał się głos, kiedy przyznała:

– Tak.

Violet rozpostarła ramiona, żeby ją przytulić. Amithi się nie poruszyła. Violet podeszła do niej i uściśnęła z całego serca. W pierwszej chwili Amithi zeszytniała,

ale już po chwili się rozluźniła. Miała łzy w oczach, kiedy Violet ją puściła.

– Przepraszam, że ci zawracam głowę swoimi kłopotami. Wiem, że jesteś dziś bardzo zajęta.

– Mam kilka swoich zmartwień, ale przynajmniej wiem, że nie ja jedna – uśmiechnęła się Violet.

– Cieszę się, że poznasz moją córkę.

– Już się nie mogę doczekać.

Widząc, z jaką dumą Amithi mówi o córce, Violet przypomniała sobie pytanie, które zadał jej wczoraj wieczorem Sam: czy chce mieć dzieci, czy nie. Była zła, że właśnie teraz przyszła jej na myśl ich rozmowa. Zwłaszcza że Sam tyle dla niej zrobił w ostatnich dwudziestu czterech godzinach. Telefonował tu i tam, biegał po mieście, zdobywając wszystko, co było potrzebne, by uprzątnąć sklep. Ale chociaż tak była mu wdzięczna, czuła, że wczoraj coś się między nimi zmieniło. Starła się tym nie przejmować, niemniej jednak po wyznaniu Sama, że nie chce mieć dzieci, zaczęła inaczej postrzegać ich przyszłość, o ile w ogóle mieli przed sobą wspólną przyszłość. Sam, niespodziewana wizyta Jeda, zapowiedź eksmisji, pokaz – wszystko to sprawiło, że Violet czuła się, jakby stała na wiszącym moście, który zaraz się zawali, a ona znajdzie się w rwącej rzece.

Podeszła Lane i sprawdziła coś w swoich notatkach.

– I co, Violet, zastanawiałaś się już, jak zorganizować licytację?

– Jestem w kropce – przyznała Violet. – Chyba trzeba wykluczyć licytację na żywo, bo i tak wiele się będzie działo na scenie. Poza tym nie mam nikogo, kto mógłby ją poprowadzić. Rozważam więc cichą aukcję, której rozstrzygnięcie nastąpi po pokazie. Lecz wtedy potrzebne będą programy, żeby obecni mogli robić notatki podczas pokazu i zaznaczać te kreacje, które ich zainteresowały, by wiedzieć później, co licytować.

– Dobry pomysł – pochwaliła ją Lane. – Zatem musimy szybko wydrukować programy. Do pokazu zostały tylko dwa dni.

– Wiem. Chciałam się za to wziąć, ale obawiam się, że nie znajdę czasu. Bo nie dość, że mam pokaz, to jeszcze sprzątanie po tym chuligańskim wybryku.

Lane pokiwała głową.

– Wygląda to wszystko strasznie – westchnęła Violet. – Nie widziałas tego i mam nadzieję, że nie zobaczysz. Sam już stara się zmyć graffiti. Jednak najbardziej się boję, że mój były mąż znów się pojawi i zrobić coś jeszcze gorszego. Wystąpiłam już do sądu z wnioskiem o zakaz zbliżania się do mnie, ale najpierw ktoś musi przyłapać Jeda w pobliżu mojego sklepu.

Na scenie pojawiły się dwie modelki, kłócąc się o kolejność występu podczas pokazu.

Violet straciła cierpliwość.

– Nie będzie już żadnych zmian w programie pokazu – zawołała. – Proszę wszystkich o tym poinformować.

Jedna z modelek, długowłosa drag queen w fioletowym jednoczęściowym kombinezonie z lat siedemdziesiątych, zniknęła za kulisami. Druga, drobna dziewczyna z włosami ufarbowanymi na rudo i z kolczykiem w nosie, rzuciła Violet i Lane przeprasające spojrzenie i podążyła za swoim partnerem z pokazu.

– Czy masz kogoś, komu mogłabyś zlecić zajęcie się drukiem programów? – spytała Lane, kiedy wyszły modelki.

Violet zastanowiła się. April potrafiła pracować na komputerze – prawdopodobnie umiałaby zaprojektować i wydrukować programy na czas. I jeszcze należało zorganizować aukcję. Violet nadal uważała, że April posunęła się za daleko. Ale tak szczerze przeprosiła za swoje zachowanie, że Violet uznała, iż dziewczyna zasłużyła na drugą szansę.

Zadzwoiła do niej do sklepu.

– Cześć, April. Mówi Violet. Jak tam, dajecie sobie radę?

– Całkiem dobrze – powiedziała April. – Sam naprawił manekina.

Violet uśmiechnęła się na myśl o Samie zmagającym się z manekinem w letniej sukience. Jeszcze bardziej go za to pokochała.

– Słuchaj, podobno przez dwa ostatnie tygodnie musiaś leżeć plackiem. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Uznałam, że i bez tego masz dość zmartwień.

– Kiedy następnym razem coś ważnego wydarzy się w twoim życiu, dobrego czy złego, obiecuj, że mi powiesz.

– Obiecuję – powiedziała April. – Jak próba?

– W porządku. Czy mogę ci powierzyć ważne zadanie?

– Naturalnie. Co mam zrobić?

– Zająć się przygotowaniem aukcji.

– Naprawdę? – April była wyraźnie przejęta.

– Naprawdę. Rozważam cichą aukcję, przyjmowanie ofert przez godzinę po zakończeniu pokazu, w czasie koktajlu. Chciałabym, żebyś wydrukowała programy i przygotowała wszystkie materiały potrzebne do aukcji. Zatrudnij kogoś do pomocy, jeśli chcesz, ale mogę ci na to dać najwyżej dwieście dolarów.

– Och, nie ma sprawy. Umiem zmieścić się w wyznaczonym budżecie.

– Świetnie. Czy mogłabyś przygotować projekt programu, żebym jutro pod koniec dnia rzuciła na niego okiem? Chcę to zobaczyć, zanim pójdzie do druku.

– Jasne. Muszę podzwonić tu i tam, ale nie martw się. Zrobię to.

– Dziękuję, że się zgodziłaś, chociaż zostało tak mało czasu.

– Nie, to ja ci dziękuję. Naprawdę miałam nadzieję, że jakoś będę się mogła włączyć w przygotowania.

– Aha. Jeśli się jeszcze nie domyśliłaś, to przyjmij do wiadomości, że znów jesteś stażystką.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła Violet. – Jaki szef pozwala pracować nastoletniej matce bez wynagrodzenia i bez punktów na uczelni?

– Kpisz sobie ze mnie, ale wiem, że robisz to wszystko, bo mnie kochasz – powiedziała April żartobliwie.

Kiedy się rozłączyły, do Violet dotarło, jak bardzo brakowało jej April przez te ostatnie dwa tygodnie. Nie tylko jej ścisłego umysłu i znajomości komputerów, ale również jej przyjaźni.

W środę, na dzień przed pokazem, w sklepie panował większy ruch niż zwykle. Kolejka do kasy ciągnęła się od ściany do ściany, klientki czekały, by kupić coś, co włożyłyby na pokaz. Violet powinna być w siódmym niebie, że sprzedaż tak świetnie idzie, ale denerwowała się, stojąc za ladą i inkasując pieniądze. Za każdym razem, kiedy na chodniku przed sklepem dostrzegła jakąś męską postać, serce zaczynało jej walić i robiło jej się zimno. Policja nadal nie znalazła Jeda, więc Violet traciła już nadzieję, że kiedykolwiek go znajdzie.

Pobierając należność, przypominała swoim klientkom, by przyszły na pokaz i zabrały ze sobą znajomych. Kiedy w końcu obsłużyła wszystkich stojących w kolejce, zauważyła jakiegoś nieznanego sobie jasnowłosego chłopaka. Stał na progu sklepu, przestępując z nogi na nogę. Wyglądał najwyżej na dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata.

Violet podeszła do niego.

– Słucham pana?

Chłopak rzucił jej przepaszający uśmiech i powiedział:

– Nazywam się Charlie Cabot. Właściwie szukam April.

Violet spojrzała na jego koszulkę polo w pastelowym kolorze, świeżo wyprasowane szorty, skórzane klapki, opaleniznę. Tylko z rakieta tenisową w ręku byłby bardziej podobny do jej wyobrażenia o nim.

– April nie ma w tej chwili. – Violet nie wiedziała, jak dużo może mu powiedzieć. Gdyby jej były mąż pojawił się w jej miejscu pracy i zaczął o nią wypytywać, nie chciałaby, żeby cokolwiek usłyszał. Niestety Jed aż za dobrze wiedział, gdzie znaleźć Violet.

– Kiedy mogę ją tu zastać? – spytał Charlie.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. – Violet gorączkowo myślała nad jakąś wymówką. – Mamy zasadę nie udzielać nikomu informacji na temat naszych pracowników. – Doszła do wniosku, że właściwie to nie kłamstwo. To dobry pomysł i chyba powinna wcielić go w życie.

– Czy mógłbym z panią porozmawiać?

– Naturalnie.

Usiedli w pomarańczowych fotelach, Charlie pochylił się i wsparł łokcie na kolanach.

– Nie wiem, ile April pani powiedziała, ale domyślam się, że prawdopodobnie uważa mnie pani za wielkiego gnojka – zaczął.

Violet milczała, więc Charlie ciągnął:

– Wiem, że nim jestem. Popełniłem błąd. Pozwoliłem rodzicom decydować za mnie, zamiast zrobić to, co uważałem za słuszne... I co chciałem zrobić.

Violet rozsiadła się w fotelu.

– Dlaczego pan mi to mówi? Powinien pan to powiedzieć April.

– Próbowałem. Przez całe lato wydzwaniałem do niej, słałem jej mejle, ale nie chce mnie znać. Raz nawet pojechałem do niej do domu i zadzwoniłem do drzwi, ale mi nie otworzyła. Czułem się tak, jakbym ją śledził, wystając pod jej drzwiami, więc sobie poszedłem. Od ciotki dowiedziałem się, że April tu pracuje. Była tu, kiedy przyjechała do Madison z okazji ukończenia przeze mnie szkoły.

– Cóż, wygląda na to, że April nie chce z panem rozmawiać. – Violet dopiero przed chwilą poznała Charliego, ale patrząc na niego, widziała, że chłopak naprawdę cierpi.

– Dlatego potrzebna mi pani pomoc – zwrócił się do niej Charlie. – Muszę się z nią spotkać, żeby jej powiedzieć, że chcę być z nią i z naszym dzieckiem. Jeśli to nic nie da, trudno. Nie będę się jej narzucał. Ale może dojdziemy do porozumienia i pozwoli mi przynajmniej widywać się z dzieckiem. Muszę spróbować ją odzyskać. Nie będę mógł spokojnie żyć, jeśli nie spróbuję.

– Nie będzie to łatwe. Zwłaszcza że nie chce nawet z panem rozmawiać.

– No właśnie – westchnął Charlie. – Ale jestem zdecydowany.

Szczerłość w spojrzeniu Charliego zmniejszyła nieufność Violet.

– Czy mogłaby mi pani pomóc? – spytał.

– Jak?

– Ponieważ April nie odbiera moich telefonów ani nie odpisuje na moje mejle, muszę wymyślić coś wyjątkowego. Coś takiego jak w kinie. Na przykład w filmie *Once*, kiedy chłopak kupuje dziewczynie fortepian. Albo w *To właśnie miłość*, kiedy ten angielski goguś uczy się portugalskiego, żeby poprosić swoją gosposię o rękę.

– Widział pan *To właśnie miłość*?

Charlie się zaczerwienił.

– April mnie zmusiła.

– Cóż, nie znam nikogo, kto mógłby pana nauczyć portugalskiego – powiedziała Violet. – I nie sądzę, by April umiała grać na pianinie.

– To nie musi być dokładnie to. Tylko coś, co jej się naprawdę spodoba, coś, co ją zaskoczy.

– Na przykład?

– Nie wiem. I dlatego potrzebna mi pani pomoc. Mam ścisły umysł, nie umiem myśleć kreatywnie.

Violet wiedziała, że to nie jej sprawa. Wiedziała również, że przez kilka ostatnich miesięcy April unikała Charliego, więc wszystkie jego wysiłki prawdopodobnie nie przyniosą rezultatu. Ale zawsze była romantyczką i rozumiała, jak trudno znaleźć kogoś, na kogo można liczyć, o kogo można się troszczyć. Jeśli istniał chociaż cień szansy, że April i Charlie będą razem, chciała im pomóc.

– Cóż – powiedziała. – Proszę mi dać kilka dni, żebym mogła o tym pomyśleć. Organizuję wielki pokaz, więc prawdopodobnie dopiero po nim odezwę się do pana. Spróbuję podsunąć panu kilka pomysłów, żeby wiedział pan, od czego zacząć, ale cała reszta zależy od pana. To pan musi ją do siebie przekonać, nie ja. I jeśli pański plan się nie powiedzie, nie chcę, żeby winił pan za to mnie.

– Może być pani spokojna, nie zrobię tego – zapewnił ją. – Czy pokaz, o którym pani wspomniała, to ten, którego plakaty widzę wszędzie? *Rewia Vintage*?

Violet pożałowała, że nie ugryzła się w język. Wiedziała, co Charlie sobie pomyśli – że April tam będzie. Więc prawdopodobnie też się na nim pojawi, mając nadzieję, że się spotka z April. A Violet wcale nie była pewna, czy April się z tego ucieszy.

\*

Violet nie wiedziała dlaczego, ale w czwartkowy wieczór Majestic Theatre wydawał jej się większy niż podczas przesłuchań i prób. Scena – okolona złotoczerwoną sztukaterią – prezentowała się tak oficjalnie, tak profesjonalnie. Im było bliżej do podniesienia kurtyny, tym Violet bardziej niepokoila się, w co się wpackowała. A jeśli nikt nie przyjdzie? Jeśli wpływy z aukcji nie wystarczą nawet na pokrycie kosztów wynajęcia sali?

Jakby tego było mało, niektóre drag queens i bardziej wymagające modelki co chwila podchodziły do niej i zadawały głupie pytania w rodzaju: „Jest pani pewna, że *I Believe In Miracles* to odpowiedni podkład muzyczny, kiedy będę szła po wybiegu?” albo „Czy mogę pojawić się wcześniej na scenie?”.

Lane starała się odpowiadać na wszystkie pytania modelek, ale niektóre ich skargi docierały do Violet, która biegała, upewniając się, że wszyscy wiedzą, gdzie powinni być i co mają robić. Amithi zajęła się za kulisami ostatnimi poprawkami kostiumów.

Kiedy pojawiła się April z pełnym kartonem programów, Violet poczuła ulgę.

– Och, dzięki Bogu. Jeszcze jedna para rąk do pomocy. Jak było w sklepie dziś po południu? – Uściskała April.

– To było całkiem udane popołudnie – odparła April. – Sprzedaliśmy mnóstwo rzeczy. Wszyscy pytali o dzisiejszy pokaz, niektórzy nawet kupowali specjalne stroje na tę okazję. Myślę, że przyjdą tłumy.

– Miejmy nadzieję. – Violet puściła April. – Wcześniej byłam zbyt rozkojarzona, by zauważyć, że w ciągu dwóch ostatnich tygodni zrobiłaś się większa. W dobrym znaczeniu tego słowa. Mam nadzieję, że będę przynajmniej w połowie wyglądała tak dobrze jak ty, jeśli kiedykolwiek zajdę w ciążę, co jest wielce wątpliwe.

Violet nie wspomniała, jak bardzo zмага się z tym pytaniem, odkąd Sam jej oświadczył, że nie chce mieć dzieci. Miała zbyt wiele problemów z przygotowaniem pokazu, by zajmować się tak skomplikowanymi kwestiami, więc starała się o tym nie myśleć.

– Czuję się jak słoń, ale dziękuję. – April poklepała się po brzuchu. – A więc jak mogę pomóc?

– Pracownicy klubu rozstawili kilka stolików w głębi sali na cichą aukcję. Rozłóż wszystkie potrzebne formularze i rzeczy, które będą przedmiotem licytacji.

– Chcesz umieścić na stolikach rzeczy wystawione na aukcję? No wiesz, ubrania i dodatki?

– Tak. Modelki i drag queens wiedzą, że jak tylko zdejmą z siebie prezentowane stroje, mają je tam przynieść i układać w takiej kolejności, w jakiej były pokazywane na wybiegu. Umieść może jakieś kartki z numerami, żeby wiedziały, gdzie co położyć, później będzie ci znacznie łatwiej, bo unikniesz odpowiadania na tysiące pytań.

– Dobry pomysł. O której godzinie otwierają klub dla publiczności?

– O ósmej.

– W takim razie biorę się do pracy.

April skierowała się do stolików. Violet zauważyła, że dziewczyna porusza się wolniej i ostrożniej niż kilka tygodni temu. Przypuszczała, że April coraz trudniej chodzić.

Środkowym przejściem podbiegła do niej Amithi spowita w sari. Na czole miała okrągłe czerwone bindi. Za nią podążała młoda kobieta, uderzająco do niej podobna.

– Violet, chciałabym ci przedstawić swoją córkę Jayanę. – Amithi wskazała dziewczynę, która wyglądała na trzydzieści kilka lat i miała takie same ciemne włosy i żywe spojrzenie jak Amithi. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Jayana była w dżinsach i bluzce bez rękawów, nie miała biżuterii, jeśli nie liczyć prostej złotej obrączki ślubnej.

– Miło mi panią poznać. Mama cały czas o pani mówi – odezwała się Jayana. – Nie mogę uwierzyć, że nakłoniła ją pani do pomocy przy pokazie.

– Jest utalentowaną krawcową – wyjaśniła Violet. – Gdyby nie ona, nie udałoby mi się przygotować wszystkich strojów na pokaz.

– Nigdy nie wyobrażałam sobie, że moja mama będzie zaszywała na drag queens obcisłe topy bez ramiączek – powiedziała Jayana do Violet. – Nie mieści mi się to w głowie. Mama wkurzyła się, kiedy nie chciałam się zgodzić na hinduskie wesele,

ale nie przeszkadza jej, jak ktoś nie jest pewien swojej płci.

– Te drag queens są bardzo sympatyczne. Rozśmieszają mnie. – Uśmiech rozjaśnił twarz Amithi tak, że czerwone kółko na czole przemieniło się we wschodzące słońce, a policzki w kopulaste wzgórza, skąpane w różowym świetle.

– Nie widziałam cię w sari od dnia, kiedy pierwszy raz przyszedłeś do sklepu – zauważyła Violet.

– Nie wyobrażałam sobie, by na tak ważną okazję włożyć co innego.

– Jak przedstawia się sytuacja za kulisami?

Amithi spoważniała.

– Dobrze, ale czy widziałeś człowieka, który miał się zająć oświetleniem i dźwiękiem? Czy nie powinien przeprowadzić jakichś prób?

– Co? – Violet poczuła, jak ogarnia ją panika. – Powinien tu być od wielu godzin. Nie ma go za kulisami?

Amithi pokręciła głową.

– Myślałam, że jest gdzieś tutaj.

Violet zacisnęła dłoń w pięści.

– Kurde. – Zorientowała się, że elegancka i opanowana Amithi nigdy by tak nie powiedziała, i dodała: – Przepraszam.

– Nie, masz rację – zgodziła się z nią Amithi. – Kurde.

Jayana zachichotała i stwierdziła:

– Wiem, że to wcale nie jest zabawne, ale nigdy nie słyszałam, żeby moja mama przeklinała. No dobra, więc co robić? Ma pani numer telefonu tego specja od oświetlenia i dźwięku?

Violet wyjęła telefon z kieszeni czerwonej sukienki, którą znalazła w sklepowej kolekcji sukienek na bal maturalny z lat osiemdziesiątych. Amithi doszła do niej kieszenie.

– Zadzwoń do niego – powiedziała. – Ale zostały tylko trzy kwadransy do otwarcia klubu, a godzina i piętnaście minut, nim kurtyna pójdzie w górę. Musimy mieć jakiś plan B na wypadek, gdyby tu nie dotarł. Znaście kogoś, kto umie obsługiwać konsolę?

Jayana i Amithi gapiły się na nią bez słowa.

– Może Lane kogoś zna – odezwała się Amithi.

– Dobry pomysł. Porozmawiasz z nią, kiedy będę się próbowała dodzwonić? I, Jayano, widzisz tę blondynkę obok tamtych stolików? – Violet wskazała April.

Jayana skinęła głową.

– Spytaj ją, czy widziała oświetleniowca, a jeśli nie, to czy zna kogoś, kto mógłby go zastąpić?

– Jasne.

Jayana skierowała się szybkim krokiem w stronę April, a Violet wybrała numer



faceta, którego zatrudniła do obsługi oświetlenia i dźwięku. Beształa samą siebie, że nie posłuchała rady pracowników klubu, do kogo się zwrócić. Zamiast tego zdecydowała się na studenta, by oszczędzić kilka dolarów. Powinna wiedzieć, że jak w przypadku zakupu trencza Burberry, czasami lepiej wydać trochę więcej, by kupić coś porządnego.

Violet zostawiła studentowi wiadomość. Wsadziła telefon z powrotem do kieszeni i zobaczyła Lane, biegnącą przez scenę. Wyglądała olśniewająco w czarnej luźnej sukience i srebrnych pantoflach na płaskim obcasie. Ku zaskoczeniu Violet, Lane zeskoczyła ze sceny, a nie zeszła z niej schodami.

– Szukałaś mnie? – Lekko zasapana stanęła przed Violet.

– Czy nie niszczysz sobie w ten sposób stawów kolanowych?

– Nie, całe dni spędzam na uganianiu się za trzema urwisami. Dzięki nim utrzymuję niezłą formę. Co się stało?

– Nie pojawił się oświetleniowiec. Wiem, wiem. Powinnam była zatrudnić fachowca polecanego przez kierownika klubu, ale postanowiłam zaoszczędzić, a teraz jestem w kropce, bo student, którego zatrudniłam, nie pojawił się i nie odbiera telefonu. Znasz z dawnych czasów kogoś, kto zna się na obsłudze świateł i mikrofonów?

– Od tamtej pory minęło sporo lat. Naprawdę nie przypominam sobie żadnych nazwisk. – Lane skrzyżowała ramiona i zamyśliła się. – Kiedyś wiedziałam, jak się to robi, ale minęły lata... Całe dziesięciolecia.

Violet się ożywiła.

– Co?

– Kiedyś, gdy należałam do szkolnego kółka teatralnego, chodziłam z kierownikiem sceny. Przesiadaliśmy w budce dźwiękowca. – Lane się zapłoniła. – Raz go poprosiłam, żeby mi pokazał, jak się obsługuje konsolę. Byłam po prostu ciekawa.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – wtrąciła Violet. – Nigdy nie widziałam kobiety obsługującej konsolę.

– Chciałam dowiedzieć się wszystkiego o teatrze.

– Czy nadal poradziłabyś sobie z tym?

– Nie wiem. Jestem pewna, że od tamtych czasów wiele się zmieniło, jeśli chodzi o sprzęt. Nie mam pojęcia, czy się w tym połapię.

– Dobrze. – Violet przestawiła się na tryb zarządzania. – Lane, odzyskaj kierownika klubu i poproś go, żeby ci pokazał sprzęt do sterowania oświetleniem i dźwiękiem. Przyjrzyj się temu, zorientuj się, czy sobie poradzisz. I spytaj go, czy zna kogoś, kogo dałoby się tu ściągnąć na ostatnią chwilę.

– Dobrze.

Kiedy Lane pobiegła w swoich błyszczących butach, zadzwonił telefon Violet. Od

razu odebrała, mając nadzieję, że oddzwania do niej gość od oświetlenia i dźwięku.

– Halo?

– Czy mówię z Violet Turner? – rozległ się w słuchawce męski głos.

– Tak.

– Jestem O'Malley z policji. Parę dni temu poznaliśmy się w pani sklepie.

– Tak? – Violet drżącą ręką ścisnęła telefon. – Czy znaleźliście Jeda?

– Dostaliśmy informację od policji w północnej części Wisconsin, że zlokalizowali podejrzanego i go zatrzymali.

– Naprawdę? Gdzie go znaleźli?

– Na stacji benzynowej trzydzieści kilometrów od Bent Creek. Widocznie wracał do domu.

– I co teraz? – spytała.

– Jest na tamtejszym posterunku policji. Prokurator okręgowy z Madison będzie musiał go ściągnąć tutaj, żebyśmy się mogli zająć przestępstwem, którego się dopuścił. Dlatego chcemy wiedzieć, czy podtrzymuje pani oskarżenie.

– Co będzie, jeśli zrezygnuję?

– No cóż, bez zeznań albo pani oświadczenia jako właścicielki sklepu szanse na wygranie sprawy będą niewielkie, więc prokurator okręgowy przypuszczalnie zrezygnuje z wytoczenia procesu.

Violet, słuchając wyjaśnień policjanta, walczyła sama ze sobą. Cieszyła się, że ujęto Jeda. Chciała, żeby odpowiedział za to, co zrobił, ale z drugiej strony nie chciała go już nigdy widzieć w pobliżu Madison.

– Czy trafi za kratki? – spytała.

– Prawdopodobnie tak. Akty wandalizmu można uznać za wykroczenie karane grzywną albo przestępstwo, za które grozi więzienie. Wszystko zależy od tego, o co go oskarży prokurator okręgowy i co uda się udowodnić. Może pani też być pewna, że pani towarzystwo ubezpieczeniowe albo ubezpieczenie właściciela nieruchomości wytoczą mu sprawę cywilną, żeby odzyskać pieniądze, jakie wypłacili na usunięcie szkód.

– Czy muszę panu odpowiedzieć teraz? W tej chwili jestem bardzo zajęta i nie mogę nagle wszystkiego rzucić.

– Ma pani kilka godzin na podjęcie decyzji, ale proszę nie zwlekać zbyt długo. Bez dalszych dyspozycji prokuratora okręgowego policja w Bent Creek nie może przetrzymywać podejrzanego dłużej niż do rana. – Dał jej telefon do jednego z zastępców prokuratora okręgowego, żeby do niego zadzwoniła, gdy podejmie decyzję.

Violet podziękowała i się rozłączyła. Nim zdążyła pomyśleć o tym, co usłyszała od policjanta, wróciła Lane. Violet nie miała czasu niczego wyjaśniać, więc starała się zachowywać nonszalancko, bo do pokazu pozostała niespełna godzina.

– Mam dwie wiadomości, dobrą i złą – powiedziała Lane. – Zła wiadomość, że kierownik klubu zadzwonił do paru osób, ale wszyscy są zajęci gdzie indziej. Ale jest i dobra wiadomość. Pokazał mi konsolę. Jest dość stara. Prawdę mówiąc, przypomina tę, którą pamiętam z czasów liceum. Naturalnie jest kilka różnic, ale chyba poradzę sobie z jej obsługą.

Violet spojrzała na zegarek – wybrała wylera z lat pięćdziesiątych na skórzanym pasku, bo wyglądał tak oficjalnie z dużymi, złotymi cyframi. Była za kwadrans ósma. Widocznie dzisiejszy wieczór to czas szybkich decyzji.

– Dobrze, Lane, o ile w ostatniej chwili nie pojawi się nasz spec od oświetlenia i dźwięku, ty się tym zajmiesz – poleciła. – Idź i przeprowadź kilka prób. Nie potrzebujemy żadnych fajerwerków. Muszą jedynie działać mikrofony i reflektory, żeby publiczność widziała nasze modelki, a co ważniejsze, ich stroje.

– Chyba dam sobie z tym radę.

– Taka odpowiedź mi nie wystarcza.

– Dobra, wiem, że dam sobie z tym radę. Podczas pracy w teatrze i jako matka nauczyłam się improwizować.

Lane skierowała się do kabiny dźwiękowca, a Violet weszła na scenę i wsunęła głowę przez kurtynę. Za kulisami nerwowo kręciły się modelki, w powietrzu unosił się ostry zapach lakieru do włosów.

– Zostało niespełna czterdzieści minut do rozpoczęcia pokazu – powiedziała. – Jak wygląda sytuacja?

Amithi uniosła wzrok znad guzika, który akurat przyszywała do bluzki.

– Wszystko pod kontrolą? – spytała Violet.

Amithi wyjęła agrafkę, którą miała w kącie ust.

– Tak. Ostatnie poprawki.

Chuda, stremowana modelka podeszła do Amithi.

– Czy może pani to zszyć? – spytała. Zerwane ramiączko zwisało z czarnego gorsetu obcisłej, rozszerzającej się dołem sukni z lat trzydziestych. Modelka musiała przytrzymać suknię, by z niej nie spadła.

– Naturalnie – odparła Amithi. – Proszę się nie ruszać.

Violet zobaczyła Jayanę siedzącą na pobliskim krześle. Wyglądała jak autsajder wśród zabieganych modelek. Kiedy zauważyła, że Violet na nią patrzy, powiedziała:

– Żałuję, że nie umiem szyć. Albo czesać czy robić cokolwiek, by pomóc.

– Próbowałam cię tego nauczyć wiele lat temu – przypomniała jej Amithi. – Ale stwierdziłaś, że nigdy ci się to nie przyda.

– Tak, kiedy byłam dzieckiem, szycie wydawało mi się takie antyfeministyczne, takie retro. – Jayana się skrzywiła.

– Kto kogo wyzywa od antyfeministów? – Czarnowłosa modelka z kolczykami w nosie i wargach, mająca na sobie jedynie bieliznę z falbankami, odwróciła się

w stronę Jayany i podparła się pod boki. – Powiedziała pani „retro”, jakby to było coś złego.

– No właśnie, co jest złego w retro? – spytała Violet, kiedy dotarło do niej, że powinna się czuć obrażona. Ten pokaz, a właściwie cała jej kariera zawodowa związana była z retro.

Jayana się zapłoniła, próbując jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Och, wiecie, co miałam na myśli.

– Nie – powiedziała Amithi. – Nie wiemy.

– No więc... Kiedy byłam dzieckiem, szycie wydawało mi się takim kobiecym zajęciem. A teraz znów jest czymś fajnym.

– Może zawsze było czymś fajnym, tylko ty nie zdawałaś sobie z tego sprawy. – Amithi ucięła nitkę i zawiązała supełek.

# ROZDZIAŁ

## ..... 20 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Sukienka koktajlowa*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata sześćdziesiąte*  
STAN: *Doskonały*  
OPIS: *Złota mini z długimi rękawami*  
ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Wyprzedaż majątku*

## APRIL

– Dobry wieczór państwu. Witamy na *Rewii Vintage*.

April stała za jednym ze stolików w głębi sali i patrzyła, jak piersiasta i długowłosa Ivanna Martini bierze mikrofon w dłoń w białej rękawiczce.

– Na dzisiejszy wieczór przygotowaliśmy dla państwa niezwykle pokazy rzadkich i przepięknych strojów i dodatków z butików *Vintage*. Wszystko, co zaprezentujemy dziś na scenie, jest na sprzedaż... Oczywiście z wyjątkiem mnie, chociaż jeśli na widowni jest jakiś milioner, możemy później porozmawiać. – Ivanna zatrzepotała sztucznymi rękami i poruszyła biodrami w niebieskiej sukni wyszywanej cekinami. – Czy jest na sali jakiś milioner?

Widzowie ryknęli śmiechem.

– Może być pani. – Ivanna wskazała Betsy Barrett, siedzącą w pierwszym rzędzie. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać utrzymanką starszej majątnej kobiety. Jestem nowoczesną dziewczyną.

April trochę spanikowała. Miała nadzieję, że Betsy nie poczuje się dotknięta. Wprawdzie sama często mówi to, co myśli, nawet zdarza jej się zakląć, ale jest również znaną i szanowaną filantropką i mogła poczuć się urażona takimi żartami *drag queen*.

Ulżyło jej dopiero wtedy, gdy Betsy posłała całusa Ivannie Martini, która udała, że go złapała i przycisnęła do serca.

– Poza mną wszystko, co zobaczycie dziś wieczorem na wybiegu, figuruje wraz z ceną wywoławczą w katalogu w kolejności, w jakiej będzie prezentowane – ciągnęła Ivanna. – Jeśli zobaczycie coś, co się wam spodoba, możecie o to zawalczyć podczas cichej aukcji, która rozpocznie się bezpośrednio po pokazie. Będzie również loteria, a nagrodą jest wyjątkowy przedmiot. Zaprezentuje go państwu moja przyjaciółka Amanda.

Na scenę wyszła długonoga *drag queen* w złotej mini, z torbą *Hermès*

przewieszoną przez ramię. Sprzączki błysnęły w świetle reflektorów.

– Proszę państwa – powiedziała Ivanna. – Proszę serdecznie powitać Amandę Reckenwith.

Widzowie bili brawo i szeptali między sobą.

– Przypominam – przerwała im Ivanna – że im więcej losów kupicie, tym większą macie szansę wygrania tej cudownej torebki. Ale przejdźmy do pokazu. Proszę wygodnie usiąść, otworzyć oczy, otworzyć serca, a przede wszystkim – otworzyć portfele. Życzę miłej zabawy!

Rozległa się muzyka – kawałki Leny Horne zsampłowane do jakiegoś utworu hip-hopowego – i pierwsza modelka przeszła tanecznym krokiem przez scenę. Miała na sobie koralowy kostium z lat czterdziestych zaprojektowany przez Elbę Schiaparelli. Wcięty w pasie żakiet podkreślał przypominającą klepsydrę sylwetkę kobiety. Modelka rozpięła guziki w stylu militarnym i zdjęła żakiet. Pod nim miała jedwabną bluzkę, a na ramionach kolorowe tatuaże. April wiedziała, że kostium jest wyjątkowy i drogi. W programie opisała krótko jego historię: klientka znalazła go w piwnicy domu swojej włoskiej babki. Babka kupiła kostium w latach wojny, podczas podróży do Nowego Jorku. Graniczyło to z szaleństwem, ale kobieta była tak dumna, że włoska projektantka odniosła sukces w Nowym Jorku, że musiała mieć coś z kolekcji Schiaparelli. Chciała podarować kostium wnuczce, lecz dziewczyna nie zmieściłaby się w niego bez specjalnej bielizny. Babka i wnuczka przyszły więc razem do sklepu i sprzedały kostium. Pieniądze przeznaczyły na wyjazd do Chicago i obejrzenie włoskich obrazów w Instytucie Sztuki oraz na wykwintny obiad w hotelu Drake.

Do niedawna April nawet nie wiedziała, kim jest Elsa Schiaparelli. Ale podczas krótkiego okresu pracy w butiku dużo się nauczyła od Violet – jak odróżnić autentyczne produkty od podróbek, jak zawiązać jedwabny krawat, jak usunąć ze starej tkaniny plamę, używając wacików i płynu do naczyń. A przede wszystkim zrozumiała, że jeśli coś nie jest idealne, to wcale nie znaczy, że jest bezwartościowe.

Kolejna modelka pojawiła się na scenie. Miała na sobie różową sukienkę z lat pięćdziesiątych ze spódnicą z falbankami, sterczącą na licznych krynolinach. Na ramiona zarzuciła etolę z nerek i uśmiechała się do widzów pomalowanymi na czerwono ustami.

W miarę trwania pokazu prezentowano coraz bardziej wymyślne, coraz bardziej zapierające dech w piersiach kreacje. Kiedy wyszła ostatnia modelka – ciemnoskóra drag queen w srebrnym kombinezonie bez pleców – widownia zgotowała jej owację. Amithi, wyglądająca skromnie w swoim jedwabnym sari, wstała i wydała głośny okrzyk. Nawet Sam, który trochę nie pasował do wystrojonej publiczności, bo miał na sobie koszulę w kratę i dżinsy, podniósł się i zagwizdał.

April poprawiła formularze aukcyjne i upewniła się, że jest wystarczająco dużo długopisów. Szykowała się na falę ludzi, którzy – miała nadzieję – skierują się do

stolików, gdy tylko zapadnie kurtyna. Już miała usiąść, kiedy usłyszała zapowiedź.

– Proszę państwa, za chwilę rozpoczniemy cichą aukcję tych wszystkich cudownych strojów, które widzieli państwo na scenie. Ale proszę o pozostanie na miejscach. Dziś wieczorem mamy bowiem jeszcze jednego specjalnego gościa. – Ivanna zeszła za kulisy przy wtórze głośnej muzyki disco.

Na wybiegu pojawiła się jasnowłosa drag queen w stroju pielęgniarki, łącznie z białymi, wysokimi botkami z lakierowanej skóry i czepkiem z błyszczącym czerwonym krzyżem. Zdjęła mikrofon ze statywu.

– Proszę państwa, pojawiłam się tu dziś jako asystentka i pomocnica bardzo ważnego lekarza. Oto doktor Love. Powitajmy go oklaskami, by zechciał pokazać nam swoje niecodzienne podejście do pacjenta. – Pielęgniarka uniosła chude muskularne ręce i publiczność zaczęła bić brawo.

April spojrzała w stronę kulis w nadziei, że dostrzeże Violet. Czy to zaplanowane? Nic takiego nie widniało w programie. Ale April nie było na próbie generalnej, może wtedy dodali ten punkt. Nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Violet w ostrym świetle reflektorów.

– Czy chcą państwo, żeby dobry doktor Love złożył wam wizytę domową? – zawołała pielęgniarka.

April nie wiedziała, co robić. Czy drag queen pozwoliła sobie na samowolę? Czy skieruje pokaz w inną stronę? Doktor Love równie dobrze mógł się okazać striptizerką.

Tymczasem na sali robiło się coraz gwarniej. April zamknęła oczy, bojąc się, co za chwilę zobaczy. Słyszała, jak pielęgniarka mówi:

– Witam, panie doktorze. Czy przebada pan dzisiaj kogoś?

Widzowie się roześmiali. April otworzyła oczy.

Na scenie stał Charlie w białym kitlu obszytym srebrnymi cekinami.

April zakręciło się w głowie i opadła na jedno z krzeseł przy stolikach. Jak Charlie wdarł się na scenę?

– Przykro mi, siostró – powiedział. – Dziś nie będzie żadnych badań. Dziś muszę przeprowadzić ważną operację.

– Och?! – Pielęgniarka zatrzepotała sztucznymi rękami błyszczącymi od brokatu.

– Sknociłem coś i muszę to naprawić.

April poczuła, jak dziecko w jej brzuchu porusza się niczym akrobata.

– Czy zaszył pan skalpel w klatce piersiowej operowanego? Amputował nie to, co... trzeba? – Pielęgniarka zacisnęła rękę tuż przed krocem Charliego.

Charlie zrobił się czerwony jak krzyż na czepku pielęgniarki.

– Nie – oznajmił. – Wszystko, co powinno być nietknięte, pozostało nietknięte.

Pielęgniarka otarła czoło, udając ulgę.

– Uff. To byłby wstyd, panie doktorze. Prawdziwy wstyd. – Przeniosła ciężar

ciała na drugą nogę i wsparła się pod bok dłonią z długimi paznokciami. – Więc o co chodzi, doktorze Love? Dlaczego pan tu przyszedł?

– Przyszedłem, żeby powiedzieć swojej dziewczynie... A właściwie byłej dziewczynie... Że przepraszam ją za to, co zrobiłem. Okazałem się prawdziwym cymbałem. I tchórzem.

Pielęgniarka pogroziła mu palcem.

– No, no, doktorze Love, tu, na pokazie rzeczy zapomnianych, nie tolerujemy takich zachowań, prawda?

Widzowie wygwizdali Charliego, który uniósł obie ręce.

– Wiem, że na to zasługuję – ciągnął. – Popełniłem błąd. I teraz muszę go naprawić.

April wprost nie mogła uwierzyć, że Charlie Cabot, który właściwie wychowywał się w country klubie swoich rodziców, stał na scenie obok drag queen. I zrobił to dla niej.

– Czy pana była dziewczyna jest dziś w tej sali? – Pielęgniarka dotknęła ręką czoła, jakby salutowała, i spojrzała najpierw w lewo, potem w prawo.

– Tak, ale nie chcę jej stawiać w kłopotliwej sytuacji. Wie, że chodzi o nią.

Publiczność jęknęła. Najwyraźniej wszyscy mieli nadzieję na jakiś dramat na scenie.

April poczuła ulgę. Jeszcze nie była pewna, co o tym wszystkim sądzić.

– A więc co jej pan powie, doktorze Love? – spytała pielęgniarka.

Charlie wyprostował się i oświadczył:

– Przepraszam. Przepraszam za kłótnię, a szczególnie za to, że odwołałem ślub bez rozmowy z tobą. Już nigdy, przenigdy cię nie skrzywdzę.

Ludzie zaczęli szeptać między sobą, a April zagryzła usta, żeby się nie rozpląkać. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Zresztą wciąż nie wiedziała, czy jest zadowolona, czy wściekła.

– Panie doktorze, nieładnie się pan zachował, prawda? Uważam, że zasłużył pan sobie na lanie – oświadczyła pielęgniarka. – Czy wszyscy są zgodni, że doktor Love zasłużył na lanie?

Widownia ją poparła. Pielęgniarka stanęła za Charliem i wymierzyła mu kilka klapsów. Publiczność zareagowała śmiechem, Charlie poczerwieniał na twarzy.

April uśmiechnęła się mimo szoku. Tak jak ona odprawiła pokutę, zostawiając plastikową lampę gęś pod drzwiami sklepu Violet, tak teraz Charlie odprawił pokutę w obecności licznych świadków. I musiała przyznać, że oglądanie tego było zabawne, chociaż zarazem sprawiało jej ból.

– Należało mi się – odezwał się Charlie, kiedy pielęgniarka przestała go bić. – Bezwzględnie na to zasłużyłem.

– Och, jeszcze nie skończyłam! – Znów się nachyliła i uszczypnęła go w pupę.



Odrzuciła głowę do tyłu, ukazując jabłko Adama, i roześmiała się gardłowo. Publiczność dołączyła do niej. – Czy chce pan jeszcze coś powiedzieć swojej byłej dziewczynie, doktorze Love?

– Tak, jeszcze jedno. – Charlie wsadził ręce do kieszeni fartucha. – Już nie jestem na liście rezerwowej na Uniwersytet Wisconsin.

April wyrwał się z ust stłumiony okrzyk. Kilka osób z ostatnich rzędów odwróciło się, żeby spojrzeć na nią, zaczęło się trącać łokciami, kiedy dotarło do nich, że to ona jest tą dziewczyną, o której mówi doktor Love.

A Charlie mówił dalej:

– Zostaję tutaj, w Madison, mając nadzieję, że kiedyś, może nie dziś... To zrozumiałe... Ale kiedyś pozwolisz mi wrócić i znów będziemy razem. – Wyjął rękę z kieszeni i podniósł coś małego, co błysnęło w świetle reflektorów. – Tym razem mam pierścionek. Jest twój, jeśli zechcesz.

Publiczność zaczęła klaskać. Wszyscy się rozglądali, wypatrując dziewczyny, której publicznie oświadczył się doktor Love. Ci, którzy siedzieli w ostatnich rzędach i zauważyli ją wcześniej, odwrócili się, ale nic nie powiedzieli.

– Gdzie ona jest? – rzuciła pielęgniarzka do mikrofonu. – Chodź no tu, dziewczyno. Chcemy cię zobaczyć...

– Nie, nie zmuszaj jej... – przerwał Charlie. – Chyba że sama zechce przyjść. Jak powiedziałem, nie chcę jej stawiać w niezręcznej sytuacji. Chcę jedynie, żeby wiedziała, jak dużo dla mnie znaczy.

– Oj tam, oj tam! – krzyknęła pielęgniarzka. – Zawołajmy ją tu. Proszę mi pomóc – zwróciła się do publiczności. – Pokaż się, dziewczyno! Pokaż się, dziewczyno!

Widzowie skandowali razem z nią, tupiąc i klaszcząc. Teraz już nie tylko ci z ostatniego rzędu, ale z ośmiu czy dziesięciu rzędów od końca zorientowali się, że chodzi o April, i odwrócili się, żeby na nią popatrzeć. April miała wielką ochotę wbiec na scenę i zarzucić Charliemu ręce na szyję. Bardzo jej go brakowało i naprawdę chciała wierzyć, że zmienił zdanie. Ale powstrzymywały ją ostrożność i przezorność.

Publiczność skandowała coraz głośniejsze. April zobaczyła Amithi idącą w jej stronę tak szybko, jak pozwalało sari, którym ściśle się owinęła. Amithi pochyliła się nad stolikiem dla uczestników aukcji i położyła miękkie małe dłonie na ramionach April.

– Jak się czujesz, moja droga? – spytała. – Violet poprosiła, żebym sprawdziła, czy nic ci nie jest. Martwi się, że to dla ciebie zbyt stresujące.

– Och, czuję się świetnie. – April otarła łzę z policzka, kiedy Amithi zabrała rękę. – Tylko jestem zaskoczona. Charlie jest ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć na scenie.

– Nie musisz do niego iść, jeśli nie chcesz – zapewniła ją Amithi. – Mogę cię stąd zabrać, możemy iść gdzieś, gdzie jest spokojnie, i porozmawiać.

April pokręciła głową.

– Chcę tu być i pomóc przy aukcji. Już nie mogę się doczekać. – Podobnie, jak nie mogła się doczekać, kiedy policzy pieniądze po imprezie i – miała nadzieję – stwierdzi, ile zarobiły na czysto. Niecodziennie miała do czynienia z liczbami w taki konkretny sposób.

– Jeśli chcesz, wyjdziemy na kilka minut, nim zapadnie kurtyna – powiedziała Amithi.

April spojrzała na scenę, gdzie stał Charlie z żalną miną.

Pielęgniarka zawołała:

– Słyszałaś, dziewczyno? Spójrz tylko na niego. Zrobił to dla ciebie. Chodź tu i okaż mu trochę serca.

Amithi uważnie przyjrzała się April.

– Masz ochotę tam pójść, prawda?

– Tak – szepnęła April. – Ale boję się, co się stanie, jak to zrobię. Sądzę, że naprawdę mu na mnie zależy, lecz skąd mam mieć pewność? Nawzajem się skrzywdziliśmy.

Amithi położyła dłoń na ramieniu April.

– Przypominasz mi trochę mnie sprzed lat. Byłam młoda jak ty, kiedy wyszłam za mąż.

April podsłuchiwała w sklepie rozmowę Amithi z Violet o jej problemach małżeńskich.

– Tak, ale pani mąż...

– Przyznaję, że złamał mi serce. Kiedy się kocha, zawsze istnieje takie ryzyko. Ale żeby nawet nie spróbować... Cóż, równie dobrze można zrezygnować z życia, bo nie ma nic pewnego na tym świecie. Czasami trzeba zaryzykować.

Matka April zawsze to powtarzała.

April znów spojrzała na stojącego na scenie Charliego w błyszczącym kitlu. Nie zrobiłby tego za nic w świecie, gdyby nie myślał, że ją tym rozbawi. Była prawie pewna, że jego matka umarłaby, widząc teraz swego syna, dręczonego przez zdzirowatą pielęgniarkę z powodu April.

Wstała z krzesła i chociaż zwykle ciężko było jej się podnieść z uwagi na wielki brzuch, poczuła się lekka. Ruszyła w stronę sceny, kilka ostatnich kroków pokonała, biegnąc niezgrabnie, uważając, żeby się nie potknąć o fałdy stylowej sukienki długości maxi, którą miała na sobie.

Charlie dostrzegł ją i zbiegł ze sceny po schodach, by ją objąć. Pocałowali się i April czuła się tak, jakby od ich ostatniego pocałunku upłynęła tylko chwilka – taki był ciepły, znajomy. Był tym samym Charliem, pachnącym mydłem toaletowym.

Dotarło do niej, że to ona wygląda zupełnie inaczej, bo położył dłoń na jej wielkim brzuchu i spojrzał jej w oczy ze zdumieniem.

– To nasze dziecko – powiedziała.

– Wiesz, czy to chłopiec, czy dziewczynka? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Jeszcze nie.

– To dobrze. Chcę być przy tobie, kiedy się tego dowiesz. Już zawsze chcę być przy tobie.

– Jeszcze nie jestem pewna, jeśli chodzi o ten pierścionek – zastrzegła April. – Potrzebuję trochę czasu, żeby zastanowić się nad ślubem i w ogóle. Tym razem nie chcę działać pochopnie.

– W porządku. Dam ci tyle czasu, ile będziesz potrzebowała. Bardzo cię przepraszam, April. Nie powinienem powiedzieć tego, co powiedziałem, o twojej mamie i o tobie. Nie jesteś wariatką. A nawet gdybyś była, i tak cię kocham.

– Może kiedyś zwariuję. Czas pokaże.

– Nie dopuszczę do tego, jeśli to będzie w mojej mocy. – Charlie spojrzał na swój błyszczący kitel. – Zresztą kto teraz wygląda jak wariat? Stoję tutaj z drag queen, otwierając przed tobą serce na oczach kilkuset ludzi.

April roześmiała się, powstrzymując się od płaczu.

– Ja też cię przepraszam. Powiedziałam ci kilka okropnych rzeczy.

– Zgadzam się. Ale ja byłem gorszy od ciebie. I nigdy nie powinienem odwoływać ślubu. Byłem zdenerwowany naszą kłótnią, dałem rodzicom się namówić. Przez chwilę wydawało mi się, że to słuszne, ale dość szybko zorientowałem się, że popełniłem wielki błąd. Dlatego próbowałem się z tobą skontaktować. To moja mama wysłała informacje o odwołaniu ślubu. Dowiedziałem się o tym dopiero po fakcie. Nie mogę sobie darować, że okazałem się takim mięczakiem, by dopiero teraz coś z tym zrobić.

Stojąca na scenie pielęgniarka przerwała im:

– Dobrze już, dobrze. Daliśmy wam chwilę na rozmowę. Ale teraz chodźcie tutaj, żeby wszyscy was zobaczyli.

Charlie ujął dłoń April i pomógł jej wejść po schodach. Kiedy znaleźli się na scenie, publiczność zaczęła wiwatować.

– Hm, hm, proszę państwa – powiedziała pielęgniarka. – Szczęśliwe zakończenia nie są zarezerwowane wyłącznie dla bajek i salonów masażu.

April zrobiło się gorąco z przejęcia i od blasku reflektorów.

Pielęgniarka natychmiast się zorientowała, że April jest w ciąży.

– Och, doktorze Love – zwróciła się do Charliego. – Ma pan szczęście! Podjął pan słuszną decyzję, w przeciwnym razie ja i reszta drag queens wypędzilibyśmy pana z miasta i skopali panu chudy tyłek naszymi szpilkami.

– Wiem, że mam szczęście. – Charlie chwycił dłoń April, jakby to była lina ratunkowa. – I nigdy tego nie zapomnę.



# ROZDZIAŁ ..... 21 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Suknia*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1982

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Sukienka z czerwonej jedwabnej tafty, dół w kształcie bombki,  
marszczenie przy dekolcie*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Ciuchland przy State Street*

## VIOLET

Violet stukała nerwowo nogą w samej pończosze, kiedy April drugi raz przeliczała plik pieniędzy. Obie zdjęły buty i siedziały, nadal wystrojone, przy stoliku w głębi klubu.

April kładła na stół ostatnie banknoty, licząc bezgłośnie.

– No i? – Violet wsadziła ręce do kieszeni czerwonej sukienki, żeby z nerwów odruchowo nie obgryzać paznokci.

– Tyle samo, co poprzednio. Powiedziałam ci, że się nie mylę, kiedy liczę.

Violet nie mogła ukryć rozczarowania.

– Miałam nadzieję, że ten jeden raz się pomylisz.

– To i tak mnóstwo pieniędzy – powiedziała April. – Aukcja odniosła wielki sukces.

– No tak, ale to za mało na zaliczkę za dom wart milion dolarów. – Violet westchnęła. Ależ była naiwna, łudząc się nadzieją, że w jeden wieczór zgromadzi dość pieniędzy, by rozwiązać wszystkie swoje problemy.

– Mówiłam ci, że spotkałam Karen i Toma? – spytała April. – Szukali cię po pokazie.

– Nie, nie wiedziałam, że przyszli.

– Próbowałam cię odszukać. Karen powiedziała, że spieszą się do domu, bo zostawili dziecko z opiekunką, ale kazała przekazać ci ich gratulacje w związku z pokazem.

Violet przypomniwała sobie radę Karen, kiedy pierwszy raz wspomniwała przyjaciółce o eksmisji – że być może powinna przyjąć propozycję Mortensenów. Karen chyba miała rację: zaakceptowanie ich oferty to najmniej ryzykowne posunięcie. Ale doświadczenie nauczyło Violet, że czasem warto ryzykować. Kiedyś, gdy była młoda, zgodziła się na coś, co jej zaproponowano. Biorąc ślub z Jedem,

kochała go w jakiś dziecinny sposób – teraz nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić. Ale pozwoliła, by nieodparta chęć zaopiekowania się nim przesłoniła jej własne marzenia o pójściu na uczelnię, sądziła, że nie może mieć jednego i drugiego. Bała się, że jeśli wyznaczy sobie zbyt ambitne cele, nie odniesie sukcesu, więc nawet nie spróbowała.

Och, teraz musi coś postanowić w kwestii oskarżenia Jeda o wandalizm. Jeszcze nie powiedziała April, że policja go znalazła. Wiedziała, co April jej poradzi: żeby wystąpić z oskarżeniem. Ale Violet samodzielnie musiała podjąć tę decyzję.

– Nie do wiary. Wiedziałas, że Charlie pojawi się dziś wieczorem na scenie? – zapytała April.

– Umiem dochować tajemnicy – skromnie odezwała się Violet. – I popatrz, oświadczył się. Nie wiedziałam, że to zrobi.

– Nie jestem pewna, czy przyjmę jego oświadczyny. Potrzebuję więcej czasu. – April wsadziła pieniądze do plastikowej koperty.

– Pomogłam mu, ale to wszystko był pomysł Charliego – zapewniła ją Violet. – Gdy tylko dowiedział się o pokazie, spytał, czy może pojawić się na scenie. Uważał, że to jedyny sposób dotarcia do ciebie, bo nie odbierasz telefonów od niego. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, jak to przyjmiesz. Ale był tak przygnębiony, że musiałam mu pozwolić to zrobić. I uważałam, że ten pomysł z doktorem Love jest genialny. To niesamowite, że był gotów wystawić się dla ciebie na pośmiewisko. – Violet wyciągnęła rękę. – Daj mi kopertę z pieniędzmi. W drodze do domu zdeponuję je we wpłatomacie. Jestem pewna, że ty i Charlie macie sobie dużo do opowiedzenia.

April wręczyła jej kopertę.

– Czy Sam odwiezie cię do domu? Widziałam, jak się kręcił po pokazie.

Violet pokręciła głową.

– Powiedziałam mu, żeby na mnie nie czekał, bo nie miałam pojęcia, kiedy to wszystko się skończy. Zresztą na jutro zarezerwowaliśmy stolik w restauracji, wtedy sobie porozmawiamy.

Ale to nie był prawdziwy powód, dla którego Violet kazała Samowi jechać do domu. Nie wątpiła, że po tym, czego byli świadkiem na scenie między Charliem i April, wypłynie temat przyszłości, o ile w ogóle ją i Sama czekała jakaś wspólna przyszłość. A dziś wieczorem nie mogła rozmawiać na ten temat głównie dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Rozumiem – zgodziła się April. – Cóż, skoro jesteś pewna, że nie będę ci potrzebna, do zobaczenia jutro w sklepie. – Wstała i wyszła, zostawiając Violet w pustej sali.

Po tych kilku ostatnich dniach, obfitujących w niespodzianki i pełnych zamieszania, Violet tęskniła za ciszą i spokojem. Nadal nie była pewna, co powiedzieć w prokuraturze okręgowej, ale doszła do wniosku, że mogą poczekać na

jej odpowiedź do rana. Dopóki Jed był pod kluczem – przynajmniej przez kilka najbliższych godzin – prześpi spokojnie noc we własnym łóżku. *Po tym wszystkim, co mi zrobił, pomyślała, przynajmniej tyle jest mi winien.*

\*

Nazajutrz Violet obudziła się wcześniej, z jasnym umysłem. Zaparzyła kawę i zeszła do sklepu jeszcze przed wschodem słońca. Pierwsze co zrobiła, to wykręciła numer zastępcy prokuratora okręgowego, który dostała od policjanta. Prokuratora jeszcze nie było w biurze, ale Violet zostawiła mu wiadomość, że chce wnieść oskarżenie przeciwko Jedowi. Przez te wszystkie lata zbyt wiele razy go usprawiedliwiała, zbyt wiele razy ratowała mu tyłek. A jej współczucie wcale mu nie pomogło; właściwie tylko sama na tym cierpiała.

April przysłała przed dziesiątą, jeszcze przed otwarciem sklepu. Wyglądała na szczęśliwą i odprężoną.

– Rozumiem, że miło spędziłaś noc – powiedziała Violet.

April skinęła głową.

– Przegadałam z Charliem wiele godzin. Gotów jest natychmiast do mnie wrócić... Cóż, po ostatnim wieczorze łatwo się tego domyślić. Tylko ja nie jestem do końca pewna. Nie wątpię, że Charlie mnie kocha i chce, żeby się nam udało, więc to już jakiś postęp. Ale potrzebuję trochę czasu, żeby mu znów zaufać, zanim postanowię, czy chcę za niego wyjść.

– Jesteś młoda. Masz czas – przyznała Violet.

*Natomiast ja nie mam tyle czasu*, pomyślała. Musiała coś postanowić, jeśli chodzi o Sama, odpowiedzieć sobie na pytanie, czy potrafi żyć ze świadomością, że nigdy nie będą mieli dzieci, nawet jeśli poza tym wszystko między nimi ułoży się dobrze.

Violet zdawała sobie sprawę, że w jej wieku może mieć kłopoty z zajściem w ciążę, o ile dojdzie do wniosku, że tego pragnie. Ale istniały inne rozwiązania. Mogła nawet adoptować dziecko, jeśli postanowi żyć samotnie. Już wcześniej to rozważała. Nie wiedziała, co da jej więcej szczęścia: życie z Samem bez dzieci, czy bez Sama, ale z dzieckiem. Bała się spędzać z nim zbyt wiele czasu, dopóki nie odpowie sobie na to pytanie, bo wiedziała, że to tylko utrudni jej podjęcie decyzji. Dlatego postanowiła zadzwonić do niego później i odwołać ich dzisiejszą randkę.

Z zamyślenia wyrwał ją głośny łopot plastikowej folii na wietrze.

– Kiedy właściciel budynku zamierza wstawić szybę w to okno wystawowe? – spytała April, wskazując okno. – Myślałam, że miał się tym zająć.

– Wiesz co? Pojadę do biura i z nim porozmawiam – oświadczyła Violet. Czasami odnosiła wrażenie, że jej życie przypomina taką płachtę plastiku, miotaną przez siły, których nie jest w stanie kontrolować. I miała tego dość. – Czy poradzisz sobie tu sama przez godzinę, kiedy będę w biurze Teda?

– Jasne – zapewniła ją April. – Po to tu jestem.

Kiedy Violet pojawiła się w biurze Mortensen i Syn, recepcjonistka spytała, czy jest umówiona.

– Nie – przyznała Violet. – Ale mam ważne informacje dotyczące sprzedaży nowych mieszkań własnościowych przy Johnson Street.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę i po rozmowie prowadzonej przyciszonym głosem zaprowadziła Violet do gabinetu Teda.

– Violet – powiedział na jej widok. – Proszę usiąść. Czy przyszła pani porozmawiać o naszej ofercie?

– Nie, przyszłam porozmawiać o tym, kiedy wstawicie szybę. Wiem, że zamierzacie sprzedać budynek deweloperowi, i znam kogoś, kto zna prezesa – ciągnęła. – Prawdopodobnie nie spodoba mu się, że zaniedbujecie dokonanie napraw, które wpływają na wartość nieruchomości.

– No tak. – Ted odchrząknął. – Rozmawiałem już z firmą ubezpieczeniową. Ponieważ deweloper zamierza rozebrać budynek, ubezpieczyciel uważa, że nie warto przeprowadzać żadnych napraw. Zwłaszcza że dzieli nas zaledwie kilka tygodni od uzyskania nakazu eksmisji, o ile dobrowolnie się pani nie wyprowadzi.

– Chwileczkę. Myślałam, że budynek zostanie zaadaptowany na mieszkania, a nie rozebrany – zdziwiła się Violet.

– Plany uległy zmianie.

– Czyli chcecie, żeby mój sklep funkcjonował w lokalu z oknami zabitymi dyktą i osłoniętymi folią.

– Może pani z własnej kieszeni zapłacić za wstawienie szyb, choć według mnie szkoda na to pieniędzy – odparł Ted. Splótł dłonie i położył je na biurku. – Nasza oferta wciąż jest aktualna, jeśli dobrowolnie zgodzi się pani wyprowadzić.

– Muszę porozmawiać ze swoim prawnikiem – powiedziała Violet.

Wróciła do butikiu, kipiąc ze złości. Widać to było chyba na pierwszy rzut oka, bo April westchnęła:

– Domyślam się, że rozmowa nie przebiegła po twojej myśli.

– Niczego nie naprawię – poinformowała ją Violet. – Deweloper, który postanowił kupić budynek, gdy tylko się z niego wyniesiemy, zamierza go zburzyć. Chciałabym móc powiedzieć, żeby się odwalili, i kupić nieruchomość. Ale obie wiemy, że mnie na to nie stać.

April pokręciła głową.

– Czy przepisy zezwalają na coś takiego?

– Muszę zadzwonić do Karen, ale już dwa miesiące temu zapoznała się ze wszystkimi dokumentami i stwierdziła, że nie mamy szans. Że jedyne, co może zrobić, to trochę odwlec sprawę, bym spróbowała zgromadzić pieniądze na zakup budynku. Ale się na to nie zanosz. Jakim cudem uznałam to za możliwe? Na pokazie zarobiliśmy o wiele za mało. A w okolicy nie ma nic do wynajęcia, co nadawałoby się



na sklep.

April zrobiła okrągłe oczy i z jej ust wyrwał się cichy okrzyk.

– Co? – spytała Violet. – Coś z dzieckiem? Mam cię zawieźć do szpitala?

April pokręciła głową i złapała kawałek kartki. Napisała na niej kilka liczb, zagryzając usta.

– Co robisz? Okropnie mnie przestraszyłaś.

– Chwileczkę... Pozwól mi zebrać myśli. – April jeszcze coś napisała, a potem podniosła kartkę triumfalnie.

– Czy właśnie rozwiązałaś zagadkę podróży w czasie? Cofniemy się do dnia, zanim zaczęła się cała ta historia z eksmisją?

– Niezupełnie. – April przechyliła głowę. – Ale co byś powiedziała na kupno domu mojej mamy? Nie chcę tak dużo jak właściciel tego budynku.

– Serio? – Violet stanął w oczach zielony dom ze sztukateriami zaledwie przecnicę stąd. – Byłabyś gotowa mi go sprzedać?

– Czemu nie? Oglądało go kilkanaście osób, ale żadna nie złożyła oferty kupna, nawet gdy agent obrotu nieruchomościami nakłonił mnie do obniżenia ceny. Wszystko wkoło się zmieniło, powstało tu tyle restauracji i sklepów, że wielu ludzi uważa tę ulicę za zbyt ruchliwą. Albo boi się, bo dom wymaga generalnego remontu.

– Czy to w ogóle możliwe... To znaczy, czy władze miasta pozwolą, by otworzyć w nim sklep?

April skinęła głową.

– Moja mama sprawdziła, czy można w nim prowadzić działalność gospodarczą, kiedy rozważała założenie własnej firmy. W pobliskich domach działa wiele firm. Chociażby ten salon odnowy biologicznej w niebieskim wiktoriańskim budynku po drugiej stronie ulicy. I restauracja serwująca sushi w białym domu na rogu. Nie wiem, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej.

– Ale czy jesteś pewna, że chcesz mi go sprzedać? – spytała Violet, a głos jej zmiękł. – Wiem, że łączysz cię z tym miejscem wiele wspomnień.

– Właściwie wyświadczyłabyś mi przysługę. Bardzo mi zależy na sprzedaniu go przed urodzeniem dziecka i rozpoczęciem roku akademickiego. – April odsunęła kartkę i ołówek. – Ale nie będę cię naciskać. To tylko niezobowiązująca propozycja.

Violet zaczęła myśleć na głos.

– Dom jest idealnie położony, jeszcze lepiej od tego. Tuż obok sklepu spożywczego, więc masa ludzi chodzi tamtędy pieszo. – Wyobraziła sobie, jak wieszka sztyld sklepu nad podwójnymi drzwiami balkonowymi i ustawia krzesła ogrodowe na ganku od strony ulicy, żeby klienci mogli sobie na nich przysiąść.

Przez chwilę milczały, zastanawiając się nad tym pomysłem.

– A co by na to powiedziała twoja mama? – spytała Violet.

– Uważam, że byłby to hołd złożony jej pamięci. Zawsze była przedsiębiorcza. –

April rzuciła jej nieśmiały uśmiech. – A poza tym to jedyna szansa, żeby dom nie trafił w obce ręce.

ROZDZIAŁ  
..... 22 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Fartuch*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata pięćdziesiąte*

STAN: *Dość dobry*

OPIS: *Niebieski fartuch z bawełny w stokrotki, trochę spłowiały*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Pchli targ zorganizowany przez Weteranów Wojen Zagranicznych*

## AMITHI

Amithi weszła do butiku, ściskając małą torbę na zakupy.

Violet akurat układała suknie w plastikowym pojemniku, przekładając je papierem bezkwasowym. Na widok Amithi odstawiła pojemnik i wytarła ręce w fartuch z falbankami.

– Witaj, piękna nieznajoma – powiedziała. – Nie widziałam cię od pokazu. Świetnie wyglądasz.

Amithi poprawiła bluzkę w tureckie wzory, do której włożyła luźne płócienne spodnie, sandały na koturnie i naszyjnik z turkusów. Po latach dylematów, co kiedy włożyć, czuła się jakby w końcu znalazła swój styl, który nie był ani w pełni hinduski, ani w pełni amerykański.

– Dziękuję. – Amithi postawiła na ladzie torbę na zakupy. – Co tu robią te wszystkie pojemniki? – Wskazała na piętrzące się wokół kontenery.

– Kupuję dom April – wyjaśniła Violet. – Miała kłopot ze znalezieniem nabywcy, bo dom wymaga remontu, ale dzięki temu stać mnie na jego kupno. Poza tym zaproponowała mi korzystne warunki. A niektóre jego osobliwości, które przeszkadzały innym nabywcom, jak niskie drzwi czy fakt, że kuchnia i łazienka nie były remontowane od lat pięćdziesiątych, według mnie nadają temu domowi wyjątkowy charakter.

– Moje gratulacje, to wspaniała wiadomość – ucieszyła się Amithi. – A jak się czuje April? Czy już urodziła?

– Jeszcze nie. Właśnie jest u lekarza. Musi zgłaszać się co tydzień na kontrolę, bo to ostatni miesiąc ciąży. Obiecuję, że cię powiadomię, jak tylko urodzi syna albo córkę.

– Skoro mowa o córkach... Nigdy nie uwierzysz, o co mnie poprosiła Jayana – powiedziała Amithi. – Otóż po pokazie oznajmiła, że chce się nauczyć szyć.

– Rety. To, czego dokonałaś, musiało zrobić na niej wielkie wrażenie.

– zaproponowałam, że udzielię jej kilku lekcji, ale wpadła na lepszy pomysł. Oświadczyła, że powinniśmy razem polecieć do Indii, żeby kupić tam tkaniny i odwiedzić rodzinę. – Amithi uśmiechnęła się od ucha do ucha. Nadal nie mogła uwierzyć, że Jayana wystąpiła z czymś takim. – Wybieramy się w październiku. Podczas pobytu w Indiach moja mama, siostra i ja nauczymy Jayanę szyć. A po powrocie rozważam wyjazd gdzieś bez niej. Nigdy wcześniej nie podróżowałam sama. Uważam, że najwyższy czas to zrobić.

– Cudownie. – Violet odwiązała fartuch, zdjęła go i położyła na ladzie. – Dokąd zamierzasz się wybrać?

– Jeszcze nie wiem. Och, byłabym zapomniała. – Amithi wyciągnęła z torebki plik wizytówek i wręczyła je Violet.

– „Amithi Singh. Szycie na miarę” – przeczytała Violet. Jej twarz się rozjaśniła. – Zakładasz własną firmę? Witaj w klubie. Bóg mi świadkiem, że zdarzają się okresy wzlotów i upadków, ale zapewniam cię, że nie ma to jak być swoim własnym szefem.

Amithi rozpięła duma. Była to inna duma od tej, jaką czuła jako matka Jayany czy żona odnoszącego sukcesy zawodowe Naveena. Czuła się dumna z siebie i było to uczucie nowe dla niej i cudowne.

– Nigdy nie miałam szefa – stwierdziła. – Nigdy wcześniej nie pracowałam... Przynajmniej zawodowo.

Amithi nigdy nie musiała pracować. Nawet teraz korzystała ze wspólnego rachunku bankowego jej i Naveena oraz z kart kredytowych i jak na razie nie spotkała się ze sprzeciwem ze strony męża, choć od tygodni mieszkała z Jayaną i Jackiem. Sama świadomość tego, że może zarabiać pieniądze, jeśli zechce, dawała jej zadowolenie.

– Ludzie stale mnie pytają, czy znam dobrą krawcową – powiedziała Violet. – Teraz będę im mogła dać twoją wizytówkę. – Położyła wizytówki Amithi obok kasy.

– I jeszcze jedno. – Amithi sięgnęła do torby na zakupy, którą przyniosła ze sobą, i wyjęła z niej luźną sukienkę z różowego jedwabiu. – Uszyłam to z jednego z moich starych jedwabnych sari.

Violet przesunęła dłonią po ściegu.

– Jest cudowna. Sama bym chętnie w takiej chodziła.

Amithi się rozpromieniła.

– Zaczęłam od czegoś prostego, ale mam nadzieję, że się nauczę, jak szyć bardziej skomplikowane fasony.

– Przyniosłaś ją tu, żeby sprzedać?

Amithi pokręciła głową.

– Może kiedyś będę mogła sprzedać całą kolekcję, ale na razie tylko eksperymentuję. Muszę chyba rozejrzeć się za jakimś lokum na pracownię krawiecką.

Zajmuję coraz więcej miejsca w mieszkaniu Jayany i Jacka. Nadal u nich mieszkam, ale chyba niezbyt im odpowiadają stopy tkanin na każdym kroku.

– Wiesz co? Kiedy już urządzę się w nowym domu, może ci coś wynajmę. Jest tam śliczna oszklona weranda, idealnie nadająca się na pracownię. Zamieszkać na piętrze, nie potrzebuję aż tylu pomieszczeń.

– Trzymam cię za słowo.

– A co o tym wszystkim myśli twój mąż?

– Nieważne. Bez względu na to, co będzie ze mną i Naveenem, nie zrezygnuję z krawiectwa. Pomagając przy organizacji pokazu, czułam się naprawdę potrzebna. I bardzo mi się to podobało.

Amithi nie wspomniała jeszcze o czymś, co sobie uświadomiła podczas pokazu: że nie jest gotowa wybaczyć Naveenowi i wątpi, czy kiedykolwiek będzie. Cieszyła się, że Charlie i April znów są razem, ale widząc ich na scenie, takich młodych i pełnych nadziei, poczuła jedynie większą złość na Naveena. Z obecnej perspektywy Amithi oceniała, że jej ufność w latach młodości to była zwykła naiwność. April i Charlie mieli mnóstwo czasu, by odbudować zaufanie, które do siebie stracili. Amithi miała go od nich znacznie mniej. Poświęciła dość życia na bycie matką i żoną. Najwyższa pora, żeby zaczęła być sobą. Ale najpierw musiała odkryć, kim właściwie jest.

Ostatni raz widziała przed sobą takie perspektywy, kiedy była małą dziewczynką. Budziło to w niej zarówno ogromną radość, jak i przerażenie.

#### 12 SIERPNIA 1956 ROKU

Sześćcioletnia Amithi stała przed ogromnym Pałacem Wiatrów, gapiąc się na niego z otwartą buzią. Jeszcze nigdy nie widziała tak wielkiej, tak okazałej budowli. W różowej fasadzie było chyba z tysiąc okien. Nie do wiary, że pałac znajduje się w tym samym mieście, gdzie całe życie mieszkała. Dlaczego nikt go jej dotąd nie pokazał?

Matka Amithi trzymała ją i Priyę za ręce. Amithi poczuła, że zdrętwiały jej palce, tak mocno matka ścisnęła jej rączkę.

– Mamo, boli mnie ręka – poskarżyła się.

– No dobrze, ale obiecaj, że się nie oddalisz. – Matka puściła Amithi, lecz nadal trzymała za rączkę Priyę, która była jeszcze malutka.

Amithi skinęła główką. Weszły do pałacu. Trzymała się blisko matki, gdy chodziły po przestronnych salach, jednej bardziej wystawnej od drugiej. Amithi przystanąła w jednym z szerokich korytarzy, zahipnotyzowana witrażowym oknem we wszystkich kolorach tęczy. Wpadające przez kolorowe szybki światło słoneczne sprawiało, że wyglądały one jak klejnoty.

– Zobacz jakie piękne, mamo! – zawołała.

Odwróciła się i stwierdziła, że matki obok niej nie ma. Tłumy turystów idące

korytarzem napierały na Amithi ze wszystkich stron. Patrzyła przed siebie i za siebie, ale nikogo nie poznawała.

W panice przeszła pod łukowatymi drzwiami do sąsiedniej sali. Tam też kłębił się tłum. Ludzie zasłaniali jej widok. Ruszyła wąskim korytarzem, nawołując matkę. Ludzie ją mijali, ale nikt się nie zatrzymał.

Zaczęła wspinać się po schodach, aż w końcu dotarła na ostatnie, piąte piętro. Wyrzała przez okratowane okienko, mając nadzieję, że może dojrzy matkę z siostrą na którymś z pałacowych dziedzińców.

Aż dostała gęsiej skórki, kiedy wyrzała przez okno i zobaczyła przed sobą cały Dżajpur – świątynie z wieżyczkami, rozległe ogrody, połyskujące jeziora, a nad tym wszystkim góry Arawali. Podziwiając ten widok, Amithi zapomniała, że się zgubiła.

ROZDZIAŁ  
..... 23 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Kostium*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1999

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Spódnica i zakiet St. John Sportswear. Granatowa dzianina dżersejowa z białą lamówką. Jak nowy*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Aukcja na cele dobroczynne zorganizowana przez Junior League*

## APRIL

Charlie zatrzasnął drzwi meblowozu.

– Chcesz jeszcze raz rzucić okiem, żeby się upewnić, że niczego nie zapomniałaś? – spytał.

– Jestem pewna, że jeśli coś zostawiłam, Violet mi o tym powie – odparła April.

– Tak, ale nie chcesz... pożegnać się z domem? – Charlie ścisnął jej dłoń. – Kiedy następnym razem tu przyjdiesz, będzie wyglądał zupełnie inaczej.

April skinęła głową i weszła do domu. Przeszła przez hol do salonu i kuchni, zdumiona, jak wielkie wydają się puste pomieszczenia. Wspięła się po schodach na górę, gdzie mieściły się sypialnie. Jej pokój, w którym jeszcze kilka dni temu były ubrania gromadzone przez osiemnaście lat, ramy obrazów oraz kilka ulubionych lalek zachowanych z czasów dzieciństwa, wyglądał jakoś obco. Ściany pomalowano na biało. Jedyne, na czym można było zatrzymać wzrok, to kratka wywietrznika. Zeszła na dół, spodziewając się, że będzie jej chociaż trochę smutno, że ten dom, który sprzedała przyjaciółce, już nie będzie do niej należał. Lecz bez osobliwej mieszanki dzieł sztuki i mebli wcale nie przypominał domu jej matki, więc okazało się, że nietrudno zamknąć drzwi na klucz i odejść.

Charlie podał jej rękę i pomógł usiąść na miejscu dla pasażera w szoferce ciężarówki.

– Jesteś pewna, że nie chcesz prowadzić? – spytał.

– Miałam dość emocji, kiedy po rocznej przerwie usiadłam za kierownicą samochodu mamy. Chyba zostawię prowadzenie ciężarówki tobie.

Charlie zajął miejsce za kierownicą i wsadził kluczyk do stacyjki. Nim uruchomił silnik, zapytał:

– Wszystko w porządku?

April gapiła się na dom przez szybę samochodu.

– Kiedy pakowałyśmy rzeczy, Violet znalazła notatkę sporządzoną przez moją mamę, żeby coś sprawdzić w polisie ubezpieczeniowej na życie. Wygląda na to, że mogłeś mieć rację. Że moja mama... – trudno jej było wypowiedzieć to na głos – odebrała sobie życie.

Charlie nic nie powiedział. Przysunął się do April i objął ją. Rozpłakała się, dając upust rozpaczy, tak jak mogła to robić tylko przy nim. Przytulił ją w wynajętym meblowozie, na podjeździe domu jej matki, aż się uspokoiła.

W końcu April odsunęła się i szepnęła:

– Chciałam ci to powiedzieć, ale nie wiedziałam, kiedy poruszyć ten temat. Bardzo się cieszę, że znów jesteśmy razem, i bałam się zepsuć to kolejną złą wiadomością. Bo mam wrażenie, że odkąd się poznaliśmy, tylko z takimi mamy do czynienia. Jedna zła wiadomość goni drugą.

– Naprawdę? Ja wcale tak tego nie widzę. Uważam za wielkie szczęście to, że się spotkaliśmy. A jeśli chodzi o problemy... Cóż, każda para wcześniej czy później musi się z nimi zmierzyć, prawda? My już na samym początku stawiliśmy czoło wielu wyzwaniom, więc teraz będzie już z górki.

April skinęła głową.

– I jesteśmy bardziej zahartowani na przyszłość.

– No właśnie – zgodził się z nią Charlie, a po chwili dodał cicho: – Żałuję, że nie poznałem lepiej twojej mamy.

– Ja też chciałabym ją lepiej znać. – April otarła łzy wierzchem dłoni i znów spojrzała na dom. A potem uderzyła ręką w obity skórą fotel i uśmiechnęła się do Charliego. – Jedźmy.

Ich nowe mieszkanie znajdowało się kilometr dalej. April długo zastanawiała się, czy powinni zamieszkać razem, czy też nie.

To Charlie poruszył tę kwestię. Wkrótce wygasła jego umowa na korzystanie wspólnie z kolegą z pokoju na terenie kampusu i musiał sobie znaleźć jakieś nowe lokum, skoro zamierzał studiować medycynę w Madison. April trochę się wahała. Wiedziała, że jeśli nie wyjdzie im z Charliem, trudniej będzie się rozstać, mieszkając razem. Ale prawdę powiedziawszy, nawet nie wiedząc, co ich czeka w przyszłości, chciała być z Charliem teraz i Bóg jej świadkiem, że będzie jej potrzebna pomoc, gdy za miesiąc przyjdzie na świat ich dziecko. O ile nie zechce pojawić się wcześniej. Podpisali więc umowę na wynajem mieszkania z dwiema sypialniami na pierwszym piętrze starego domu w pobliżu kampusu i linii autobusowej. Charlie dotąd nie powiedział nic swoim rodzicom.

Charlie wnosił do mieszkania kartony, a April, siedząc na drewnianej podłodze, rozpakowywała je. Odwijiała z papieru gazetowego talerze i kubki i ustawiała je we wbudowanej serwantce. Uważała, że ma ładniejsze naczynia od większości



osiemnastolatek. Były tu duże ceramiczne misy, dzieło artystek, przyjaciółek jej mamy, cynowe półmiski ze ślubu jej rodziców przed dwudziestu laty, kieliszki na wino z trawionego szkła należące do jej dziadków ze strony matki, którzy zmarli, kiedy April była jeszcze malutka. Serwantka z drzwiczkami ze szkła w ołowianych ramkach w oczach April była jednym z atutów mieszkania. Chociaż było ich tylko dwoje i prawdopodobnie nigdy nie zdarzy się okazja, by wykorzystać całą zastawę stołową odziedziczoną przez April, czuła się lepiej, mogąc chociażby patrzeć na te wszystkie piękne przedmioty. W taki sposób walczyła ze smutkiem – umieszczając rzeczy z przeszłości na widoku, by można je było podziwiać.

April zatrzymała Charliego, który taszczył naręczę ubrań na wieszakach.

– Trzeba poinformować twoich rodziców, że zamieszkaliśmy razem – powiedziała.

– Wiem. – Zniknął w sypialni, a po chwili wyszedł z niej z pustymi rękami.

– Trzeba im to powiedzieć teraz.

– W tej chwili? Wynajęliśmy meblowóz do trzeciej, a potem muszę cię zawieźć na przekazanie domu.

– No dobrze, może nie w tej minucie, ale niebawem. Do końca tego tygodnia. Nie powinieneś ukrywać mnie i dziecka.

Charlie przykucnął obok niej.

– Nie ukrywam cię. Już wiedzą, że znów jesteśmy razem.

– Tak, jednak nie widzieli mnie od wiosny, więc prawdopodobnie nie do końca sobie to uświadamiają. Założę się, że mają nadzieję, iż lada dzień się rozstaniemy. Żeby stało się jasne dla nich, a nawet dla nas, że znów jesteśmy razem, musimy otwarcie o tym powiedzieć.

Charlie położył dłoń na jej karku.

– Masz rację. Powiemy im.

– Kiedy?

– Zadzwońię do nich dziś wieczorem i się umówię.

\*

Nazajutrz Charlie i April, trzymając się za ręce, szli kamienną ścieżką do rozległego domu w stylu Tudorów. Białe róże kwitły po obu stronach polakierowanych na wysoki połysk drzwi frontowych. Charlie nacisnął dzwonek i ze środka dobiegło piskliwe szczekanie.

Judy Cabot uchylila drzwi i powiedziała:

– Uwaga na psy.

Charlie i April wślizgnęli się przez szparę w drzwiach, co było szczególnie trudne dla April z uwagi na jej brzuch. Gdy tylko przekroczyli próg, doskoczyły do nich dwie białe puszyste kulki. Malutkimi pazurkami drapały gołe nogi April – miała spódnicę i klapki. Wiedziała, że Judy prawdopodobnie nie uznaje takiego obuwia, ale

była w ósmym miesiącu ciąży i na myśl o tym, że miałyby włożyć na spuchnięte nogi czółenka czy choćby sandaalki na koturnie, robiło jej się słabo.

– Ojej! – zawołała Judy, kiedy jej wzrok padł na brzuch April. Tylko tyle. Żadnych znaczących spojrzeń, żadnej wzmianki o „blasku” bijącym od April, na co tyle kobiet zwracało uwagę.

– Czyż nie wygląda świetnie? – Charlie objął April w pasie.

Na widok Judy April natychmiast przypomniała sobie dzień, kiedy dostała pocztą wiadomość o odwołaniu ślubu, i poczuła ukłucie bólu. Ale dumny uśmiech Charliego uzmysłowił jej, jak daleką drogę pokonali razem od tamtego dnia, więc wystarczyło jej sił, by powiedzieć:

– Witaj, Judy.

Charlie krótko cmoknął matkę w policzek.

– Gdzie tata?

– Na tarasie. Chodźcie.

Skierowali się do kuchni, gdzie Judy zatrzymała się na chwilę i spytała:

– Masz ochotę na dzin z tonikiem? Właśnie nalałam dla taty i siebie.

– Jasne.

April z niedowierzaniem przyglądała się, jak Judy przygotowuje drinka dla syna, nie zaproponowawszy jej do picia czegoś bez alkoholu, jako że April była niepełnoletnia, a do tego w ciąży z jej wnukiem. Na szczęście Charlie okazał się lepiej wychowany. Podszedł do lodówki i otworzył ją.

– April, masz ochotę na lemoniadę czy wolisz san pellegrino?

– Poproszę lemoniadę – powiedziała.

April przyglądała się Judy, która w skupieniu wyciskała sok z limonki do szklaneczki z kostkami lodu.

Judy wyjęła ze szklaneczki mieszadełko.

– Gotowe. Chodźmy na taras.

Trip siedział przy stole, kręcąc prawie pustą szklaneczką i spoglądając na olśniewająco zielony trawnik.

– Cześć, tato. – Charlie usiadł naprzeciwko ojca i dał znak April, żeby zajęła miejsce obok niego.

April klapnęła na miękką poduszkę. Dotąd siadanie w fotelach i wstawanie z nich było czymś zwyczajnym, teraz, kiedy była w ciąży, wymagało specjalnych umiejętności.

– Cześć – odezwał się Trip. – Co was do nas sprowadza?

April wydało się dziwne, że Charlie, mieszkając w tym samym mieście co jego rodzice, musi mieć jakiś powód, by ich odwiedzić.

– Och, chciałem pogadać o tym i owym, nim zacznie się rok akademicki, urodzi się dziecko i będziemy zabiegani jak cholera – odparł Charlie.

Judy zmarszczyła czoło.

– Charlie, nie wyrażaj się.

– Mamo, jestem dorosły. Mogę mówić „cholera”. Przecież nie powiedziałem „kurwa”.

Judy opadła szczęka.

– Charles!

April trąciła Charliego łokciem. Czekają ich i tak wielkie wyzwania. Nie musiał niepotrzebnie wkurzać matki.

– Tak, niewątpliwie będziesz miał masę roboty – zgodził się z nim Trip. – Studiowanie medycyny wymaga wiele wysiłku, nawet kiedy nie trzeba się martwić o dziecko.

– Myślę, że podołam – odparł Charlie. – Będziemy z April wspólnie opiekować się dzieckiem i dlatego postanowiliśmy razem zamieszkać.

– Czyli ponownie się zaręczycie? – spytała Judy, niezbyt zadowolona.

– Może kiedyś się zaręczymy. Przynajmniej mam taką nadzieję. Ale na to jeszcze czas. Na razie przekonamy się, jak nam się będzie układało.

– „Jak nam się będzie układało”? – Judy nawet nie próbowała ukryć dezaprobaty. – To nie jest szkolny romans, Charlie.

– Już nie chodzę do szkoły – wtrąciła April. – Za kilka tygodni zaczynam studia na uczelni.

– Nadal jesteś nastolatką. – Judy skrzyżowała ramiona i przeniosła wzrok na syna. – Charles, wolno ci robić, co chcesz. Już nie będę próbowała cię od tego odwieść. Ale nie dostaniesz od nas ani centa.

– Och, już wystarczająco jasno dałaś mi do zrozumienia, że mogę liczyć na wasze pieniądze tylko wtedy, jeśli będę robił to, co uważacie za stosowne. Nie martw się. Już udzielono mi pożyczki studenckiej, więc nie potrzebuję waszych pieniędzy.

– Świetnie. – Judy energicznie odstawiła szklaneczkę. Kostki lodu zagrzechotały, odrobina dżinu z tonikiem wylała się na stół. – Dotąd nie udowodniłeś nam, że jesteś na tyle odpowiedzialny, by coś zaplanować i to zrealizować. Najpierw chciałeś się żenić, potem nie. Postanowiłeś studiować w Bostonie, teraz chcesz się uczyć tutaj. Nie będziemy finansować kogoś tak niezdecydowanego, prawda, Trip?

– Mmm-hmm – mruknął jej mąż.

Teraz Charlie odstawił szklaneczkę na stół.

– Mam plan. Taki sam od początku: studiować tutaj, być z April i dzieckiem. To, że różni się od waszego planu, wcale nie oznacza, że jest zły.

– Mówimy wam o tym, bo mamy nadzieję, że będziecie obecni w naszym życiu i w życiu naszego dziecka – odezwała się April, chociaż uważała, że jej życie byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby Judy i Trip mieszkali na drugim końcu kraju. Wiedziała jednak, że należało to powiedzieć. Rodzice Charliego mieszkali w Madison od ponad

trzydziestu lat i nigdy nie opuszczali miasta, nie licząc wypadów na pole golfowe i rejsów po Morzu Śródziemnym.

Judy westchnęła.

– Chciałabym jedynie, żebyś dobrze się zastanowił przed podjęciem tak ważnej decyzji. I tyle.

– Wszystko przemyślałem, mamó. I jeśli będziesz dalej kwestionowała moją ocenę sytuacji, nie zamierzam tu dłużej siedzieć i cię słuchać.

– Przykro mi, ale nie możemy spokojnie patrzeć, jak rujnujesz sobie życie. Prawda? – zwróciła się Judy do swego męża.

Trip zaczął się wiercić.

– Tak – powiedział. – To znaczy nie.

April poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości. Bała się, że znów nie zapanuje nad sobą jak wtedy, kiedy wzburzona do granic wymaszerowała z butik. Ujrzała Judy nalepiającą znaczki na koperty z informacją o odwołaniu ślubu, a szczególnie na tę zaadresowaną do niej samej.

Charlie zerwał się na równe nogi i podał rękę April, żeby pomóc jej wstać.

– Dokąd idziesz? – spytała Judy.

– Do domu. Nie muszę tu siedzieć i znosić twoich zniewag i protekcjonalności. Nie potrzebuję cię.

To były chyba najbardziej przykre słowa, jakie Charlie mógł powiedzieć swojej matce. April patrzyła, jak Judy opadają koniuszki ust, a jej oczy tracą blask. Charlie był jednakim, tak samo jak April (przyrodnie rodzeństwo z Ohio się nie liczyło, bo prawie go nie znała). Oświadczenie Charliego, że nie potrzebuje matki, było równoznaczne z odebraniem jej celu w życiu. April nie dała się nabrać na obiadek Judy i imprezy dobroczynne. Stanowiły tylko sposób na wypełnienie czasu i pretekst do pochwalenia się najnowszym kostiumem od St. Johna. Jej prawdziwym powołaniem była troska o jasnowłosego syna. Teraz wydała się zagubiona.

Charlie postawił na stole prawie nietkniętego drinka. Podszedł do ojca, klepnął go w ramię, a potem poprowadził April do domu.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć – powiedział, zamknąwszy za sobą drzwi balkonowe. – Staram się być szczerą, ale matka naprawdę bardzo mi to utrudnia.

– Rozejdź się po kościach – pocieszyła go April, mając nadzieję, że to prawda.

Charlie skierował się do drzwi wejściowych.

– Chodźmy stąd.

– Chwileczkę, muszę skorzystać z łazienki. Przepraszam. – Czasami bycie w ciąży bywa naprawdę uciążliwe.

Charlie spojrzął na nią ze zniecierpliwieniem.

– Dobrze, zaczekam na ciebie w samochodzie.

April minęła hol i weszła do wykładanej marmurem łazienki dla gości.

Wychodząc, niemal wpadła na Tripa.

– Och, cieszę się, że jeszcze tu jesteście – powiedział.

– Już wychodzimy.

Trip podrapał się w głowę.

– Przepraszam za tę kłótnię.

April wzruszyła ramionami.

– Nie ma sprawy.

Spojrzał na jej brzuch i zapytał:

– Dobrze się czujesz? To znaczy, wszystko w porządku z dzieckiem?

April położyła dłoń na brzuchu.

– Przez jakiś czas nie było najlepiej, ale ostatnio czuję się dobrze. Dziękuję, że pan zapytał.

Trip odchrząknął i mówił dalej:

– Moja żona kocha Charlesa i ma dobre intencje, ale nie zawsze jej się udaje. – Wsadził rękę do kieszeni i wyjął z niej kawałek kartki, którą wcisnął April do ręki. Spojrzała na nią i widząc miejsce na podpis, domyśliła się, że to czek. – Nie mów Judy – poprosił Trip.

April oddała mu czek, nie patrząc, na jaką kwotę został wystawiony.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Proszę. Okropnie się czuję z tym wszystkim. Z tym, w jaki sposób zachowaliśmy się... – chrząknął i spojrzał na brzuch April – w tej sytuacji.

April nie mogła przyjąć pieniędzy, chociaż dobrze byłoby wpłacić je na konto z przeznaczeniem na sfinansowanie studiów dziecka. Jednak wiedziała, że Charlie czułby się urażony, gdyby zrealizowała czek, szczególnie po jego dzisiejszym oświadczeniu, że nie potrzebuje pieniędzy rodziców. Ale April była wzruszona, że Trip chciał im pomóc.

– Proszę, weź czek – powiedział.

April pokręciła głową.

– Lepiej, jak go pan zatrzyma na urodziny dziecka albo na ukończenie przez niego szkoły. Mam nadzieję, że będziecie przy nim oboje. Pan i Judy.

Trip jej nie uściskał – Cabotowie nie potrafili okazywać uczuć – ale przez długą chwilę patrzył April prosto w oczy i mogłaby przysiąc, że powstrzymał się od łez.

## ROZDZIAŁ

# ..... 24 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Płaszcz*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1962

STAN: *Dobry*

OPIS: *Biały kaszmirowy płaszcz z rękawami trzy czwarte. Do kompletu  
giewzowe rękawiczki do łokcia*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Betsy Barrett. Miała go na sobie na wydanym w Białym  
Domu obiedzie dla członków Komitetu Sztuk Pięknych*

## VIOLET

W sierpniowy wieczór Violet nuciła, słuchając albumu Dolly Parton, i malowała na pomarańczowo ścianę w nowym sklepie. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie minę Teda Mortensena, kiedy mu oświadczyła, że jednak rezygnuje z prawa pierwokupu i dobrowolnie się wyprowadzi, ale żąda rekompensaty w wysokości sześć-, a nie dwumiesięcznego czynszu. Pouczona przez Karen powiedziała Tedowi, że to „niewiele” za uniknięcie konieczności zwracania się do sądu o nakaz eksmisji, tym bardziej że deweloperowi zależało na jak najszybszym sfinalizowaniu umowy, by móc przystąpić do prac budowlanych przed nadejściem chłódów.

Ku jej zaskoczeniu Ted się zgodził. Violet przeznaczyła tę kwotę – wraz z pieniędzmi, które zarobiła na pokazie – na częściową zaliczkę za dom matki April.

Violet akurat malowała ścianę w górnym rogu, kiedy zadzwonił telefon. Mało nie spadła. Zeszła z drabiny i przyciszyła muzykę, nim odebrała telefon.

– Czy mogę mówić z panią Violet Turner? – rozległ się w słuchawce kobiecy głos.

Violet mocniej zacisnęła dłoń na kablu tradycyjnego aparatu telefonicznego.

– Jestem przy telefonie.

– Mam na imię Ellen, jestem opiekunką społeczną w hospicjum Agrace. Rozumiem, że jest pani przyjaciółką Betsy Barrett?

– Tak. – Violet aż się zachwiała. Wsparła się o ladę, żeby nie upaść. *Hospicjum? Czy nie tam trafiają umierający?*

– Organizujemy tu dla niej uroczystość w naszej kaplicy. Poprosiła mnie, żeby skontaktować się z panią i zapytać, czy zechce pani wziąć w niej udział.

Violet poczuła, jak ściska się jej gardło. Nie chciała słyszeć tego, co – jak przypuszczała – teraz nastąpi.

– Czy... Czy nie żyje?

– Och, nie. Przepraszam, powinnam to od razu wyraźnie powiedzieć. Pani Barrett umieszczono na oddziale szpitalnym naszego hospicjum. Przez pewien czas pielęgniarki od nas opiekowały się nią w domu, ale taka opieka, co oczywiste, nie może być kompleksowa. Kiedy w zeszłym tygodniu Betsy zachorowała na zapalenie płuc, pielęgniarki powiedziały jej, że lepiej będzie, jeśli trafi na oddział szpitalny, na co wyraziła zgodę.

– Ale zapalenie płuc jest uleczalne, prawda? – spytała cicho Violet.

– U ludzi, którym poza tym nic nie dolega, owszem. Lecz osobom chorym na raka, jak pani Barrett, których system odpornościowy jest osłabiony... No cóż, bardzo trudno jest odzyskać zdrowie.

Minęła chwila, nim ta informacja w pełni dotarła do Violet.

– To niemożliwe – powiedziała. – Widziałam ją niedawno. Przyszła na pokaz i aukcję strojów zorganizowane przez nasz sklep i dobrze wyglądała. Była chuda, lecz zawsze należała do szczupłych osób.

– Stan osób nieuleczalnie chorych, zwłaszcza w wieku pani Barrett, może się bardzo szybko pogorszyć.

Słowa „nieuleczalnie chorych” dotarły do Violet z całą ostrością.

– Przykro mi, jeśli to dla pani wstrząs – mówiła Ellen. – Ale chcę podkreślić, że dzwonię do pani, bo pani Barrett pragnie się z panią zobaczyć. Poprosiła o zorganizowanie uroczystości w kaplicy, czegoś w rodzaju nabożeństwa, które pomoże jej przygotować się do czekającej ją podróży. Chciała wiedzieć, czy zgodzi się pani wygłosić kilka słów. Sama by zadzwoniła, ale jest bardzo osłabiona, prawie całe dni przesypia, dlatego zaproponowałam, że ją wyręcę.

– Naturalnie, że to zrobię – szepnęła Violet. – Czy miała na myśli jakąś szczególną modlitwę?

– Nie. Pani Barrett woli, żeby ludzie wykorzystali swoje twórcze umiejętności. Podkreśliła nawet, że nie chodzi o nic przesadnie religijnego czy kaznodziejskiego. Nie chce, żeby ci, którzy nie wyznają żadnej konkretnej wiary, czuli się wykluczeni.

– Cała Betsy. A więc kiedy będzie ta uroczystość?

– Jutro o szóstej wieczorem w naszej kaplicy. Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale nie działamy z dużym wyprzedzeniem. I szczerze mówiąc, nie wiem, jak długo jeszcze pani Barrett będzie wśród nas. Sądzę, że właśnie dlatego zdecydowała się na tę ceremonię.

– Dobrze, przyjdę.

Violet rozłączyła się i usiadła na płachcie malarskiej. Nie rozplakała się, była zbyt wstrząśnięta.

Amithi zeszła z werandy, gdzie zajmowała się jakimiś przeróbkami. Wynajęła ją na próbę od Violet, by się przekonać, czy nadaje się na pracownię krawiecką.

Amithi dotknęła ramienia Violet.

– Słyszałam, że rozmawiałas przez telefon. Wydawałaś się zdenerwowana. Czy stało się coś złego?

– Właśnie się dowiedziałam, że Betsy przyjęto do hospicjum.

– To straszne. – Amithi zmarszczyła czoło. – Spotkałam ją tylko parę razy, ale odniosłam wrażenie, że to niezwykła kobieta. Tyle zrobiła dla innych.

– Dopiero teraz uświadamiam sobie, że upłynęło trochę czasu, odkąd ostatni raz była w sklepie. Powinnam się domyślić, że coś jest nie tak, i skontaktować się z nią. Nikogo nie ma, dzieci ani nikogo. – Violet ogarnęły wyrzuty sumienia. – Muszę zadzwonić do April i powiedzieć jej o ceremonii.

– Czy Betsy nie zwróciłaby się do ciebie, gdyby chciała twojej pomocy?

– Nie. Jest na to zbyt dumna. A teraz nic już nie można zrobić.

– Wcale nie. Nadal możesz się z nią zobaczyć, prawda? – spytała Amithi.

– Chce, żebym wzięła udział w ceremonii, którą jutro organizują. Mam coś przeczytać. Nie mam pojęcia, co robić.

– Czy ma jakiś ulubiony wiersz? Fragment Pisma Świętego?

– Kocha muzykę, sztukę i taniec – stwierdziła Violet. – Ale nie jestem baleriną. To wymaga zmysłu równowagi, a ja ledwo trzymam się na nogach.

\*

Kiedy następnego dnia Violet jechała do hospicjum, mijając nowe monochromatyczne osiedla na południowo-zachodnich krańcach miasta, nie mogła powstrzymać się od myślenia o tym, co mogła zrobić inaczej. Zastanawiała się, czy powinna zadawać więcej pytań o chorobę Betsy, kiedy odwiedzała ją latem i tak bardzo chciała wierzyć, że choroba się cofnęła. Wyrzucała sobie, że przeoczyła ważne sygnały, że jednak nie wszystko jest w porządku.

Kiedy dotarła na miejsce, spytała recepcjonistkę, czy jest szansa, by zobaczyć się z Betsy przed ceremonią, ale okazało się, że nie. Wszyscy goście mieli przejść prosto do kaplicy.

Violet weszła do ciemnego pomieszczenia, w którym płonęły świece. W powietrzu unosił się kadzidlany zapach, może drzewa sandałowego. Ale najbardziej uderzył ją widok kwiatów. Nie były to aranżacje w kształcie wachlarza, zwykle kojarzone z nabożeństwami w kościele. Ujrzała masę pomarańczowych, fioletowych i żółtych dalii wielkości talerzy, różowe mieczyki na długich łodygach, pęki słoneczników, które wyglądały tak, jakby właśnie je zerwano.

Małą kaplicę wypełniał tłum gości, chociaż do rozpoczęcia ceremonii pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Wszystkie miejsca, z wyjątkiem oddzielonych sznurem dwóch pierwszych rzędów, były zajęte. Kilka osób stało pod ścianami, bo zabrakło dla nich miejsc siedzących.

Jakaś kobieta w kostiumie podeszła do Violet.



- Jestem Ellen – przedstawiła się. – Czy wystąpi pani dziś wieczorem?
- Tak. Rozmawialiśmy przez telefon. Nazywam się Violet Turner.
- Zarezerwowałam trochę miejsc dla gości honorowych Betsy.
- Dla gości honorowych?
- Tak. Proszę za mną.

Ellen wskazała Violet miejsca w pierwszych rzędach.

– Dzisiejsza ceremonia ma być pogodna, więc nie ma powodu do zdenerwowania. Będę nad wszystkim czuwała, poproszę panią, kiedy nadejdzie pora, by wygłosiła pani swoją mowę. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę zająć się ostatnimi przygotowaniami.

Violet nie знаła nikogo z obecnych. Ciekawa była, czy przyjedzie April. Zostawiła jej wiadomość o ceremonii.

Jakaś młoda kobieta siedząca obok Violet zwróciła się w jej stronę.

– Skąd pani zna Betsy?

Violet oceniła, że dziewczyna jest mniej więcej w wieku April.

– Jestem właścicielką butiku ze starymi przedmiotami, Betsy zaglądała do niego od lat – wyjaśniła Violet. – A pani skąd ją zna?

– Kilka lat temu ufundowała stypendium dla studentów muzyki. Otrzymałam je. Wystarcza na pokrycie kosztów czesnego przez cztery lata nauki. Gdyby nie stypendium, musiałabym wziąć kilka pożyczek, które spłacałabym do końca życia. – Dziewczyna wsunęła za ucho kosmyk długich ciemnych włosów. – Większość muzyków nie zarabia dużo, więc cieszę się, że po studiach będę miała trochę większą swobodę finansową.

– Na czym pani gra?

– Och, na wielu instrumentach, ale przede wszystkim na skrzypcach. – Oczy dziewczyny rozbłysły, kiedy mówiła o swoich ulubionych kompozytorach i wykonawcach. O większości z nich Violet nigdy wcześniej nie słyszała.

Ellen pojawiła się w kaplicy, pchając przed sobą wózek z Betsy. Postawiła wózek obok pierwszego rzędu. Violet była wstrząśnięta tym, jak krucho wygląda jej przyjaciółka. Na tę okazję włożyła gruby sweter w etniczne wzory, ale kolorowa wełna nie maskowała jej chudych rąk i spiczastych łokci. Jeden rękaw swetra był podwinięty, by można było przymocować plastrem wenflon. Na stojaku wisiał worek z kroplówką.

Violet zamachała do Betsy, która odpowiedziała jej uśmiechem. Wyglądała na zmęczoną. Kilka osób podeszło do Betsy, żeby się z nią przywitać. Ellen pozwalała im zamienić z Betsy najwyżej kilka słów.

Po chwili Ellen weszła na podwyższenie i powitała obecnych. Wyjaśniła, że pomysł dzisiejszej uroczystości narodził się podczas jej rozmowy z Betsy.

– Razem z panią Barrett omawialiśmy jej pogrzeb i nabożeństwo żałobne.

Odniosłam wrażenie, że jest sfrustrowana – wyjaśniła Ellen. – Po godzinie ustaleń dotyczących kwiatów i muzyki powiedziała: „Jaki sens nadawać temu osobisty rys, skoro nie będę tego widziała? Do diabła z tym. Dlaczego nie zorganizować uroczystości, kiedy jeszcze żyję i mogę zobaczyć wszystkich moich przyjaciół?”. Zaprosiliśmy dziś państwa, ponieważ pani Barrett chciała podsumować swoje życie, kiedy wciąż jest wśród nas. Chce, żeby zapamiętali ją państwo taką, jaka była za życia, a nie „jako nafaszerowaną chemią nieboszczkę w trumnie”. – Ellen się uśmiechnęła. – To jej słowa, nie moje.

Obecni roześmiali się trochę niepewnie.

To, co nastąpiło potem, stanowiło świadectwo tego, co Betsy kochała. Trio jazzowe wykonało wiązanek swingujących melodii, zmuszając wszystkich, nie wyłączając Betsy, do przytupywania w podłogę. Jakaś młoda para wykonała taniec nowoczesny, obfitujący w elementy zaprzeczające istnieniu grawitacji. Kilka osób podzieliło się przed mikrofonem opowieściami, odczytało fragmenty książek lub odśpiewało jakieś piosenki.

Przyszła kolej na Violet. Zwykle nie uważała siebie za tuzinkową osobę. Była dumna z tego, że wyróżnia się stylem ubioru, gustem i manierami. Ale wśród tłumu wykonawców i artystów poczuła się skrępowana i zupełnie zwyczajna. Nie podobał jej się nawet strój wybrany na tę okazję – kostium z lat czterdziestych z krótkimi rękawami, dopasowany w talii, z błyszczącymi mosiężnymi guzikami. Wcześniej sądziła, że jest idealny – taki ukłon w stronę młodości Betsy – lecz teraz wydał jej się nudny, a nawet konserwatywny.

Violet weszła na podwyższenie, skąd widziała wszystkich obecnych. Dostrzegła April w jednym z rzędów w głębi. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, nim Violet przeniosła wzrok na kartkę, którą trzymała w dłoni. Przez wiele godzin pisała tekst, który zamierzała odczytać, lecz teraz martwiła się, że zabrzmiał on prozaicznie. Jednak nie było już czasu na zmiany, więc odchrząknęła i zaczęła czytać:

– „Co piękne, cieszyć nigdy nie przestanie”. To słowa poety Johna Keatsa, a Betsy Barrett rozumie je lepiej niż którakolwiek ze znanych mi osób. Betsy kocha to co piękne i potrafi to wypatrzeć. Świadczy o tym jej dom i sposób, w jaki się ubiera, ale przede wszystkim piękno, które krzewi wokół siebie. – Violet uniosła wzrok i zobaczyła uśmiech Betsy i jej oczy – wilgotne i błyszczące. To dodało Violet odwagi, by zaimprovizować: – Widzieliśmy dziś wieczorem popisy tancerzy, pieśniarzy i muzyków. Wszyscy pojawili się tu dzięki niesłabnącemu poparciu Betsy dla sztuki i lokalnych firm. Gdyby nie jej pomoc, nie powstałby mój sklep ze starymi przedmiotami. Na szczęście jej spuścizna będzie dalej istniała dzięki licznym ubiorom z jej szafy. Z każdym z nich związana jest jakaś opowieść z niezwykłego życia Betsy. Białe wełniane płaszczy? Powiedziała mi, że miała go na sobie, kiedy spotkała się z Jackie Kennedy w Białym Domu – bratnią duszą i mecenaską sztuki. Srebrna suknia

wieczorowa? Kupiła ją w Paryżu w latach pięćdziesiątych, gdy w końcu zdołała przekonać męża, żeby zabrał ją do Europy, gdzie stacjonował podczas drugiej wojny światowej. Kiedy spytałam Betsy, dlaczego pozbywa się tych pięknych rzeczy, powiedziała: „Ja już się nimi nacieszyłam. Teraz niech sprawiają radość innym”. Betsy nie trzyma pięknych przedmiotów dla siebie. Nauczyłam się, że piękny przedmiot nie jest wiele wart, jeśli nie można się nim podzielić z innymi. To tylko rzecz. Dopiero, kiedy pozwalamy innym się nim cieszyć, staje się naprawdę piękny.

Violet z trudem przełknęła ślinę i zeszła z podwyższenia. Dopiero gdy znów usiadła na swoim miejscu, uroniła kilka łez. Spojrzała na Betsy, która skinęła do niej głową i powiedziała bezgłośnie „dziękuję”.

Po uroczystości wszyscy chcieli spędzić z Betsy chociaż kilka minut. Violet kręciła się z boku, gdy podeszła do niej April.

– Pięknie mówiłaś – pochwaliła ją.

– Dziękuję – szepnęła Violet. – Cieszę się, że tu jesteś.

– Musiałam przyjść. Betsy tak dużo dla mnie zrobiła. Nawet nie wiedziałam, że jest chora, a ty?

– Właściwie nie. To skomplikowana historia.

Betsy zamachała do nich i dała im znak, by podeszły.

– Idź – powiedziała April. – Ja porozmawiam z nią później. Powinnaś ją mieć tylko dla siebie choć przez kilka minut. Dłużej ją znasz.

– Dobrze. – Violet uśmiechnęła się lekko. – Dziękuję.

Violet uścisnęła Betsy, uważając na igłę i rurki kroplówki. Jej przyjaciółka rzeczywiście była tak krucha, na jaką wyglądała. Violet usiadła obok wózka inwalidzkiego.

– Dziękuję, że przyszłaś – odezwała się Betsy. – Wiem, że byłaś zaskoczona.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że choroba wróciła?

– To się stało tak szybko. Zanim się zorientowałam, że to nie jakiś wirus, tylko nawrót raka, zmogło mnie zapalenie płuc. Pielęgniarki czuwały nade mną dzień i noc. Wiedziałam, że jesteś zajęta w sklepie. Nie chciałam cię niepotrzebnie martwić, gdyby się okazało, że to nic poważnego.

– Ale to było poważne. I teraz okropnie się czuję, że nie wiedziałam, co się dzieje. Kiedy to się stało?

– Wiem, co sobie myślisz. Lecz wtedy, gdy odwiedziłaś mnie w domu, powiedziałam ci prawdę. Naprawdę miałam okres remisji. Przez jakiś czas wszystko było w porządku. I jestem za to wdzięczna losowi. – Betsy zakaszłała i Violet aż się wzdrygnęła, słysząc jej świszczący oddech.

– Co mogę zrobić, żeby twój pobyt tutaj był przyjemniejszy? – spytała.

– Och, personel jest cudowny. I zdradzę ci małą tajemnicę hospicjum. – Nachyliła się i położyła pełną niebieskich żyłek dłoń na ramieniu Violet. – Podają tu naprawdę

dobrze drągi.

Violet się roześmiała.

– Betsy, chyba istnieją łatwiejsze sposoby zdobywania dragów.

– Teraz mi to mówisz? Ale poważnie, to wielka ulga, że nie czuję bólu.

Violet przestała się uśmiechać.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować, powiedz mi. Jeśli zechcesz coś ze swojego domu albo coś szczególnego do jedzenia, chętnie ci to przywiozę.

– Ostatnio najchętniej jem to, co ma szansę zostać w moim żołądku.

– Przykro mi to słyszeć.

– Przestań powtarzać, że ci przykro – zbeształa ją Betsy. – Nie ma nic gorszego od ludzkiego współczucia. I naprawdę nie ma powodu, żeby mi współczuć. Miałam w życiu więcej szczęścia od innych. Zresztą rozejrzyj się wkoło – to wszystko przyjaciele, nie krewni. Niektórzy być może myślą, że to smutne, że nie mam dzieci ani żadnej rodziny. Ale nie zdają sobie sprawy z tego, że krewni muszą pojawić się na takiej uroczystości, a przyjaciele nie. Przyszli tu z własnej woli. Pod tym względem jestem więc szczęściarą. Ci ludzie chcieli tu być.

– Cóż, wolałabym, żebyśmy się tu zebrali z innej okazji.

– Och, daj spokój. Dla mnie każda okazja do spotkania jest dobra. Obiecuj, że nie będziesz się nade mną litowała, kiedy stąd odjedziesz.

– Obiecuję. Bo nie należysz do osób, nad którymi należałoby się litować, Betsy.

– Obiecasz mi jeszcze coś?

Violet skinęła głową.

– Nie popełnij tego samego błędu co ja i nie czekaj na idealny moment, żeby robić to, co chcesz robić w życiu. Bardzo długo siedziałam beczynnie, bo bałam się, co ludzie o mnie pomyślą – mąż, jego koledzy, nasi przyjaciele. Bałam się włożyć serce w to, na czym naprawdę mi zależało, bo nie chciałam być osobą kontrowersyjną ani narażać się na to, że inni będą odmiennego zdania niż ja. Nie rób tego.

Podczas rozmowy Violet z Betsy kolejka osób, które chciały zamienić kilka słów z przyjaciółką, dwukrotnie się wydłużyła. Najbliżej stała April.

– No dobrze. – Violet wstała. – Pozwolę innym nacieszyć się tobą. Jesteś bardzo popularna. – Nachyliła się i pocałowała Betsy w policzek. – Czy mogę do ciebie przyjść z wizytą?

Betsy skinęła głową.

– Przez kilka najbliższych dni jestem bardzo zajęta, ale w przyszłym tygodniu chętnie się z tobą spotkam.

Violet mogła policzyć na palcach jednej ręki bliskie sobie osoby, które odwiedzała w szpitalu: babkę tuż przed jej śmiercią, która leżała w jedwabnym kimono, podparta poduszkami; Karen, gdy urodziła Edith i przyciskała pomarszczonego noworodka do piersi; Jeda z czerwoną opuchniętą twarzą, kiedy

zatruli się alkoholem. Nigdy nie musiała konkurować z innymi o dostęp do chorego.

Kiedy tłum zaczął rzednąć, Violet również skierowała się do swojego samochodu. Czuli, że powinno być jej smutno. Ale przypomniawszy sobie prośbę Betsy, żeby się nad nią nie litować, i starała się dotrzymać danego jej słowa. Pomyślała też o radzie Betsy – żeby nie zwlekać z tym, czego pragnie jej serce.

Pojechała do Sama.

Otworzyła jej drzwi, mając na sobie tylko kraciaste spodenki od pizamy i szarą, znoszoną koszulkę.

– Cześć – powiedział, nachylając się, żeby ją pocałować. – Cieszę się, że cię widzę. Wejź. Czego się napijesz? Piwa? Herbaty?

Violet weszła do środka.

– Mam ochotę na piwo. Właśnie byłam na uroczystości ku pamięci Betsy.

– Przykro mi. – Sam mocno ją przytulił. Pachniał, jakby dopiero co wziął prysznic, włosy miał wciąż wilgotne.

Violet odsunęła się od niego.

– Właściwie było bardzo miło. I ta wizyta skłoniła mnie do zastanowienia się.

– Chcesz pogadać? – spytał. – Przyniosę ci piwo i usiądziemy przed domem. Widziałaś księżyc? Piękny dziś wieczór.

Sam poszedł do kuchni i wrócił z dwiema butelkami piwa z jakiegoś małego browaru.

Usiedli na stopniach szerokiego frontowego ganku, oświetlonego papierowymi lampionami i sierpniowym księżycem, i Violet oznajmiła Samowi, że chce mieć dziecko.

– Wiem, że zabrzmiało to dziwnie – dodała. – Zakończyć dobry... nie, więcej niż dobry związek, bo pragnę dziecka. Ale mam prawie czterdzieści lat. Nie zostało mi dużo czasu. Co więcej, nie spotkałam jeszcze mężczyzny, z którym chcę założyć rodzinę. Lecz chyba jeszcze nie jestem gotowa zrezygnować z tego marzenia. Są inne możliwości, jeśli nie uda mi się wyjść za mąż. I skłamałabym, gdybym powiedziała, że ich nie rozważam.

Ciszę, która zapadła, zakłócało jedynie granie świerszczy. Światło księżyca było wystarczająco jasne, by Violet dojrzała rozczarowanie na twarzy Sama.

– Doskonale cię rozumiem – westchnął. – Powinnaś dostać od życia to, czego pragniesz. Nigdy bym cię nie poprosił, żebyś dla mnie z czegoś zrezygnowała.

– A ja też nie mogę cię prosić o zmianę zdania. – Violet miała cichą nadzieję, że Sam oświadczy jej, że wcale nie. – Jesteś zaskoczony moją decyzją?

– Nie – przyznał Sam. – Mogłem się tego domyślić na naszej pierwszej randce, widząc, jak się rozpromieniłaś, kiedy wzięłaś na ręce córeczkę Karen.

Violet pociągnęła łyk piwa – było bogate i miało lekko czekoladowy posmak. W przeciwieństwie do Jeda, który pił skrzynkami wszystko, co było na wyprzedaży,

Sam preferował piwo z małych lokalnych browarów, a czasem nawet warzone w domu przez jego kumpli. Violet podobało się w Samie to, że wolał niewiele czegoś wyjątkowego, niż wiele przeciętnego. Powiedziała mu to.

– Ty jesteś wyjątkowa – odparł, odgarniając z jej twarzy czarny lok. – Lecz nie chcę się zadowolić tylko małą częścią ciebie. – Opuścił rękę na kolana. – Niestety zwykle kwestia dzieci wszystko psuje.

Violet zastanawiała się, z iloma kobietami Sam przeprowadził podobną rozmowę. Nie chciała z nim zrywać, bo poza sprawą dzieci wszystko między nimi układało się idealnie. To co robiła Violet, kłóciło się z całą filozofią życiową Sama, żeby żyć chwilą obecną. Nie chciała żyć chwilą. Rezygnowała ze szczęścia, które było jej dane teraz, w nadziei innego rodzaju szczęścia w przyszłości.

– Żałuję, że nie mogę ci dać innej odpowiedzi. – Violet sięgnęła po rękę Sama i ujęła ją w obie dłonie.

– Ja też – powiedział. W jego głosie nie było ani śladu sarkazmu, tylko smutek. Violet wiedziała, że jest szczerzy.

Zdawała sobie sprawę z tego, że to dziecinne, ale czuła się rozczarowana, że nie potrafi wpłynąć na zmianę jego decyzji. Czuła, że brak jej jakiejś wyjątkowej cechy, którą mają inne kobiety. Ale wiara w to, że potrafi zmieniać ludzi, zawsze przysparzała Violet kłopotów. Pora przestać popełniać te same błędy.

# ROZDZIAŁ

## ..... 25 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Spodnie*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Początek lat dziewięćdziesiątych*  
STAN: *Dobry*  
OPIS: *Rybaczki Brooks Brothers. Różowa bawełna haftowana w zielone żółwie*  
ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Sklep z artykułami używanymi Dig & Save*

## APRIL

April usiadła na łóżku i starała się przypomnieć sobie, jaki dziś dzień. Pod koniec ciąży odliczała dni do porodu. Czas dłużył się niemiłosiernie, bo prawie nie sypiała w nocy. Bez względu na to, jak się ułożyła, zawsze coś ją uwierało. A dziecko nie przestawało się wiercić. Tego ranka czuła ból w dole brzucha.

Przypomniała sobie, że jest trzydziesty pierwszy sierpnia – do rozwiązania pozostało sześć dni.

– Widzę, że już nie możesz się doczekać – powiedziała April, kładąc ręce na brzuchu. – Ale muszę cię ostrzec, że życie nie jest usłane różami. Czasami świat bywa zupełnie zwariowany.

Charlie przekręcił się na bok i pogładził April po udzie.

– Która godzina?

– Szósta.

– Spróbuj jeszcze usnąć.

– Nie mogę. Przez całą noc prawie nie zmrużyłam oka. Leżę od godziny, czekając, aż zrobi się widno, żeby móc wstać i poczuć się normalnie.

– Och, mogę sprawić, że poczujesz się znacznie lepiej niż normalnie. – Charlie uśmiechnął się szelmowsko. Wyciągnął rękę w jej stronę.

Skrzywiła się.

– Nie, wyglądam odrażająco.

– Według mnie wcale nie wyglądasz odrażająco, tylko prześlicznie.

Po tylu miesiącach bez Sama otuliła się komplementem, jakby to była futrzana etola okrywająca jej ramiona. Gdy Charlie znów wyciągnął do niej rękę, nie odsunęła się.

Jakiś czas później April weszła do sklepu i zatrzymała się w drzwiach, by znów popatrzeć z podziwem na to, co Violet zrobiła z domu jej matki: pomalowała ściany na niebiesko z wyjątkiem jednej, za kasą – pomarańczowej. Wydzieliła w sklepie

kilka stref: w głównym pomieszczeniu od frontu była odzież, w dawnej jadalni naczynia i artykuły gospodarstwa domowego, a bieliznę pościelową i stołową ułożyła na półkach szaf. Miało się wrażenie, że człowiek wszedł do czyjś ślicznego domu, gdzie wszystko jest na sprzedaż. Gęś Gladys stała w holu na stoliku na jednej nodze, rzucając ciepłe światło na każdego, kto przekroczył próg. Ale dla April najważniejsze było to, że Violet postawiła obok kasy nowiutki komputer i z pomocą April wprowadzała teraz system kodów kreskowych, by kontrolować stan towarów.

Violet siedziała na białym włochatym dywanie w pokoju stołowym, wyjmując z kartonów szkło i wycierając z kurzu każdy smukły kieliszek do szampana i każdą kompotierkę, nim umieściła na nich etykietkę z ceną i odstawiła na półkę.

Violet uniosła wzrok.

– Dzień dobry.

– Widzę, że wciąż wypakowujesz rzeczy – zauważyła April.

– Tak. Wprost nie do wiary, ile mam tego wszystkiego.

– Mogę ci pomóc?

– Jasne – ucieszyła się Violet. – Przyda mi się ktoś do schowania letnich rzeczy.

Studentki wracają już z wakacji i szukają czegoś na jesień.

– Chętnie się tym zajmę – powiedziała April. – Ale nie wolno mi dźwigać nic ciężkiego.

– Pamiętam o tym. Sama przyniosę z piwnicy kartony z jesiennymi ubraniami. Ty tylko wszystko porozwieszaj. Właściwie możesz zacząć od zabrania letnich ubrań. Włóż je do kartonów, to potem je zniosę.

April zdjęła z wieszaków zwiewne sukienki na ramiączkach, bawełniane bermudy, topy. Ależ szybko minęło lato! W tym roku bardziej niż w ubiegłych latach dokuczało jej poczucie straty, kiedy dni stawały się coraz krótsze. Żegnała się nie tylko z latem, wkrótce miała się pożegnać również ze swoim dotychczasowym życiem. Kiedy umarła mama, skończyło się jej dzieciństwo. Teraz, gdy od rozwiązania dzieliły ją tylko dni, miała wrażenie, że sama zostając mamą, osiągnie inny poziom dorosłości. To, że miała przy sobie Charliego, niewiele zmniejszało jej lęk przed nieznanym.

Zdjęła z wieszaka wszystkie letnie rzeczy, usiadła po turecku na podłodze i zaczęła je wkładać do kartonów. Nagle poczuła, że ma mokre spodnie. Serce zabiło jej szybciej. Czyżby odeszły wody? Przesunęła się, żeby spojrzeć na podłogę. Niczego nie zobaczyła, więc wstała. Poczuła ciepłą strużkę płynącą po wewnętrznej stronie ud i pobiegła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi, przyjrzała się mokrym spodniom i bieliźnie. Wsadziła w majtki kilka papierowych ręczników. Musiała zadzwonić do swojej lekarki. Ale najpierw chciała zmienić spodnie, a nie miała zapasowej pary.

April wybiegła z łazienki i zaczęła grzebać w jednym z kartonów, który właśnie



zapełniła, aż znalazła wystarczająco obszerne spodnie, by się w nie zmieścić – parę dużych, różowych rybaczek z wyhaftowanymi małymi zielonymi żółtami. Musiała się nimi zadowolić. Złapała z jednego z wieszaków długi szal, by wykorzystać go w charakterze paska, i poszła do łazienki się przebrać.

Kiedy wróciła do pokoju stołowego, Violet rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

– Chyba odeszły mi wody – poinformowała April. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że włożyłam te spodnie.

Violet zrobiła wielkie oczy.

– Jasne, bierz, co tylko chcesz. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie wiem. Muszę zadzwonić do lekarki.

April wyjęła z torby komórkę i wybrała numer doktor Hong. Odebrała pielęgniarka i usłyszawszy, że April odeszły wody, kazała jej natychmiast przyjechać.

– Muszę jechać do szpitala – powiedziała April, rozłączywszy się. Spojrzała na porozkładane wszędzie kartony. – Przepraszam, że zostawiam cię z tym wszystkim.

– Och, wcale mnie nie zostawiasz – oświadczyła Violet. – Zabieram cię do szpitala.

– Mogę zadzwonić do Charliego.

– Wykluczone. Powiedz mu, żeby spotkał się z nami na miejscu.

Violet wyjechała z garażu dżipem i pomogła April zająć miejsce dla pasażera. Ruszyły do szpitala najkrótszą drogą, Johan Nolen Drive wzdłuż jeziora Monona. April przyglądała się rowerzystom i rolkarzom jeżdżącym wzdłuż brzegu jeziora, zdziwiona, że dla nich to dzień jak co dzień.

– Wszystko w porządku? – zapytała Violet, patrząc na April. – Czy powinniśmy mierzyć czas między skurczami?

April wzruszyła ramionami.

– Wiem tyle co ty. Ale właściwie nic nie czuję, więc nie wiem, co miałybyśmy mierzyć.

– Denerwujesz się? Jesteś podekscytowana?

April się roześmiała.

– To ty wydajesz się podekscytowana.

– Przepraszam. Chyba za bardzo wczułam się w twoje położenie.

– No więc tak, jestem podekscytowana – przyznała April. – I boję się.

Violet nalegała, by podjechały pod wejście na oddział pomocy doraźnej. Dała kluczyki strażnikowi koło bramy.

– Możemy stanąć na parkingu i wejść zwykłymi drzwiami – powiedziała April. – Jestem pewna, że dam radę przejść kilkaset kroków.

– Nie ma mowy! – Violet złapała wózek stojący koło drzwi i pomogła April w nim usiąść. Skierowała się do wind. Wjechały na piętro, gdzie mieścił się oddział położniczy.

Zarejestrowawszy się, April z zaciekawieniem rozejrzała się wkoło i stwierdziła, że jest co najmniej o dziesięć lat młodsza od pozostałych kobiet w poczekalni. Wszystkie miały na sobie słodkie stroje ciążowe. Jedna przyciskała do piersi segregator podpisany „Plan rodzenia” i rzucała polecenia siedzącemu obok niej mężczyźnie. April domyśliła się, że to potulny mąż kobiety. Inna – z ogromnym brzuchem w opiętym czarnym żakiecie – wystukiwała coś na swoim blackBerry z miną, jakby negocjowała wielomilionowy kontrakt.

*Gdzie są wszystkie nastoletnie matki, o których tyle się słyszy w wiadomościach?* – zastanawiała się April. Chciałaby zobaczyć przynajmniej jedną osobę, która podobnie jak ona nie ma bladego pojęcia o tym, co się dzieje.

\*

Charlie dotarł dziesięć minut później. Wpadł do poczekalni, gdzie April wciąż czekała na badanie.

– Naprawdę myślisz, że to już? – spytał.

April wzruszyła ramionami.

– Przynajmniej tak jest zawsze na filmach, kiedy odejdą wody. Ale nie ma powodów do paniki. Pielęgniarka powiedziała, że trochę to potrwa, bo jeszcze nie rozpoczęły się skurcze. Poza tym muszą mnie zbadać i ustalić, czy rzeczywiście odeszły mi wody, czy też bezwiednie zsikałam się w spodnie.

– Czy to możliwe? – spytał Charlie.

– Chyba tak. Pielęgniarka zachowywała się tak, jakby to było na porządku dziennym.

April nalegała, by Violet wróciła do domu, gdy już czekała na badanie za miętowozieloną zasłonką.

– To może jeszcze potrwać – powiedziała. – Zresztą jest teraz ze mną Charlie.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że zadzwonicie, jak tylko urodzisz – oświadczyła Violet. – Albo jak będziesz miała do mnie jakąś prośbę.

– Dobrze – zgodziła się April. – Dziękuję za wszystko.

Violet wyszła, a Charlie stojący obok łóżka April zaniepokoił się, gdy pielęgniarka kazała dziewczynie rozłożyć nogi, by przeprowadzić jakieś badanie papierkiem lakmusowym, jak na lekcji chemii.

– Tak, wody odeszły – potwierdziła.

– To dobrze. Cieszę się, że się nie zsikałam. W ostatnich dziewięciu miesiącach nieco straciłam kontrolę nad swoim ciałem, a pęcherz moczowy to ostatnia moja twierdza.

April starała się żartem rozluźnić atmosferę, ale pielęgniarka nie rozumiała dowcipu. Zapytała jedynie:

– Jak często są skurcze? I jak długo trwają?

– Nie wiem. Odczuwam jakieś bóle, ale nieregularnie. – Przypomniała sobie

wydarzenia poranka i zarumieniała się ze wstydu. – Dziś rano kochaliśmy się. Czy mogło to spowodować odejście wód?

Ku zażenowaniu April pielęgniarka wpisała tę informację do jej karty.

– Orgazm może pobudzić macicę do skurczów – poinformowała. – Szczególnie pod koniec ciąży. Więc owszem, mogło to nieco przyspieszyć poród, ale tak czy owak dziecko jest gotowe przyjść na świat. Tyle że nie masz jeszcze regularnych skurczów, czyli to trochę potrwa.

– Trochę to znaczy ile?

– Kilka godzin, a nawet kilka dni.

Kilka dni? April zaczęła się modlić, by nie trwało to tak długo.

– Czy mogę jechać do domu i wrócić później? – zapytała.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Po odejściu wód zwiększa się ryzyko infekcji. A ponieważ podczas ciąży wyniknęły już pewne komplikacje, wolimy panią zatrzymać na obserwację.

Pielęgniarka przewiozła April na większą salę. Była to zwykła sala szpitalna, ze ścianami pomalowanymi na fioletoworóżowo i wygodnymi fotelami. April była zadowolona, że nie musi jej z nikim dzielić, szczególnie z kobietą z blackBerry czy tą z segregatorem.

Charlie rozsiadł się w jednym z miękkich foteli obok łóżka April. Ścisnął jej dłoń.

– Jesteś gotowa?

April się zastanowiła.

– Nie sądzę, że kiedykolwiek będę gotowa. Jestem pewna, że to dlatego ciąża tak właśnie wygląda. Masz dziewięć miesięcy, by przyzwyczać się, że nosisz w sobie dziecko, a pod koniec jest ci tak cholernie niewygodnie, że chcesz się tego pozbyć, nawet jeśli przeraża cię perspektywa zajmowania się dzieckiem.

– Jesteś przerażona?

– Te kobiety w poczekalni sprawiły, że spanikowałam. Wyglądają, jakby miały wszystko pod kontrolą.

– Cóż, na kursie przygotowawczym na medycynę nauczyłem się jednego: że organizm człowieka zdolny jest do bardzo dziwnych rzeczy. Nawet przy najbardziej starannym planowaniu nie ma gwarancji, że wszystko przebiegnie tak, jak te kobiety sobie zaplanowały. Organizm ludzki jest nieprzewidywalny.

April oparła się o poduszki i dodała:

– Życie jest nieprzewidywalne.

# ROZDZIAŁ

## ..... 26 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Czepeczek niemowlęcy*  
ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata czterdzieste*  
STAN: *Doskonały*

OPIS: *Czepeczek niemowlęcy z białego płócienka, z wyhaftowanymi żółtymi kaczuszkami; wykończony jedwabną wstążką i białą koronką*  
ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Wyprzedaż ruchomości w wiejskim domu*

## VIOLET

Violet czekała na telefon, wieszając wehniałe płaszcze z futrzanymi kołnierzami. Czekala, składając swetry z angory i rozmieszczając je na stołach. I czekała, zamykając wieczorem sklep i podwójne drzwi frontowe do domu.

Była spragniona dobrej nowiny. Kilka ostatnich miesięcy obfitowało w złe wiadomości i Violet doszła do wniosku, że najwyższa pora, by mogła się czymś ucieszyć. Uznała dziecko April i Charliego za idealny pretekst. Jednak czekając na telefon od nich, mało nie zwariowała.

Wyszła z domu, w którym pracowała non stop, by wszystko urządzić po swojemu. Żeby się czymś zająć, poszła do Pinkus McBride's, sklepu na rogu, po kartkę dla April. W sklepie ogólnospożywczym było tylko kilka wzorów kartek z okazji urodzenia dziecka, wszystkie albo niebieskie, albo różowe. Nie wiedząc, którą wybrać, zdecydowała się na zwykłą białą kartkę z napisem GRATULACJE wyciśniętym złotymi, błyszczącymi literami.

– Jakaś specjalna okazja? – spytał nastoletni ekspedient, wczytując cenę kartki.

– Moja staży... moja przyjaciółka właśnie rodzi. – Violet sięgnęła po portfel i wyjęła z niego kilka pomiętych banknotów.

– Super. Ma pani dzieci? – spytał.

Violet pokręciła głową.

– Może kiedyś.

Sprzedawca przyjrzał się jej sceptycznie. Violet złapała kartkę i wyszła ze sklepu. W drodze do domu minęła James Madison Park, gdzie w zapadającym zmroku bosonogie dzieciaki w wieku szkolnym grały we frisbee i wylegiwały się na kocach nad brzegiem jeziora. Żałowała, że nie może tak jak one rozkoszować się ciepłym wieczorem, prawdopodobnie jednym z ostatnich w tym roku, ale miała zbyt wiele spraw na głowie.

Poszła na małą plażę w parku i stała na drobnych kamieniach, patrząc na kilka żaglówek w pobliżu boi na jeziorze Mendota. Lodziarz raz po raz wołał: „Lody, lody dla ochłody!”. Jakaś mała dziewczynka kupiła czerwono-biało-niebieskiego lodu na patyku, co przywiodło Violet na myśl święto Czwartego Lipca. Z ukłuciem żalu pomyślała o swojej pierwszej randce z Samem. Skierowała się do domu.

Na progu powitał ją Miles. Kiedy się nachyliła, żeby go pogłaskać, zadzwonił telefon. Odebrała pełna nadziei, że wreszcie urodziło się dziecko April i Charliego.

– Halo?

– Czy pani Violet Turner? – usłyszała w słuchawce znajomy głos.

Violet wstrzymała oddech.

– Tak.

– Mówi Ellen z hospicjum Agrace. Niestety mam dla pani złą wiadomość.

Violet oparła się o blat.

– Słucham?

– Betsy zmarła dziś po południu.

Violet usłyszała świst w uszach i zakreśliło jej się w głowie. Uświadomiła sobie, że przestała oddychać, podnosząc słuchawkę. Teraz wypuściła powietrze z płuc i łzy popłynęły jej z oczu, kapiąc na drewnianą podłogę.

– Przykro mi, że muszę pani przekazać taką złą informację – ciągnęła Ellen. – Ale powinna pani wiedzieć, że odeszła w spokoju, nie cierpiąc.

To wcale nie powstrzymało łez Violet.

– Czy będzie pogrzeb? – spytała.

– Betsy nie życzyła sobie pogrzebu. Przekazała większość majątku organizacji dobroczynnej, która przekształci jej dom w ośrodek dla artystów, miejsce, gdzie będą mogli w spokoju pracować. Powiedziała, że to będzie jej pomnik – Centrum Sztuki Barrett. Nie chciała trumny, pogrzebu ani nic z tych rzeczy.

– Ale zostanie pochowana?

– Skremowana – wyjaśniła Ellen. – Violet, zwykle nie dzielę się tego rodzaju szczegółami z osobami niebędącymi krewnymi zmarłych, ale Betsy w pozostawionych przez siebie instrukcjach dała jasno do zrozumienia, że chce, by powiadomiono panią o jej śmierci.

Violet zmusiła się do powiedzenia:

– Dziękuję.

– Czy ma pani jakieś pytania?

Violet pociągnęła nosem.

– Tylko... Czy mogłabym coś zrobić?

– Wszystkim już się zajęliśmy – odparła Ellen. – Poinformowano jej prawnika, żeby mógł przystąpić do tworzenia funduszu powierniczego, hospicjum już się skontaktowało z zakładem pogrzebowym. Betsy zostawiła bardzo szczegółowe

instrukcje, co i jak należy zrobić po jej śmierci. Nie chciała nikomu sprawiać kłopotów.

Violet była zdumiona, że nawet na łożu śmierci Betsy myślała przede wszystkim o innych, a nie o sobie. Ale kiedy rozłączyła się z Ellen, nie tylko ogarnął ją przemożny smutek, ale również niepokój. Spodziewała się śmierci Betsy w każdej chwili, jednak miała nadzieję, że nie nastąpi to tak szybko, że będzie miała okazję jeszcze raz odwiedzić przyjaciółkę i się z nią pożegnać. Teraz okazało się, że nie będzie nawet pogrzebu, i Violet zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła zamknąć ten rozdział swojego życia.

Usiadła, a Miles, który jakby wyczuł jej smutek, położył jej łeb na kolanach. Nachyliła się i poklepała go, zadowolona, że dotrzymuje jej towarzystwa. Pamiętała, że Betsy prosiła, by się nad nią nie litować, lecz Violet nie mogła przestać myśleć o tym, że Betsy umarła samotna. Z pewnością personel hospicjum był przy niej, ale czy ktoś, kogo kochała i kto ją kochał, trzymał ją za rękę? Mówił jej, żeby się nie bała?

Violet przypomniała sobie April leżącą na innym szpitalnym łóżku, doświadczającą czegoś zupełnie odmiennego. Trochę zazdrościła April – naturalnie nie tego, że rodzi, ale że wkrótce będzie miała rodzinę. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyła, miały ze sobą wiele wspólnego – obie były pannami, obie mieszkały same, bez rodziny. Violet przypuszczała, że dlatego – mimo dzielących je różnic – tak się do siebie zbliżyły. Teraz April miała Charliego, a niebawem urodzi im się dziecko. Violet cieszyła się ich szczęściem, ale ich sytuacja jeszcze podkreślała, czego brakuje Violet, zwłaszcza teraz, kiedy nie miała już faceta.

Odkąd zerwała z Samem, godziny ciągnęły się w nieskończoność. Violet starała się wypełnić sobie czas pracą, lecz nawet to, co zwykle sprawiało jej radość, jak sprawdzanie zawartości kartonów przynoszonych przez klientki z myślą o sprzedaży ich skarbów albo pomaganie studentce przy wyborze sukienki na randkę, przestało ją cieszyć. Od dawna pilnowała się, żeby nie związać się z nikim tak mocno, jak związała się z Samem, i teraz wiedziała dlaczego. Bo kiedy wszystko się kończy, jest to zbyt bolesne.

Zanim poznała Sama, Violet prawie pogodziła się z myślą, że już nigdy się nie zakocha. Wprawdzie spotykała się z różnymi facetami, lecz głównie dlatego, że Karen jej powtarzała, że nie powinna siedzieć w domu. Sama Violet pragnęła jedynie mieć spokojne sumienie i pogodzić się ze swoją przeszłością – robiła wszystko, co mogło jej w tym pomóc. Ćwiczyła tai-chi i jogę, ale skutek był taki, że nie mogła sobie znaleźć miejsca i miała zbyt dużo czasu na roztrząsanie tego, co ją spotkało. Poddała się reiki i dała się kłuć igłami mistrzowi akupunktury. Nawet, za radą Ermy, czarownicy z sąsiedztwa, siedziała z szamanem w narysowanym kredą kole i udała się w podróż duchową, by spotkać swoje zwierzę totemiczne. Okazało się, że to

rozwiazda; bo rozwiazdy są zdolne do regeneracji, jak powiedział szaman. Nawet jeśli tracą odnoże, ono w pełni im odrasta. Violet lubiła sobie wyobrażać, że jest jak rozwiazda, ale obawiała się, że proces regeneracji jeszcze się nie zakończył.

Starła się zapomnieć o swoim smutku i tęsknocie, zajmując się urządzeniem nowego sklepu. Przeszawiła z miejsca na miejsce meble i wieszaki na ubrania. Była tak pochłonięta pracą i pogrążona w rozpacz, że aż podskoczyła, gdy tuż po wpół do jedenastej zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Dziewczynka! – rozległ się w słuchawce głos Charliego. – Mam nadzieję, że nie za późno dzwonię. Pomyśleliśmy sobie, że chciałabyś wiedzieć!

– Nigdy nie jest za późno na dobrą wiadomość. Przez cały dzień myślałam o April, mając nadzieję, że wszystko w porządku. Czy mała ma już imię?

– Katherine, po mamie April. Ale będziemy na nią wołać Kate.

– Mała Kate. – Violet się uśmiechnęła. – Ślicznie. Jak się czuje April?

– W tej chwili śpi, ale była bardzo dzielna. Już się nie może doczekać, kiedy pochwali się przed tobą swoją córeczką.

– No to kiedy to zrobi? To znaczy, kiedy mogę was odwiedzić?

– Mam nadzieję, że pojutrze będziemy już w domu, więc może wpadniesz do nas wtedy.

– Jasne. Mogę przyjść wieczorem po pracy, ale czy to nie będzie zbyt męczące? April z pewnością jest wykończona.

– Być może, lecz bardzo chce, żebyś poznała Kate. Jesteś pierwszą osobą, o której mówiła po urodzeniu małej. Powiedziała: „Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczy ją Violet”.

Violet ogarnęła fala dumy. Może nie ma własnej rodziny, ale to nie szkodzi.

\*

Dwa dni później Violet siedziała w bujanym fotelu w mieszkaniu April i Charliego, trzymając małą Kate w ramionach. Straciwszy babkę i Betsy, Violet była bardziej oswojona ze śmiercią, niżby tego chciała. Dlatego czuła się szczęśliwa, mogąc tulić to małe, ciepłe zawiniątko. Dziecko spało, odkąd Violet przyszła, nie widziała więc jeszcze jego oczu, ale pulchne policzki, grubiotkie rączki i długie rzęsy były śliczne.

– Jest wspaniała – oświadczyła Violet.

– Cieszę się, że tak myślisz, bo ja też!

April miała cienie pod oczami, włosy zebrała w kucyk. Lecz nie była tak przytłoczona jak zwykle. I to nie dlatego, że nie miała już wielkiego brzucha. Wydawała się naprawdę spokojna i szczęśliwa.

Violet wskazała głową leżącą na stole paczuszkę zawiniętą w starą mapę i przewiązaną szpagatem.

– Przyniosłam drobiazg dla Kate.

– Dziękuję – powiedziała April. – Nie musiałaś.

– Chyba żartujesz! Nie skorzystać z okazji, by wybrać coś małego i słodkiego? – Violet pociągnęła luźny koniec kocyka Kate. – Odpakuj.

April wzięła prezent i rozpakowała go, uważając, żeby nie podrzeć papieru. W środku było małe pudełko. Kiedy uniosła jego pokrywkę, ujrzała biały czepeczek ozdobiony żółtymi haftowanymi kaczuśkami i koronką.

– Jest prześliczny – zawołała April. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– Jest z lat czterdziestych. Kiedy byłaś... – Violet urwała, nie chcąc wspominać w takiej szczęśliwej chwili ich krótkotrwałego rozłamu. – Kiedy nie przychodziłaś do sklepu i sama przygotowywałam pokaz, natknęłam się na to w jednym z kartonów na zapleczu. Kupiłam go wiele lat temu podczas wyprzedaży w pewnej wiejskiej posiadłości.

– Nie wiedziałam, że masz w swoim sklepie rzeczy dla niemowląt.

– Owszem, trochę. Przez jakiś czas zbierałam rzeczy dla niemowląt, bo... – Violet wstydziła się przyznać, co ją do tego skłoniło. A prawda była taka, że niegdyś zgromadziła mały zapas ubranek dziecięcych w nadziei, że kiedyś będzie miała własne dziecko. – Rozwahałam sprzedaż w sklepie rzeczy dla dzieci, ale jakoś nigdy do tego nie doszło – powiedziała. – Tak czy owak, kiedy to zobaczyłam, odłożyłam dla ciebie.

– Myślałaś o mnie, nawet gdy zachowałam się tak skandalicznie? – April poczuła wzruszenie.

– Jasne. Chociaż już nie byłaś moją stażystką, miałam nadzieję, że znajdzie się okazja, by ci to dać i poznać twoje dziecko.

Kate otworzyła oczka i przeciągnęła się, wzdychając.

– Och, podoba jej się – szepnęła April. – Otworzyła oczy po raz pierwszy od wielu godzin.

Violet nachyliła się tak, że jej twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od buzi dziecka.

– Cześć, Kate. Jestem Violet. Bardzo mi miło cię poznać.

April uśmiechnęła się i przesunęła palcem po żółtej wstążce czepeczka.

– Dziękuję ci za prezent.

Świerszcze grały na dworze, dwie dziewczyny przejechały pod otwartym oknem na rowerach, rozmawiając.

– Podoba mi się wasze nowe mieszkanie – stwierdziła Violet, patrząc na wbudowane szafki i gzymsy. – Ma kilka pięknych detali.

– Taaak, trochę mi przypomina dom mojej mamy... Czyli twój dom. Ale jest bliżej uniwersytetu medycznego, więc Charliemu będzie znacznie łatwiej. W pierwszym semestrze ma sporo zajęć, których terminy są dość sztywne. Zaplanowałam swoje



zajęcia w godzinach, kiedy będzie wolny, będziemy więc mogli opiekować się Kate na zmianę. Ale jest jedno seminarium profesora matematyki, na które chciałam chodzić, a którego godziny pokrywają się z godzinami zajęć Charliego, i nie wiem, co z tym zrobimy. To tylko jeden raz w tygodniu. Chyba będę musiała poszukać kogoś do opieki nad małą na ten jeden wieczór.

– Ja mogę przychodzić – zaproponowała Violet bez zastanowienia. A kiedy już usłyszała, co mówi, nie miała wątpliwości, że postąpiła słusznie.

Twarz April się ożywiła.

– Naprawdę? Dasz radę, mając na głowie sklep i w ogóle?

– Nie martw się. Kocham dzieci, a ponieważ szanse na to, bym miała własne, są coraz mniejsze, muszę korzystać z każdej nadarzającej się okazji.

– No tak, ale kto zamknie sklep wieczorem?

– Och, jeśli pod koniec dnia nie będzie klientek, zawsze mogę zamknąć kilka minut wcześniej.

– O mój Boże, byłoby wspaniale – ucieszyła się April. – Już nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Charliemu. Kamień spadnie mu z serca. Zamierzał poprosić profesora, by w każdą środę pozwolił mu wychodzić piętnaście minut wcześniej. Ale teraz nie będzie to konieczne.

– À propos, gdzie jest Charlie?

– Poszedł do sklepu po pieluszki, pajacyki i całą masę innych potrzebnych rzeczy. Trochę tego uzbieraliśmy, ale nie mieliśmy pojęcia, ile ubranek na zmianę potrzebuje niemowlę. Dziś już trzy razy przebierałam Kate z powodu... małych katastrof.

– Musiałas ją dokładnie umyć, bo teraz pachnie bosko. – Violet poczuła, że zdrętwiała jej ręka, ostrożnie poprawiła więc niemowlę.

– Wspomniałaś, że zastanawiasz się nad sprzedażą ubranek dla dzieci – przypomniała sobie April. – Powinniśmy się na to zdecydować.

Violet zastanowiła się chwilę.

– Jasne, możemy spróbować. Nie chciałabym mieć tego zbyt dużo. Nadal pragnę sprzedawać głównie ubrania dla kobiet. Ale może dzięki temu sprzedaż wzrośnie, bo ludzie będą kupować coś dla siebie i coś dla dzieci...

– No właśnie.

Kate zaczęła płakać, Violet wstała i zaczęła chodzić po pokoju, bujając ją delikatnie.

– Chyba trzeba będzie kupić nosidełko dla niemowląt – powiedziała April. – Lubi, jak się ją buja albo podrzuca, a dobrze mieć od czasu do czasu wolne ręce.

Violet wpadła na pewien pomysł.

– Zorganizuję dla ciebie przyjęcie z okazji urodzenia Kate – oświadczyła. – Spisz potrzebne rzeczy, których ci brak.

– Czy takich przyjęć nie urządza się przed urodzeniem dziecka?

– Owszem, ale kto powiedział, że nie mogę go zorganizować teraz? Zresztą zawsze byłam osobą niekonwencjonalną. Porozmawiaj z Charliem i wybierzcie termin, który odpowiada wam obojgu, a ja zajmę się całą resztą.

Na twarzy April pojawił się uśmiech. Violet nie chciała jej mówić o Betsy, żeby nic nie zakłóciło tego radosnego wieczoru, ale wiedziała, że w końcu i tak musiałyby jej o tym powiedzieć. Zresztą April tak czy owak by się o tym dowiedziała. Usiadła więc, ukołysała Kate i powiedziała:

– Dwa dni temu zmarła Betsy.

– Nie... – April uniosła rękę do ust. – Byłaś przy niej, kiedy...

Violet pokręciła głową.

– Dostałam wiadomość zaledwie parę godzin przed telefonem Charliego.

– Dobra wiadomość po złej wiadomości.

Violet na razie zachowała dla siebie drugą złą wiadomość – o zerwaniu z Samem. Nie chciała, by cokolwiek odwracało uwagę od Kate, która właśnie zbierała się do snu w jej ramionach.

ROZDZIAŁ  
..... 27 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Etui na paszport*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1975

STAN: *Dość dobry*

OPIS: *Etui na paszport z biało-brązowej cielęcej skóry, na podszewce. Lekko zniszczone*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Pchli targ*

## AMITHI

Amithi pchnęła drzwi frontowe, przez które wchodziła tysiące razy. Zawiasy skrzypnęły i stwierdziła poirytowana, że Naveen nadal ich nie naoliwił. Zamknęła drzwi za sobą. Ze zdziwieniem stwierdziła, że w śliczny wrześnieowy dzień, ciepły i słoneczny, okna były pozamykane, a w domu panował zaduch.

O ile dobrze pamiętała, Naveen dziś po południu prowadzi zajęcia na uczelni. Amithi, mijając kuchnię, zajrzała do środka i zobaczyła na szafkach sterty brudnych naczyń. Kilka brązowych bananów i pomarszczone jabłko gniły w misie na owoce, na stole leżało pudełko z niedojedzonym gotowym hinduskim daniem do odgrzania w kuchence mikrofalowej. Amithi całą siłą woli powstrzymała się, żeby nie wejść do kuchni i nie wziąć się za porządki. Na szczęście przypomniała sobie, że przyszła tu tylko po paszport, i przeszła dalej.

W gabinecie otworzyła szafkę i wyciągnęła teczkę, w której ona i Naveen trzymali wszystkie ważne dokumenty, jak te o nadaniu obywatelstwa i ubezpieczenia społecznego. Znalazła swój paszport pod odpisem metryki urodzenia Jayany. Na metryce widniał jej podpis, złożony wiele lat temu obok podpisu Naveena. Jak ściśle jej życie było splecione z jego życiem!

*Tym bardziej powinnam na jakiś czas wyjechać*, pomyślała i zamknęła segregator. Kiedy zgasiła światło w gabinecie i przeszła przez cichy dom, dotarło do niej, jak dziwnie się tu czuje. Wcale nie jak u siebie.

Była już przy drzwiach, gdy usłyszała za sobą odgłos kroków. Odwróciła się i zobaczyła męża stojącego na schodach. Schudł. Miał nieprzystrzyżoną brodę. Spod szlafroka wystawały mu chude nogi.

– Amithi? – zdziwił się.

Sięgnęła do klamki.

– Proszę, zaczekaj. – Naveen zszedł na dół i położył jej dłoń na ramieniu. Na jego

twarzy malowała się nadzieja.

W pierwszej chwili Amithi zrobiło się go żal, ale wściekłość szybko zastąpiła współczucie. Straciła jego rękę.

– Przyszłam tylko po paszport – wyjaśniła. – Miałam nadzieję, że będziesz w pracy.

– Wiem od Jayany, że w przyszłym miesiącu jedziecie do Indii – powiedział.

– Odbiera od ciebie telefony?

Amithi sądziła, że Jayana nadal nie utrzymuje kontaktów z ojcem. Miała mieszane uczucia. Z jednej strony wdzięczna była córce za lojalność, ale z drugiej strony pragnęła, żeby stosunki między nimi były poprawne. Chociaż Jayana była dorosła i bardzo niezależna, Amithi nie chciała, by kiedyś żałowała, że oddaliła się od ojca.

– Nie – westchnął Naveen. – Przypadkiem spotkałem ją w kanapkarni w pobliżu kampusu.

– Musisz wiedzieć, że nigdy nie mówiłam Jayanie, żeby cię ignorowała – zapewniła go Amithi.

– Nie, naturalnie, że nie. Wiem, że byś tego nie zrobiła.

Wprawdzie Amithi dostrzegała cierpienie w oczach Naveena, ale wiedziała, że sam jest sobie winien. Ona też żyła w wiecznym lęku przed tym, by Jayana się od niej nie odsunęła, więc tym bardziej ceniła sobie ich obecną bliskość.

– Pamiętasz, jak ostatni raz pojechaliliśmy razem do Indii, gdy Jayana była nastolatką? – spytał Naveen. – Narzekała, że musi lecieć tyle godzin, ale pod koniec pobytu nie chciała wracać.

Amithi pamiętała, zła, że wspomnienie tamtego wyjazdu – jak wszystkie wspomnienia związane z rodziną – było teraz zbrukane zdradą Naveena.

Zapadło milczenie gęste od uczuć, które żywili do siebie przez całe życie.

W końcu Naveen powiedział:

– Chcę, żebyś wiedziała, że planuję wyjazd do Indii w tym samym terminie, co ty i Jayana. Żeby odwiedzić swoją rodzinę.

Amithi zacisnęła dłonie na paszporcie, aż zgięła okładki.

– To mój wyjazd, Naveenie – odparła z irytacją. – Przez te wszystkie lata rzadko prosiłam o coś dla siebie.

– Wiem. Wiem. – Naveen podniósł ręce w górę. – I przysięgam, że nie mam zamiaru ci przeszkadzać podczas wspólnej podróży z Jayaną. Zatrzymam się w domu swojej siostry. Przysięgam, że niczego od ciebie nie oczekuję. Po prostu chcę być blisko ciebie. – Zatoczył ręką koło. – Bez ciebie tak tu pusto, *jaanu*.

– *Jaanu*. – Wstrzymała oddech, słysząc hinduskie słowo, oznaczające dosłownie „moje życie”.

Amithi wypuściła powietrze z płuc. Nie wierzyła, że Naveen niczego od niej nie oczekuje. Czy jest gdzieś mąż, który niczego nie oczekuje od swojej żony?

– Skoro niczego ode mnie nie oczekujesz, to czemu nie pojedziesz do Indii w innym terminie, po naszym powrocie? – spytała.

Spojrzenie Naveena zdradziło go wcześniej, nim przyznał:

– Chyba miałem nadzieję, że tam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy, przypomnimy sobie, jak było kiedyś między nami. Nadal pamiętam, jak wyglądałaś, gdy ujrzałem cię w domu twoich rodziców. Denerwowałem się, byłem spocony, a ty byłaś taka piękna w swoim niebieskim sari. I taka opanowana. Zawsze byłaś opanowana, Amithi. Kiedy sobie pomyślę, jak bardzo cię skrzywdziłem, jaki byłem głupi... – Głos mu zadrżał, odwrócił wzrok.

Słyszając, z jaką tęsknotą wspomina szczęśliwsze czasy, Amithi aż się zagotowała z gniewu. Jak on śmie tęsknić za czymś, co sam zniszczył? Cóż za egoizm uważać się nad sobą, kiedy tak głęboko ją zranił! Bałagan w domu i jego nieogolona twarz świadczyły, że zupełnie nie umiał się pozbierać. Ale mógł tego wszystkiego uniknąć, gdyby się zastanowił, jak jego zachowanie wpłynie na ich związek.

– Tamte czasy już minęły, Naveenie – powiedziała.

– Tak mi przykro, Amithi. Masz prawo być na mnie zła. Zrozumiem, jeśli nie zechcesz się ze mną widzieć podczas pobytu w Indiach. Ale gdybyś spotkała się ze mną chociaż raz na filiżankę herbaty, cały ten wyjazd byłby dla mnie o wiele cenniejszy.

Amithi westchnęła.

– Jak długo tam będziesz?

– Dwa tygodnie. Tylko na tyle mogę się wyrwać z pracy. A ty? Kiedy wracasz?

– Jeszcze nie wiem. Po powrocie spędzę trochę czasu w Nowym Jorku. Zapisalam się na zajęcia na FIT.

– FIT? – Naveen zrobił sceptyczną minę. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co to takiego?

– Fashion Institute of Technology – wyjaśniła, nie oczekując, że Naveen to zrozumie. – Prowadzą dostępne dla wszystkich kursy, które bardzo mnie interesują. Jeden, dotyczący projektowania i robienia wykrojów, pomoże mi w mojej pracy jako krawcowej.

– To tłumaczy wyciągi z karty kredytowej.

Amithi przybrała pozycję obronną.

– Zajęcia są dość drogie, ale mogę je wpisać w koszty działalności, kiedy moja pracownia krawiecka zacznie przynosić zyski.

– Nie przejmuję się wysokością opłat za kurs – zapewnił ją Naveen. – Ale co to za pomysł z tym szyciem? Nie wiedziałem, że pracujesz.

– Nie wiedziałeś, że interesowałam się czymkolwiek, co nie miało związku z tobą – dodała Amithi.

Naveen był nie mniej zaskoczony, słyszając te słowa, niż Amithi ich

wypowiedzeniem. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z mężem tak szczerze.

– Zawsze wiedziałem, że lubisz szyć – powiedział. – I wiem, że zanim się pobraliśmy, projektowałaś ubiory. Wspomniałaś o tym podczas naszego pierwszego spotkania.

– Pamiętasz? – zdziwiła się Amithi.

– Ze wszystkimi szczegółami pamiętam dzień, kiedy się poznaliśmy. – Naveen wsadził ręce do kieszeni. – Nie wiedziałem, że chciałaś ukończyć taki kurs, a szkoda. Zastanowilibyśmy się, co zrobić, żeby to było możliwe.

– Tu nie chodzi o kurs, Naveenie – tłumaczyła Amithi, coraz bardziej sfrustrowana. – Tylko o to, że mnie zdradziłeś i okłamałeś.

Naveen wbił wzrok w podłogę.

– Wiem. I bardzo cię przepraszam, Amithi. Pragnę, żeby wszystko między nami było jak kiedyś.

– To niemożliwe. Nasze życie okazało się bajką, fikcją. I za późno, by je naprawić.

– Cóż, w takim razie może uda nam się napisać je od nowa – powiedział Naveen niepewnym tonem. – A ja będę dla ciebie lepszym mężem.

– Może.

– W takim razie wypij ze mną filiżankę herbaty, kiedy będziemy w Indiach. Proszę. Obiecuję, że o nic więcej cię nie poproszę. Spotkalibyśmy się w tej małej kawiarni na Starym Mieście, którą tak lubisz.

– Nie – oświadczyła zdecydowanym tonem.

Opuściła go cała nadzieja.

– Przyjdę do domu twojej siostry, a ty przygotujesz śniadanie dla mnie i Jayany – zakomunikowała mu. – Nic więcej. Tylko śniadanie.

W pierwszej chwili Naveen był zaskoczony, ale potem uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Tak – zgodził się żarliwie. – Przygotuję te faszzerowane chlebki, które tak lubisz... *Aloo paratha*. I mango. Te małe, słodkie, prosto z targu. Zobaczysz. To będzie najlepsze śniadanie w twoim życiu.

Amithi znów położyła rękę na klamce. Otworzyła drzwi i wyszła na słońce.

ROZDZIAŁ  
..... 28 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Broszka*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *Lata sześćdziesiąte*

STAN: *Dość dobry*

OPIS: *Rozgwiazda ze sztucznego złota, wysadzana strasami. Lekko starta na brzegach*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Sprzedaż garażowa*

## VIOLET

Specjalista od tatuażu uważnie przyjrzał się broszce, którą podała mu Violet. Złoto i niebieskie kamienie błyszcząły w świetle neonu wiszącego nad jego salonem.

– No i jak myślisz, Gary? – spytała Violet. – Dasz radę zrobić coś takiego?

– Jasne. – Obrócił broszkę w swoich wielkich dłoniach. – Nigdy wcześniej nie robiłem rozgwiazdy, ale tatuowałem inne żyjątka morskie. Przede wszystkim delfiny. Przez pewien czas były naprawdę bardzo modne. No i koralowce, muszle... Pewna dama kazała sobie nawet wytatuować tę małą rybkę z filmu. Jak jej było na imię? Nemo?

Violet się roześmiała.

– Dobry Boże. Nie chcę, żeby ten tatuaż przypominał postać z kreskówki.

Gary uniósł rękę.

– Daję ludziom to, czego chcą. Zresztą wiem, że to nie byłoby w twoim stylu. – Podeszedł do Violet, żeby lepiej się przyjrzeć jej ramieniu. – Feniks, którego ci wytatuowałem kilka lat temu, wciąż dobrze się prezentuje.

– Dlatego znów przyszedłam do ciebie. Ufam ci.

– Muszę zrobić szkic. Daj mi kilka minut.

– Jasne.

Gary przeszedł do swojego biurka, a Violet czekała na obitej skajem kanapie, obserwując pieszych na Williamson Street. Jakaś para z identycznymi kolczykami w ustach przeszła, trzymając się za ręce. Na ganku kawiarni po drugiej stronie ulicy stały w równych szeregach skrzynki z warzywami. Violet przyglądała się kobiecie wkładającej zawartość jednej ze skrzynek do płóciennej torby. Domyśliła się, że był to punkt zaopatrywania się w warzywa z jednej z kilkunastu lokalnych spółdzielni rolniczych, co tydzień dostarczających towar swoim członkom.

Gary wstał i pokazał jej szkic sporządzony na kartce papieru.

– Czy chodziło ci o coś takiego?

– Jest śliczna – zachwycała się, dotykając jednego z długich, delikatnych ramion rozgwiązdy na rysunku.

– W takim razie siadaj.

Violet usiadła w odchylanym fotelu i podciągnęła rękaw.

– Znów na bicepsie? – spytał Gary.

Violet skinęła głową.

– Ale tym razem na drugim.

– Wiesz, podziwiam cię. Wiele dziewcząt chce mieć tatuaż tam, gdzie nikt go nie widzi, na przykład na biodrze lub na plecach.

– No cóż, jestem inna.

Violet miała wrażenie, że dostrzegła na jego ustach lekki uśmiech, kiedy przemył jej skórę alkoholem, a potem przytknął szablon do ramienia. Gdy go zabrał, na skórze pozostał niebieski zarys przysłego tatuażu.

– Dlaczego akurat rozgwiązda? – spytał. – Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz, ale lubię słuchać opowieści klientów, jeśli nie mają nic przeciwko temu.

– Ja też. Codziennie wysłuchuję opowieści swoich klientek. Wybrałam rozgwiązdę, ponieważ rozgwiązdy potrafią się regenerować, nawet jeśli stracą ramię. A ja ostatnio poniosłam sporo strat.

Pomyślała o Samie, o tym, jak bardzo za nim tęskniła, jak bardzo chciała znów znaleźć się blisko niego, w jego silnych ramionach. Pomyślała o babci Lou i o Betsy, która stała się jej bliska niczym druga babcia. Pomyślała również o swoim dawnym życiu w Bent Creek i o tym, jak chcąc się odciąć od Jeda, musiała również odciąć się od rodziców i od swojego dzieciństwa.

– Regeneracja. – Violet się roześmiała. – To brzmi zwariowanie, prawda?

– Nie, skądże. Słyszałem bardziej zwariowane pomysły.

Gary przystąpił do pracy, przysuwając do siebie budzące lęk ustrojstwo z igłą i rurkami. Violet patrzyła, starając się zachować spokój. Ostatecznie dlatego zdecydowała się na tatuaż, żeby udowodnić sobie, że cierpienie może przynieść także coś dobrego.

Gary wtarł maść w biceps Violet i nachylił się do niej z igłą.

– Gotowa?

– Aha.

– Pamiętaj, żeby oddychać. – Gary włączył urządzenie.

Violet poczuła ukłucie. Zaboląło, kiedy igła dotknęła skóry. Żeby nie myśleć dłużej o tym, co straciła, skupiła się na swoim nowym domu, nowym początku. Może będzie to wymagało trochę czasu, ale postanowiła w pełni się odrodzić.

– Wytrzymasz? – spytał.

Skinęła głową, zaciskając wolną dłoń w pięść.



Bzyczenie ustało, Gary odsunął igłę.

– Jesteś bardzo dzielna. Pierwsza linia gotowa, a to zawsze najtrudniejsze.

Violet się uśmiechnęła.

– Dobrze wiedzieć, że najgorsze za nami.

\*

Następnego ranka ramię Violet wciąż było zaczerwienione. Posmarowała je maścią i poszukała w szafie czegoś, co zakryłoby świeży tatuaż, nie podrażniając skóry. Drgnęła, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Było dopiero wpół do dziewiątej – do otwarcia sklepu pozostało półtorej godziny.

Włożyła miękką bawełnianą sukienkę i zbiegła po schodach, żeby otworzyć drzwi. Zobaczyła przed sobą mężczyznę w garniturze. W ręku ścisnął teczkę. Violet zabiło mocniej serce. Przypomniała sobie, jak kilka miesięcy temu przyszedł do niej doręczyciel urzędowych zawiadomień.

– Słucham pana? – spytała. Nie zaprosiła go do środka.

Mężczyzna postawił teczkę na zniszczonych deskach ganku.

– Czy pani Violet Turner?

– Tak. O co chodzi? – spytała, starając się nie zdradzać zdenerwowania.

– Moja kancelaria prawnicza zajmuje się spadkiem Elizabeth Barrett – powiedział. – Polecono mi skontaktować się ze wszystkimi zainteresowanymi stronami.

Violet wypuściła powietrze z płuc.

– Och. Cóż, nie jestem zainteresowaną stroną. Była moją przyjaciółką, ale nie jestem członkiem rodziny, spadkobierczynią ani nic z tych rzeczy.

– Zgodnie z testamentem pani Barrett, otrzyma pani część jej majątku.

Violet zatkało.

– Słucham?

– Pani Barrett wymieniła panią jako swoją spadkobierczynię. Prawdę mówiąc, jest pani jedyną osobą fizyczną wymienioną w jej testamencie. Poza panią dziedziczą jedynie zarząd powierniczy i różne organizacje dobroczynne.

– Chyba pan żartuje. To znaczy, nie chodzi mi o organizacje dobroczynne, ale o mnie.

Mężczyzna otworzył teczkę.

– Oto moja wizytówka i kopia testamentu, żeby sama mogła się pani przekonać. Betsy poleciła, żebym powiadomił panią osobiście, a nie telefonicznie czy listownie.

Violet drżącą ręką sięgnęła po dokument.

– Powinna pani wiedzieć, że w pierwszej kolejności musimy utworzyć fundusz powierniczy Centrum Sztuki Barrett. I oczywiście zapłacić rachunki za leczenie pani Barrett. W tej chwili to jest najważniejsze. Gdy tylko się z tym uporamy, skontaktujemy się z panią w sprawie przekazania przedmiotów osobistych, które pani

Barrett zapisała pani w testamencie. Prawdopodobnie nastąpi to jeszcze w tym miesiącu.

– Rozumiem – szepnęła Violet oszołomiona.

– Musimy również wycenić wszystko dla celów podatkowych. Kiedy to zrobimy, otrzyma pani spis wszystkich przedmiotów. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Nie znam się na modzie, ale przypuszczam, że niektóre stroje mają znaczną wartość.

Violet przypomniała sobie śliczne kostiumy i sukienki swojej przyjaciółki, dziesiątki par markowych okularów i butów. Zrobiło jej się smutno, że już nigdy nie zobaczy w nich Betsy.

Po wyjściu prawnika Violet zajrzała do dokumentów, które zostawił, i przeszła do strony z podpisami. Ręce wciąż jej drżały ze zdenerwowania. Testament sporządzono i podpisano ponad rok temu – zanim Violet grożono eksmisją, nawet zanim dowiedziała się o chorobie przyjaciółki. Z jakiegoś powodu Violet to ucieszyło. Betsy wiedziała o jej kłopotach z właścicielem budynku i Violet miała nadzieję, że przyjaciółka nie uczyniła jej spadkobierczynią tylko z tego powodu. Podobnie jak Betsy, Violet nie lubiła, gdy ktoś się nad nią litował. Świadomość, że Betsy uwzględniła Violet w swoim testamencie wiedziona miłością, a nie miłosierdziem, sprawiła, że jej dar nabrał zupełnie innego charakteru.

Do testamentu dołączono dokument zatytułowany *Załącznik dotyczący rozdysonowania majątku osobistego*. Prawnik wyjaśnił, że w tej części testamentu Betsy szczegółowo informuje, co ma komu przysiąc. Właśnie tam Violet miała odszukać swoje nazwisko. Załącznik liczył kilka stron, wyszczególniał skarby Betsy i kto je otrzyma po jej śmierci. Kolekcja sreber miała trafić do stanowego towarzystwa historycznego. Dzieła sztuki zinwentaryzowano, część z nich przekazano funduszowi powierniczemu, który będzie kierował Centrum Sztuki Barrett, a część do muzeum sztuki współczesnej. Przy niektórych pozycjach widniały odręczne uwagi w rodzaju „do stałej kolekcji” albo „wykorzystać w sposób najbardziej odpowiadający potrzebom”.

Na ostatniej stronie wymieniano futra Betsy, kolekcję torebek oraz „całą zawartość szaf w sypialni”. Obok tych pozycji Violet przeczytała: „dla Violet Turner, by mogła się nimi cieszyć osobiście, darować albo sprzedać według własnego uznania”.

Violet z ciężkim sercem uzmysłowiła sobie, że w końcu zobaczy całą zawartość szaf Betsy – co ją zawsze intrygowało – ale żałowała, że jej przyjaciółka nie będzie jej mogła opowiedzieć ciekawych historii związanych z każdym ze strojów.

\*

Tamtego popołudnia do sklepu przysłała April, taszcząc śpiącą Kate, którą przywiozła w specjalnym foteliku samochodowym. Postawiła fotelik na ladzie i obie z Violet podziwiały niemowlę.

– Witaj, mamusko! – Violet przyjrzała się April w spódnicy farbowanej techniką ikat i licznych naszyjnikach z drewnianych koralików, które kupiła w jej sklepie. – Nie wyglądasz na kobietę, która dopiero co urodziła dziecko. Ale co ty tu w ogóle robisz? Powiedziałam ci, że wszystko mam pod kontrolą. Myślałam, że zamierzasz sobie wziąć trochę wolnego.

– Och, nie martw się, nie przyszedłam pracować – uspokoiła ją April. – Po prostu musiałam się wyrwać na chwilę. Siedzenie całymi dniami w domu przypomina mi czas, kiedy musiałam leżeć. A więc co mnie ominęło?

Violet podsunęła jej kopię testamentu.

– Co to takiego? – April wzięła dokument. – Coś o „majątku Barrett”?

Violet uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Właśnie się dowiedziałam, że Betsy, ta podstępna lisica, zostawiła mi wszystko, co ma w szafach.

– Poważnie? To niesamowite! – April aż zapiszczała.

Malutka Kate otworzyła oczka, słysząc głos matki, ziewnęła i znów je zamknęła.

– A więc – ciągnęła Violet – ponieważ nie grozi mi eksmisja i wkrótce zostanę właścicielką kilku bardzo cennych przedmiotów, zdaje się, że nie będzie już u mnie tak krucho z pieniędzmi jak w przeszłości. I zastanawiam się, jak zorganizować sklep.

– Naprawdę? Czy rozważyłaś mój pomysł sprzedaży kostiumów?

– Tak, i uważam, że należy to zrobić, ale mam na myśli większe zmiany.

– Na przykład?

– No cóż, kiedy cię nie było, zarówno przed urodzeniem Kate, jak i podczas kilku ostatnich dni, uświadomiłam sobie, ile wniosłaś do tego sklepu.

– Dziękuję – powiedziała April. – To dla mnie wiele znaczy.

– I postanowiłam, że w związku z tym, że wkrótce skończysz staż, zaproponuję ci zatrudnienie ze stałym wynagrodzeniem, jeśli uznasz, że znajdziesz czas, by pracować kilka godzin w tygodniu, kiedy już będziesz znała rozkład zajęć na uczelni, kiedy będziesz wiedziała, ile czasu musisz opiekować się Kate i w ogóle. – Violet się uśmiechnęła. – Ale pod warunkiem, że tego chcesz. Nie naciskam.

– Naturalnie, że chcę – zapewniła ją April. – Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że będzie to możliwe.

– Wiesz, że chociaż Kocham swój sklep, Kocham też inne rzeczy – ciągnęła Violet.

– A dopóki sama go prowadzę, rzadko mam czas na cokolwiek innego. Kiedy patrzyłam na ciebie i Kate, w pełni do mnie dotarło, że kiedyś, naturalnie nie teraz – nadal jestem zajęta urządzaniem sklepu w nowym miejscu – ale mam nadzieję, że w niezbyt odległej przyszłości, założę rodzinę. – Violet nachyliła się i dotknęła różowego policzka niemowlęcia.

– Naprawdę? Rozważasz adopcję, zapłodnienie in vitro czy coś w tym stylu? – April zakryła usta dłonią. – Przepraszam, czy to zbyt osobiste pytanie?

Violet wzruszyła ramionami.

– Może będę matką zastępczą. Nie wiem. Jeszcze nie zastanawiałam się nad szczegółami. Ale jedno wiem na pewno: chcę mieć dzieci. I nie mam pojęcia, czy wystarczy mi czasu na bycie matką i prowadzenie sklepu przez siedem dni w tygodniu. Zatem jeśli nadal jesteś zainteresowana pracą tutaj...

– Z całą pewnością jestem zainteresowana – przerwała jej April. – Podczas roku akademickiego nie będę miała zbyt wiele czasu. Obawiam się, że wybrałam sobie dość trudne przedmioty. Zapisalam się na kilka zajęć z matematyki, które zwykle są zarezerwowane dla studentów dwóch ostatnich lat.

– Nie szkodzi. Jakoś dopasujemy godziny pracy do twoich możliwości.

April roześmiała się szeroko.

– Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? – spytała. – Przyznaj, że początkowo byłaś przeciwna pracy z kimkolwiek. Jestem niemal pewna, że Betsy musiała to na tobie wymóc.

– Masz rację. Ale wiedziała, co robi.

# ROZDZIAŁ

## ..... 29 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Kostium*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1995

STAN: *Doskonały*

OPIS: *Cyrkowy kostium linoskoczka. Atłasowy trykot naszywany czerwonymi i złotymi cekinami*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Lane Lawton. Ze spektaklu granego w teatrze Off-Broadway w Nowym Jorku*

## APRIL

W październikowy wtorek April wieszała sukienki koktajlowe, mając nadzieję, że przyciągną uwagę studentek robiących zakupy na wyjazd do domu, kiedy zadzwonił telefon. Podeszła do lady i podniosła słuchawkę.

– To ja, Violet – rozległ się zdyszany głos w słuchawce. – Czy są jacyś klienci w sklepie?

– Nie. Podczas przerwy obiadowej był duży ruch, ale teraz się uspokoiło – powiedziała April. – Amithi jest na górze, zajęta jakimiś przeróbkami.

– Dobrze. Czy możesz zamknąć sklep na godzinkę? Musisz natychmiast spotkać się ze mną na South Hamilton dwieście piętnaście. Trafiłam na niesamowitą okazję, boję się, że jeśli będę zwlekała, ktoś mnie ubiegnie.

April zapisała adres.

– Jasne, przyjdę, ale wcale nie musimy zamykać sklepu. Zaraz poproszę Amithi, żeby pod moją nieobecność zeszła na dół.

– Nie, weź ją ze sobą. Przyda mi się również jej pomoc.

– A jeśli znów pojawią się klienci? – spytała April. – Wkrótce Halloween, mogą przyjść amatorzy kostiumów. Przypominam ci, że to był mój pomysł. Odkąd ściągnęłyśmy je do sklepu, idą jak woda. Och, pamiętasz ten prześliczny strój cyrkowy Lane? Ktoś wczoraj poprosił, żeby go dla niego zatrzymać, przyjdzie po niego dziś po południu.

– No dobrze, to zostaw na drzwiach kartkę, że zaraz wracasz, i zamknij sklep. Przyrzekam, że to nie potrwa długo.

April poszła na werandę na piętrze, gdzie Amithi siedziała pochylona nad maszyną do szycia, mając przed sobą kupon błyszczącej czarnej tkaniny.

– Właśnie zadzwoniła Violet! – April starała się przekrzyczeć szum maszyny do

szycia. – Chce, żebyśmy się z nią spotkały.

Amithi zatrzymała maszynę.

– Teraz? Muszę zwęzić sukienkę przed jutrzejszym wylotem do Indii. Obiecałam klientce, że to zrobię.

– Violet nalegała, żeby natychmiast się z nią spotkać.

– Dlaczego?

– Przekonałam się, że czasem lepiej nie zadawać Violet pytań – zaśmiała się April, zamykając sklep na klucz.

Autobusem dojechały na South Hamilton Street, w okolicach Kapitolu. April raz jeszcze przeczytała zapisany na kartce adres i starała się odnaleźć budynek z takim numerem. Widziała jedynie gmach sądu, bank, garaż wielopoziomowy i kilka rozsypujących się czynszówek z billboardami dotyczącymi nadchodzących wyborów. Gdzie Violet znalazła tu jakiś skarb? Może wypatrzyła coś do swojego sklepu na Craigslist? Jakiś bezcenny okaz wysokiego krawiectwa przechowywany w piwnicy jednego ze starych domów?

Razem z Amithi przeszły tam i z powrotem, patrząc na numery: 210, 212... Ale numeru 215 nie było. April zatrzymała w końcu jakiegoś mężczyznę z teczką, wychodzącego z gmachu sądu.

– Przepraszam, czy może orientuje się pan, gdzie jest South Hamilton numer dwieście piętnaście? – zapytała.

Wskazał kciukiem okazały budynek za sobą.

– Pod tym adresem mieści się gmach sądu.

April i Amithi, zaskoczone, wspięły się po schodach i weszły do środka. Ochroniarz kazał im zdjąć płaszcze i oddać torebki, po czym sprawdził je wykrywaczem metali. April wpadła w panikę, czy przypadkiem Violet nie wezwano do sądu w związku z czymś, co dotyczyło wynajmowania poprzedniego sklepu. Sądziła, że Violet z Karen wszystko załatwiły, zanim przeniosła butik do domu jej mamy, ale może przeoczyły jakiś drobiazg.

– Przepraszam – zwróciła się Amithi do strażnika. – Czy widział pan może wchodzącą tędy kobietę z krótkimi czarnymi włosami?

Strażnik podrapał się w szpakowatą brodę.

– Czy miała na sobie suknię ślubną?

Amithi wzruszyła ramionami, a April powiedziała:

– Nie sądzę.

– Prawie wszystkie kobiety, które tędy wchodziły w ciągu ostatniej godziny, wyglądały jak typowe prawniczki, w kostiumach, z teczką. Jedyna kobieta, która nie wyglądała na prawniczkę, była w sukni ślubnej.

– Hm – mruknęła April. – Cóż, dziękujemy. W takim razie zaczekamy na naszą przyjaciółkę, skoro podała nam ten adres.

– Aha, ta kobieta w ślubnej sukni miała tatuaże. Ptaka i jeszcze jeden...  
Rozgwiadzy?

W tym momencie April dostrzegła za plecami strażnika wychodzącą z windy Violet. Miała na sobie suknię z lat pięćdziesiątych, koloru kości słoniowej, z szerokim dołem, tę samą, którą wiosną April kupiła u niej na swój ślub, a potem zwróciła.

Amithi aż zatkało.

April podbiegła do Violet.

– Czy to to, co myślę?

Violet uściskała przyjaciółki, starając się nie zniszczyć bukietu czerwonych jaskrów, który trzymała w dłoni.

– Bierzemy z Samem ślub i potrzebujemy dwóch świadków. Chodźcie! – Violet rzuciła im promienny uśmiech, a potem zaprosiła gestem ręki do windy.

– Naturalnie, że będziemy twoimi świadkami – powiedziała Amithi. – Cudownie, że się pobieracie.

Lecz April wcale nie była tego taka pewna. Violet i Sam zerwali ze sobą dwa miesiące temu. Pytania cisnęły się jej na usta, ale nie jechały windą same – w kabinie byli też poważni, siwowłosi ludzie pod krawatami – więc milczała jak wszyscy.

Wysiadły na trzecim piętrze i poszły za Violet do sali, gdzie Sam chodził tam i z powrotem niczym adwokat obrony szykujący się do wygłoszenia mowy końcowej. Na widok Violet twarz mu się rozpromieniła. Czym prędzej zapiął marynarkę w kurzą stopkę.

April wciąż była zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć, więc zatrzymała się koło drzwi.

Amithi delikatnie ujęła ją pod ramię.

– Chyba powinniśmy podejść bliżej.

Urzędniczka w okularach uniosła wzrok znad komputera i spytała:

– Czy mam powiedzieć sędziemu, że jesteśmy gotowi?

– Tak – jednocześnie odpowiedzieli Violet i Sam.

# ROZDZIAŁ

## ..... 30 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Suknia ślubna*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: 1952

STAN: *Dobry, niewielkie przebarwienia podszewki*

OPIS: *Kolor – kość słoniowa, długość do pół łydki, dekolt typu łódka, krótki kimonowy rękaw. Z jedwabnej tafty, na krynolinie*

ŹRÓDŁO ZAKUPU: *Suknia zakupiona od córki panny młodej. Następnie kupiona, a potem zwrócona przez April Morgan. Violet Turner włożyła ją na swój ślub z Samem Lewisem*

## VIOLET

W październikową niedzielę Violet przycinała peonie posadzone przez matkę April z boku domu, kiedy usłyszała, jak jakiś samochód zatrzymuje się na podjeździe. Ściągnęła rękawice ogrodnicze i wytarła dłonie w starą rozpinaną koszulę dobrą do prac w ogrodzie. Zanim została właścicielką domu, nie przypuszczała, że polubi wyrywanie chwastów z grządek i koszenie malutkiego trawnika. Potem okazało się, że przebywanie na świeżym powietrzu i dbanie o rośliny działają na nią uspokajająco.

Przeszła do frontowej części domu, gdzie Miles obudził się z drzemki i teraz stał na ganku, szczerząc się na białe subaru na podjeździe.

Samochód Sama.

Wysiadł i dwoma susami pokonał mały trawnik odgradzający go od Violet. Przez chwilę miał taką minę, jakby chciał porwać ją w objęcia, a ona niczego nie pragnęła bardziej. Lecz sparaliżowały ją ostrożność i konsternacja. Sam musiał to wyczuć, bo nie podszedł bliżej.

Odchrząknął.

– Sklep prezentuje się świetnie – powiedział. – Jakby tu właśnie znalazł swoje miejsce.

– Dziękuję.

– Jesteś zajęta?

– Nie, trochę pracuję w ogrodzie.

Violet miała ochotę zawołać: Skończ wreszcie z tą wymianą grzeczności!

Był jeszcze przystojniejszy, niż pamiętała. Zapuścił brodę i Violet musiała siłą powstrzymać się przed wyciągnięciem rąk, dotknięciem jego policzków i przechyleniem głowy tak, by mógł ją pocałować.



– Wszystko przemyślałem – oświadczył.

– Ja też.

– Jeśli wyglądam trochę gorzej, to dlatego, że przez cały weekend biwakowałem nad Devil's Lake.

– Nie szkodzi – powiedziała Violet. – Ja też jestem uwalana ziemią.

– Ślicznie wyglądasz. O, czy widzę nowy tatuaż?

Violet skinęła głową.

Sam wyciągnął rękę i musnął palcem rozgwiązdę na ramieniu Violet, wywołując w niej falę tęsknoty.

– Do jakich wniosków doszedłeś w wyniku tych przemyśleń?

Sam przesunął palcem wzdłuż jej ręki i ujął dłoń.

– Spędziłem weekend, wędrując po skarpach i wąwozach. Gdziekolwiek się ruszyłem, widziałem rodziny. No wiesz, małe dziewczynki z wielkimi oczami taszczące lalki i ciekawskich chłopców zbierających muszelki na brzegu jeziora. Zauważyłem, że rodzice najczęściej zostają w tyle i rozmawiają ze sobą.

Violet skinęła głową. Potrafiła sobie wyobrazić rodziców idących pod drzewami z pomarańczowymi czy szkarłatnymi liśćmi i dzieci w zmechaconych bluzach, z otartymi kolanami. Bała się usłyszeć to, co Sam chciał jej powiedzieć. Bała się mieć nadzieję.

– Po raz pierwszy w życiu wyobraziłem sobie siebie w roli rodzica. I nie poczułem lęku – ciągnął Sam. – Może dlatego, że wyobraziłem sobie również ciebie, uganiającą się za dzieckiem w jednym ze swoich niepraktycznych strojów.

Violet roześmiała się, czując nagle niczym niezmaconą radość.

– Mam na sobie skautowską koszulę. Czy znasz coś praktyczniejszego od tego?

– Zgodna, ale spójrz na swoje buty. – Wskazał sznurowane trzewiki na wysokim obcasie.

– No dobrze – przyznała mu rację. – Ale zapewniam cię, że łatwiej mi się w nich chodzi niż w tenisówkach.

– Mówiąc serio – powiedział – chcę być z tobą, cokolwiek to oznacza. Cokolwiek będę z tobą robił, będzie to jak przygoda. Naturalnie zdaję sobie sprawę z tego, że nie ma gwarancji... No wiesz, że będziemy mieli dzieci. I że stworzona przez nas rodzina będzie przypominała te, które widziałem podczas weekendu.

– Jasne, że nie. – Violet nie przestawała się uśmiechać. – Nasza będzie fajniejsza.

Sam ścisnął jej dłoń i wyjął z kieszeni džinsów niebieskie atlasowe pudełeczko. Otworzył je. W środku był pierścionek – kwadratowy brylant osadzony w srebrze, wykończony w stylu art déco. Nawet nie musiał pytać.

Gdy tylko Violet zobaczyła pierścionek, opuściły ją obawy związane z powtórny zamążpójściem i utratą niezależności. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego twarzy tak, jak chciała to zrobić już wcześniej, i powiedziała:

– Zróbmy to.

\*

Teraz na schodach przed gmachem sądu pozowali, czekając, aż April pstryknie im zdjęcie. Sam przyciągnął Violet do siebie i uniósł welon, żeby pocałować żonę. Mężczyźni i kobiety wchodzący do budynku i z niego wychodzący gapili się na nich, ale było jej to obojętne.

– Umieram z głodu – powiedział Sam, odsuwając się od Violet. – Zbyt się denerwowałem przez cały dzień, żeby cokolwiek jeść.

– Oj! – Violet musnęła jego policzek. – Obleciał cię strach, kochanie?

– Nie, bałem się, że ty stchórzysz.

Violet wskazała swoje kremowe czółenka bez palców, z małymi niebieskimi kokardkami.

– Może jest październik i może to nie najbardziej praktyczne buty na tę porę roku, ale nie narzekam. Więc chodźmy coś zjeść. Kto ma ochotę na pizzę?

– Nie chcecie, żebym wróciła do sklepu? – spytała April.

– Och, nie. Jako twoja szefowa polecam ci iść z nami. Sklep może być zamknięty przez jedno popołudnie. Zadzwoń do Charliego i zaproś go w naszym imieniu. I niech koniecznie weźmie wasze słodkie bobo.

– Ja mogę posiedzieć w sklepie, jeśli chcesz – zaproponowała Amithi. – Muszę skończyć zwężać sukienkę, nim jutro wyjadę.

– Nie, idziesz z nami – zaprotestowała Violet. – Przynajmniej na krótko.

– Czy ktoś mi wyjaśni, co się dzieje poza tym, że wzięliście ślub? – April wydawała się lekko poirytowana. – Myślałam, że zerwaliście ze sobą.

– Wsiadaj do samochodu, opowiem ci wszystko w drodze do restauracji – obiecała Violet.

Cała czwórka wsiadła do subaru Sama.

– No dobrze, możesz mi zdradzić, jak do tego doszło? – dopytywała się April. – Kiedy postanowiliście się pobrać?

Sam spojrzał na nią w lusterku wstecznym.

– Jakiś tydzień temu.

– Tydzień? – April lekko trzepnęła Violet w ramię. – Prawie codziennie widywałyśmy się w sklepie. Nie pisnęłaś jednym słówkiem. Nawet nie wiedziałam, że znów jesteście razem. No i proszę, dziś ślub. Nie tracicie czasu.

Sam zatrzymał się na światłach i wymienił się spojrzeniami z Violet.

– Już straciłem dość czasu, pozwalając, żeby moje głupie obawy powstrzymały mnie przed tym krokiem – powiedział.

– Ja też – zawtórowała mu Violet. – Kiedy więc Sam oświadczył mi, że zmienił zdanie w bardzo ważnej dla mnie kwestii, nie mieliśmy powodu, żeby zwlekać.

– Ale to było ponad tydzień temu – mówił dalej Sam. – Okazało się, że trzeba

czekać sześć dni od daty złożenia wniosku o ślub. Dziś był pierwszy wolny termin, więc się zdecydowaliśmy.

– Jak się oświadczyłeś? – spytała Amithi.

Sam zwrócił się do Violet.

– Powiemy?

Violet się roześmiała.

– Chyba można uznać, że oświadczyliśmy się sobie nawzajem. Nie dałam Samowi szansy, by mi się oświadczył, bo natychmiast wykrzyknęłam „tak”.

– Przecież byliście parą zaledwie od lipca, prawda? To tylko kilka miesięcy – zastanawiała się April. – A nawet mniej, bo w tym czasie zdążyliście jeszcze zerwać ze sobą.

– Nie zawsze trzeba się znać długo – wtrąciła Amithi. – W Indiach masa ludzi pobiera się po bardzo krótkim okresie znajomości. Uważam, że to cudowne, że się odnaleźliście. Czas nie ma tu znaczenia.

Kątem oka Violet zobaczyła, jak Amithi pociąga nosem i ociera policzki skrajem niebieskiej jedwabnej chusty – tej w pawie, którą prawie sprzedała, ale potem się rozmyśliła. Violet cieszyła się, że Amithi, zraniona przez niewierność męża, nadal potrafi się wzruszyć, widząc prawdziwą miłość.

Przez resztę drogi Violet dzwoniła do różnych osób. Zostawiła wiadomość Karen i Tomowi oraz innym znajomym. Prosiła wszystkich, żeby przyszli do Greenbush Bar, pizzerii, gdzie razem z Samem jedli wiele razy, nie wyłączając ostatniej niedzieli, kiedy się zaręczyli.

Sam spojrział na Violet siedzącą na miejscu dla pasażera.

– Zaszokujesz tą wiadomością mnóstwo osób.

– To dobrze. – Violet się zaśmiała. – Przez tych kilka ostatnich miesięcy przekonałam się, że w życiu może nas spotkać wiele przykrych niespodzianek. Miło jest od czasu do czasu zaskoczyć ludzi miłą niespodzianką.

– Proponuję, żeby panie wysiadły, a ja zaparkuję – powiedział Sam.

Zatrzymał samochód przed niewielkim budynkiem przy Regent Street. Tabliczka na drzwiach informowała: KLUB ROBOTNIKÓW WŁOSKICH. Fasadę z czerwonych cegieł zdobiły flagi amerykańska i włoska.

Violet pchnęła drzwi i zeszła wąskimi schodami w dół, April podążyła tuż za nią. Violet zatrzymała się i odwróciła.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że włożyłam tę suknię.

– Nic a nic. Dobrze, że komuś się przydała, skoro dla mnie okazała się nieużyteczna.

Violet wygładziła szeroki dół sukienki.

– Dziwię się, że w nią weszłam. Chyba trochę schudłam przez te wszystkie zmartwienia i przygotowania do pokazu. Mówiłam ci, że ludzie już do mnie dzwonią

i pytają, kiedy będzie następny?

– A chcesz, żeby był następny?

– Czemu nie? To dobry sposób na dodatkowy zarobek. Może tym razem przekażemy część zysku na cele dobroczynne. Chciałam to zrobić poprzednio, ale nie miałam dość pieniędzy. Pomyślałam sobie, że może zasiliłybyśmy fundusz Betsy, stworzony z myślą o artystach. No wiesz, jako podziękowanie za to, co dla mnie zrobiła.

Weszły do restauracji o niskim stropie. Violet dostrzegła przy barze Lane, rozmawiającą z Charliem, który trzymał Kate na kolanach. Niemowlę, chociaż takie malutkie, zaczęło gruchać na widok matki.

Lane zerwała się ze stołka i uściskała Violet.

– Z całą pewnością nie spodziewałam się, że dziś pójdę na przyjęcie weselne. Cóż za wspaniała niespodzianka.

– Właściwie to nie przyjęcie weselne – sprostowała Violet. – Tylko pizza i coś do picia.

Kate zaczęła się wiercić i płakać w ramionach Charliego. April wzięła ją na ręce.

– Sprawdzę, czy nie trzeba jej zmienić pieluszki.

Kiedy April wyszła, Charlie spytał:

– Gdzie pan młody?

– Parkuje samochód.

– Co ci zamówić do picia?

Violet poprosiła o kieliszek czerwonego wina, a potem spojrzała na swoją białą suknię i zmieniła decyzję. Zamówiła kieliszek prosecco. Ciemnowłosey barman, podając Violet smukły kieliszek, puścił do niej oko.

– Wszystkiego najlepszego, *bella*.

Sam podszedł do baru i czule objął Violet. Pocałowali się, a wszyscy obecni w restauracji zaczęli bić brawo. Było dopiero wpół do piątej, ale przy kilku stolikach goście już jedli kolację – w większości były to siwowłose pary i młode rodziny. Jakiś mały chłopczyk stanął na krześle, wznosił do góry piąstkę i krzyknął: „Dajcie sobie buzi jeszcze raz!”.

Violet i Sam wraz z gośćmi weselnymi zajęli miejsca wokół dużego okrągłego stołu. April wróciła z łazienki, niosąc Kate. Violet natychmiast wyciągnęła ręce, żeby wziąć od niej niemowlę. Kładąc sobie Kate na kolanach, dostrzegła spojrzenie Sama. Nie mogła sobie wyobrazić lepszego zakończenia tego dnia.

– Czy trudno było zrezygnować z hucznego wesela? – spytała Lane.

Violet pokręciła głową. Już miała huczne wesele, w Bent Creek, na które zaproszono rodzinę i przyjaciół. Tym razem wołała kameralną uroczystość.

– Właściwie nigdy nie lubiłem wystawnych przyjęć – oświadczył Sam. – Miałem nadzieję, że będę miał tyle szczęścia, by pewnego dnia spotkać kogoś, z kim

chciałbym spędzić całe życie, i kto będzie gotów męczyć się ze mną.

– Bardzo się cieszę waszym szczęściem – powiedziała Amithi. – Ale gdyby moja córka wyszła za mąż w tajemnicy przede mną, bardzo bym się na nią pogniewała.

– Zadzwoniliśmy do naszych rodziców tuż przed ceremonią – uspokoiła ją Violet.

– Wyjaśniliśmy im, że nikogo nie zaprosiliśmy na ślub, więc nie powinni czuć się pominięci. Nikogo nawet nie poinformowaliśmy... No, z wyjątkiem świadków, ale tego wymagają przepisy.

– Jak to przyjęli? – spytała Lane.

– Byli... zaskoczeni – odparł Sam. – Nasi rodzice właśnie tu jadą z Bent Creek, więc uczczą nasz ślub razem z nami.

– Moi mówili takim tonem, jakby mieli ochotę mnie zabić – dodała Violet. – Trochę im przeszło, kiedy napomknęliśmy, że jednym z powodów, dla którego tak nam się spieszyło, jest chęć posiadania dzieci. Sama perspektywa zostania dziadkami ich uspokoiła.

– Wprawdzie krótko ze sobą chodziliśmy, ale przecież znam Violet ze szkoły średniej, chociaż ona mnie nie pamiętała. – Sam poluzował czarny krawat. – Owszem, nasi rodzice pomyśleli, że zwariowaliśmy. Ale ja mam trzydzieści dziewięć lat, Violet – trzydzieści osiem. Nie jesteśmy już nastolatkami.

Lane pogroziła Samowi palcem.

– Jeśli chcesz, żeby wasze małżeństwo długo trwało, nie rozpowiadaj wszystkim wkoło, ile lat ma twoja żona.

– Och, nie przejmuję się wiekiem – zapewniła ją Violet. – Im jestem starsza, tym mi lepiej.

– Według mnie nie jest ważne, jak długo się kogoś zna – powiedziała cicho Amithi. – Ważniejsze jest zaufanie. Bez niego żadne małżeństwo nie przetrwa. – Sięgnęła do torebki i wręczyła Violet mały czerwony woreczek.

Violet zajrzała do środka i aż jej dech zaparło.

– Co to takiego? – spytała April.

Violet wyjęła z puzderka parę złotych kolczyków z błyszczącymi czerwonymi kamieniami.

Amithi się uśmiechnęła.

– Nosiałam je w torebce, bo zamierzałam je sprzedać u jubilera. Ale nie mogłam znieść myśli, że trafiłyby do kogoś obcego.

Violet zamknęła pudełeczko.

– Nie mogę ich przyjąć. Są zbyt cenne.

– Jeśli ich nie przyjmiesz, poczuję się głęboko urażona. – Amithi skrzyżowała ręce na piersi. Po chwili złagodniała. – Proszę, weź je.

Violet założyła kolczyki.

– Ślicznie w nich wyglądasz. Moja matka byłaby dumna, gdyby cię w nich

zobaczyła. Są z ojcem małżeństwem od ponad sześćdziesięciu lat. Mam nadzieję, że ciebie też czeka wiele szczęśliwych lat. – Amithi wstała zza stołu. – A teraz przykro mi, że nie mogę dłużej zostać, ale czeka na mnie praca. Obiecałam klientce, że zwęzę jej sukienkę przed wyjazdem. Nie będzie mnie dość długo.

– Życzę ci udanego wyjazdu z córką – powiedziała Violet. – Twoja pracownia krawiecka będzie na ciebie czekała, gdy wrócisz.

– Czy mówiłam ci, że po powrocie z Indii jadę do Nowego Jorku, by wziąć udział w warsztatach z projektowania ubrań? Zawsze chciałam to robić, ale byłam zbyt zajęta troszczeniem się o rodzinę. Mam nadzieję, że nauczę się, jak projektować ubiory, wtedy będę mogła szyć na miarę, a nie tylko zajmować się poprawkami krawieckimi.

– To wspaniale! – Violet zniżyła głos. – Czy już podjęłaś decyzję w sprawie swojego małżeństwa?

– Zamierzam się spotkać z mężem w Indiach. Przygotuje dla mnie śniadanie. Przysyła mi mejle ze zdjęciami różnych potraw, które uczy się robić. – Amithi uśmiechnęła się szeroko. – A potem zobaczymy. Naveenowi zajęło trzydzieści lat powiedzenie mi, co się wydarzyło. Musi mi dać teraz tyle czasu, ile potrzebuję, żeby wszystko przemyśleć.

Violet wstała i uściskała Amithi.

– Mam nadzieję, że wszystko ułoży się po twojej myśli, cokolwiek to znaczy.

– No więc, Violet – odezwała się Lane, kiedy Amithi wyszła – wiem, że masz coś starego. Jak zawsze. I widziałam, że masz niebieskie kokardki przy butach. Masz też coś pożyczonego i coś nowego?

– Cóż, właściwie sukienka jest pożyczona – powiedziała Violet. – Bo jutro wraca do sklepu, żeby mogła ją kupić inna panna młoda. Chyba że ty ją chcesz, April.

April pokręciła głową.

– Nie po tym, jak potoczyły się sprawy ostatnim razem.

Charlie uśmiechnął się z miną winowajcy.

– Wiem, że przeze mnie przeżyłaś piekło, ale ostatecznie wszystko dobrze się skończyło, prawda?

April przeniosła wzrok z Charliego na Kate, którą wciąż trzymała Violet.

– Chyba tak.

Lane odstawiła kieliszek i podsumowała:

– No dobrze, czyli sukienka jest pożyczona, kolczyki są stare, masz coś niebieskiego przy butach. Brakuje czegoś nowego.

– Czy muszę mieć coś nowego? – zastanowiła się Violet. – Nigdy nie wkładam nic nowego. No, poza bielizną, ale dziś mam na sobie bieliznę, którą noszę już od jakiegoś czasu. – Spojrzała na Sama. – Przykro mi, najdroższy.

Sam tylko się uśmiechnął.

– Ja widzę coś nowego – wtrącił Charlie.

Violet przyjrzała się sobie.

– Co takiego?

– Małą Kate na twoich kolanach.

Violet spojrzała na niemowlę, które spało w jej ramionach, zacisnąwszy różowe usteczka.

– Czy to się liczy? – spytała Lane.

– Naturalnie, że tak. – Violet musnęła nosem jedwabiste włoski Kate i szepnęła: – I nie pozwól nikomu mówić, że się nie liczysz, nawet jeśli popełnisz tysiąc błędów.

April wzniosła kieliszek.

– Za drugą szansę.

Wszyscy stuknęli się kieliszkami.

Violet wyciągnęła rękę, żeby stuknąć się kieliszkiem z Samem, i zauważyła, że mąż z niekłamanym podziwem ogląda jej nowy tatuaż. Zaczerwienienie w końcu zeszło, niebieskozielona rozgwieżdża pięknie kontrastowała z jasną skórą. Violet była zadowolona z efektu, ale i tak wolała stary tatuaż, na który teraz spojrzała. Feniks powstawał z popiołów – silny i pełen gracji – tuż poniżej krótkich kimonowych rękawów jej sukienki.

## PODZIĘKOWANIA

Ta książka jest efektem pracy wielu par rąk. Płynące prosto z serca słowa miłości i podziękowań kieruję do mojego męża, Billa Parsonsa, za jego cierpliwość podczas powstawania powieści. Chciałabym również wyrazić głęboką wdzięczność moim rodzicom, Frankowi i Kerry Glossom. Zachęcali mnie do pisania od najmłodszych lat, a ostatnio wiele godzin poświęcili na opiekę nad moim dzieckiem, podobnie jak cudowni teściowie, Bill i Peggy Parsonsowie. Nie napisałabym ani słowa, gdyby syn nie miał zapewnionej tak dobrej opieki podczas mojej nieobecności. Rodzina to materia, z której utkana została ta opowieść.

Specjalne słowa podziękowania kieruję do Christiny Hogrebe oraz jej kolegów i koleżanek z Jane Rotrosen Agency za fachowe wskazówki i poparcie dla mojej powieści. Jestem również niezmiernie wdzięczna Rachel Kahan, Trish Daly i całemu zespołowi z William Morrow. Entuzjazm Rachel do tego przedsięwzięcia był widoczny, kiedy – jeszcze przed naszą rozmową telefoniczną – kupiła suknię Diane von Fürstenberg w moim sklepie internetowym. Wtedy zrozumiałam, że Rachel będzie idealną redaktorką opowieści Violet, April i Amithi.

Ponadto chciałabym podziękować moim grupom kreatywnego pisania, Novellas i Inkwellians, a zwłaszcza pani krytyk Rebecce Anderson-Brown. Przeczytała więcej brudnopisów, niż wypada podsuwać do przeczytania, szybko wprowadzając nieliczne poprawki. Amy Robb miała swój wkład, skreślając dłużyzny, a Kavita Mohan i Padma Shankar stanowiły źródło bezcennej wiedzy o życiu Hindusów w Ameryce. Pierwsze czytelniczki, Kori Yelle i Suzan Headley, oceniły książkę z innej perspektywy. Kelly Harms podzieliła się swoimi doświadczeniami, a Nick Wilkes, Autumn Burns i Corinn Swinson sprawili, że mogłam pisać ze znajomością rzeczy.

Na koniec jestem winna podziękowania pracownikom kawiarni Barriques przy West Washington za to, że zawsze pozwalali mi dokończyć zdanie po zamknięciu lokalu.



TYTUŁ ORYGINAŁU *Vintage*

PRZEKŁAD Bogumiła Nawrot

REDAKTOR PROWADZĄCY, REDAKCJA Dorota Koman

KOREKTA Irma Iwaszko, Dorota Koman

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE TYPOGRAFICZNE Anna Pol

ŁAMANIE Agencja Poligraficzna Sławomir Zych

ZDJĘCIE NA OKŁADCE © Ilna Simeonova / Trevillion Images

ZDJĘCIE AUTORKI © Nick Wilkes

ISBN 978-83-64700-62-0

WYDAWNICTWO MARGINESY SP. Z O.O.

UL. FORTECZNA 1A, 01-540 WARSZAWA

TEL./FAX 48 22 839 91 27

[redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

WARSZAWA 2015

WYDANIE PIERWSZE

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)